

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

11 4.079.680 (3)

11 4.207.968 (4)

**MATERIAŁY DO
REFLEKSJI I ZADUMY**

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 269

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Ewolucjonizm, 1964 (wyczerpane)
Polityczne newrozy, 1967 (wyczerpane)
Modele i praktyka, 1970

U innych wydawców
Kehrt Deutschland in den Osten zurück?, Berlin, 1961, Collo-
quium Verlag (wyczerpane)

IRYTACJA INTELEKTUALNA

W połowie listopada ukazała się moja książka pt. „Modele i Praktyka” (Biblioteka *Kultury*, tom 195).

Moje książki nie są pisane dla pokrzepienia serc — tylko dla pobudzenia umysłów nawet za cenę intelektualnej irytacji. Uważam, że czasem lepiej jest zaryzykować irytację Czytelnika — lecz równocześnie zmusić go do skupienia uwagi na danym problemie — niż podać mu konwencjonalną papkę, która w 80 % składa się z truizmów.

Książka jest kontrowersyjna lecz jak podkreślałem wielokrotnie o rzeczach nie kontrowersyjnych nie ma powodu pisać. Postęp w każdej dziedzinie idzie poprzez kontrowersję. Transplantacja serca jest operacją kontrowersyjną, o której się pisze i namiętnie dyskutuje. Za kilkadziesiąt lat transplantacja serca będzie równie banalna jak operacja ślepej kiszki.

Zarówno w nauce jak i w pisarstwie kontrowersyjność nie jest pogonią za oryginalnością czy sensacją — lecz zazwyczaj jest próbą znalezienia nowych rozwiązań dla starych problemów.

Celem mojej książki nie jest zdobywanie Czytelnika czy przekonywanie kogokolwiek. Chciałbym natomiast sprowokować Czytelnika, by spojrzeć na pewne istotne problemy z innej perspektywy. Jeżeli się chce filozofować trzeba odrzucić całą filozofię, bo albo się jest historykiem filozofii albo filozofem. To samo dotyczy pisarstwa politycznego. Jeżeli chce się wysunąć nowe koncepcje, trzeba stare odrzucić. Ów proces odrzucania budzi irytację intelektualną u Czytelników, ponieważ większość z nas ceni i kocha rzeczy stare, znane, namaszczone tradycją. W sumie zagadnienie sprowadza się do kwestii: co kto odrzuca? Konserwatyści odrzucają niezmiernie więcej rzeczy nowych niż ja starych.

L I N I A

„Nie prenumeruję *Kultury* bo nie zgadzam się z jej linią polityczną”.

„Nie pisuję do *Kultury* bo nie zgadzam się z jej linią polityczną”.

Tego rodzaju opinie powtarzają się w listach, w prywatnych rozmowach, w dyskusjach.

Co to jest linia *Kultury*? *Kultura* szuka dróg wiodących do niepodległości. Polska jest w tak trudnej sytuacji, że należy przebadać każdą koncepcję i zastanowić się nad każdą możliwością. *Kultura* nie jest pismem ani socjalistycznym, ani rewizjonistycznym, ani neo-marksistowskim. Służymy tylko jednemu celowi, którym jest niepodległość Polski. Ten cel wyznacza polityczną linię *Kultury*.

Fakt, że moje artykuły pisane są z postawy socjalistycznej — niczego nie dowodzi. Jestem przekonany, że gdyby pojawił się pisarz prawicowy kalibru Adolfa Bocheńskiego — Giedroyc drukowałby jego artykuły. Chciałby bowiem dać mu możliwość zaprezentowania prawicowej koncepcji przejścia przez „morze czerwone”. Oczywiście ów prawicowy pisarz, podobnie jak Bocheński, musiałby być demokratą.

Redaktor *Kultury* posiada w swojej „orkiestrze” socjalistów i nie socjalistów — piłsudczyków i nie piłsudczyków — ludzi religijnych i agnostyków — ewolucjonistów i anty-ewolucjonistów. Czy nie na tym polega demokracja?

W Bibliotece *Kultury* ukazały się moje książki pisane przez socjalistę i ewolucjonistę. Lecz równocześnie w tej samej Bibliotece *Kultury* ukazały się książki, które potępiają socjalizm i ewolucjonizm. Lecz tak jedne jak i drugie są książkami niepodległościowymi i stanowią odrębne głosy w „parlamencie myśli polskiej” na obczyźnie.

Są i tacy, którzy zarzucają nam, że w ogóle nie mamy linii, ponieważ zbyt często zmieniamy naszą politykę.

Kultura tym się różni od innych ośrodków politycznych na emigracji, że nie zamyka problemu niepodległości w skamieniałej skorupie. Zdajemy sobie również sprawę, że w obecnej epoce różne drogi prowadzić mogą do niepodległości. Nikt nie ma monopolu na politykę niepodległościową i każda poważna koncepcja warta jest przeanalizowania.

Jeżeli ktoś mówi, że nie zgadza się z linią *Kultury* — oznacza to w rzeczywistości, że nie zgadza się z takim czy innym autorem i życzy sobie by jego „anty-faworyci” pozbawieni byli prawa głosu.

Na dwudziestolecie *Kultury* poprosiliśmy naszego pryncypalnego krytyka na emigracji, prof. Pragiera — by napisał artykuł wstępny do jubileuszowego numeru. Aparatczycy w Kraju podnieśli larum. „*Kultura* odłoniła swoje prawdziwe oblicze” — pisano — „ponieważ drukuje arcyreakcjonistę Pragiera”.

Dla totalisty jest nie do pojęcia, że w tym samym zeszycie *Kultury* mogą być artykuły Pragiera i Mieroszewskiego. Dla komunisty i dla wielu antykomunistów na emigracji linia polityczna pisma jest pojęciem dogmatycznym.

Oczywiście *Kultura*, jak wszystkie ośrodki polityczne na całym świecie, w zasadniczych sprawach precyzuje swoje stanowisko. Lecz w określeniu naszego stanowiska nie kierujemy się nigdy taką czy inną ideologią, tym mniej polityką takiej czy innej partii — lecz wyłącznie niepodległościowymi interesami Polski. Ktoś może nie zgadzać się z naszymi opiniami w różnych sprawach. Lecz jeżeli ktoś mówi, że nie zgadza się z linią *Kultury* — to albo nie czytuje naszego miesięcznika albo jest zwolennikiem „linii” p. Gomułki.

Kultura Nr. 1/280-2/281 (1971)

REFLEKSJE GRUDNIOWE

Gdyby ktoś w październiku ub. roku powiedział Gomułce, że jako prezent „gwiazdkowy” otrzyma dymisję — tow. Wiesław nigdy by w to nie uwierzył.

Gdyby jakiś znakomity specjalista od Europy Wschodniej w październiku ub. roku ogłosił przepowiednię, że w Szczecinie pomiędzy 17 a 25 grudnia istnieć będzie „Szczecińska Republika Robotnicza” — uznano by go za pomyłkę.

W krajach totalistycznych stopień przewidywalności — jeżeli można się tak wyrazić — jest znacznie mniejszy niż w ustrojach demokratycznych. W tych ostatnich istnieje wiele „barometrów”, które umożliwiają odczytywanie nastrojów społeczeństwa. W totalizmie „pogoda” nie jest badana tylko dekretowana z góry.

Post factum wszyscy mówią o „ostatniej kropli”, która dopełniła miary. Oceniano powszechnie, że drakońskie podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby na krótko przed świętami Bożego Narodzenia — były ową kroplą, która dopełniła miary rozgoryczenia i cierpliwości. Dodam jeszcze, na marginesie, że cierpliwość robotników polskich — w znacznej mierze chłopskiego rodowodu — jest wręcz wyjątkowa.

Oczywiście jeżeli ktoś „ostatnią kroplą” przelewa naczynie — oznacza to, że jest ślepy i nie wie do jakiego stopnia naczynie było pełne.

Po fakcie i po zmianie ekipy rządzącej dokonano odkrycia, że partia nie utrzymywała dostatecznego kontaktu ze społeczeństwem a w szczególności z klasą robotniczą. *Trybuna Mazowiecka* zaatakowała uprzedni reżym a w *Polityce* ukazał się artykuł stwierdzający, że choć są różne stopnie odpowiedzialności — partia jest odpowiedzialna za to co się stało.

Na owe zarzuty odpowiedź jest prosta. Partia nie miała kontaktu ze społeczeństwem — ponieważ partia nie może mieć

kontaktu ze społeczeństwem. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt z księżycem — musi mieć na powierzchni naszego satelity statek kosmiczny, który by przekazywał na ziemię informacje. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt ze społeczeństwem — musi mieć instytucje demokratyczne, ponieważ tylko poprzez instytucje demokratyczne rząd może utrzymywać stały kontakt ze społeczeństwem.

Komuniści boją się instytucji demokratycznych dopatrując się w nich głównego zagrożenia dla swojej władzy. Jeżeli komuniści utracą władzę — utracą ją dlatego, że nie umieli wytworzyć instytucji demokratycznych, które wiązałyby rząd ze społeczeństwem i chroniły wszystkich przed „niespodziankami”.

Podobno Gierek, gdy był jeszcze „gubernatorem” Śląska — chodził wieczorami po barach — pił piwo z robotnikami i rozmawiał z nimi. Lecz tego typu towarzyskie kontakty, choć mogą być cenne — nie zastąpią autentycznych rad robotniczych, władz samorządowych wyłonionych z wyborów, itp.

W państwie w którym nie ma ani swobód obywatelskich ani instytucji demokratycznych — strajk nabiera nowego charakteru.

Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o strajkach na Wybrzeżu — komentatorzy brytyjscy w radio i w telewizji podkreślali, że strajki mają charakter czysto ekonomiczny. Wyczuwało się ulgę w ich głosach — ulgę, że nie zanoszą się na drugą Czechosłowację i że czołgi sowieckie nie opuszczają swoich baz.

To jest jeden z wielu przykładów niezrozumienia sytuacji — ponieważ w Polsce Ludowej — każdy strajk jest zawsze strajkiem politycznym. W Anglii, jeżeli robotnicy strajkują w prywatnym przedsiębiorstwie — ich akcja nie ma charakteru politycznego lecz wyłącznie ekonomiczny. Natomiast w Polsce Ludowej każdy strajk z definicji jest strajkiem politycznym, ponieważ wymierzony jest przeciwko kierownictwu partii, które odpowiada za decyzje gospodarcze.

Robotnicy we wszystkich krajach w większości wypadków przystępują do strajków ze względów gospodarczych. Polska nie stanowi od tej reguły wyjątku. Byłoby naiwnością przypuszczać, że robotnicy w Gdańsku czy w Szczecinie podejmą strajk tylko w tym celu, by przywrócić wolność polskiej prasie. Lecz to powiedziawszy należy stwierdzić, że w państwie komunistycznym nie ma rozróżnienia pomiędzy ekonomią a polityką. Gospodarką komendują aparaczczyki kalibru Gomułki — z wiadomymi skutkami. W takich warunkach strajk jest nie tylko protestem przeciwko kierownictwu partii lecz jest również protestem przeciwko systemowi zarządzania — przeciwko totalizmowi.

Zaczyna się zawsze od chleba. Hasła wolnościowe pojawiają

się w następnej kolejności. Fakt, że w czasie wydarzeń grudniowych robotnicy polscy wysunęli hasła wolnościowe dowodzi, że zaczynają zdawać sobie sprawę, że bez wolności nigdy chleba nie będzie pod dostatkiem.

Jeżeli przez ruch rewolucyjny rozumieć ruch zmierzający do obalenia lub radykalnej przebudowy ustroju — to należy obiektywnie podkreślić, że wydarzenia grudniowe choć nie były rewolucją miały jednak charakter rewolucyjny.

W tym punkcie chciałbym zwrócić uwagę Czytelnika na problem przemocy. Obawiam się, że nie dowiemy się nigdy prawdziwej cyfry rannych i zabitych w okresie wydarzeń grudniowych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że milicja, wojsko, i specjalne oddziały — użyły w stosunku do robotników nie tylko przemocy fizycznej lecz i broni palnej.

W prasie emigracyjnej ukazały się wówczas apele by „oszczędzać krwi”. Owe apele były zwrócone do robotników — by na przemoc i prowokacje nie odpowiadali przemocą i tym samym nie powiększali liczby ofiar.

Jestem przeciwnikiem przemocy jako instrumentu działania politycznego — lecz niemniej są sytuacje w których użycie przemocy jest moralnie i politycznie usprawiedliwione.

W chwili gdy piszę te słowa odbywają się w Anglii demonstracje robotnicze, w których biorą udział setki tysięcy ludzi. W tym kraju policja nie strzela do strajkujących czy demonstrujących robotników. Dzięki temu robotnicy nie strzelają nigdy do policjantów. Robotnicy brytyjscy posiadają duże wyrobienie polityczne i społeczne — lecz gdyby zaczęto do nich strzelać, gdyby przeciwko nim użyto wozów pancernych i czołgów — jestem przekonany, że na przemoc odpowiedzieliby przemocą.

Na dnie duszy konserwatywni Polacy, którzy stanowią większość w naszym społeczeństwie, uważają że strajk jest czymś złym, nielegalnym i organizowanym zawsze przez „wywrotowców”. W Polsce przed-wrześniowej policja również strzelała do demonstrujących robotników, a rotmistrz Bochenek, kawaler Virtuti Militari poległ na bruku krakowskim na czele swego szwadronu ułanów — tłumiąc rozruchy robotnicze. Wówczas strajkujący robotnicy to byli „bolszewicy” a dziś strajkujący robotnicy to są „chuligani” i „wywrotowcy”.

Strajk musi być nie tylko ulegalizowany ustawą — lecz musi być również powszechnie społecznie zaakceptowany jako jedna z normalnych robotniczych akcji przemysłowych. Komuniści swoją anty-socjalistyczną i anty-demokratyczną postawą i ustawodawstwem powodują, że w PRL — strajk nie jest zwyczajną akcją przemysłową lecz jest akcją polityczną a nawet rewolucyjną.

Nie ma więc winy „po obu stronach”. Wina jest całkowicie i tylko po jednej stronie. O tym kardynał Wyszyński też nie pamiętał.

Polska, nawet gdyby nie była państwem komunistycznym, znajdowałaby się w niezmiennie trudnej sytuacji gospodarczej. Gomułka zwlekał z podpisaniem układu polsko-niemieckiego prowadził bowiem równocześnie pertraktacje z Ulbrichtem. NRD jest zamożnym krajem i Ulbricht, gdyby chciał, mógł był Polsce przyjść z pomocą. Lecz rokowania w tej sprawie zakończyły się fiaskiem. Ulbricht odmówił jakiejkolwiek pomocy finansowej.

Trzeba mniej konsumować a więcej produkować i eksportować. To wskazanie głoszone przez partię jest w zasadzie słuszne. Polacy mają wszelkie powody do zaciskania pasa.

Nie ma czystej ekonomii — tak jak istnieje czysta fizyka czy czysta matematyka. Ekonomia musi być zawsze rozpatrywana w danym kontekście społecznym. Jest różnica czy ja sam dociskam mój własny pas — czy ktoś inny — nie pytając mnie o zgodę — dociska na mnie pasa. Operacja dociskania pasa w żadnym kraju nie jest popularna. Jednak w kraju demokratycznie rządzonym odpowiednie ustawy są debatowane i uchwalane przez parlament a nie narzucane przez KC, którego naród nie wybierał.

Socjologia jest zawsze ważniejsza od ekonomii. Prawidłową gospodarkę można prowadzić tylko w ramach prawidłowego systemu społecznego. Ciężary muszą nie tylko być sprawiedliwie rozłożone — lecz rząd musi uzyskać zgodę od społeczeństwa na nałożenie owych ciężarów. Dlatego powiadam jeszcze raz: nawet gdyby PRL dysponowała najlepszą na świecie ekipą technokratów i menadżerów — w ramach obecnego ustroju ekipa ta nie mogłaby prowadzić prawidłowej gospodarki.

Dwadzieścia kilka lat temu wszystko to wyglądało inaczej. Hasłem była odbudowa kraju i położenie fundamentów pod przemysł. Lecz dziś Polska w znacznej mierze jest uprzemysłowiona i robotnicy oraz pracownicy związani z produkcją stanowią większość. Profil społeczny Polski uległ zmianie, lecz nie jej ustrój. Społeczeństwo przemysłowe posiada swoją własną „gramatykę” socjalną niezależną od ideologii. Ponieważ politycy nie umieją dostosować ustrojów — przeważnie przestarzałych — do owej „gramatyki” — obserwujemy w krajach przemysłowych rosnącą falę strajków i niepokojów robotniczych. W Anglii strajkują nie tylko robotnicy lecz również urzędnicy państwowi. Strajki nauczycieli czy urzędników pocztowych stanowią zupełnie nowe zjawisko socjalne, które byłoby wręcz nie do wyobrażenia jeszcze 15 lat temu.

Komunizm z wszystkich współczesnych ustrojów jest najmniej elastyczny, najmniej reformatorski i najbardziej konserwatywny. Choć może się to wydać paradoksem — komuniści rozbudowując przemysł — kręcą bicz na samych sobie. Celem dyktatury jest umacnianie i kontynuacja dyktatury. Przemysł w oczach komunistów mają stanowić bazę ich dyktatorskiej władzy. Komuniści zapominają jednak, że uprzemysłowienie produkuje nie tylko dobra materialne, lecz również nową klasę robotniczą, której siła i uświadomienie polityczne rosną z każdym miesiącem.

Wydarzenia grudniowe stanowiły wielkie zaskoczenie w tym sensie, że wielu nie przypuszczało, że robotnicy polscy są do tego stopnia organizacyjnie uświadomieni i zdyscyplinowani. W wielu miastach powstawały komitety strajkowe, które funkcjonowały wzorowo. Rzecz jest tym bardziej godna podziwu, że większość owych robotników to są robotnicy w pierwszym pokoleniu — bez zaplecza doświadczeń klasy robotniczej.

Wydarzenia grudniowe potwierdzają również naszą tezę, którą na tych łamach powtarzaliśmy dziesiątki razy, a mianowicie, że tylko poprzez napór społeczeństwo może coś osiągnąć. Bez naporu i bez walki nie ma niczego.

Ktoś powie, że robotnicy polscy swoją akcją grudniową wiele nie osiągnęli. Nie podzielam tego poglądu. W mojej ocenie osiągnęli bardzo wiele. Przede wszystkim udowodnili samym sobie, że są zdolni do zorganizowania nowoczesnego strajku na dużą skalę. Swoją akcją skupili na polskiej klasie robotniczej i jej problemach uwagę całego świata. Pojawiło się setki artykułów we wszystkich pismach zachodnich. Polska nagle stała się znów problemem.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Może za największe osiągnięcie należy uznać fakt, że robotnicy polscy podjęli pierwszy krok na właściwej drodze. Drugi krok będzie łatwiejszy ponieważ robotnicy przekonali się, że nawet w Polsce Ludowej nie święci garnki lepią. Robotnicy swą akcją i postawą przekonali społeczeństwo, że Bezpieka nie jest tak potężna jak ogólnie przypuszczano. Kompromitacja Bezpieki będzie miała trwałe i poważne konsekwencje.

Jakie należy wysunąć wnioski z omawianej sytuacji?

W grudniowym numerze *Kultury* wysunęliśmy postulaty stanowiące minimum. Lecz i owo minimum nie będzie łatwe do osiągnięcia jeżeli nie zostaną spełnione pewne warunki. Jak podkreśliłem uprzednio, robotnicy walczą na całym świecie o wyższe płace i poprawę warunków bytowych. Trzeba przekonać polskich robotników, że bez przebudowy ustroju nie będą mieli nigdy lepszych płac, wydatniejszych służb społecznych i ko-

rzystniejszych warunków bytowych. Trzeba przekonać robotników, że radykalna reforma ustroju to nie jest zamówienie społeczne inteligentów i studentów — lecz winno być w pierwszym rzędzie zamówieniem społecznym klasy robotniczej.

Osobiście nie wierzę w schematy ustrojowe wypracowane przy biurku w Londynie czy w Warszawie. Ustrój musi być wywalczony i wypracowany w praktyce i budowany w całości z „lokalnych” materiałów społecznych. W gruncie rzeczy w tych sprawach nie można niczego kopiować, bo każdy naród jest inny i owa „inność” musi znaleźć wyraz w budowie ustroju.

W przeciwieństwie do maksymalistów emigracyjnych w *Kulturze* uważamy, że na drabinę winno się wchodzić zaczynając od najniższego szczebla a nie od najwyższego. Samorząd robotniczy w postaci prawdziwych rad robotniczych należałoby uznać za osiągnięcie pierwszego szczebla.

Przekonać robotników, że dążyć muszą nie tylko do podwyżek płac lecz również do zmiany ustroju — jest bardzo trudną sprawą. Znaczny procent robotników nie pamięta Polski niepodległej i inteligenckie tyrady o pięcioprzymiotnikowych wyborach, wolnej prasie itp., nic im nie mówią. Powinniśmy oddziaływać na polską klasę robotniczą specjalnie zredagowaną literaturą polityczną, której celem byłoby wyjaśnić, w sposób nie pompacyjny a rzeczowy i przystępny, związek pomiędzy ustrojem a gospodarką. Trzeba również wyjaśnić bez szumnych słów, że choć Gomułka odszedł, gomułkizm pozostał. Na spętanym koniu najlepszy jeździec nigdzie nie zajędzie. Konia trzeba rozpętać jeżeli wóz gospodarki polskiej ma ruszyć z miejsca. Choć reforma ustroju byłaby dla wszystkich w Polsce błogosławieństwem — robotnicy walcząc o reformy działają przede wszystkim w swoim imieniu i dla siebie — ponieważ z gomułkizmu nie wycisną już niczego. Po kilku miesiącach przyjdą nowe podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby i jeżeli będą poważniejsze strajki — w najlepszym razie skończy się na przyznaniu doraźnych premii, które załatają budżety robotnicze na kilkanaście dni. Szkoda więc owego strajkowego wysiłku — jeżeli temu wysiłkowi nie mają odpowiadać konkretne rezultaty. Trzeba robotników przekonać, że każdy poważniejszy strajk musi w wyniku przynieść nie tylko podwyżkę płac, lecz również określoną zdobycz socjalną i umocnienie pozycji rad robotniczych w zakładach pracy.

Ktoś powie, że komunizmu nie można naprawiać tylko trzeba go obalić i zastąpić nowym ustrojem. Jeżeli mamy stary samochód a nie stać nas na kupno nowego samochodu — musimy naprawiać stary samochód do chwili kiedy lepsza koniunktura

umożliwi nam zdobycie nowego. To jest tzw. zdrowy rozsądek, który dotyczy zarówno samochodu jak i rewolucji.

Nie ma komunizmu z ludzkim obliczem. Tylko socjalizm może być z ludzkim obliczem. Niemniej pomiędzy komunizmami są wielkie różnice. Gdyby robotnicy polscy korzystali z tych praw co ich koledzy jugosłowiańscy — byłby to już wielki postęp.

Nie chciałbym, by Czytelnik odniósł wrażenie, że jestem zwolennikiem wejścia tylko na najniższy szczebel drabiny. Przeciwnie, naszym celem jest najwyższy szczebel drabiny czyli pełna demokracja. Jestem pewien, że robotnicy polscy nie pozwolą sobie odebrać ich najważniejszej broni jaką jest strajk. Jestem również przekonany, że strajków będzie coraz więcej i będą coraz lepiej zorganizowane. Wówczas robotnicy przestaną być wyzyskiwanym „niemową” i przekształcą się w nową siłę, która obali „gomułkizm” i stworzy zręby demokratycznego ustroju.

A emigracja? W moim przekonaniu w obliczu Polskiego Grudnia emigracja polityczna nie stanęła na wysokości zadania. Lecz to jest temat odrębny.

Kultura Nr 3/282 (1971)

POCZTÓWKA DO CZYTELNIKÓW

W kwietniowym numerze *Kultury* ukazała się nota od Redakcji zawiadamiająca Czytelników, że oczekuję operacji katarakty i że wskutek tego przez kilka miesięcy nie będą ukazywać się moje artykuły ani kroniki. Od kwietnia sytuacja uległa zmianie, ponieważ szczegółowe badania wykazały, że kataraktę mam tylko na jednym oku, lewym, a przyczyna utraty wzroku w prawym oku do tej pory nie jest wyjaśniona.

W lutym br. skończyłem 65 lat. Jestem starym i bardzo doświadczonym dziennikarzem. Im większe doświadczenie — tym większy sceptycyzm. Nie przypuszczałem, że moje chwilowe a przymusowe milczenie na łamach *Kultury* wywoła głębszą reakcję wśród Czytelników. Sądziłem, że wielu spośród nich powita z ulgą może bardziej „uczesane” numery *Kultury* bez Mieroszewskiego i Londyńczyka. Wbrew moim przewidywaniom, zarówno do Redakcji *Kultury* jak i na mój adres londyński napłynęło i napływa dziesiątki listów od naszych Czytelników z wyrazami współczucia i sympatii.

Wyznaję otwarcie, że owe listy z wielu krajów, Polski nie wyłączając, telefony, kwiaty, wzruszają mnie do głębi. Cenię je sobie wyżej niż jakąkolwiek emigracyjną nagrodę literacką czy publicystyczną. Wszystkie nagrody tego typu przyznawane są przez kolegów koledze i w większej lub mniejszej mierze są reżyserowane i manipulowane, a czytelnicy nagrodzonego autora nie mają w tym żadnego głosu. Natomiast fala serdecznego współczucia, która mnie doszła ze strony moich Czytelników nie była przez nikogo manipulowana czy reżyserowana.

Listów o których jest mowa jest zbyt wiele bym mógł w mojej obecnej sytuacji na nie indywidualnie odpowiedzieć. Moja żona, która mi sekretarzuje pracuje cały dzień poza domem — lecz ufam, że przyjdzie dzień, że będę mógł osobiście podziękować

listownie wszystkim tym, którzy w ciężkim okresie mojego życia okazali mi tyle serca.

Ufność moją opieram na tym, że specjaliści w Moorfields Hospital zapewniają mnie, że za kilka a najwyżej kilkanaście miesięcy, po udanej operacji, odzyskam wzrok choćby w jednym oku i będę mógł powrócić do normalnej pracy.

Kultura Nr. 7/286-8/287 (1971)

REFLEKSJE MARGINESOWE

W stanie zdrowia oczu Juliusza Mieroszewskiego jak dotąd, niestety, nie zaszły jeszcze poważniejsze zmiany na lepsze. Ale rasowy publicysta nie kapitułuje. Poniższy artykuł został napisany przy pomocy dyktafonu. Radio i dyktafon stają się dla Mieroszewskiego narzędziami pracy do chwili — mamy nadzieję że niezbyt odległej — gdy nastąpi poprawa.

Redakcja

I

Czy może istnieć kapitalizm w jednym kraju? Nowoczesny kapitalizm technologiczny nie może istnieć w jednym kraju. Powstaje dziś wiele firm wielonarodowych (*multinational*). Jak wszystko na świecie — potężne koncerny wielonarodowe mają swoje wady i zalety. Do kraju, który udziela im gościny — wnoszą w posagu postęp technologiczny, kapitały, możliwość zatrudnienia robotników, inżynierów i administratorów. Główną wadą owych wielonarodowych gigantów przemysłowych jest sprawa lojalności i kontroli. Oddział wielonarodowego koncernu działający w Anglii jest lojalny w stosunku do swojej centrali, której siedziba znajduje się poza Anglią. Firmy tego typu obserwują miejscowe ustawodawstwo i przepisy — nie oznacza to jednak, by podlegały pełnej kontroli. Jeżeli, na przykład, zagraża kryzys walutowy — firmy o których mówimy — wycofują część swych kapitałów w momencie, kiedy funta szterlinga należy wzmacniać a nie osłabiać. O ile można oczekiwać od firm brytyjskich solidarności z polityką rządu — o tyle nie można ani oczekiwać ani wymagać analogicznej solidarności ze strony firm

wielonarodowych. Innymi słowy — firmy wielonarodowe można by kontrolować tylko poprzez wielonarodowe organizacje. To jest jedna z głównych przyczyn, która spowodowała powstanie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Kapitalizm w fazie technologicznej nie jest możliwy w jednym kraju kalibru Anglii czy Francji. Przemysł elektroniczny, komputery, projekty super-samolotów jak „Concorde” — wymagają skupienia potencjałów wytwórczych i kapitałów. Kto ma kontrolować ów kapitał przez wielkie „K”? Oczywiście wielonarodowe instytucje wspólnego rynku.

EWG powstała, bo tego wymagała logika rozwoju kapitalizmu w fazie technologicznej. Czy to oznacza, że zbliżamy się powoli do ideału gospodarki nie wielonarodowej lecz prawdziwie międzynarodowej? Nie sądzę.

Kapitalizm w każdej fazie swojego rozwoju jest tym czym był i czym zawsze będzie. Dlatego myślę, że świat podzieli się z czasem na wielko-obszarowe systemy gospodarcze. Owe systemy będą prowadziły między sobą walkę konkurencyjną, obwarzają się taryfami celnymi i przekształcą nasz glob w Europę z XIX-go wieku.

Nie wierzę w międzynarodowe posłannictwo kapitalizmu.

II

W chwili gdy dyktuję te słowa, szkocka stocznia w Upper Clyde jest sceną znamienitych wydarzeń.

Stocznia — choć o świetnych tradycjach — jest przestarzała i od lat wykazuje milionowe straty, które jak dotychczas pokrywał rząd. Powzięto więc plan reorganizacji Upper Clyde a także i innych stocznii szkockich. Wszystko musi być unowocześnione — zarówno urządzenia techniczne jak i styl zarządzania. Rząd brytyjski odmówił pokrywania deficytów Upper Clyde i wyznaczono urzędowego likwidatora przedsiębiorstwa w jego obecnej formie.

W Szkocji panuje znaczne bezrobocie — nic więc dziwnego, że robotnicy bardzo stanowczo sprzeciwili się planom rządu.

W Upper Clyde starły się ze sobą dwie logiki: logika kapitału i logika pracy.

Nie ulega wątpliwości, że plan rządu jest trzeźwy i rozsądny z punktu widzenia kapitalistycznej gospodarki. Logiczna jest również argumentacja rządu, że nierentowne przedsiębiorstwo nie zapewnia robotnikom ani stałego zatrudnienia, ani wysokich zarobków.

Lecz istnieje również i druga strona modelu. Ponieważ kapitał dokonywał inwestycji, inkasował zyski i pokrywał straty — rościł sobie prawo do ostatecznego słowa w tej sprawie.

Robotnicy są jednak również inwestorami. Zainwestowali w stoczni Upper Clyde całe swoje życie, umiejętności fachowe, trud i pot, które przemieniają młodość w dojrzałego mężczyznę. Trudno powiedzieć wykwalifikowanemu stoczniovcowi: „drogi panie, od jutra będzie pan szył kostiumy damskie, ponieważ w Upper Clyde jest pan zbędny”. Zresztą szycie kostiumów damskich również nie jest takie pewne z powodu bezrobocia. Cóż więc pozostaje? Zasiłek dla bezrobotnych lub emigracja do Niemiec. Ambasada NRF rozpatruje około stu podań brytyjskich robotników dziennie.

W Upper Clyde robotnicy postanowili przejąć zagrożoną stocznię w swoje ręce i kontynuować pracę. Nie jest to zwykajny strajk okupacyjny lecz próba uruchomienia i zarządzania przedsiębiorstwa przez robotników.

W Labour Party w różnych okresach wielokrotnie dyskutowano zagadnienie tzw. demokracji przemysłowej (*industrial democracy*). Chodziło w tym wypadku o zwiększenie wpływu i udziału robotników w zarządach zakładów przemysłowych. Podkreślano również, że robotnicy brytyjscy w pełni dorastają do tego typu zadań. Lecz zwiększenie wpływu robotników w zarządzaniu fabrykami a oddanie zarządu całkowicie w ręce robotników, to są dwie całkowicie różne propozycje.

Oddanie zakładów przemysłowych w całości robotnikom — wymagałoby albo nowego ustawodawstwa albo rewolucji. W Anglii nie zanosz się ani na jedno ani na drugie.

Stocznie są finansowo wspomagane przez rządy na całym świecie. Tak jest w Niemczech, w Japonii i w innych krajach. Wspomaga się również finansowo przemysły istotne w sensie zbrojeniowym, konkurencyjnym, a nawet prestiżowym. Do takich działów produkcji należą komputery, nowoczesne silniki lotnicze, linie okrętowe, lotnicze itp.

Weźmy dla przykładu komputery, które w znacznej mierze są brytyjskim wynalazkiem. Przez wiele lat brytyjski przemysł komputerowy posiadał monopolistyczne stanowisko na rynkach światowych. Jest rzeczą ważną — nie tylko z punktu widzenia ekonomii lecz i słuszności, by rząd finansowo wspomagał przemysł komputerowy — w przeciwnym bowiem wypadku zyski z wynalazczości brytyjskiej ciągnęliby obcy, a nie Anglia.

Dopłaca się do różnych przemysłów z różnych przyczyn. Jedną z tych przyczyn winien być również wzgląd na ludzi. Ponieważ gospodarka to nie jest tylko eksport i bilans płatniczy

lecz — przede wszystkim — ludzie. Zwolennicy gospodarki kapitalistycznej winni sobie zdać wreszcie sprawę z faktu, że kapitalizm — jeżeli ma być obalony — nie obalą deficyty, kryzysy czy inflacje — tylko ludzie.

Padły opinie wypowiedziane przez entuzjastycznych socjologów, że w Upper Clyde powstaje nowe społeczeństwo.

Choć jestem jak najbardziej za nowym społeczeństwem nie zaryzykowałbym takiej opinii. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że wydarzenia i doświadczenia Upper Clyde — wstrząsną głęboko systemami myślenia tak kapitalistów jak i robotników. Gdyby nie było akcji robotniczej w przeszłości — nie byłoby związków zawodowych, 8-miogodzinnego dnia pracy, *Welfare State* itd., itp.

Wydarzenia w Upper Clyde z oczywistych względów miały ogromną *publicity* w prasie, w radio i w telewizji. Lecz w świecie pracy dokonują się powoli nie mniej ważne przemiany, które nie skupiają na sobie tyle uwagi.

Kto słyszał przed drugą wojną światową o strajku nauczycieli, dziennikarzy, urzędników bankowych, funkcjonariuszy pocztowych? W pewnych wysoko cywilizowanych krajach strajkowali nawet lekarze. To są wszystko rzeczy, które jeszcze przed 20-tu laty nie śniły się nawet lewicowym filozofom.

Inteligenci pracowali nie tylko dla pieniędzy lecz przede wszystkim dla zdobycia i utrwalenia statusu społecznego *middle class*, który ich odcinał od klasy robotniczej. Nauczyciel czy urzędnik bankowy mógł być lichy płatny lecz przysługiwała mu znacznie wyższa ranga społeczna niż robotnikowi, nawet o zawodowych kwalifikacjach. Młody podporucznik może mieć pensję o wiele mniejszą niż wysłużony sierżant, lecz podporucznik jest panem oficerem i należy do innej kasty społecznej, niż sierżant. Podobnie zestratyfikowane było całe społeczeństwo.

Nastąpiło szereg zmian. W *affluent society* jedynym miernikiem sukcesu społecznego czy jakiegokolwiek innego są pieniądze. O randze społecznej nie decyduje kasta lecz stopień zamożności wyrażający się poprzez własny dom, samochód, telewizję i tysiące „gadżetów”, potrzebnych i niepotrzebnych ale zawsze kosztownych. Co komu z nienagannego melonika, tradycyjnej teckiz i pięknie zwiniętego parasola — jeżeli właściciela tych insygniów *middle class* nie stać na samochód i urlopy za granicą. Czy *affluent society* ma być tylko dla topniejącej liczby milionerów i rosnącej grupy wysoko płatnych robotników przemysłowych, którzy zarabiają po 50 czy 60 funtów tygodniowo?

W tych warunkach inteligenci dokonali odkrycia, że najpewniejszą drogą wiodącą do podwyżki płac i w konsekwencji,

do uczestniczenia w *affluent society* — jest tradycyjna metoda robotnicza tj. strajk.

Wyeksplodowano również mit powołania. Inteligent w wielu wypadkach — w przeciwieństwie do robotnika — w obranym zawodzie realizował swoje szczytne powołanie. To stanowiło moralno-duchową „wartość dodatkową”, która miała wynagradzać niedobory finansowe.

Nauczyciel z powołania jest zwykle znakomitym nauczycielem i w konsekwencji powinien być lepiej zapłacony niż nauczyciel przeciętny.

Trzeba było jednak długiego czasu i wielu przemian społecznych by inteligenci zdali sobie sprawę, że ludzie pracujący za pieniądze i dla pieniędzy są wszyscy *de facto* najemnymi robotnikami.

Solidarność wszystkich, którzy zdobywają chleb i dobrobyt jako najemnicy — powoli rośnie. W tym procesie, który ledwo się rozpoczął — tkwi załazek nowego społeczeństwa.

Ludzie ważniejsi są od jakiegokolwiek ideologii czy doktryny. Politycy, którzy o tym zapominają — pogłębiają wyobcowanie współczesnego człowieka, który żyje na cmentarzu ideologii i dogmatów.

III

W umyśle Europejczyków Chiny kojarzą się zwykle z Rosją Sowiecką i ze Stanami Zjednoczonymi. Lecz dla Pekinu istnieje jeszcze jedno bardzo ważne mocarstwo a mianowicie Japonia. Czy Japonia jest już super-mocarstwem? Czy państwo, które wydaje tylko jeden procent swojego dochodu narodowego na zbrojenia — może być super-mocarstwem tak jak Stany Zjednoczone, które wydają 8 % na zbrojenia?

W Europie nikt nie mówi o militarystyce japońskim tylko o motocyklach japońskich, o wytworach elektronicznych, jak telewizje i inne skomplikowane przyrządy i „gadżety”, które kupujemy po cenie znacznie niższej od analogicznych produktów fabrykowanych na naszym kontynencie. Lecz w Chinach pamięć o wojnach japońsko-chińskich jest bardzo żywa i Japończycy uważani są za wrogów wczorajszych a może i jutrzejszych.

By zdać sobie sprawę z chińskiego poglądu na Japonię trzeba poświęcić chwilę uwagi Formozie.

Ta chińska wyspa o portugalskiej nazwie odgrywa bardzo ważną rolę w stosunkach amerykańsko-chińskich.

Amerykanie chcieliby widzieć w OZN zarówno Chiny komu-

nistyczne jak i Chiny nacjonalistyczne Czang Kai-szeka. Lecz zarówno Mao Tse-tung jak i Czang Kai-szek wyrażali wielokrotnie pogląd, że nie może być dwóch Chin w obrębie OZN. Czy to oznacza, że Czang Kai-szek odwoła swoją delegację w chwili gdy Chiny komunistyczne zostaną przyjęte do OZN?

Formoza w rękach Czang Kai-szeka nie stanowi dla Chin komunistycznych żadnego zagrożenia. Nie wydaje się również prawdopodobne by Stany Zjednoczone, po doświadczeniach w Wietnamie, użyły kiedyś Formozy jako bazy do wojny wyzwoleniczej na kontynencie Chin. Amerykanie szukają formy, która pozwoliłaby im wycofać się z Indochin bez utraty twarzy i przypuszczają, że Chiny im to ułatwią. Chińczycy pamiętają natomiast, że Formoza była przez 50 lat kolonią japońską i przestała nią być dopiero w roku 1945. Wiedzą też, że Czang Kai-szek podpisał szereg układów z Japonią. Formoza w rękach Czang Kai-szeka czy w rękach Czang Kai-szeka i Amerykanów nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla Chin. Natomiast Formoza jako baza japońska stanowiłaby bezpośrednie zagrożenie dla kontynentu chińskiego. Oczywiście w Pekinie nikt nie przypuszcza, że któregoś dnia flota japońska zajmie Formozę i wysadzi na ląd swoich komandosów i piechotę morską. Chińczycy boją się natomiast, że z chwilą gdy Amerykanie wycofają się z Południowo-Wschodniej Azji Japończycy — mówiąc obrazowo — wskoczą w ich buty. Chińczycy podejrzewają, że pomiędzy Tokio a Waszyngtonem istnieją w tej sprawie tajne układy.

Nie sądzę by Japończycy byli wyznaczeni testamentem przez Amerykanów na ich następców w Azji. Tego rodzaju operacje robi się zwykle bez testamentu i bez układów.

Abstynencja atomowa Japonii nie będzie trwała wiecznie. Japończycy już dziś produkują rakiety, które są dziwnie podobne do pocisków między-kontynentalnych amerykańskich i sowieckich. Japonia posiada bazę przemysłową i technologiczny *know-how*, które umożliwiłyby jej przedzierzgnięcie się w super-mocarstwo atomowe w przeciągu dekady. Wówczas sprawa Formozy mogłaby wyglądać inaczej niż dziś. Wydaje się więc prawdopodobne, że Chińczycy zechcą przyłączyć Formozę do macierzy, nim Japonia stanie się atomowym mocarstwem.

Chiny nacjonalistyczne są zabytkiem z epoki w której myśłano o *liberation*, o wyzwoleniu. Przez wyzwolenie rozumiano przywrócenie niepodległości. Chiny w przeciwieństwie do państw Europy Wschodniej są państwem niepodległym choć komunistycznym. W Chinach można mówić o obaleniu czy zmodyfikowaniu komunizmu, lecz nie o wyzwoleniu, ponieważ Chiny są wyzwolone spod obcej przemocy i są niepodległe. Są bardziej

niepodległe niż Formoza. Reżym Czang Kai-szeKa nie ma żadnych kwalifikacji na nauczyciela demokracji. Gdy na kontynencie chińskim nastąpi kiedyś „odwilż”, wówczas Chiny przyciągną do siebie Formozę, która w gruncie rzeczy jest wyspą „na emigracji”.

W lipcu tego roku podjęto w Japonii na szeroką skalę badania opinii publicznej. 75 % respondentów opowiedziało się przeciwko zbrojeniom, a przede wszystkim przeciwko zbrojeniom atomowym. Istnieje jednak w Japonii mniejszość, która po mału zaczyna sobie zdawać sprawę z zarysowującej się sytuacji. Okinawa wróciła do Japonii. Jeżeli w najbliższych latach Amerykanie stopniowo i powoli wycofają się z Wietnamu, z Korei, z Formozy — jeżeli Chiny w tym okresie rozbudują swój potencjał atomowy i stworzą odpowiedni *delivery system* — wówczas na terenie Azji powstanie zupełnie nowa sytuacja. Polityka, jak wiadomo, jest grą rzeczy możliwych.

Jeżeli dopuści się do sytuacji w której Chiny będą jedynym azjatyckim mocarstwem atomowym — ich możliwości w Azji staną się wręcz nieograniczone. Chiny będą mogły po prostu szantażować Japonię.

Szok spowodowany Hiroszimą i Nagasaki jest zrozumiały. Bronie atomowe są straszne i etycznie odrażające. Lecz uzbrojenie atomowe nie może mieć charakteru jednostronnego. Innymi słowy, nie możemy dopuścić do układu, w którym państwa komunistyczne miałyby zdecydowaną przewagę w dziedzinie atomowej nad tak zwanym wolnym światem.

Polityczna struktura naszego globu musiałaby wyglądać zupełnie inaczej by Japończycy mogli spokojnie odrzucić zbrojenia atomowe ze względów etycznych.

W zakończeniu tych uwag należy uwypuklić dwa następujące punkty: Punkt pierwszy — Formoza wcześniej czy później powróci do Chin. To leży w logice rzeczy. Punkt drugi: Przyłączenie Formozy do Chin oznaczać będzie dzwon alarmowy dla Japonii.

IV

Dyskusja o słowach pomiędzy Kołakowskim a Mrożkiem w zeszycie lipiec-sierpień *Kultury* — przypomniła mi trud i mozół w przełożeniu na język polski *newspeak*’u. Przed 20-tu laty przetłumaczyłem dla Biblioteki *Kultury* „Rok 1984” Orwella. *Newspeak* to był oficjalny język partii. Lecz niezależnie „Wielki Brat” powołał komisję do opracowania nowego słownika języka angielskiego, który z czasem miał zastąpić wszystkie inne istnie-

jące słowniki. Z tego oficjalnego słownika wykreślono szereg słów jak „wolność”, „demokracja”, „socjalizm” itp. Partia wnioskowała, że jeżeli nowe pokolenie uczące się w szkołach nie będzie znało tych słów — nie będzie również znało pojęć, które owe słowa oznaczały. Totaliści orwellowscy wierzyli więc, że na początku było słowo. Jak nie ma słowa — nie ma i jego znaczeniowej treści.

Komuniści dokonali z sukcesem innego zabiegu w podobnej dziedzinie. Nie wykreślili słów jak „socjalizm”, „demokracja” czy „wolność”, lecz nadali tym słowom znaczenia przeciwstawne. Operacja udała się w całej pełni. Nawet zdecydowani przeciwnicy komunizmu mówią o socjalizmie w Polsce Ludowej, mimo, że w Polsce jak długa i szeroka socjalizmu nie ma na lekarstwo.

Tak oto część orwellowskiej apokalipsy została urzeczywistniona. Slogan z „Roku 1984”, „Wolność jest niewolnictwem” pokrywa się w całości ze sloganem, że „Polska jest Socjalistyczna”. W obu wypadkach użyte terminy oznaczają swoją odwrotność.

7 sierpnia 1971

Kultura Nr 9/228 (1971)

ZAWIESZENIE DOKTRYNY BREŻNIEWA

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony sprawie Niemiec — lecz zacząć go wypada od Berlina. Układ berliński miał być podpisany w dniu 1 września br., jednak w ostatniej chwili wszystko odwołano. Powstały trudności w uzgodnieniu tekstu w języku niemieckim. Okazało się, że w języku rosyjskim istnieje tylko jedno określenie terminu „tranzyt” — natomiast w języku niemieckim istnieje kilka określeń tego pojęcia. 1 września podano również do wiadomości, że ambasador amerykański, który wraz ze swymi kolegami — ambasadorami sowieckim, francuskim i brytyjskim miał podpisać berliński dokument — cierpi na wysokie ciśnienie i lekarze zalecili mu wypoczynek. 2 września ukazały się w prasie bardzo pesymistyczne artykuły przetelefonowane z Berlina. „To byłoby zbyt piękne aby mogło być prawdziwe” — zawyrokował jeden z brytyjskich obserwatorów. Berlińczycy zachodni w rozmowach z dziennikarzami podkreślali, że na dnie duszy nigdy nie wierzyli, że układ dojdzie do skutku.

Nie podzielałem tego pesymizmu. Byłem pewien, że układ zostanie podpisany. Rosjanie negocjowali ów układ 17 miesięcy, osiągnęli wszystkie swoje cele — byłoby więc nonsensem gdyby w ostatniej chwili wyłamali. Byłem pewien, że Sowiety układ podpiszą — ponieważ Moskwa dokonała pewnego wyboru — o czym mowa będzie poniżej.

Ku radości jednych a ku zdumieniu innych — układ został uroczyście podpisany w dniu 3 września. Teksty uzgodniono a ambasador amerykański cudownie ozdrowiał. „Wszystko dobre co się dobrze kończy — powiedział łamaną niemczyzną ambasador sowiecki zgromadzonym dziennikarzom.

Dobiega kresu powojenne prowizorium. Sowiety będą jednak nadal obecne w Zachodnim Berlinie. Cytowany traktat gwa-

rantuje im bowiem prawo otwarcia konsulatu generalnego. Nie muszą zabiegać o pozwolenie rządu w Bonn, czy zezwolenie prezydenta miasta Berlina. Prawo do Generalnego Konsulatu w zachodnim Berlinie przysługuje Sowietom z mocy sygnowanego traktatu. W tej sprawie nic się nie zmieni, Agenci KGB i inni „spece” będą członkami generalnego konsulatu. Innymi słowy zmieni się tylko nazwa placówki sowieckiej.

W dniu 3 września br. zjednoczenie Niemiec oddaliło się w... siną dal. Podział Niemiec utracił cechę tymczasowości. Został *de facto* uznany i oficjalnie zarejestrowany w traktacie międzynarodowym. Droga do uznania NRD i do zabezpieczenia jej stałego miejsca w OZN została otwarta.

Granica na Odrze i Nysie od roku 1945 nie była nigdy bardziej pewna i nienaruszalna niż obecnie. Granica zachodnia Polski zostanie uznana i ratyfikowana przez rząd w Bonn. Odwieczna antyniemiecka mobilizacja w Polsce utraciła realne podstawy. Należy wyciągnąć z tych faktów pewne wnioski — o czym będzie mowa w końcowej części tego artykułu.

Zostało również przygotowane polityczne przedpole do konferencji europejskiej — Wschód-Zachód.

Rosjanie dysponują tak znaczną przewagą militarną w Europie Środkowo-Wschodniej, że trudno zrozumieć dlaczego im tak zależy na owej mistycznej konferencji — o której (na rozkaz Moskwy) prasa krajów satelickich rozpisuje się od miesięcy.

Od strony europejskiego zachodu Sowietom nic nie zagraża — więc o co im chodzi?

Osobiście jestem pewien, że w grę wchodzi tylko jeden „drobny” szczegół. W trakcie rozmów na temat wzajemnej redukcji zbrojeń pomiędzy NATO a krajami Paktu Warszawskiego — Rosjanie z całą pewnością wysuną sprawę ewakuacji wojsk amerykańskich z kontynentu, ściślej mówiąc z Niemiec. Chwila po temu jest sposobna — ponieważ Amerykanie dążą do redukcji swych zamorskich garnizonów. Cóż w końcu znaczy kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy? Jeżeli w zamian za ewakuację tych jednostek — Sowiety zaoferują znaczną redukcję swoich wojsk w NRD i w innych krajach bloku wschodniego — propozycja wyda się wielu obserwatorom kusząca i korzystna. Rosjanie będą również argumentować, że skoro załatwiona jest sprawa Berlina i ratyfikowany pakt nieagresji pomiędzy Bonn a Moskwą — wojska amerykańskie w Niemczech są zabytkiem z minionej epoki i powinny wrócić do Stanów Zjednoczonych. (Jak wiemy pakt niemiecko-sowiecki nie jest dotąd ratyfikowany — lecz w okresie projektowanej konferencji europejskiej będzie już po jej ratyfikacji).

Nie waham się twierdzić, że cała operacja pod nazwą konferencji europejskiej — ma na celu głównie i przede wszystkim pozbycie się wojsk amerykańskich z kontynentu.

Sprawa jest prosta. Dopóki mamy na kontynencie choćby minimalne zgrupowanie wojsk amerykańskich — dopóty każda akcja zbrojna w Europie Środkowej — przekształciłaby się natychmiast w wojnę sowiecko-amerykańską.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Obecność na kontynencie wojsk amerykańskich gwarantuje skuteczność amerykańskiego parasola atomowego. Z chwilą gdy wojska amerykańskie zostaną w całości wyewakuowane z europejskiego kontynentu — parasol atomowy przestanie być „nieprzemakalny”. Wówczas jakakolwiek wojna w Europie — byłaby tylko wojną europejską — ponieważ żołnierze amerykańscy nie byłiby zaangażowani w walce, a obywatelom amerykańskim nic by nie zagrażało. W takich warunkach prezydent USA nie zdecydowałby się wydać rozkazu atomowego bombardowania Sowietów pragnąc uchronić miasta amerykańskie przed odwetem o nieobliczalnych skutkach. Inaczej mówiąc — celem Sowietów jest pozbawić Europę Zachodnią amerykańskiego parasola atomowego — a w każdym razie uczynić ten parasol mniej pewnym i skutecznym.

Plan europejski — tak jak widzą go Sowiety — obejmuje trzy fazy: 1) układ berliński z 3. IX. br.; 2) układ szczegółowy pomiędzy NRF a NRD; 3) traktat pomiędzy NATO a państwami Paktu Warszawskiego. Ów finalny traktat inkorporowałby zarówno układ berliński jak i umowy pomiędzy NRF a NRD. Niezależnie od tego ów traktat stanowiłby ukoronowanie europejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i ograniczenia zbrojeń.

W praktyce ów „wielki plan” stanowiłby przejście z powojennego prowizorium — do pokojowej normalizacji i stabilizacji. Podział Niemiec, granice, imperium sowieckie w Wschodniej Europie — to wszystko byłoby uznane i zabezpieczone w międzynarodowych układach. Sowiety zyskałyby wolną rękę w stosunku do Chin.

We wstępnej części tego artykułu zaznaczyłem, że Sowiety wkraczając na linię „wielkiego zamysłu” europejskiego i podpisując zgodnie z swą polityczną linią układ berliński — dokonały pewnego istotnego wyboru. By zdać sobie sprawę z politycznej treści owego wyboru — musimy ze sceny berlińskiej przenieść się na Bałkany.

Na ogół nie doceniamy prowokacji chińskiej na Bałkanach a w szczególności w Rumunii i w Jugosławii.

Rosjanie — by nie zamykać sobie drzwi — brudną robotę

przeciw Rumunii i Jugosławii zlecają Węgrom, Polakom i Bułgarom. Z łamów *Żołnierza Wolności* i partyjnej prasy węgierskiej padł zarzut pod adresem Rumunów, że uprawiają politykę antysowiecką. To jest najcięższe oskarżenie jakie można wysunąć przeciwko „bratniej partii komunistycznej”. Zgodnie z doktryną Breżniewa — konsekwencją tego typu oskarżenia winna być interwencja państw socjalistycznych — czyli inwazja.

Szef politycznego wyszkolenia armii chińskiej stał na czele dziesięcio-osobowej delegacji, która w sierpniu br. odwiedziła Rumunię. Goście chińscy — w charakterze obserwatorów — wzięli udział w manewrach armii rumuńskiej, które odbyły się w okolicy Brasowa. Ambasador sowiecki kilkakrotnie w owym czasie odwiedził premiera rumuńskiego. Premier Ceausescu zwołał posiedzenie KC, rady ministrów i rady państwa — i uzbrojony w uchwały owych trzech ciał — powtórzył jeszcze raz swoje niepodległościowe „credo”. Generał Li Te-cheng, szef delegacji chińskiej wymieniał z rumuńskim szefem sztabu liczne polityczne toasty w czasie pożegnalnego bankietu. W owych toastach obaj generałowie mówili nie tylko o braterskich więzach łączących Rumunię i Chiny — lecz mówili również z naciskiem i bez obstępów o imperializmie sowieckim. Korespondenci zagraniczni podkreślili, że Rumuni w czasie pobytu delegacji chińskiej — po raz pierwszy używali publicznie terminu „imperialistyczny” w odniesieniu do Sowietów. Nawet Amerykanie starają się unikać tego terminu — wiedząc, że Moskwa wszelkie posądzenia o imperializm poczytuje za obelgę, którą posługują się tylko śmiertelni wrogowie Związku Sowieckiego, jak na przykład Chińczycy.

W pierwszych dniach września br. bawiła również delegacja chińska w Jugosławii. Przewodniczył jej minister przemysłu Czien Czi-kuang. Chińczycy zwiedzili międzynarodowe targi w Zagrzebiu a następnie powrócili do Belgradu. W stolicy Jugosławii — jakby na powitanie gości chińskich — ukazał się pięknie wydany przekład poematów Mao Tse-tunga.

Lecz oczywiście sytuacja Jugosławii jest zupełnie inna niż Rumunii. Jugosławia nie należy do Paktu Warszawskiego i głosi politykę niezaangażowania. Warto może wspomnieć o charakterystycznej zmianie pewnego artykułu konstytucji Jugosławii. W razie ataku z zewnątrz na Jugosławię — rozkaz zaniechania zbrojnej obrony kraju byłby sprzeczny z konstytucją bez względu na to przez kogo byłby wydany. Obywatele jugosłowiańscy są zobowiązani przez konstytucję do ignorowania tego typu rozkazów czy zaleceń. To jest niewątpliwie interesująca reforma

prawa konstytucyjnego — stanowiąca odpowiedź na doktrynę Breżniewa.

Teraz możemy odpowiedzieć na pytanie dotyczące wyboru — jaki zarysował się przed polityką sowiecką w sierpniu i we wrześniu br.

Sowiety, zgodnie z doktryną Breżniewa — mogły wkroczyć do Rumunii, zbrojną ręką zgnieść opór i w Bukareszcie osadzić rumuńskiego Husaka. Byłaby to lekcja dla państw satelickich — mająca na celu wbić wszystkim zainteresowanym w głowę, że doktryna Breżniewa nie jest frazesem, tylko konkretną polityką za którą stoi cała potęga Związku Sowieckiego. Narody satelickie przekonałyby się wówczas, że doktryna Breżniewa dotyczy nie tylko państw, które z góry rezygnują z oporu jak Czechosłowacja — lecz dotyczy również i tych, które zdecydowane są walczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Gdyby w Bukareszcie rządził rumuński Husak a w Rumunii stacjonowało kilkanaście dywizji sowieckich — pozycja Jugosławii uległaby wybitnemu osłabieniu.

I punkt najistotniejszy: Chińczycy przekonaliby się, że Sowiety są gotowe bronić zbrojnie swojej sfery wpływów — a wszyscy potencjalni zwolennicy flirtów z Pekinem w orbicie sowieckiej przekonaliby się, że to jest gra wysoce niebezpieczna.

Lecz podejmując akcję militarną przeciwko Rumunii Rosjanie musieliby zrezygnować z wielkiego zamysłu europejskiego, którego początkiem jest pakt berliński a domniemanym zakończeniem „Konferencja Europejska”, ewakuacja jednostek amerykańskich z kontynentu i „podziurawienie” parasola atomowego nad Europą. Inwazja Rumunii — uniemożliwiłaby rządowi w Bonn ratyfikowanie układu rosyjsko-niemieckiego a *Ostpolitik* Kanclerza Brandta leżałaby w gruzach.

Od miesięcy Sowiety dyplomatyczno-szeptaną propagandą starają się przekonać Zachód, że Rosjanie są rozsądnymi myśłącymi Europejczykami, gotowymi zawsze do rozmów i kompromisowych układów. Natomiast Chińczycy są niepoczytalnymi Azjatami, opętanymi manią wielkości. Rosjanie liczą, że Chińczycy w czasie wizyty prezydenta Nixona — wysuną tak nierealnie wysokie żądania, że prezydent wróci z Pekinu wybitnie ostudzony.

Politycy, w przeciwieństwie do historyków — mają krótką pamięć. Praga wstrząsnęła światem. Blask żywej pochodni, którą był Jan Palach — nadał tragedii czechosłowackiej nadludzki, ponadeuropejski wymiar. Gesty o takiej intensywności — od średniowiecza nie dzieją się w Europie.

Minęło zaledwie trzy lata. Kanclerz Brandt jest na Krymie, były premier Harold Wilson jest w Moskwie, a wizyty Breżniewa

zapowiedziane są w Paryżu, w Bonn, w Belgradzie. *Business as usual*.

Gdyby w sierpniu lub we wrześniu br. Rosjanie dokonali inwazji Rumunii tłumiąc krwawo opór Rumunów — nie ulega wątpliwości, że i ta zbrodnia poszłaby w zapomnienie. Lecz nawet najwięksi cynicy na Kremlu musieli sobie zdawać sprawę, że podejmując inwazję Rumunii — Rosja musiałaby odłożyć swój „plan europejski” na 10 lub 15 lat. Za 10 czy 15 lat — Chińczycy mogą mieć nie tylko bomby atomowe i *delivery system* lecz i potężnych sojuszników. Teoria o pokojowych, rozsądnych, europejskich Rosjanach i o niepczytalnych, megalomańskich Chińczykach straciłaby na skutek inwazji Rumunii pokrycie w faktach.

Z powyższych przyczyn wybrano w Moskwie „plan europejski” poświęcając doktrynę Breżniewa.

Ktoś może zauważy, że doktryna Breżniewa nie dotyczy Rumunii, ponieważ partia rumuńska jest daleka od jakiegokolwiek rewizjonizmu. Wszystko zależy od definicji rewizjonizmu. Z punktu widzenia sowieckiego rewizjonizmem jest każde poważniejsze odchylenie od linii politycznej Kremla. Nie może być bardziej jaskrawego i prowokacyjnego odchylenia od linii Moskwy jak fraternizowanie się z chińskimi generałami i zarzucanie Sowietom imperializmu.

W ocenie Moskwy — nie można być dobrym komunistą i równocześnie bratać się z Chińczykami. Komunista bratający się z Chińczykami — w oczach Kremla — jest złym komunistą zarówno w sensie politycznym jak i ideologicznym.

Doktrynę Breżniewa zawieszono na kołku, ponieważ istotą tej doktryny jest interwencja zbrojna. Dopóki Moskwa jest zdecydowana realizować swój plan europejski — interwencja zbrojna na naszym kontynencie jest nie do pomyślenia.

Jeszcze raz podkreślam, że do planu europejskiego Moskwa przywiązuje wielką wagę. Rosjanie pragną być zabezpieczeni od strony Zachodu, pragną zacieśnić i rozwinąć współpracę z Niemcami — co posiada bardzo istotne znaczenie dla Sowietów zarówno w czasie pokoju jak i w okresie ewentualnej wojny z Chinami. *Ostpolitik* jak dotąd formułowana jest w kontekście polityki zachodniej. Ale czy zawsze tak będzie? W mojej książce w języku niemieckim, wydanej w Berlinie przed 10 laty — napisałem, że klucze losu Niemiec leżą w Moskwie a nie w Waszyngtonie. Podtrzymuję nadal tę opinię. Moskwa ma daleko więcej do zaoferowania Niemcom niż Ameryka.

Lecz to są sprawy, które wybiegają poza zakres niniejszego artykułu. Teżą wynikającą z mojej analizy jest pogląd, że

doktryna Breżniewa została zamrożona, co stwarza wyjątkową koniunkturę nie tylko dla Rumunów lecz również dla Polaków czy Węgrów. Polacy w Kraju winni zdać sobie sprawę z faktu, że groźba sowieckiej interwencji zbrojnej zmalała o 80 %. Co to oznacza? Oznacza to, zakładając, iż w Polsce zaczynają się dziać rzeczy, które nie budziłyby entuzjazmu w Moskwie, że sowiecka interwencja zbrojna jest o 80 % mniej prawdopodobna dziś niż cztery lata temu.

Gdyby „wiosna w Pradze” wybuchła nie w roku 1968 lecz latem 1971 roku i gdyby na czele ruchu reformy stał człowiek lepiej panujący nad sytuacją niż Dubczek — do interwencji zbrojnej prawdopodobnie by nie doszło.

Koniunktura obecna nie będzie trwała wiecznie. Z chwilą gdy „pakiet europejski” obejmujący szereg pozycji — zostanie podpisany i ratyfikowany — koniunktura o której mówimy skończy się.

Polityka w znacznej mierze polega na umiejętnym wykorzystaniu okazji. Sukces wieńczy akcje nie tylko słuszną i rozsądną przemyślaną — lecz przede wszystkim podjętą we właściwym czasie. I odwrotnie — beznadziejność i marazm żywią się stęchłym chlebem zmarnowanych okazji.

Są dwie drogi, którymi przywódcy komunistyczni zdobywają poparcie społeczne. Można krzyczeć: „jesteśmy, jako Rumuni — narodem łacińskim, pochodzącym od Rzymian a hordy barbarzyńskich Słowian zagrażają naszej niepodległości”. Można również krzyczeć: „jesteśmy Słowianami a hordy barbarzyńskich Germanów chcą nam odebrać piastowskie ziemie”.

Lecz można również podjąć, przy sprzyjającej koniunkturze, program reform społecznych i gospodarczych — podejmując cichą lecz nieubłaganą walkę przeciw neo-stalinizmowi i totalizmowi.

Zagadnieniem współczesnej Polski nie są doradcy sowieccy czy groźba sowieckiej inwazji, lecz totaliści własnego chowu. Oczywiście gdyby Polacy wyszli tłumnie na ulice miast i zaczęli strzelać do milicji i agentów Bezpieki, gdyby puścili z dymem ambasadę sowiecką itp., itd. — w takiej sytuacji nastąpiłaby interwencja.

Jeżeli Polacy są zdolni tylko do postaw skrajnych — to znaczy albo do biernego znoszenia obroży — albo do spontanicznego, powstańczego zrywu — wówczas należałoby stwierdzić, że koniunktura spowodowana zawieszeniem doktryny Breżniewa Polski nie dotyczy.

Polityka nie zna całkowitych, maksymalnych rozwiązań. Sprawa północnej Irlandii, czy sprawa konfliktu izraelsko-arab-

skiego, to są problemy, które rozwiązane być mogą tylko poprzez kompromis — to znaczy częściowo.

Dla Polski wtłoczonej pomiędzy potężną Rosję i potężne Niemcy — nie ma całkowitych rozwiązań. Istnieje natomiast gama rozwiązań częściowych, które stopniowo, spokojnie realizowane mogłyby przekształcić społeczne i gospodarcze oblicze Polski. Podkreślam jeszcze raz: naszym głównym problemem nie są w tej chwili ani Rosjanie ani Niemcy — tylko Polacy.

Kultura Nr 11/290 (1971)

MAGAZYN RADIOWY

Ponieważ nie mogę czytać na skutek choroby oczu — całymi dniami słucham. Posiadam dwa odbiorniki radiowe — z których jeden jest o dużej mocy i szerokim zasięgu.

Radio nie jest dla ludzi zaludniających wielkie miasta. Miliony pracowników, którzy w Londynie, w Paryżu czy w Nowym Jorku — w kolejach podziemnych czytają gazety a wieczorem patrzą na telewizję — o radiofonii nie wiedzą niczego. Lecz nie wszędzie do pracy dojeżdża się koleją i nie wszędzie dociera obraz telewizyjny. Natomiast radio dociera wszędzie. W zagubionych w dżungli afrykańskiej wioskach murzyńskich słuchają radia, na oceanach i na pustyniach słuchają radia — na samotnych wyspach i w puszczach Ameryki Południowej słuchają radia.

Drogą radiową można dosłownie dotrzeć do całej ludzkości. Informacja radiowa jest szczególnej wagi dla ludzi w Związku Sowieckim i w całej Wschodniej Europie, ponieważ rozgłoszenie w tych krajach podlegają cenzurze.

Dla mieszkańców Zachodu, którzy czytają gazety i periodyki a wieczory spędzają przed ekranem telewizji — pojęcie „żelaznej kurtyny” musi wydawać się archaizmem z epoki Foster Dulles’a. Ani w prasie ani w telewizji nie mówi się o „żelaznej kurtynie”. Przeciwnie, mówi się o odprężeniu, współpracy i błogosławionym pokoju. W tym klimacie termin „żelazna kurtyna” brzmi jak coś wczorajszego, zapomnianego jak książeczki żywnościowe czy kupony na ubrania.

Wystarczy jednak przez dwie godziny posłuchać rozgłosni europejskich by się przekonać, że „żelazna kurtyna” — bez względu czy się o niej pamięta czy nie pamięta — jest faktem a nie urojeniem. Jest taką samą faktyczną rzeczywistością jak Alpy czy Wołga.

Do Warszawy czy do Moskwy podróżuje się długo — lecz

na odbiorniku radiowym półmilimetrowe przesunięcie igielki wskaźnika wystarczy by przekroczyć „żelazną kurtynę”. Zaden mur Ulbrichta, żadna mapa nie uwypukla z taką realistyczną wyrazistością podziału Europy jak odbiornik radiowy. Te same fakty, te same wydarzenia — odbite w różnych zwierciadłach tworzą dwa niespójne systemy. Jeżeli ktoś — jak niżej podpisany — słucha przez kilka godzin dziennie Europy — choćby chciał, nie może zapomnieć o „żelaznej kurtynie”, ponieważ jawi się ona jako fakt, któremu nie można zaprzeczyć żadnym artykułem czy najmądrzejszą książką.

Moskwa nadaje na wszystkich falach i we wszystkich językach. Nadaje programy dla Europy, Azji, Afryki, Ameryki łacińskiej itp., itd. Oczywiście istnieje również program polski radia Moskwa, którego sygnałem wywoławczym są pierwsze cztery takty znanej piosenki „Umarł Maciek, umarł, już leży na desce”. Sygnał niezmiennie *à propos*. Stacje satelickie wykonują różne prace zlecone. Praga nadaje specjalny program w języku angielskim przeznaczony dla wschodniej Afryki. „Berlin Internacjonal” (N.R.D.) nadaje podobny program dla Afryki zachodniej. Z jednego z takich programów dowiedziałem się, że w Bratysławie otwarto wystawę ilustrującą zasięg rewizjonistycznej kontrrewolucji w Czechosłowacji w roku 1968. W radio Tirana mówi się dużo o „sowieckim rewizjonistycznym imperiaлизmie”. „Wydarzenia grudniowe” według radia albańskiego — stanowiły dowód, że robotnicy w krajach satelickich gotowi są walczyć o przywrócenie w ich krajach prawdziwego marksizmu-leninizmu (który reprezentuje tylko Pekin).

Chinom poświęca dużo czasu radio Bukareszt, natomiast Związek Sowiecki traktuje radio rumuńskie po macoszemu.

Miliony ludzi na całym świecie pragną wolności, przestrzegania podstawowych praw człowieka i obywatela oraz likwidacji resztek kolonializmu. Moskwa jest orędownikiem wszystkich mniejszości uciskanych i wyzyskiwanych. W północnej Irlandii otwarcie broni mniejszości katolickiej ciskając gromy na „imperialistyczne, okupacyjne wojska brytyjskie”, które nie mają niczego do zaoferowania Irlandczykom prócz „jarzma kolonialnego”.

Przed kilku miesiącami pisałem o sytuacji w stocznich szkockich w Upper Clyde. Radio Moskwa podało, że związek zawodowy sowieckich inżynierów i techników ofiarował znaczną pomoc finansową robotnikom Upper Clyde — w dowód uznania dla ich postawy i walki.

Moskwa domaga się przywrócenia praw człowieka i obywatela w Rodezji, w Afryce Południowej, w koloniach portugalskich

— jednym słowem wszędzie z wyjątkiem Związku Sowieckiego i jego satelitów.

Jesteśmy świadkami narodzin całkowicie nowego systemu imperialistycznego. Ostatnią operacją staroświeckiego imperializmu był Wietnam. Wydaje mi się, że Wietnamów więcej nie będzie.

Chińskie przysłówie mówi, że „daleką wodą nie można ugasić pożaru”. Dodajmy, że daleką wodą nie można również uruchomić turbiny wodnej czy młyna. Podobnie „dalekim wojskiem” nie można trwale rozwiązać politycznej sytuacji — o czym Amerykanie przekonali się namacalnie w Indochinach. W czasie głosowania nad amerykańskim i albańskim wnioskiem w sprawie przyjęcia Chin Ludowych do ONZ — 46 państw, otrzymujących pomoc od Stanów Zjednoczonych — głosowało przeciwko wnioskowi amerykańskiemu. Amerykanie byli zdumieni i rozgoryczeni. Reakcja była gwałtowna. Program pomocy poddano drastycznej redukcji i rewizji. Okazało się, że stosunek pomiędzy dawcą a odbiorcą — w bardzo znacznym procencie wypadków — nie jest taki, jaki być powinien z punktu widzenia Ameryki.

Wróćmy do spraw radiowych. Na wyróżnienie zasługują zagraniczne serwisy BBC i radia francuskiego, oraz serwisy w języku angielskim radiostacji szwajcarskiej, holenderskiej, zachodnio-niemieckiej, szwedzkiej, norweskiej i fińskiej. Obszerny i bogaty w informacje program w języku angielskim „Voice of America” nadawany jest z Waszyngtonu. Dobrze opracowane są programy polskie i angielskie z Watykanu.

Jeśli ktoś chce odpocząć od *pop-songs* — należy przenieść się za „żelazną kurtynę”. Kraje „socjalistyczne” stanowią jedyny na świecie rezerwat staroświeckiej, romantycznej pieśni. Radio warszawskie nadaje wiele sentymentalnych i często pięknych piosenek, w których pełno jest róż, słowików i księżycem posrebrzanych ścieżek. Moskwa nadaje czarujące pieśni ludowe rosyjskie, ukraińskie i białoruskie. Niedawno słuchałem kapitalnej melodeklamacji z towarzyszeniem bałabajek znanego wiersza Swietłowa pt. „Granada”. Wierzyć się nie chce, że naród który tworzył i tworzy tak wspaniałą muzykę — wyprodukował nie tylko symfoniczną orkiestrę leningradzką lecz również... KGB.

Czytelnika polskiego interesują przede wszystkim audycje w języku polskim. Nie ulega wątpliwości, że państwa europejskie i poza-europejskie przywiązują znaczenie do opinii Polaków — ponieważ programów w języku polskim jest mnóstwo. Nie podejmuję się skatalogowania tych programów, ponieważ być może istnieją i takie, których do tej pory nie słyszałem.

Żaden z omawianych programów nie reprezentuje niezależnej polskiej myśli politycznej. Trudno się temu dziwić — wiemy

bowiem, że żaden z tych programów nie jest finansowany przez Polaków.

Rozgłośnia polska Radia Wolna Europa jest niewątpliwie największą polsko-języczną stacją radiową za granicą. R.W.E. jest dobrze zorientowana w sytuacji krajowej — co nie jest rzeczą łatwą — nie reprezentuje jednak żadnego programu społeczno-politycznego. Ale R.W.E. nie może mieć własnego programu politycznego, i to jest zrozumiałe. Zadaniem R.W.E. jest informować a nie przywozić. Na ogół serwisy informacyjne są dobre — trafiają się jednak niedociągnięcia — niewybaczalne z punktu widzenia zawodowego dziennikarza. Słuchałem kilku pogadań o książce Bieńkowskiego pt. „Socjologia klęski”. Pogadanki jasne i inteligentnie ujęte lecz z tych pogadań nikt się nie dowie kto wydał ową cenną książkę, której tyle uwagi poświęciła R.W.E. Raz powiedziano, że książka została napisana w Kraju i wydana za granicą, innym razem powiedziano, że książka została wydana na Zachodzie. To jest nie fachowa robota. Każde omówienie książki musi zawierać stwierdzenie kto książkę napisał i kto książkę wydał. Być może, że w jednej z wcześniejszych pogadań, której nie słyszałem R.W.E. wymieniła wydawcę, lecz nawet jeśli tak było — to wypada stwierdzić, że istnieją tysiące słuchaczy, którzy słuchali tylko tych pogadań, których ja słuchałem i ci ludzie — choć książką z całą pewnością zainteresowali się — nie dowiedzieli się kto ją wydał. To jest amatorstwo albo złośliwość a prawdopodobnie jedno i drugie. Inny przykład z dziedziny amatorstwa. R.W.E. nadaje program pt. „Od naszych korespondentów”. Z dziennikarskiego punktu widzenia trudno sobie wyobrazić coś bardziej beznadziejnego. To nie są żadne korespondencje, ale powtórka starych wiadomości prasowych i radiowych bez żadnego indywidualnego naświetlenia czy interpretacji. (Wyjątek stanowią korespondencje z Włoch W. Sznarbachowskiego, które są informatywne i interesujące).

BBC posiada stały znakomity program pt. „From our own Correspondents”. Z tego programu można się czegoś dowiedzieć — tego, czego nie było ani w prasie ani w radiu. Program jest powtarzany dwukrotnie i słucham go dwa razy — ponieważ jest tego wart.

Nie ma powodu dla snobizmu upierać się przy polskich korespondentach. Jest oczywiste, że polski korespondent nie zdobędzie tych wywiadów i informacji, które bez trudności zdobędzie dziennikarz amerykański czy angielski. Korespondent musi mieć to, co się popularnie określa jako „chody” a więc szeroko rozgałęzione stosunki towarzyskie i zawodowe. Nie chodzi o to by pod korespondencją z Paryża czy z Waszyngtonu podpisane

było polskie nazwisko. Chodzi o to by korespondencja była dobra.

Polski program BBC posiada audycję pt. „Reflektorem po świecie”. W tym programie spotyka się często przełożone na język polski korespondencje brytyjskich dziennikarzy i specjalistów. Nie można mieć polskiego politycznego reportażu dotyczącego konfliktu indyjsko-pakistańskiego — ponieważ polskich emigracyjnych dziennikarzy nie ma ani w Indiach ani w Pakistanie. Pomijam fakt, że Polska emigracja nie posiada specjalistów od spraw Indii i Pakistanu — natomiast Brytyjczycy mają wybitnych znawców tego przedmiotu. Polski słuchacz będzie znacznie lepiej poinformowany, jeżeli zapozna się z dobrym przekładem reportażu Brytyjczyka czy Amerykanina, który był na „linii frontu” danego konfliktu.

Bardzo dobry jest polski Dziennik Radiowy, nadawany na krótkich falach z Montrealu. Zdarza się, że polski Montreal podaje o 3.30 po południu informacje, których próżno szukać w dziennikach radiowych europejskich, nadawanych tego samego dnia o 5-tej po południu.

„Deutsche Welle” z Kolonii w swych programach polskojęzycznych daje dobre przeglądy prasy niemieckiej i wnikliwe analizy sytuacji w NRD. Prawdopodobnie są to najlepsze analizy dotyczące stosunków w Niemieckiej Republice Demokratycznej. „Deutsche Welle” poświęca również dużo miejsca radykalizmowi młodzieży. Z tego źródła dowiedziałem się, że prof. Golo Mann nazwał Wolny Uniwersytet w Berlinie — najmniej wolnym uniwersytetem w Europie. Lecz to jest temat odrębny.

Szczególną pozycję na mapie radiowej Europy — zajmuje Warszawa. Gdy słyszy się hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie — lub szopenowski sygnał wywoławczy stolicy Polski — trudno jest oprzeć się wzruszeniu. Emigranta, który nie był w Kraju od przeszło 30 lat, uderza natychmiast fakt, że współczesna Polska jest państwem morskim. Owe 600 kilometrów wybrzeża, porty, stocznie, statki stanowią ważną i zaakcentowaną część polskiej współczesności. W „Wiadomościach portowych” — słyszymy jakie statki i w jakich portach cumują „na wejściu” i „na wyjściu”. W koncertach życzeń — spikerka czyta listy żon, narzeczonych, matek i zbiorowe listy rodzin — adresowane do marynarzy polskich statków na morzach świata. Tych statków — o pięknych nazwach — jest, wydaje się, niezliczona ilość.

Imieniny obchodzi się w Polsce uroczyście, a spiker w ostatnim biuletynie wieczornym podaje jakiegoś świętego obchodzić będziemy następnego dnia. Na krótkich falach przysłuchiwać się można rozmowom stęsknionych żon z mężami na statkach. Radio-telefonicznych stacji jest kilka. Najczynniejsze są stacje w Gdyni

i w Szczecinie. We wszystkich takich rozmowach — obie strony sprawdzają ile listów wysłano i ile odebrano.

W Gdańsku i Szczecinie zbudowano nowe „obiekty socjalne” — ściślej mówiąc nowe stołówki dla robotników i stoczniowców. W radio-reportażu poświęconym tej innowacji — reporter zapytał robotnika czy jest zadowolony z wydawanych posiłków. Robotnik-konsument zauważył spokojnie, że w grochówce nie powinno być łupin. W końcowej części audycji reporter zadał dyrektorowi stołówek w Gdańsku następujące pytanie: „panie dyrektorze — jaką grochówkę pan woli — z łupinami czy bez łupin?”. Dyrektor, szczwana sztuka — natychmiast zorientował się w podchwytce i oświadczył z najgłębszym przekonaniem: „oczywiście z łupinami, bo to bardziej pożywne”. Dodajmy od siebie, że grochówka powinna być przecierana i bez łupin, ponieważ łupiny są: *primo* niesmaczne, a *secundo* — ich wartość odżywcza jest równa zeru.

Lecz na ogół — sądząc z radia — po „wydarzeniach grudniowych” (ile w Polsce będzie tych „wydarzeń” zanim się coś wydarzy?) w portach nastąpiła poprawa a stoczniowcy jako „wielkoprzemysłowa klasa robotnicza” (określenie Gierka) — są oczkiem w głowie partii i rządu.

Jeżeli przyjąć, że radio jako najpowszechniejsze medium komunikacji — odzwierciedla najpełniej oblicze danego kraju — to należy stwierdzić, że pomiędzy Polską a Zachodem istnieją nie tylko różnice, lecz po prostu przepaść. Przepaść jaka oddziela obrządek wschodni od zachodniego.

Brytyjczycy wierzą, że swobodna dyskusja jest nie tylko fundamentem lecz źródłem demokracji. Do decyzji, które obowiązują wszystkich — dochodzi się poprzez dyskusję. W okresie poprzedzającym przystąpienie Anglii do EWG — radio brytyjskie organizowało dyskusje-maratony, trwające po kilka godzin. Brali w owych „maratonach” udział nie tylko posłowie, ministrowie, rzeczoznawcy lecz każdy obywatel, który chciał włączyć się do dyskusji telefonicznie. BBC podawało numery telefonów i każdy mógł zgłosić swoje argumenty „za” lub „przeciw”. Następnie członkowie „okrągłego stołu” w studio BBC odpowiadali na pytania i dyskutowali z rozmówcami spoza studia. Linie były włączone w aparaturę nadawczą tak, że każdy słuchacz tych programów, często na dalekiej prowincji słyszał nie tylko ogólną debatę lecz również i indywidualne rozmowy i dyskusje pomiędzy panem X i panią Y. Zdarzyło się, że owi telefoniczni dyskutanci przypierali do muru ekspertów i polityków.

W BBC nie ma tabu. Dyskutuje się pornografię „za” i „przeciw”, dyskutuje się tzw. prasę podziemną, religie, północną Irland-

dię, zapobieganie ciąży, celibat księży — jednym słowem poddaje się dyskusji każdy problem współczesnego życia.

Gdyby ktoś mieszkał na wyspie bezludnej i odbierał tylko BBC i telewizję brytyjską to — nawet gdyby był odcięty całkowicie od prasy i osobistych kontaktów — wiedziałby o Wielkiej Brytanii wszystko, lub niemal wszystko. Wiedziałby on o Anglii więcej niż przeciętny mieszkaniec Londynu, który słucha komunikatów przy śniadaniu a w kolejce podziemnej przegląda jeden czy dwa dzienniki poranne.

Z radia warszawskiego nie można się wiele dowiedzieć. Lecz w tym wypadku nie chodzi o skąpość informacji. Informacje są tak dobrane, że składają się na obraz, który jest fałszywy. Wszystkie wiadomości wewnętrzne podawane są w nieznośnie optymistycznym, cukierkowym tonie. Jest dobrze a będzie jeszcze lepiej. Nie ma dyskusji w sensie zachodnim, to znaczy w sensie ścierania się argumentów, ani nie ma swobodnej krytyki. Totalizm komunistyczny w wydaniu rosyjskim jest monumentalny, ponury i groźny. Ten sam totalizm w wydaniu polskim jest prowincjonalny i drugorzędny.

Można importować ideologie równie dobrze jak licencje przemysłowe — lecz i jedno i drugie należy uczynić własnym. Nie dość jest zakupić licencje na produkowanie samochodów trzeba jeszcze mieć własną dobrą stal. W przeciwnym wypadku procent wybrakowanych samochodów jest niedopuszczalnie wysoki. Nikt nie ma pretensji, że Polska Ludowa nie buduje statków kosmicznych — lecz dlaczego sprowadza z zagranicy gigantyczne ilości obuwia?

Od zakończenia wojny minęło niemal 30 lat — nie ma więc powodu by sprawy bytowe górowały nad wszystkim. Słuchając polskiego radia odnosi się wrażenie, że w Polsce — w przeciwieństwie do innych krajów Europy — okres powojenny trwa nadal. Znana ankieta przedzjazdowa ujawniła, że stosunkowo niewielki procent ludzi w Kraju interesuje się kulturą i środkami masowego przekazu, jak radio, telewizja i prasa. Sfery rządzące są niezmiernie zadowolone z owego rzekomego braku zainteresowania kulturą.

Gdyby w cytowanej ankiecie zamieszczono pytanie: „czy Pan(i) interesuje się chirurgią?” — prawdopodobnie bardzo mały procent respondentów odpowiedziałby na powyższe pytanie potwierdzająco. Niemniej chirurgia jest problemem o ogromnym społecznym znaczeniu, chirurdzy bowiem ratują ludzkie zdrowie i ludzkie życie.

Podobnie przedstawia się sprawa z kulturą. Robotnik może nie interesować się bezpośrednio kulturą, lecz to jakiego inżyniera

ma nad sobą, jakiego dyrektora, jakiego szefa wydziału i ministra — to wszystko zależy od klimatu kulturalnego w jakim ci ludzie się wychowali. Wszystko zależy od tego jak ci ludzie zostali „zaprogramowani” w szkole podstawowej, w szkole średniej i na uniwersytecie.

Nie można mieć cenzury i kultury równocześnie. Cenzura znieprawia pisarzy, dziennikarzy, naukowców, którzy piszą „pod cenzurę”, względnie godzą się na obcięcia najistotniejszych fragmentów swoich tekstów.

Na Zachodzie — w związku z rozkwitem pornografii — dyskutuje się sprawę cenzury. Pornografia być może znieprawia — lecz cenzura znieprawia jeszcze bardziej. Pornografię należy zwalczając autorytetem moralnym lecz nie cenzurą. Moralność oparta na cenzurze nie jest moralnością.

Analogicznie — kultura socjalistyczna, która opiera się na cenzurze, nie jest kulturą socjalistyczną. Dopiero kiedy w Polsce zniesiono by cenzurę — przekonalibyśmy się czy w Kraju istnieje kultura, którą nazwać by można socjalistyczną.

Kościół katolicki zniósł indeks książek zakazanych — lecz w Polsce odbywają się procesy przeciwko książkom (proces „taterników”). Cenzura jest zawsze lękiem przed konfrontacją, lękiem przed argumentacją strony przeciwnej. Prawdziwy socjalizm dysponuje tak logiczną i przekonującą argumentacją, że nie potrzebuje cenzury. Cenzura potrzebna jest tylko policyjnemu, totalistycznemu „socjalizmowi”, który udaje socjalizm.

Powyższe radiowe rozważania chciałbym zakończyć następującą garścią refleksji. Dosłownie nie ma dnia, żeby BBC nie przynosiło wiadomości o jakimś strajku. W Anglii mamy wysoką stopę życiową, robotnicy są na ogół doskonale wynagradzani — a mimo to strajków jest coraz więcej a nie coraz mniej.

Socjologowie przytaczają szereg przyczyn tego zjawiska. Modernizacja fabryk i zakładów przemysłowych powoduje uzasadniony lęk przed utratą pracy wśród robotników. Robotnicy bronią się przed nieuniknionymi zmianami, które niesie rewolucja technologiczna — ponieważ struktura rynku pracy, organizacje zawodowe itd. wszystko to datuje się z poprzedniej epoki. Klasa robotnicza w krajach wysoko uprzemysłowionych — aktywnie szuka dla siebie nowej roli w zmienionych warunkach.

Trudno jest przewidzieć ostateczny społeczny kształt tego procesu, można jednak uznać za pewne, że klasa robotnicza w epoce technologicznej która formułuje się burzliwie na naszych oczach — zajmie bardziej poczesne miejsce niż w okresie poprzednim. Skąd ten optymizm? Wystarczy spojrzeć z perspektywy historycznej na pochodź klasy robotniczej w ostatnim pół-

wieczu. Żadna warstwa społeczna nie może pochwalić się ani w przybliżeniu podobnym awansem socjalnym. Tak stosunkowo niedawno nie wolno było zbierać pieniędzy na składki członkowskie związków zawodowych, a dziś *Trade Unions* stanowią potęgę w Wielkiej Brytanii.

Ów zdumiewający awans wielko-przemysłowej klasy robotniczej na Zachodzie dokonał się dosłownie w obrębie jednego pokolenia. Ludzie liczący 80 lat — których nie brak w Anglii — pamiętają start owego wielkiego marszu.

Istnieją pewne prawidłowości w rozwoju wielko-przemysłowej klasy robotniczej. Nie ma powodu przypuszczać, że postawa i dążenia stoczniowców brytyjskich są diametralnie różne od postawy i dążeń stoczniowców polskich. Wielko-przemysłowe klasy robotnicze wykazują wszędzie analogiczne dążenia i cele.

Polska nie posiadała wielkiego przemysłu i w konsekwencji nie mieliśmy wielko-przemysłowej klasy robotniczej. „Wydarcie grudniowe”, które doprowadziły do upadku Gomułki — stanowiły „premierę” wielko-przemysłowej klasy robotniczej w Polsce. Zgodnie z prawidłowościami rozwojowymi — to był początek serii strajków, które wybuchną w niedalekiej przyszłości. Wielko-przemysłowa klasa robotnicza w Polsce będzie domagać się nie tylko poprawy warunków bytowych lecz przede wszystkim niezależnych związków zawodowych. Doświadczenie uczy, że żadna partia polityczna marksistowsko-leninowska czy socjaldemokratyczna nie jest w stanie zastąpić niezależnych związków zawodowych i tym samym nie jest w stanie zahamować prawidłowości rozwojowej *trade union’ów*. Wyjątek (do czasu) od tej reguły stanowi Rosja, która posiada odrębną specyfikę rynku pracy. Wielko-przemysłowa klasa robotnicza w Sowietach jest planowo rozparcelowana. Robotnikom w Odessie jest bardzo trudno porozumieć się z robotnikami w Leningradzie czy w centrach przemysłowych na Syberii. Lecz w Polsce rozprzestrzenienie przemysłów jest analogiczne jak w państwach zachodnich. O wydarzeniach na Wybrzeżu czy na Śląsku — wie cała Polska tego samego dnia. W porównaniu z olbrzymimi przestrzeniami Związku Sowieckiego — Polska terytorialnie jest małym krajem i dlatego u nas nie jest możliwe izolowanie jednego rejonu od drugiego. O strajku w Odessie — robotnicy w Nowosybirsku mogą nie dowiedzieć się wcale, lub dopiero po miesiącach z pogłosek. W Polsce, jeżeli ktoś „kichnie” w Katowicach to w Gdańsku wszyscy o tym wiedzą tego samego dnia.

W tezach przedjazdowych włoskiej partii komunistycznej — ogłoszonych w listopadzie 1971 roku — wysunięto zasadę wielopartyjności, podkreślono rolę niezależnych związków zawodowych

i jeszcze raz potępiono inwazję Czechosłowacji w roku 1968. W cytowanych tezach stwierdzono, że żadna z rządzących partii komunistycznych nie może siebie samej ogłaszać za wzór do naśladowania przez wszystkie inne partie komunistyczne. Każda partia ma prawo poszukiwania swojej własnej drogi do socjalizmu — co jest możliwe tylko w oparciu o zasadę nie-interwencji w wewnętrzne stosunki państw, partii i narodów. Tak wygląda komunizm zachodniego obrządku.

Czy polscy robotnicy muszą zrezygnować na wieki z rzetelnych związków zawodowych tylko dlatego, że narzucono nam komunizm wschodniego obrządku? Polacy nie zaakceptują nigdy wschodniego obrządku ani w chrześcijaństwie ani w komunizmie. W każdym z nas jest domieszka wschodniej krwi — lecz przez tysiąc lat formowani byliśmy jako naród przez kulturę zachodnią i tego nikt dziś nie wymaże, ani nikt nie odrobi. To nie jest frazes trzeciomajowy tylko fakt socjo-historyczny. Napisałem kiedyś, że w Londynie czuję się często człowiekiem Wschodu — jestem jednak pewien, że w Moskwie czy w Leningradzie czułbym się zawsze w stu procentach człowiekiem Zachodu. Nasza zachodniość występuje najsilniej w zderzeniu ze Wschodem. Na Zachodzie natomiast wynaradawiamy się trudniej niż Niemcy czy Austriacy — dzięki naszej wschodniości. Jestem zdecydowanym anglofilem, podziwiam kulturę brytyjską — lecz nawet po dziesięciokrotności lat pobytu na tych wyspach — zachowuję w stosunku do kultury brytyjskiej dystans przybysza ze Wschodu.

Fakt, że w grudniu 1970 roku strajkowali stoczniowcy, którzy stanowią w Polsce najlepiej płatny odłamek klasy robotniczej — potwierdza przesłankę, że dojrzewanie i rozwój wielko-przemysłowej klasy robotniczej w Kraju potoczy się według wzorów i prawidłowości jakie obserwujemy na Zachodzie. Mentalność polskich stoczniowców jest zachodnia i ich reakcje są bliższe postawie stoczniowców w Upper Clyde niż stoczniowców w Odessie. Na Wschodzie przyczyną rozruchów czy strajków jest głód i rozpacz. Na Zachodzie akcję przemysłową podejmują zazwyczaj najlepiej płatni robotnicy, którzy walczą nie tylko o wyższe płace lecz również o przebudowę ustawodawstwa normującego stosunki pomiędzy kapitałem a pracą.

W Anglii członkami związków zawodowych są robotnicy, nauczyciele, urzędnicy państwowi, lekarze, inżynierowie, aktorzy, muzycy itd. Istnieje związek zawodowy studentów wyższych uczelni, a ostatnio wysunięto projekt powołania do życia związku zawodowego dzieci szkolnych. Ów związek będzie obejmował dzieci szkół podstawowych i młodzież szkół średnich. Innymi słowy — obywatel brytyjski od 5-go roku życia aż do śmierci

będzie członkiem takiego czy innego związku zawodowego. Zaczyna się wyraźnie zarysowywać problem: związkowość *versus* partyjność. Partie polityczne zaczynają tracić swą reprezentatywność klasową. Czy to oznacza, że zmierzamy do demokracji dualistycznej — sterowanej zarówno przez związki zawodowe jak i przez partie polityczne?

W społeczeństwie otwartym — jak społeczeństwo brytyjskie — rozwój społeczno-gospodarczy przebiega ewolucyjnie. W społeczeństwie zamkniętym najzwyczajniejszy postulat — jak np. niezależność związków zawodowych — nabiera cech hasła rewolucyjnego.

Nieporozumienie polega na tym, że konserwatystom z Komitetu Centralnego wydaje się, że robotnicy walczą tylko o sprawy bytowe. Tak nie jest. Wielko-przemysłowe klasy robotnicze walczą wszędzie o swoje prawa. Polska wielko-przemysłowa klasa robotnicza im będzie lepiej płatna i bardziej dostatnia — tym bardziej będzie rewolucyjna. W „obrzędku wschodnim” apetyt mają wszyscy — lecz nie wszyscy jedzą do syta. W „obrzędku zachodnim” apetyt rośnie z jedzeniem. Panowie z KC i aparaczczyki przekonają się o tym niebawem.

Kultura Nr. 1/292-2/293 (1972)

O ŻYDACH, KOSMOPOLAKACH I WSCHODNIAKACH

Żydzi w Ameryce stanowią tylko 3 % ogółu ludności. Jednak pomoc jakiej Żydzi amerykańscy udzielają Izraelowi wyraża się kwotą setek milionów dolarów.

Trzy procent to jest znikoma cyfra. Lecz Żydzi amerykańscy składający się na te trzy procent zajmują wybitne stanowiska w przemyśle, w handlu, w kołach finansowych. Oczywiście nie wszyscy Żydzi w Stanach Zjednoczonych są bogaczami lecz znaczna ich część to są ludzie zamożni i wpływowi.

Każdy z kandydatów na prezydenta USA ma coś do zaofiarowania Izraelowi. Tylko w ten sposób można sobie zapewnić głosy i poparcie wpływowej mniejszości żydowskiej. Były prezydent Truman — gdy w czasie swej kampanii wyborczej wyraźnie kokietował Żydów — zapytany w tej sprawie przez jednego z dziennikarzy odpowiedział pytaniem: „ilu Arabów głosuje w Manhattan?”.

W ubiegłym roku Sowiety w kilku okresach zwolniły znaczne ilości Żydów — licząc, że nagły napływ ludzi starszych wiekiem, nie znających hebrajskiego i przywykłych do innej modły życia spowoduje groźne obciążenie aparatu gospodarczo-administracyjnego Izraela. Żydzi amerykańscy pomogli bardzo wydatnie w rozwiązaniu tego problemu.

Nie ulega wątpliwości, że Żydzi w Stanach Zjednoczonych posiadają wpływy, znaczenie i pieniądze dysproporcjonalnie wielkie w stosunku do swej liczebności. Lecz — jak zaznaczył jeden ze znanych komentatorów radia nowojorskiego — to wszystko budzi u Amerykanów raczej podziw a nie reakcję antysemicką.

Arabowie wierzą święcie, że Żydzi „rządzą” Białym Domem i nikt nie przekona ich, że jest inaczej.

Żydzi w świecie a w szczególności Żydzi amerykańscy —

są najpotężniejszym i najbardziej nieodzownym sojusznikiem państwa Izraela.

Ziemia Izraela istniała zawsze — lecz państwo Izraela powstało bardzo niedawno. Stworzyli owo państwo i wywalczyli jego niepodległość — emigranci, Żydzi z diaspory. Tu należy szukać źródła dziwnego fenomenu. Stosunek emigracji żydowskiej jest zupełnie inny do państwa Izraela — niż stosunek emigrantów polskich, francuskich czy niemieckich do odnośnych krajów pochodzenia.

Religia, jako element jednoczący, odgrywa wielką rolę. Należy jednak sądzić, że znaczny procent Żydów amerykańskich to są ludzie nie wierzący, względnie religijnie obojętni. Podobnie w Izraelu istnieje konflikt — czasowo zamrożony — pomiędzy świeckimi ugrupowaniami a religijną ortodoksją. Kiedyś, gdy zewnętrzna sytuacja Izraela ulegnie stabilizacji — ów konflikt dojdzie do głosu.

Bezdomnym jest człowiek, który nie posiada domu. Natomiast nie jest bezdomnym człowiek, który posiada dom, choć w nim nie mieszka. Państwo Izraela sprawiło, że Żydzi w diasporze przestali być bezdomni. Żyd w Ameryce czy w Anglii — może nie znać innego języka poza angielskim — może być osiadły w tych krajach od pokoleń — lecz nie jest już tułaczem, ponieważ istnieje państwo Izraela, do którego każdy Żyd może powrócić.

Mimo imponujących osiągnięć — mimo pełnej amerykańskiej — Żydzi amerykańscy pozostali Żydami — aktywnie i ofiarnie zainteresowanymi losem swej dalekiej, egzotycznej i często nieznanej ojczyzny. Żydzi stanowią idealną emigrację. Zrealizowali dosłownie „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa”.

Żydom powiodło się to, co nie powiodło się ani Księciu Adamowi Czartoryskiemu ani Generałowi Andersowi. Zdobyli swą ojczyznę z zewnątrz, z emigracji. Autochtonami w Izraelu są synowie i wnuki emigrantów, którzy wrócili, walczyli i odbudowali państwo Izraela.

Jeżeli przyjąć, że misją politycznej emigracji jest wyzwolenie — to należy stwierdzić, że nikt doskonalej tej misji nie spełnił jak Żydzi. Nie dziwota, że emigracja żydowska w świecie wspomaga ofiarnie Izrael — bo to jest państwo emigrantów, naród, który odrodził się z emigracji.

Żydzi posiadają nie tylko wielu utalentowanych finansistów i *businessman*ów — lecz również produkują w każdym pokoleniu bardzo wysoki odsetek wybitnych fizyków, matematyków, muzyków, itp.

Einstein nie był ani syjonistą ani człowiekiem religijnym w sensie ortodoksji żydowskiej. Zgodził się jednak napisać ów

słynny list do Roosevelta, który dał początek tzw. „Manhattan Project” (bomba atomowa), gdy go wreszcie przekonano, że Niemcy dążą do fizycznej zagłady narodu żydowskiego w Europie.

Bertrand Russell napisał kiedyś, że antysemityzm obrócił się przeciwko Hitlerowi, bo usuwając Einsteina z uniwersytetu berlińskiego *Führer* pozbawił się tym samym bomby atomowej, która zapewniłaby mu zwycięstwo.

Nie podzielam tej opinii. Einstein nie udostępniłby bomby atomowej Hitlerowi, zakładając nawet że Hitler nie byłby antysemitą. Mimo, że Einstein był blisko związany z nauką i kulturą niemiecką — nie byłby udostępnił Niemcom bomby atomowej (tzn. swojej wiedzy i odkryć w tej dziedzinie) ponieważ wiedziałby, że Niemcy nie zawahają się użyć bomb nuklearnych przeciwko ogniskom nauki i kultury europejskiej jak Londyn czy Paryż.

Wystarczy przeczytać „The World as I See It” by zdać sobie sprawę z niewzruszonej humanistycznej moralności Einsteina. Był człowiekiem religijnym w tym sensie jak religijnym jest dzisiejszy Koestler — widziany zwłaszcza poprzez jego ostatnią książkę.

Einstein był w owych czasach jedynym chyba człowiekiem, który zdawał sobie w pełni sprawę ze straszliwych perspektyw, które przed ludzkością otworzą bronie atomowe. Wiemy również, że był świadom olbrzymiej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła.

Einstein był naukowcem i potrzebował niezbitych dowodów by powziąć decyzje. Gdy przekonał się, że Niemcy dążą do totalnego ludobójstwa narodu żydowskiego w Europie — uznał w swym sumieniu, że jest jego obowiązkiem przeciwstawić się tej apokaliptycznej zbrodni wszystkimi dostępnymi mu środkami. W niczym nie zmienia owego procesu decyzji fakt, że na skutek rozwoju sytuacji wojennej — bomba atomowa została użyta przeciwko Japonii a nie przeciwko Niemcom.

Andrzej Bobkowski — wybitny pisarz zmarły przed dziesięciu laty — wysunął swego czasu koncepcję „Kosmopolaka”. Według tej teorii Polacy zagraniczni — by mogli odegrać pozytywną rolę jako Polacy — muszą wpierw wyjść z emigracyjnego getta i stać się wartościowymi członkami społeczeństw krajów osiedlenia. To jest mądra i logiczna koncepcja. Żydzi nie mieli nigdy wątpliwości, że muszą być Amerykanami, Brytyjczykami, Holendrami itp. — by móc skutecznie przysłużyć się sprawie Izraela. Potęga Żydów w Stanach Zjednoczonych polega na tym, że są zamożnymi i często wybitnymi i wpływowymi Amerykanami.

Uogólnienia są niebezpieczne, lecz nie można się bez nich obejść. Wyjątki — choćby liczne i jaskrawe — nie obalają uogólnienia jeżeli dane uogólnienie obrazuje prawidłowo *trend* procesu socjalnego.

Otóż wydaje mi się, że trudno zaobserwować wśród naszej emigracji *trend*, który by wskazywał, że przekształcamy się w Kosmopolaków. Ciasno pojmowany nacjonalizm obraca się przeciwko nam. Człowiek o dyspozycji nacjonalistycznej wynaradawia się trudno — lecz gdy raz przekroczy próg narodowościowy — wynaradawia się całkowicie. Natomiast patriota o głębokim liberalnym i humanistycznym poglądzie — potrafi być pełnowartościowym obywatelem amerykańskim czy brytyjskim i równocześnie aktywnym Kosmopolakiem.

Każdy dogmatyk (nacjonalizm jest zdogmatyzowanym poczuciem narodowym) funkcjonuje na zasadzie: białe - czarne. Na przykład: Katolik - Heretyk, Komunist - Rewizjonista, „Niezlomny” - Kolaborant itp.

Z tych przyczyn, gdy nacjonalista przekształca się w Amerykanina czy Brytyjczyka zmienia nazwisko, zaciera za sobą wszystkie ślady i stara się być „bardziej papieski niż papież”. Znam nawet takich Polaków w Anglii, którzy mieli na imię Jan a dziś na ich papierze listowym figuruje imię John.

Polak, który posiadałby wybitną pozycję zawodową w świecie Zachodu i równocześnie nie wahał się swoich wpływów i znaczenia zaangażować w sprawie polskiej — tego typu Kosmopolaków posiadamy bardzo niewiele.

Kosmopolakiem jest Artur Rubinstein — najwybitniejszy z współcześnie żyjących odtwórców Szopena. Nie zmienił pisowni swojego imienia na Arthur i na obwolucie każdej jego płyty jest zaznaczone, że jest Polakiem. Nieporównanie niższej klasy pianista Andrzej Czajkowski — urodzony i wykształcony w Warszawie — figuruje na swoich płytach jako „André Tschaikowsky”.

Artur Rubinstein jest z pochodzenia Żydem — Andrzej czyli „André” Czajkowski jest rdzennym Polakiem. Zjawisko bardzo charakterystyczne. Fakt, że Żydzi w diasporze są Kosmożydami — pomógł Rubinsteinowi zostać Kosmopolakiem.

Znam innego bardzo wybitnego Amerykanina polskiego pochodzenia, który nie zmienił imienia ani nazwiska i mówi płynnie po polsku — lecz będąc w Londynie odmówił wizyty w Instytucie Sikorskiego, ponieważ mogłoby to być poczytane za angażowanie się w sprawę emigracyjne.

Byłoby błędem przypuszczać, że brak nam za granicą uzdolnionych a często utalentowanych jednostek. Lecz utalentowani na ogół emigrują z emigracji. Nie stają się Kosmopolakami, ale

przekształcają się w wartościowych obywateli obcych społeczeństw i w bilansie polskim figurują jako czysta strata.

Emigracja powojenna — „instytucjonalna” — a więc Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego, Rada Trzech, władze S.P.K., Instytuty Gen. Sikorskiego i Marsz. Piłsudskiego — to wszystko stanowi domenę emigrantów w wieku emerytalnym. Ludzie, którzy reprezentują żywą ideę niepodległościową, którzy byli wyższymi dowódcami Armii Polskiej, posłami na Sejm, przywódcami partii politycznych — to są panowie, którzy w większości wypadków przekroczyli 70-tkę.

W rezultacie obserwujemy skostnienie postaw politycznych, które dla emigrantów poniżej 40-ki są niezrozumiałe. Przed kilku tygodniami w londyńskim *Dzienniku Polskim* toczyła się dyskusja na temat tzw. „Umowy Paryskiej” i „Legalizmu”. Dyskusja toczyła się w czasie teraźniejszym, jakby to były aktualne, współczesne, żywe zagadnienia.

Kto to dziś pamięta i rozumie? Tylko weterani w wieku autora tych słów, lub starsi od niego.

Polityka niepodległościowa istnieje na emigracji jako „wspominkarstwo” — rozumiałe wyłącznie dla siedemdziesięciolatków, którzy pamiętają prezydenta Raczkiewicza, generała Sikorskiego, Strońskiego, „Rubens” i dobre czasy drugiej wojny światowej.

Nie jestem przeciwnikiem wspomnień. Żałuję na przykład, że nikt z nas nie napisał „Trzy po Trzy”, które odmalowywałoby nie tylko boje lecz i najdrobniejsze szczegóły z życia Brygady Karpackiej. Lecz wspomnienia nie mogą zastąpić polityki a spory „prezydenckie” i konstytucyjne sprzed 30-tu laty nie mają nic wspólnego z współczesną działalnością niepodległościową.

Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na zjawisko, które niepokoi mnie od dawna. Nie można powiedzieć, że cała emigracja żyje w polskim getto. Znakomita większość emigracji, tak powojennej jak i najnowszej, żyje i pracuje wśród społeczeństw swoich krajów osiedlenia. Emigracyjni lekarze czy inżynierowie prowadzą normalne życie i są dziś naturalizowani nie tylko w sensie prawnym lecz i w sensie rzeczywistej integracji społecznej.

Polski architekt, czy lekarz wraca do getta, gdy po dniu pracy bierze do ręki prasę emigracyjną.

Na każdej akademii rocznicowej, przy każdej okazji (i bez okazji) — deklamujemy o naszej przynależności do kultury Zachodu. Jesteśmy bardziej zachodni niż Anglicy czy Francuzi, jesteśmy skłonni pouczać wszystkich na temat fundamentalnych założeń kultury zachodniej. Każdy z nas jest jak Pan Miecznik

Billewicz, który twierdził, że „początków jego domu w starożytnym Rzymie szukać należy”.

Zachodni system (cywilizacja i kultura) przeżywa jeden z największych kryzysów. Niepokojąca jest skala tego fenomenu. Kryzys objął ustrój społeczny, ekonomię, filozofię, religie — usuwając twardy grunt spod naszych stóp. Wszystko poddawane jest w wątpliwość — nie tylko dogmaty religijne lecz również podstawowe przesłanki naukowe, filozoficzne i moralne, na których zbudowany był zachodni pogląd na świat.

Utraciliśmy największe osiągnięcie naszej cywilizacji, to jest gwarancję ładu i bezpieczeństwa. Dziś nic nie jest ułożone i nic nie jest pewne — od drobiazgów po rzeczy najistotniejsze. Poczta funkcjonuje nieregularnie, wsiadając do pociągu nikt nie ma pewności, czy za godzinę dana linia nie zostanie objęta strajkiem, podejmując podróż lotniczą ryzykujemy, że samolot zostanie uprowadzony. W centrum Paryża porwano sędziego w czasie rozprawy jako zakładnika. To wszystko są rzeczy, które dziś zdarzają się co drugi dzień, a które w roku 1910 w Zachodniej Europie byłyby nie do pomyślenia.

Przed pierwszą wojną światową nie było technologii w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, lecz Renem nie płynęły ławice zdechłych ryb oblepionych smarami. Pociągi i poczta funkcjonowały z wzorową punktualnością. Zachodni Europejczyk mógł telegraficznie przekazywać pieniądze z Paryża do Szanghaju czy z Londynu do Nowego Jorku i mógł objechać świat (z wyłączeniem Rosji) legitymując się tylko biletem wizytowym.

Nie jestem bynajmniej chwałcą przeszłości. Wówczas kiedy system zachodni zapewniał Europejczykom ład, porządek i bezpieczeństwo — uprawiano powszechnie wyzysk a służba zdrowia i inne służby społeczne nie istniały. Lecz ukrócenie wyzysku, olbrzymi awans klasy robotniczej i rozbudowa Welfare State — nie mogą być okupowane pogłębiającym się z roku na rok kryzysem gospodarczo społecznym.

W Anglii zbliżamy się do punktu kiedy strajk na większą skalę przestaje być operacją opłacalną. Strajki w podstawowych gałęziach przemysłu powodują tak gwałtowną zwyczaję kosztów utrzymania, że zdobyta poprzez strajk podwyżka płac staje się iluzoryczna. Robotnicy po kilku miesiącach przekonują się, że w sensie płac realnych nie poprawili swojej stopy życiowej i przystępują do nowego strajku. Powstaje błędne koło bez wyjścia.

Odsuwając na bok retorykę zarówno socjalistów jak i konserwatystów należy stwierdzić, że ani system kapitalistyczny ani system socjalistyczny nie mogą funkcjonować sprawnie dopóki

klasa robotnicza nie poczuje się w pełni odpowiedzialna za losy państwa i jego gospodarki.

Wszystkie reformy gospodarczo-społeczne winny zmierzać do celu, który dziś góruje nad wszystkimi innymi celami. Tym celem winno być przekształcenie klasy robotniczej nie tylko w partycypanta lecz w udziałowca odpowiedzialnego za całość gospodarki i całość interesów państwowych. Dopóki robotnicy nie będą się czuli odpowiedzialni za państwo i jego gospodarkę, żaden system ekonomiczny nie ma szansy powodzenia.

Obserwujemy na całym świecie upadek wszelkiego autorytetu. Grupa wybitnych teologów wystosowała list do władz watykańskich w którym czytamy o „autorytecie bez odpowiedzialności”.

W sprawach związanych z moralnością społeczną jak zapobieganie ciąży i legalne przerywanie ciąży — związek lekarzy brytyjskich zajmuje inne stanowisko niż politycy, a teologowie zajmują odmienne stanowisko zarówno od lekarzy jak i polityków.

Trudno jest dziś o porozumienie w jakiegokolwiek istotnej sprawie ponieważ utraciliśmy — niegdyś wspólną ludzom Zachodu — skalę kryteriów oceny.

Spotykamy nie różne — lecz całkowicie sprzeczne opinie w podstawowych sprawach jak wzrost ekonomiczny, „wybuch ludnościowy”, wystarczalność zapasów surowcowych, zagrożenie zatruciem przemysłowym (*pollution*) itd., itp.

Pytanie brzmi — czy przeżywamy trudną fazę stanowiącą przejście z jednej epoki do drugiej — czy też przeżywamy okres zmierzchu i upadku naszej cywilizacji. Tak za pierwszym jak i za drugim poglądem można przytoczyć dziesiątki argumentów. Równie niebezpieczny jest fatalistyczny katastrofizm jak i naiwna wiara, że cywilizacja Zachodu jest nieśmiertelna.

Bardzo wiele cywilizacji — niektóre z nich długowieczne i wspaniałe — które poprzedziły adwent naszej cywilizacji — wykazywały nieodmiennie trzy stadia rozwojowe: narodziny, rozkwit, upadek.

Gdyby nasza cywilizacja upadła z historycznego punktu widzenia byłoby to zjawisko naturalne i zwyczajne.

Lecz analiza kryzysu współczesnego nie stanowi głównego zadania niniejszego artykułu.

Chodzi mi o podkreślenie faktu, że emigracja nie bierze żadnego udziału w dramacie cywilizacji Zachodu. W prasie emigracyjnej nie poświęca się tym sprawom niemal żadnej uwagi a sporadyczne artykuły na te tematy pisane są zawsze z pozycji

„obcego korespondenta”. To nie jest nasz dramat, to nie są nasze problemy, więc po co się tym przejmować?

Rosjanin z takiej czy innej misji sowieckiej w Londynie — może sobie powiedzieć: „jestem człowiekiem Wschodu a dramat, który tu obserwuję — nie dotyczy mojej kultury, mojej cywilizacji, mojej ideologii”.

Po pracy nasz Rosjanin — zależnie od wewnętrznej postawy może wziąć do ręki albo książkę Sołżenicyna albo numer *Izwiestii*. Tak czy inaczej będzie u siebie w domu — w kręgu wschodniego odłamu europejskiej cywilizacji.

Lecz gdzie my, Polacy, czujemy się u siebie w domu?

Młodzi ludzie z Kraju często marzą o dłuższej wycieczce na Zachód. Gdy wreszcie zjawia się na tym upragnionym Zachodzie przekonują się, że wszystko działa im na nerwy. Nie znoszą Anglików, wykiwiają Francuzów, pogardzają Amerykanami.

Wśród młodych i nie tak już młodych autorów nowej emigracji przyjął się styl pisania o problemach Zachodu w sposób kpiarski i ironiczny. Chciałbym tym Panom przekazać następującą uwagę starego i doświadczonego obserwatora. „Wygłupianie się” może być środkiem ekspresji pod warunkiem, że autor posiada talent skali Gombrowicza. Poważny artykuł może być nudny — lecz nic nie ma bardziej nudnego i przygnębiającego jak ironizowanie i wygłupianie się bez talentu. Podobnie tzw. ordynarne określenia mogą stanowić ważny element ekspresji literackiej pod warunkiem, że autor posiada talent co najmniej Marka Hłaski. O tym czy dany obraz jest arcydziełem czy tylko zwykłą pornografią — decyduje również i wyłącznie talent malarza.

Lecz to drobna dygresja na marginesie.

Spójrzmy na interesującą nas sprawę z innej perspektywy. Ameryka jest olbrzymim kontynentem. W rezultacie może być izolacjonistyczna tak w sensie politycznym jak i kulturalnym. Amerykanin nie musi szukać identyfikacji kulturalnej poza granicami swego kraju. Może stwierdzić: należę do kultury amerykańskiej i na tym kropka.

Podobnie większość Chińczyków nie należy do innej kultury tylko do chińskiej, która w pełni ich określa.

W porównaniu z Ameryką czy z Chinami Polska jest bardzo mała, tak w sensie terytorium jak i liczebności mieszkańców. Z tej przyczyny Polska nie może być samowystarczalna i izolacjonistyczna ani w sensie gospodarczym ani kulturalnym. Nie identyfikując się ani z Wschodem ani z Zachodem Polacy zepchnęliby swoją kulturę do rangi kultury regionalnej. Kultury

regionalne bywają oryginalne i interesujące — niemniej są zawsze prowincjonalne.

Człowiek o wątlm, prowincjonalnym zapleczu kulturalnym — skonfrontowany z kulturą zachodnią w jej głównych ogniskach jak Paryż czy Londyn — przybiera jedną z dwóch skrajnych postaw. Albo pogardliwie wykpiwa i wyszydza wszystko i wszystkich — albo przeciwnie poprzez imitację stara się upodobnić do otoczenia. Zbędne dodawać, że obie postawy są manifestacjami kompleksu niższości.

Kultura zachodnio-europejska jest terminem złożonym. Oznacza zarówno kultury narodów — jak Brytyjczycy czy Francuzi — jak i sumę cech wspólnych, które sprawiają, że choć każdy naród zachował swoją odrębność — to przecież wszystkie narody zachodnio-europejskie tworzą cywilizacyjnie i kulturalnie swój własny świat.

Jeżeli Polska należy do świata kultury zachodniej, jak wielu z nas uporczywie twierdzi — Polak na Zachodzie Europy powinien się czuć u siebie w domu tak, jak u siebie w domu w sensie cywilizacyjno-kulturalnym czuje się Belg w Londynie czy Brytyjczyk w Amsterdamie.

Jestem Polakiem zachodnim i dlatego kryzysu — o którym była mowa powyżej — nie analizuję jako „obcy korespondent”. To jest kryzys mojej kultury i mojego świata. Poza ramami Zachodu czułbym się wyobcowanym przybyszem niezdolnym do aklimatyzacji. To nie oznacza, że identyfikuję się narodowo czy państwowo z Brytyjczykami czy Holendrami. Oznacza to natomiast, że jako Polak — kulturalno-cywilizacyjnie jestem wyznania zachodniego.

Bynajmniej nie uważam mojej postawy za wzorzec, który powinien ogólnie obowiązywać. Należę do przejściowej formacji emigracyjnej, ukształtowanej wojną, opozycją w stosunku do reżymu komunistycznego w Kraju i dziesiątkami lat pobytu na Zachodzie. Sytuacja mojego pokolenia była wyjątkowa i niepowtarzalna.

Ogólnie biorąc należy stwierdzić, że polska pro-zachodniość wpływa nie tyle z miłości do Zachodu co z nienawiści do Wschodu. Uważamy Wschód i Zachód za antytezy. Daje to czasem niespodziewane wyniki.

Niemcy są niewątpliwie narodem zachodnim. Trudno wyobrazić sobie kulturę zachodnią bez Kanta, Mozarta, Beethovena, Goethego, Tomasza Manna. Równocześnie hitlerowska Trzecia Rzesza z polityką ludobójstwa i obozami zagłady — stanowiła największe wynaturzenie cywilizacji zachodniej znane w dziejach.

Po latach okupacji i po piekle Oświęcimów — komunizm oferował Polakom wschodnią antytezę.

„Stalinowska przygoda literatury polskiej” — o której tak wnikliwie napisał Witold Wirpsza w kwietniowym zeszycie *Kultury* nie byłaby w ogóle możliwa bez nocy hitleryzmu. W porównaniu z tymi ciemnościami wszystko musiało wydawać się białym dniem — nawet stalinizm.

Jest już jednak czas bym ujął w karby moje nieprzeparte zamiłowanie do dygresji i sformułował tezę niniejszego artykułu.

Getto na emigracji jest odpowiednikiem prowincjonalizmu w Polsce. Polska będzie produkowała Kosmopolaków za granicą gdy sama przestanie być prowincją.

Kiedy Polska w sensie cywilizacyjno-kulturalnym przestanie być prowincją?

Choć jestem arcy-zachodni twierdzę, że gdyby przywrócić stan rzeczy z 1939 roku z „kordonem sanitarnym” oddzielającym Rosję Sowiecką od reszty świata — Polska nie przestałaby być prowincjonalna. Zamiast prowincją Wschodu byłibyśmy prowincją Zachodu i to wszystko.

Fakt, że w porównaniu z Anglią czy Francją jesteśmy państwem średniej wielkości o średnim potencjale kulturalnym nie decyduje w tej sprawie.

Jesteśmy najbardziej pro-zachodni wówczas kiedy od Zachodu jesteśmy odcięci. Gdy natomiast jesteśmy w całości w orbicie zachodniej — budzą się wśród nas reakcje anty-zachodnie.

Geograficznie Polska została „przesunięta” na Zachód. Lecz kultury nie można nigdzie przesuwac. Jeżeli przyjąć wprowadzony przez Bohdana Osadcuka podział Polaków na „wschodniaków” i „zachodniaków” — to wypada stwierdzić, że najwybitniejsze nazwiska w literaturze polskiej to są „wschodniacy”. Wyśmiewane przez intelektualistów i uwielbiane po dzień dzisiejszy przez pokolenia Polaków postacie Sienkiewiczowskiej „Trylogii” składają się niemal wyłącznie ze „wschodniaków”.

Tłem naszego eposu narodowego — mam oczywiście na myśli „Pana Tadeusza” — nie jest Małopolska czy Poznańskie tylko wschodnie kresy Rzeczypospolitej. Uroczą, śpiewną, pełną rusycyzmów polszczyzna „Pana Tadeusza” jest klasycznie wschodniacka.

Józef Piłsudski był „wschodniakiem” a jego niechęć do niesforne go polskiego parlamentaryzmu była typowo wschodnia.

Niżej podpisany przyznaje otwarcie że jest „zachodniakiem” uformowanym przez kulturę Zachodu. Natomiast autor „Londyniszcza” — wybitny znawca literatury rosyjskiej — skoczyłby

każdemu do gardła, kto by go posądził o uleganie wpływom kultury wschodniej.

„Wschodniacy” nienawidzą Rosji znacznie bardziej niż „zachodniacy” i choćby mówili polszczyzną obficie okraszoną rusycyzmami — nigdy nie przyznają, że w znacznej mierze zostali uformowani przez kulturę rosyjską.

Jak wiadomo nie ma znawstwa Rosji, są tylko różne stopnie ignorancji w tej dziedzinie. Lecz przyjmując powyższe założenie bardziej ufam opinii eksperta „zachodniaka” niż eksperta „wschodniaka”. Intuicywne wycucie Rosji jakie posiadają „wschodniacy” jest wypaczone nienawiścią i stronniczością. Przejęty ze Wschodu pryncypializm utrudnia im — a często uniemożliwia — obiektywne spojrzenie na Rosję i wszystko co rosyjskie. Oczywiście jak wszędzie tak i w tej dziedzinie są wyjątki, które potwierdzają regułę.

Nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy kulturą rosyjską a kulturą zachodu — choć obie kultury są różne. Pomiedzy Rosją a Zachodem istnieją natomiast zasadnicze sprzeczności ideologiczno-ustrojowe. Wszystko zależy o jakiej Rosji mówimy. Czy o Rosji Breżniewa czy o Rosji Sołżenicyna.

Breżniew reprezentuje tradycję tyrańskiej władzy i jest następcą carów, tak jak KGB jest następczynią Ochrony.

Sołżenicyn jest niemniej tradycyjnie rosyjski jak Breżniew. W swojej postawie pisarza-proroka (List Wielkopostny!) reprezentuje odwieczną „inną Rosję” i brak mu tylko tołstojowskiej chłopskiej siermięgi do skompletowania swojej tradycyjnej sylwetki.

Wkład „wschodniaków” do kultury polskiej był dysproporcjonalnie wielki w stosunku do ich liczebności. Lecz nie chodzi w tej sprawie o ilość ani nawet o jakość, tylko o inność.

Wschodniość „wschodniaków” (obojętne czy się do owej wschodniości przyznają) — stanowi zasadniczy współ-element polskiej kultury. Polska kultura nie może być czysto zachodnia ani czysto wschodnia — ale musi pozostać wschodnio-zachodnią ponieważ w ten sposób została uformowana przez wieloletni proces historyczny. Trwałe zmiany polityczne, które prowadziłyby do całkowitego uwschodnienia czy uzachodnienia Polski — musiałyby w konsekwencji wyrazić się pozbawieniem kultury polskiej jej historycznej oryginalności. Kultura nasza uległaby sprowincjonalnieniu — utraciłaby swą dziejową ciągłość i sens.

Być może nigdy nie odzyskamy Kresów Wschodnich. Młodemu pokoleniu w Kraju nie zależy na Lwowie i Wilnie — bo młodzi nie znają tych miast i nic ich z nimi nie łączy. Myślę, że

wyznanie Andrzeja Brychta w tej sprawie na łamach *Kultury* było reprezentatywne.

Polska przeżyje utratę ziem wschodnich lecz kultura polska nie może obejść się bez „wschodniaków”. Ci ostatni są na wymarciu. Nie będzie więcej Miłoszów, Mackiewiczów, Wańkowiczów i legionu innych, którzy choć różnili się między sobą — tworzyli łącznie istotną i charakterystyczną część składową kultury polskiej.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Musimy pogodzić się z faktem, że żyją wśród nas — w Kraju i na emigracji — ostatnie pokolenia „wschodniaków”. Polacy urodzeni dziś na byłych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej nie będą mieli szansy ani możliwości brania bezpośredniego udziału w tworzeniu kultury polskiej.

Jednak wzorzec kultury polskiej łączący elementy Wschodu i Zachodu w własną oryginalną całość — pozostał niezmienny. Zarzucenie owego historycznego wzorca zredukowałoby naszą kulturę do rangi prowincjonalnego regionalizmu.

Nie ma przed nami ucieczki przed Wschodem na Zachód — ani nie ma przed nami ucieczki przed Zachodem na Wschód. Należymy bowiem tak do Wschodu jak i do Zachodu i powinniśmy rozwijać i pielęgnować ową dwoistość, która jedyna może nas uchronić przed zdeklasowaniem tak w sensie politycznym jak i kulturalnym.

Kultura Nr 6/297 (1972)

AMERYKAŃSKA „OSTPOLITIK” I WNIOSKI

Według ogłoszonych danych wojna w Wietnamie kosztowała do tej pory podatnika amerykańskiego 120.000 milionów dolarów. Nas interesują jednak nie koszty lecz zupełnie inny problem.

Dlaczego walczący z komunizmem południowy Wietnam nie budzi sympatii?

Powstańcy węgierscy w roku 1956 budzili w całym świecie powszechną sympatię i podziw — choć wówczas nikt nie miał złudzeń, jak to się skończy.

Powstańcy węgierscy i w klęsce cieszyli się sympatią i współczuciem społeczeństw zachodnich, natomiast w komentarzach radiostacji zachodnio-europejskich trudno dopatrzeć się cienia sympatii dla wojsk sajgońskich. Nikt mnie nie przekona, że prasa zachodnia z miłości do Sowietów i z nienawiści do Ameryki — nie potrafi wykrzesać z siebie cienia entuzjazmu dla sprawy Sajgonu.

Osobiście, odnoszę się również z największą niechęcią do rządu sajgońskiego. Lecz przyczyny mojej niechęci wywodzą się z innego źródła. Uważam, że południowi Wietnamczycy zdyskredytowali w oczach świata opór przeciwko komunizmowi.

Na powstanie węgierskie Amerykanie nie wydali nawet 120 dolarów — nie mówiąc o 120.000 milionach dolarów. Gdy płonął Budapeszt na niebie węgierskim nie pojawił się ani jeden samolot amerykański. W Wietnamie setki amerykańskich samolotów najnowocześniejszej produkcji — biorą codziennie udział w akcji przeciwko komunistom z północy. Sajgon miał wszystko to, o czym Węgrzy nawet marzyć nie śmieli.

Historia *containment* czyli powstrzymywania komunizmu — nie zna sytuacji równie uprzywilejowanej jak ta, jaka przypadła w udziale Sajgonowi. Takiej klauzuli największego uprzywilejowania w polityce *containment* nie uzyskał żaden z ujarzmionych

przez komunizm narodów europejskich. W mniej uprzywilejowanej sytuacji są nawet Niemcy zachodni, ponieważ nie otrzymali zapewnienia, że lotnictwo i marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych będą bezterminowo do ich dyspozycji. Natomiast Sajgon otrzymał zapewnienie zarówno od prezydenta Nixona jak i sekretarza Stanu Rogersa, że siły morskie i lotnicze USA będą zawsze (nie określono terminu) wspierały południowy Wietnam w jego walce przeciwko komunistycznej agresji.

Północny Wietnam nie otrzymał tego rodzaju czeku *in blanco* od Sowietów. Moskwa dostarcza wojskom Hanoi zaopatrzenie i sprzęt wojenny. Zwłaszcza najnowsze działa sowieckie o niespodziewanie dalekim zasięgu — przyczyniły się walnie do klęski trzeciej dywizji sajgońskiej na froncie północnym.

Jest oczywiste, że rząd Hanoi jest uzależniony od pomocy sowieckiej. Lecz pomoc materiałowa nie gwarantuje zwycięstwa. Działa same nie strzelają, czołgi same nie atakują. Trzeba dzielnych i wytrawnych żołnierzy, którzy gotowi są ów sprzęt użyć w strategicznie najwłaściwszy sposób.

Armia Sajgonu posiadała nieograniczone wsparcie lotnictwa i wojennej marynarki amerykańskiej — posiadała w nadmiarze najlepszy sprzęt amerykański — posiadała fachowych wojskowych doradców amerykańskich nie tylko na szczelbu dywizji lecz nawet na szczelbu kompanii. Czego więc temu wojsku nie dostawało w maju br.?

Nie dostawało mu wartości, której Pentagon nie był w stanie dostarczyć. W socjologicznym żargonie amerykańskim ów niedostatek określa się terminem *lack of motivation*. Mniej naukowo, lecz niemniej ściślej, można to ująć w dwóch słowach: brak celu.

Reżym sajgoński jest skorumpowany, awanse oficerów — zwłaszcza wyższych stopni — odbywają się na zasadzie protekcji i kumoterstwa, kwitną na niebywałą skalę łapownictwo i nadużycia. Tego typu stosunki w Azji nie są zresztą nowością ani rzadkością. O ile jednak komunizm w Chinach i w północnym Wietnamie jest purytański i korupcję, łapownictwo i przekupstwo identyfikuje z „moralnością burżuazyjną” — o tyle demokracja typu amerykańskiego z zasadą *free enterprise* sprzyja kontynuowaniu dawnych grzechów i przywar.

Powyższy aspekt zagadnienia — choć ważny i charakterystyczny — nie wydaje się jednak istotny w analizie „braku motywacji”.

Wydarzenia w kwietniu i w maju bieżącego roku wskazują, że Hanoi jest bardziej wietnamskie niż Sajgon. Akceptując powyższą przesłankę wypada stwierdzić, że choć nie istnieje

w pełni niepodległy Wietnam to jednak reżym w Hanoi jest bardziej niezależny niż reżym w Sajgonie.

Polacy identyfikują demokrację z niepodległością a komunizm z satelictwem. W Europie powyższa identyfikacja znajduje pełne pokrycie w faktach, ale w Azji ten schemat nie zawsze obowiązuje.

Pozycji Hanoi nie można przyrównać do pozycji rządów reżymowych w Warszawie czy w Pradze; satelizacji Hanoi mogliby dokonać Chińczycy — co uniemożliwiają Rosjanie. Sowiety nie mogą w pełni podporządkować sobie Hanoi ponieważ północny Wietnam leży zbyt daleko od Rosji a zbyt blisko Chin. W rezultacie — choć wpływy rosyjskie są potężniejsze od chińskich — ani Moskwa ani Pekin nie mogą Hanoi wydawać bezpośrednio rozkazów. Północni Wietnamczycy bardzo zrećnie wygrywają powyższą sytuację.

Ktoś powie, że Sowiety mogą zagrozić Hanoi wstrzymaniem dostaw sprzętu wojennego. W rzeczywistości Rosja nie może zagrać tej karty, ponieważ każde zmniejszenie dostaw sowieckich oznaczałoby zmniejszenie wpływów sowieckich i automatyczne zwiększenie wpływów chińskich.

W przeciwieństwie do Hanoi, Sajgon nie znajduje się w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ nie może wygrywać jednego super-mocarstwa przeciwko drugiemu. Jest skazany na satelictwo, bo swą „niezależność” utrzymać może tylko za cenę akceptacji stałej amerykańskiej pomocy w powietrzu, na lądzie, i na morzu. Jak wynika z różnych wypowiedzi, nawet pozycja rządu i prezydenta południowego Wietnamu są *negotiable* — to znaczy zależą od kompromisu i przetargu jaki ewentualnie osiągnięty zostanie pomiędzy Waszyngtonem a Hanoi i Moskwą.

Być może ofensywa z północy zostanie odparta. Lecz nawet jeżeli tak się stanie — północny Wietnam po pewnym czasie podejmie nową ofensywę. Mijają dziesięciolecia a ów kontredans powtarza się w Wietnamie z przerażającą regularnością.

Wszystkie partie komunistyczne zaczynają od purytanizmu a kończą na korupcji. Komuniści północno-wietnamscy znajdują się w fazie purytańskiej i dlatego armia Hanoi nie cierpi na *lack of motivation*.

Wszystko co do tej pory powiedziano stanowi tło i przesłankę dla następujących wniosków.

I. — Południowy Wietnam, Laos, Kambodża itd. — nie mają żadnej szansy utrzymania niezależności bez stałej, bezterminowej, aktywnej pomocy militarnej ze strony Stanów Zjednoczonych.

II. — Gdyby celem polityki Stanów Zjednoczonych była budowa imperium — Amerykanie musieliby być przygotowani na bezterminowe utrzymywanie baz i wojsk w strategicznych punktach globu. Jak wiemy, budowa imperium nie stanowi celu polityki amerykańskiej.

III. — Należy uznać dziś za pewne, że równoczesne powstrzymywanie komunizmów zarówno sowieckiego jak i chińskiego przekracza możliwości nawet Stanów Zjednoczonych. Trzeba więc zdecydować, który z komunizmów stanowi większe zagrożenie.

Sowiety są wrogiem i partnerem Stanów Zjednoczonych. *Special Relationship* łączący oba super-mocarstwa polega na tym, że tylko Rosja i Ameryka posiadają możliwości zniszczenia się nawzajem. Nie ulega wątpliwości, że jest to stosunek szczególnie i bez precedensu.

Jest rzeczą naturalną, że w takiej sytuacji obie strony dążą z wielką ostrożnością do ograniczenia zbrojeń nuklearnych i pedantycznie unikają bezpośredniej konfrontacji.

W aspekcie polityki wielkomocarstwowej nie rozpatrujemy alternatywy — czy Wietnam będzie sferą wpływów amerykańskich czy sowieckich. Byłaby to alternatywa fikcyjna, ponieważ Amerykanie szukają koncepcji, która chroniłaby ich twarz i zapewniła powrót jeńców amerykańskich, co umożliwiłoby im wycofanie się raz i na zawsze z Wietnamu. W gruncie rzeczy wszyscy Amerykanie, łącznie z prezydentem Nixonem, marzą o tym by wreszcie wydobyć się z wietnamskiej matni.

Wybór dotyczy innej alternatywy, a mianowicie: czy Wietnam będzie sferą wpływów sowieckich, czy sferą wpływów chińskich, co wiąże się bezpośrednio z kwestią: jeżeli nie można powstrzymać obu komunizmów — któremu należy przyznać pierwszeństwo? Czy w Azji i na terytoriach tzw. trzeciego świata należy powstrzymywać Sowiety czy Chiny?

Nim odpowiemy na powyższe pytanie wypada podkreślić, że Amerykanie za wszelką cenę winni unikać polityki, która wypycha Chińczyków w ramiona Rosjan. Jednym z celów polityki amerykańskiej winno być pogłębianie rozdziewięku sowiecko-chińskiego a nie budowanie mostów pomiędzy Moskwą a Pekinem.

W chwili gdy piszę te słowa jest zbyt wcześnie na ocenę militarnej skuteczności blokady portów północnego Wietnamu. Według ocen rzeczoznawców wojskowych upłynie wiele tygodni zanim armia północnego Wietnamu zacznie odczuwać braki spowodowane zmniejszeniem dostaw sowieckich. Natomiast już 11 maja br. w prasie chińskiej ukazało się oficjalne oświadczenie

w którym rząd pekiński potępił Amerykanów i zapewnił Hanoi o pełnym poparciu Chin dla północnego Wietnamu.

Prezydent Nixon uważa, że gwarancje amerykańskie utraciłyby wiarygodność gdyby Waszyngton dopuścił do upadku Sajgonu i całkowitej klęski armii południowo-wietnamskiej.

Lecz Wietnam jest kamieniem probierczym nie tylko polityki amerykańskiej. Zarówno Pekinowi jak i Moskwie zależy również na *credibility* ich polityki i obietnic. Nie wydaje się możliwe, by Chińczycy bez utraty twarzy mogli dopuścić do upadku sąsiedzkiego i pobratymczego rządu komunistycznego. Chińczycy nie mają nowoczesnego skomplikowanego sprzętu wojennego, jakiego północnemu Wietnamowi dostarczali Rosjanie. Pekin dysponuje natomiast najliczniejszą armią lądową świata. Przesunięcie kilku czy kilkunastu dywizji chińskich do północnego Wietnamu nie przedstawiałoby większych trudności.

Wiadomo jak obce wojska przychodzą — ale nigdy nie wiadomo jak i czy wyjdą. Wietnamczycy zdają sobie z tego sprawę równie dobrze jak Polacy. Sądzę, że rząd w Hanoi zgodziłby się na udział jednostek armii chińskiej w obronie kraju tylko w ostateczności, w obliczu klęski.

Wydarzenia w pierwszej dekadzie kwietnia br. wydają się wskazywać, że prezydent Nixon podejmując blokadę portów północno-wietnamskich — ryzykował znacznie mniej niż byliśmy skłonni przypuszczać. Moskwa na zaminowanie portów zareagowała czysto propagandowo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa została powiadomiona wcześniej o zamierzonej blokadzie. Po dokładnym rozważeniu całej sprawy przywódcy sowieccy musieli dojść do wniosku, że w sensie polityki, prestiżu i propagandy lepiej jest mieć Nixona w Moskwie niż odwołać jego wizytę. Nikt nie byłby bardziej zadowolony z odwołania wizyty prezydenta USA w stolicy Rosji niż Chińczycy.

Rosjanie mają konkretne powody życzyć sobie ponownego wyboru prezydenta Nixona. Z administracją Nixona Sowiety prowadzą całą serię rokowań i na olbrzymią skalę zakrojone rozmowy gospodarcze. Lecz istnieją jeszcze i inne powody. Prawicowcy na Kremlu wolą rozmawiać z prawicowcami w Białym Domu. Reakcyjniści na Kremlu najłatwiej znajdują wspólny język z reakcjonistami na Zachodzie. Konserwatyści zachodni nie myślą bowiem o zmniejszaniu komunizmu czy o aranżowaniu wiosny w Pradze czy w Warszawie. Mają na uwadze zawsze *business* a nigdy ustrój.

Podsumowując sytuację w Indochinach należy jeszcze raz podkreślić, że „wietnamizacja”, która potrzebuje permanentnego

wsparcia lotniczego i morskiego Stanów Zjednoczonych nie jest propozycją realną.

Amerykańska *Ostpolitik* musi być dualistyczna, ponieważ Sowiety są nie tylko partnerem Ameryki lecz również jej głównym rywalem. Dlatego podtrzymując dialog na szczeblu oficjalnym — wszędzie tam gdzie nie mogą utrwalić swoich własnych baz i strefy wpływów — mając do wyboru Chiny czy Rosję — Amerykanie winni zawsze wybierać Chiny. Jeżeli Wietnam, Laos, Kambodża — nie mogą trwale pozostać w sferze wpływów amerykańskich — w interesie Stanów Zjednoczonych jest by te kraje znalazły się w sferze wpływów chińskich a nie sowieckich.

Chiny nie są, i w dającej się przewidzieć przyszłości nie będą globalnym rywalem Ameryki. Jeżeli sukcesorami Amerykanów w Indochinach i na innych obszarach azjatyckiego „trzeciego świata” mieliby być Rosjanie — oznaczałoby to z jednej strony ich ogromne wzmocnienie a z drugiej strony ogromne osłabienie Chin. Amerykańska *Ostpolitik* na obszarach Azji winna dążyć do pogłębiania rozłamu pomiędzy Moskwą a Pekinem i do wzmocnienia pozycji Chin dopóki Chiny są antysowieckie. Byłoby katastrofalnym błędem ze strony Ameryki dopomóc Sowietom do otoczenia Chin. Tak postępując, Amerykanie popieraliby *de facto* tę frakcję w Chinach, która myśli o wyrównaniu stosunków pomiędzy Pekinem a Moskwą.

Nikt na świecie nie jest potencjalnie bardziej zdolny przyczynić się do ewentualnej restauracji sojuszu sowiecko-chińskiego niż błędna amerykańska polityka azjatycka.

Poświęciłem sporo miejsca i uwagi Indochinom, ponieważ amerykańska *Ostpolitik* jest jedna, i błędy popełnione w południowo-wschodniej Azji wywołałyby bezpośrednie reperkusje w Europie. Gdyby Rosji udało się albo Chiny wyizolować albo z Chinami choćby częściowo się porozumieć — ton polityki Sowieckiej w stosunku do Europy uległby natychmiast zmianie.

Dla każdego z nas Europa to przede wszystkim Polska. Zaczniemy więc od pytania: co amerykańska *Ostpolitik* ma do zaoferowania Polsce?

Pytanie to jest tym ważniejsze, że przed kilku tygodniami na łamach jednego z pism emigracyjnych stwierdzono co następuje: „Ci, którzy taki zarzut nam stawiają, powinni przede wszystkim wyjaśnić czy istnieje jakakolwiek sprzeczność między interesami polskimi i amerykańskimi?”.

Niestety, pomiędzy naszymi interesami a amerykańskimi interesami istnieje sprzeczność podstawowa. Dla Polaków sprawa polska jest alfą i omegą wszelkiej politycznej działalności. Dla polityki amerykańskiej sprawa polska w ogóle nie istnieje.

Amerykańska *Ostpolitik* nie dąży do zmiany *status quo* w Europie, lecz przeciwnie, dąży do odprężenia i współpracy z Sowietami za cenę upewnienia Moskwy, że Stany Zjednoczone nie zamierzają nikogo wyzwalać ani niczego zmieniać w Europie Wschodniej.

Legatem zimnej wojny z pierwszego okresu powojennego jest legenda, która głosi, że Ameryka — niezależnie od polityki Waszyngtonu — jest naszym „naturalnym” sojusznikiem. Owa legenda wywodzi się z wielu źródeł: 14 punktów Wilsona, „Polska Natchnieniem świata” itp., itd. Gdy *roll back policy* i koncepcja *liberation* utraciły w roku 1956 resztki wiarygodności — rzesze emigrantów polskich pracujących w instytucjach amerykańskich — szukając racjonalizacji dla swojej postawy i działalności — uchwyciły się jak tonący brzytwy legendy o „naturalnym” sojuszniku.

Bywały w przeszłości okresy, w których polityka polska była w znacznej mierze zbieżna z polityką amerykańską. Lecz nawet przy największym wysiłku imaginacji trudno jest twierdzić, że w roku 1972 interesy polskie pokrywają się z interesami amerykańskimi. Niektórym emigrantom wydaje się, że doktryna Trumana nadal obowiązuje. Tę doktrynę, która 25 lat temu narodziła się w Waszyngtonie — pochowano w Moskwie w dniu 22 maja bież. roku. Okolicznościowe przemówienia nad „otwartą mogiłą” wygłosili na Kremlu panowie Nixon i Podgorny.

Istnieją jeszcze inne sprzeczności pomiędzy polityką amerykańską a niepodległościową polityką polską.

Waszyngton pertraktuje wyłącznie z sowieckim *establishment*'em. Nie stawiamy Amerykanom zarzutu z tego powodu — stwierdzamy tylko, że na tej drodze polskie interesy nie mogą być ani rozwiązane ani obsłużone. Sowiecki *establishment* może zawrzeć z Amerykanami takie czy inne układy, lecz Polsce nie przyzna nigdy niepodległości. Breżniew nie zgodzi się nawet na semi-niepodległość czy na częściowo zdemokratyzowany komunizm, proponowany niegdyś przez Dubczeka.

Nie poprzez rozmowy z *establishment*'em sowieckim lecz poprzez zwalczanie sowieckiego reżymu mogą urzeczywistnić się przemiany w orbicie sowieckiej. Dopóki te przemiany nie nastąpią, Polska nie będzie ani demokratyczna ani niezależna.

Ludzie nie obznajomieni z przedmiotem — powiedzą, że to są mrzonki. Tak nie jest, ponieważ zachodzą duże przemiany.

Jak wiemy, w okresie drugiej Rzeczypospolitej Litwini, Ukraińcy, Białorusini byli wrogo nastawieni do Polski. Dziś sytuacja uległa radykalnej zmianie. Dawną wrogość coraz częściej zastępuje życzliwość, zainteresowanie i... oczekiwanie. Owe zmiany

atmosfery nie spowodowali Gomułka czy Gierek. Tę przemianę wywołali robotnicy polscy. „Wydarzenia grudniowe” odbiły się szerokim echem, a reżym sowiecki choć dokonał setek aresztowań — zwłaszcza na Ukrainie — nie zdławił narodowego ruchu oporu.

Chciałbym upewnić naszych Czytelników, że na innym szczeblu niż rokowania z sowieckim *establishment*'em toczy się stale i nieustannie polityka wyzwolenia, której trzon stanowi niepodległościowa polityka polska.

Jeżeli mówimy o legendach — to należy podkreślić, że odżyła polska legenda na Wschodzie, a jeżeli mówimy o naturalnych sojusznikach — to wypada stwierdzić, że naszymi naturalnymi sojusznikami są Ukraińcy, Litwini, Białorusini i rewolucyjni Rosjanie.

Być może, że jest to droga daleka — ale to jest droga jedyna.

Tak w Kraju jak i na emigracji istnieje bardzo małe zrozumienie tych spraw. Władze komunistyczne w Polsce utrzymują wyłącznie kontakty z *establishment*'em sowieckim — ignorując ruchy separatystyczne, narodowościowe i rewizjonistyczne w imperium sowieckim.

Antykomuniści polscy na emigracji zachowują się bardzo podobnie. Nie utrzymują wprawdzie kontaktów z sowieckim *establishment*'em — lecz analogicznie jak władze reżymowe w Polsce — ignorują naszych prawdziwych sojuszników na Wschodzie, wiążąc wszystkie nadzieje z „naturalnym” sojusznikiem Polski tj. z Ameryką.

Choć jestem Polakiem zachodnim i życzę Zachodowi z Ameryką włącznie jak najlepiej — podkreślałem na tych łamach wielokrotnie, że tym razem na Zachodzie nie możemy szukać sojuszników. Zachodnio-niemiecka *Ostpolitik*, wizyta prezydenta Nixona w Moskwie, projektowana konferencja bezpieczeństwa europejskiego — wszystko to w gruncie rzeczy są koncesje na rzecz Sowietów. Wnioskuję się, że te koncesje upewnią Sowiety, że ze strony Zachodu nic im nie zagraża — co w konsekwencji doprowadzi do rozluźnienia „żelaznej kurtyny” i ożywionej wymiany handlowej.

Sowiety mają jeszcze inny cel na oku. Nie jest wykluczone, że zachodni Europejczycy dojdą do logicznego wniosku, że Anglia, Francja czy Niemcy nie mogą być równorzędnym partnerem Rosji. Równorzędnym partnerem Sowietów mogłaby być tylko politycznie zjednoczona Europa Zachodnia. Sowiety pragną uprzedzić ten moment — ponieważ w interesie Moskwy leży, by nie było jednolitej zachodnio-europejskiej *Ostpolitik* — tylko mozaika dwustronnych umów i układów.

W dniu 15 maja bież. roku w Oslo generalny sekretarz NATO, Dr Luns, ujawnił, że Sowiety produkują w rekordowym tempie łodzie podwodne o uzbrojeniu i napędzie nuklearnym, wypuszczając jedną łódź na miesiąc. Nie może być mowy o rzeczywistych negocjacjach rozbrojeniowych pomiędzy Sowietami, które są uzbrojone po zęby a Europą Zachodnią, która jest katastrofalnie niedozbrojona. W takiej sytuacji najmniejsze choćby ograniczenia zbrojeń ze strony Europy Zachodniej — byłyby w gruncie rzeczy koncesją na rzecz Sowietów.

Różnice pomiędzy nami a naszymi krytykami na emigracji nie dotyczą stosunku do sowieckiego *establishment'u*. Różnimy się w ocenie Stanów Zjednoczonych a nie w ocenie Breżniewa. Krytycy *Kultury* uważają, że Ameryka jest naszym sojusznikiem choćby Amerykanie na razie nie zdawali sobie z tego sprawy. Rozwój wydarzeń politycznych zmusi Waszyngton wcześniej czy później — do przyjęcia linii, która oznaczać będzie pełną zbieżność interesów polskich i amerykańskich.

W rzeczywistości rozwój wydarzeń nie zbliża lecz oddala Amerykę od Polski.

Jak zaznaczyłem powyżej istnieją na ziemi tylko dwa supermocarstwa, o stosunkowo wyrównanych potencjałach, zdolne zniszczyć się nawzajem. Przy obecnym stanie rozwoju technologii — pomiędzy obu tymi super-potęgami nie może być wojny, ponieważ żadne z nich nie byłoby zwycięskie.

Waszyngton i Moskwa — czy chcą czy nie chcą — muszą być partnerami i są nimi.

Partnerstwo nie wyklucza ostrej walki konkurencyjnej — bo tylko poprzez walkę można utrzymać równowagę sił i terroru, która gwarantuje bezpieczeństwo. Układ „atomowy” Nixon-Breżniew z 26 maja bież. roku w niczym nie zmienia powyższego stanu rzeczy.

Partnerstwo zakłada unikanie konfliktowych sytuacji. Jeżeli konflikt zbrojny nie może przynieść opłacalnego zwycięstwa ani Rosji ani Ameryce — unikanie konfliktowych sytuacji leży w interesie zarówno Waszyngtonu jak i Moskwy. A przez konfliktową sytuację należy rozumieć zagrożenie dla istniejącej równowagi sił.

Otóż na przykład wyzwolenie Pragi spod sowieckiej okupacji w roku 1968 stanowiłoby bezpośrednie potencjalne zagrożenie dla miast amerykańskich.

Nie tylko emerytowani generałowie lecz i emigracyjni publicyści mają skłonność do rozważania ewentualnej trzeciej wojny światowej w perspektywie drugiej wojny światowej. W roku 1945 Niemcy leżały w gruzach, lecz w Ameryce ani jeden dom

nie został naruszony. Od tych czasów sytuacja uległa totalnej zmianie.

Był czas, że Stany Zjednoczone posiadały monopol atomowy. Był czas, że choć Rosja posiadała broń nuklearną — Waszyngton dysponował druzgocącą przewagą nad Sowietami. Ameryka nadal góruje nad Sowietami lecz Moskwa zdobyła już dawno możliwość odwetowego nuklearnego uderzenia (*second strike ability*). Innymi słowy, nawet gdyby Ameryka uderzyła pierwsza równając z ziemią wielkie sowieckie centra przemysłowe — sowieckie łodzie podwodne patrolujące po oceanach świata byłyby zdolne przeprowadzić straszliwy odwet atomowy, którego ofiarą padłyby miasta amerykańskie.

Bronie nuklearne setkami artykułów osnuto tak apokaliptyczną wizją, że przeciętny konsument gazet odnosi się do tej sprawy tak jak do biblijnej zapowiedzi końca świata. Być może po milionach lat zgaśnie słońce i nastąpi koniec wszystkiego — lecz my nie mamy powodu ani brać tego w rachubę ani się tym przejmować.

Lecz zupełnie inne podejście do broni atomowych mają przywódcy polityczni na Kremlu i w Białym Domu. Dla nich jest to zagadnienie wiecznie obecne, konkretne — zagadnienie, które wywiera bezpośredni wpływ na kształtowanie bieżącej polityki zagranicznej.

Z powyższych przyczyn reżym Dubczeka — choć niepomiernie bardziej zasługiwał na pomoc — pomocy nie otrzymał a skorpumpowany reżym sajoński otrzymuje pomoc od dziesiątków lat. W przeciwieństwie do reżymu Dubczeka — poparcie reżymu w Sajgonie nie groziło bezpośrednią konfrontacją z armią sowiecką.

Polska znajduje się w jeszcze gorszej sytuacji niż Czechosłowacja, ponieważ posiada bardzo długą granicę z Sowietami. Dlatego choćby w ogniu powstania płonęły miasta polskie — Ameryka nie udzieli Polsce nawet jednej dziesięciotysięcznej tej pomocy jakiej przez lata udzielała Sajgonowi.

W sumie należy stwierdzić, że amerykańska *Ostpolitik* na teatrze europejskim jest czysto defensywna. Strategia defensywna zakłada obronę a nie zmianę *status quo*.

Niniejszy artykuł nie stanowi krytyki polityki amerykańskiej. Byłoby rzeczą śmieszną i naiwną oceniać politykę Stanów Zjednoczonych według kryterium jej zbieżności czy sprzeczności z interesami polskimi. Krytykuję natomiast postawę tych Polaków, którzy swój lojalizm w stosunku do Waszyngtonu posuwają dalej niż Gierek swój lojalizm w stosunku do Moskwy.

Liczenie na Amerykę, teorie o amerykańskim „naturalnym”

sojuszniku, głoszenie opinii, że jesteśmy sojusznikami Ameryki nawet wbrew woli Ameryki — wszystko to dezorientuje emigrację i opinię w Kraju.

Polska polityka wschodnia winna opierać się na następujących przesłankach:

Choć upłynęło niemal 30 lat od zakończenia wojny — pozycja Rosji w Europie Wschodniej jest bardzo słaba. Jest to ciągle *de facto* okupacja wojskowa. W żadnym z krajów satelickich Sowiety nie zdołały zjednać sobie większości społeczeństwa. Obrócili przeciwko sobie jedyne szczerze prorosyjskie społeczeństwo jakim byli Czesi i Słowacy. Carska Rosja miała Czartoryskich, Wielopolskich, Lednickich — całą gamę Polaków którzy wierzyli w możliwość, nie kolaboracji, lecz współpracy polsko-rosyjskiej. *Establishment* Kosyginów i Breżniewów nie wyprodukował ani jednego Wielopolskiego — ponieważ stalinowcy na Kremlu nie są zainteresowani niezależnym polskim prorosyjskim programem. Stalinowcy nie pragną Polski sojuszniczej — chcą mieć Polskę satelicką. Ze stalinowcami nie może być żadnych umów.

Lecz Breżniew to nie jest Rosja, tak jak Szelest nie był Ukrainą. Musimy prowadzić politykę niepodległościową na szczeblu podziemnym. Wszystkie wielkie przemiany — zwłaszcza w Europie Wschodniej — przygotowywane były wbrew *establishment*'owi i pod powierzchnią oficjalnie obowiązującego porządku rzeczy.

Na całym świecie nawet najmniejsze narody domagają się samostanowienia i wolności. W okresie ubiegłych 4 lat obserwowaliśmy zrywy wolnościowe w Czechosłowacji, krwawą rewoltę robotniczą w Polsce, ogromne wzmożenie ruchów narodowościowych w Związku Sowieckim, które spowodowało represje na Ukrainie, na Litwie i Kaukazie. Ruch wolnościowy w samej Rosji jest nieliczny w sensie ilościowym, lecz przyciąga coraz więcej intelektualistów i inteligentów. W Rosji zawsze tak było. Przemiany detonowała inteligencja, której pozycja społeczna jest nieporównywalna z pozycją inteligencji we Francji czy w Anglii. Z tej przyczyny opinia na Zachodzie podziwiała Sołżenicyna lecz Sołżenicynom nie przypisuje ich właściwego znaczenia, ponieważ polityczny wyznacznik intelektualnych drożdży jest zupełnie inny w Rosji niż na Zachodzie.

Ponieważ nowoczesna technologia powoduje nieznaną w dziejach akumulację władzy — w społeczeństwach wzrasta gwałtowna reakcja przeciwko władzy. Byłoby źle gdyby społeczeństwo amerykańskie nie protestowało gwałtownie przeciwko wojnie w Wietnamie — ponieważ jest to zjawisko ohydne. Najpotężniejszy

naród świata całą swoją najnowocześniejszą technologią miażdży mały, ubogi, zapóźniony w rozwoju naród azjatycki. Od początku wojny Amerykanie zrzucili na Wietnam 6 milionów ton bomb. Wietnamczyków giną dziesiątki tysięcy lecz w tej rzekomej krucjacie antykomunistycznej nikt nie liczy trupów wietnamskich. Chodzi natomiast o to, by przypadkiem nie zginął jakiś marynarz sowiecki, choć wszelki antykomunizm zacząć by trzeba podobno od zwalczania Sowietów.

Ktoś powie, że to jest demagogia. To jest niezaprzeczalna prawda — a prawda nigdy nie jest demagogią nawet jeżeli komuś jest niewygodna.

Wzrost gwałtownych reakcji społecznych, które obserwujemy na całym świecie jest reakcją na akumulację władzy. Rządy dysponujące aparaturą nowoczesnej technologii nigdy nie posiadały takiej władzy jaką posiadają obecnie. Lecz ta sama technologia, która wzmacnia władzę rządów wytwarza uniwersalizm komunikacyjny. Ów uniwersalizm sumuje sprzeciw i protest tak — że dziś żadne ognisko oporu nie jest izolowane.

Stare, doświadczone narody — jak Anglicy czy Francuzi — rozegrają stopniowo i ewolucyjnie ów konflikt pomiędzy coraz potężniejszymi i coraz zachłanniejnymi biurokracjami a coraz lepiej oświeconymi i coraz bardziej niecierpliwymi masami społecznymi.

W orbicie sowieckiej kanały procesu ewolucyjnego mogą się okazać zbyt wąskie. Przewiduję również, że ruchy narodowościowe odegrają w imperium sowieckim większą rolę niż idea rewolucyjna. Bunt i protesty wyrażają zawsze najsilniej odczuwaną potrzebę. Dla Ukraińca, który patrzy na masową rasyfikację i prześladowanie pisarzy, poetów, patriotów ukraińskich — najważniejszym i najbardziej palącym postulatem jest niezależność narodowa.

Nie mamy sojuszników na Zachodzie, lecz nie jesteśmy sami. Sowietom potrzebna jest europejska konferencja bezpieczeństwa ponieważ czują się niepewnie w Europie Wschodniej. Dziś nie byłoby już izolowanego zrywu na wzór powstania węgierskiego. Sytuacja uległa znacznej zmianie od roku 1956. Poważniejsze „wydarzenia” w krajach satelickich, a zwłaszcza w Polsce, zdeterminowałyby prawdopodobnie wrzenie w innych krajach ujarzmionych oraz w republikach sowieckich.

W roku 1968 można było wmawiać Rosjanom, że za Dubczkiem stoi neo-hitleryzm i imperializm zachodnoniemiecki. Lecz dziś, po ratyfikacji traktatu Bonn-Moskwa, trudno byłoby wystąpić z analogiczną interpretacją.

Doktryna Breżniewa funkcjonuje sprawnie pod warunkiem,

że wybuch jest zlokalizowany w ramach jednego satelickiego państwa. Gdyby pożar objął kilka państw satelickich i kilka republik sowieckich — doktryna Breżniewa straciłaby swój sens i zastosowanie.

Istnieje inna Polska niż ta, którą reprezentuje Gierek, istnieje inna Rosja niż ta, którą reprezentuje Breżniew — istnieją inne Czechosłowacje, Ukrainy i Litwy.

Chciałbym przekonać obywateli „innej Polski”, że w izolacji nie zdziałają niczego. Polacy nie mają dziś szansy zdobycia w izolacji „wewnętrznej wolności” poprzez zdemokratyzowanie ustroju i wymuszenie na Moskwie uznania nowego stanu rzeczy. Podkreślam ten punkt, ponieważ nawet obywatele „innej Polski” — przez program wschodni rozumieją rozmowy i ewentualne układy z Moskwą przy całkowitym ignorowaniu Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów. To jest kardynalnie błędna przesłanka, która gdyby została przyjęta — przekreśliłaby w zarodku jakiegokolwiek polski program wschodni. Musimy dziś planować a w przyszłości działać w ścisłym porozumieniu z prawdziwą Ukrainą, z prawdziwą Litwą i z prawdziwą Białorusią. W moim przekonaniu ci z nas, którzy domagają się zwrotu Wilna i Lwowa — oddalają perspektywy wyzwolenia Polski na czas nieokreślony. Ponieważ dziś — jak nigdy przedtem w naszych dziejach — potrzebujemy sojuszników na Wschodzie i żadna cena nie jest zbyt wysoka, by zdobyć ich zaufanie i przyjaźń.

Wiktor Zorza na łamach *The Guardian* zauważył, że w Moskwie spotkało się dwóch najpotężniejszych konserwatystów świata — Nixon i Breżniew.

Łączy tych panów nie tylko chęć zachowania pokoju, lecz również zdecydowana wola przeciwstawienia się ruchom postępu i reform społecznym.

Kongres Wiedeński był podobną godziną triumfu konserwatyzmu i polityki zachowawczej. Lecz dziś wiemy, że ów triumf przyspieszył wybuch ruchów narodowych i socjalnych.

Tym razem będzie podobnie. Jestem pewien, że jeszcze wiek XX-ty będzie świadkiem Wiosny Ludów nie tylko w Warszawie i w Pradze, lecz również w Kijowie i w Moskwie.

Kultura Nr 7/298-8/299 (1972)

KORDIAN I CHAM

Jak każdego lata i w ubiegłym roku odwiedziła mnie garść młodych ludzi z Kraju. Utkwił mi w pamięci zwłaszcza jeden młody człowiek, który spędził u nas dwa popołudnia.

Powiedział mi, że jest zdumiony łatwością z jaką nawiązał ze mną kontakt. Mój krajowy gość jest urodzony w roku 1945 a ja w roku 1906. Wydawałoby się więc, że poza wspólnotą języka nic nas nie łączy a wszystko dzieli.

Później uświadomiłem sobie, że owa łatwość i bezpośredniość kontaktu polegała na tym, że ów młodzieniec stanowił niemal dokładną kopię moich uniwersyteckich kolegów z lat 1924-29. Patrzyłem na niego ze wzruszeniem, jak na moje własne ucieleśnione wspomnienie młodości. Dosłownie identyczni młodzi ludzie — może tylko z nieco krócej obciętymi włosami — siedzieli niegdyś obok mnie na ławach uniwersyteckich.

Mój znajomy powiedział mi, że rozmawia ze mną tak jakby mnie znał całe życie. Odpowiedziałem, że w pewnym sensie znaliśmy się całe życie, ponieważ mimo różnicy pokolenia oraz faktu, że 33 lat przebywam poza Krajem — tak on jak i ja należymy do tej samej formacji polskiej inteligencji. Dlatego — jak sam przyznał — łatwiej znajduje wspólny język ze mną niż z pewnymi swoimi rówieśnikami w Kraju, którzy należą do innej formacji inteligencji polskiej.

Mojego stryja Leonarda Mieroszewskiego, który jedyny z mojej rodziny utrzymał się do końca przy rodowym majątku — odwiedzałem często, ponieważ miałem mu wiele do zawdzięczenia. Podczas jednej z takich dłuższych wizyt, w słotne i osowiałe popołudnie, zabrałem się z nudów do studiowania wielotomowego herbarza Niesieckiego. Wertowałem grube tomiska jak książki telefoniczne. Najpierw szukałem nazwisk moich kolegów, potem znajomych i wreszcie sprawdziłem szlacheckość moich

profesorów. Zauważyłem, że o ile nazwiska wielu moich kolegów nie figurują w Niesieckim, o tyle niemal wszyscy profesorowie uniwersytetu wywodzą się ze stanu szlacheckiego. Oczywiście były wyjątki. Znakomity historyk prawa rzymskiego prof. Taubenschlag, Pigoń czy (ówcześnie) docent Bulas — nie pochodzili ze szlachty. Lecz grupa nie-szlachecka stanowiła zdecydowaną mniejszość.

Kilka lat później przeprowadziłem analogiczne badania w stosunku do kilku innych polskich uniwersytetów. Na podstawie tych danych ogłosiłem w *Kurjerze Literacko-Naukowym* (niezależny dodatek do IKC'a) dłuższy artykuł, który jak większość moich artykułów wywołał liczne kontrowersje.

Główne tezy mojego ówczesnego artykułu można by streścić następująco.

Powstania w głównej mierze były dziełem szlachty. Po upadku powstań wyraziłem szlacheckiej idei niepodległościowej była literatura. Ponieważ inteligencja składała się głównie z ludzi szlacheckiego pochodzenia — wszystkie nurty myśli politycznej, społecznej, naukowej — były *de facto* przedłużeniem kultury szlacheckiej. Piłsudski był szlachcicem i Daszyński był szlachcicem. Szlachcicami byli Sienkiewicz, Prus, Żeromski i dziesiątki innych. Niektórzy historycy literatury poddawali w wątpliwość szlachectwo Mickiewicza. Zagłuszono jednak szybko niewczesnych śmiałków, bo nasz główny wieszcz narodowy musiał być szlachcicem.

Przymusowa lektura „Pana Tadeusza” i analiza epopei pod czujnym okiem pedagogów stanowiła wstęp do długiego procesu indoktrynacji kulturą szlachecką. Syn chłopca czy robotnika musiał na równi z synami szlacheckimi uczyć się na pamięć długich fragmentów eposu stanowiącego gloryfikację Polski szlacheckiej.

Niektórzy z moich kolegów chłopskiego pochodzenia — mając lat 14 („Pana Tadeusza” czytało się w 4 klasie gimnazjalnej) — często nie wiedzieli co to jest „klejnot”, „ryngraf”, „wyloty kontusza” — i my, szlacheckie pacholęta, którzy znaleźliśmy realia szlacheckiej kultury od najwcześniejszego dzieciństwa, musieliśmy objaśniać naszym mniej uprzywilejowanym kolegom co owe dziwne słowa oznaczają. Lecz przyznać się w klasie przed profesorem do braku znajomości tych spraw — było równoznaczne z podkreśleniem swego nie-inteligenckiego pochodzenia.

Dziecko naśladuje swoich rodziców — chłopiec w szkole naśladuje swoich nauczycieli. Uczymy się poprzez naśladownictwo.

W okresie mojej wczesnej młodości można było naśladować, tzn. poznawać i przyswajać sobie, kulturę szlachecką ponieważ inna kultura nie istniała.

Studia uniwersyteckie dawały nie tylko stopień czy dyplom naukowy lecz stanowiły również nową formę nobilitacji. Po ukończeniu uniwersytetu syn chłopca czy robotnika stawał się pełnoprawnym członkiem inteligencji. Absorbował kulturę szlachecką i uważał ją za swoją. Młody góral z dyplomem uniwersyteckim wierzył niezachwianie, że „Pan Tadeusz” czy „Trylogia” są w równej mierze jego eposami jak i jego kolegów pochodzących z rodów szlacheckich. Stając się inteligentem przejmował na swe barki całą tradycję i patriotyczno-kulturalny „ethos” szlacheckiej kultury.

Gdy po ukończeniu studiów spotykałem czasem moich góralskich kolegów z gimnazjum w Nowym Sączu — bywałem zdumiony ich metamorfozą. Z nieokrzesanych wyrostków przemieniali się w dobrze ubranych panów „z towarzystwa” i ich mowa, sposób bycia i zachowania — w niczym nie zdradzały ich góralskiego pochodzenia. Ci młodzi panowie nie byli już góralami tylko stuprocentowymi inteligentami czy nobilitowanymi „neoszlachcicami”.

Góral, doktor filozofii w portkach z parzenicami i w narzucionej na ramiona guni — byłby pośmiewiskiem zarówno wśród górali jak i wśród inteligentów. W owych czasach inteligencji w cwikerze i w chłopskiej sukmanie trafiali się tylko w teatrze rzadko w życiu.

„Wyjść na człowieka” jak się w owych czasach mawiało dla synów chłopskich i robotniczych oznaczało wyjście i opuszczenie raz na zawsze macierzystej warstwy społecznej. Nie było bowiem w szerszej skali inteligencji chłopskiej czy robotniczej. Witos — brakiem krawatki — brawurowo podkreślał fakt, że jego status stanowi wyjątek a nie regułę.

Inteligenci pochodzenia inteligentckiego stanowili większość i tym samym wzorzec szlacheckiej kultury przekazywany był z pokolenia na pokolenie.

W okresie mojej wczesnej młodości znałem wielu moich rówieśników o skrajnie lewicowych przekonaniach. Ci z nich, którzy związani byli z komunizmem i przeżyli — wystąpili z partii w Polsce Ludowej. Natomiast kilku moich kolegów, którzy w Polsce dwudziestolecia byli poprawnie pravicowi i wykpiwali moje socjalistyczne sympatie przetrwali Bieruta i Gomułę i do dziś są podporami partii. Jeden z nich zajmuje wybitne stanowisko w aparacie partyjno-rządowym. Lecz ci panowie, w zgodzie z tradycją polskiej inteligencji — należeliby do każdej partii sprawującej władzę. Gdyby żyli w okresie zaboru austriackiego byłiby lojalnymi urzędnikami CK starostwa, czy CK namiestnictwa. Ponieważ żyją w okresie zaboru sowieckiego

przenieśli się szybko z BBWR do PZPR. Biurokracja musi istnieć a inteligencja jest i zawsze była dostarczycielką urzędników.

W „Panu Tadeuszu” czytamy, że szlachcic bez urzędu jest jak chart bez ogona. Na emigracji stworzyliśmy nieprzebrane zastępy prezesów, wiceprezesów, sekretarzy, przewodniczących — nie mówiąc o ministrach, generałach i pułkownikach (czasu „wojny”) — ponieważ inteligencja polska nawet na obczyźnie musi urzędować. Być kimś, oznaczało zawsze mieć urząd. Stąd niechęć inteligentów do tak zwanych wolnych zawodów jak przemysł czy handel.

Inteligencja, podobnie jak niegdyś szlachta, nie jest klasą społeczną tylko stanem. Traktowanie inteligencji jako klasy społecznej w analogii do klasy robotniczej czy włościańskiej prowadzi do zasadniczych nieporozumień.

W niniejszym artykule nie interesuje nas jednak socjologiczna analiza inteligencji. Chciałem tylko podkreślić janusowe oblicze tej warstwy, która dostarczała zarówno lojalistów jak i bojowników niepodległościowych. Uformowały nas w ten sposób dwa stulecia niewoli.

Pan Wołodyjowski czy Kmicie mówili często o Ojczyźnie, lecz nie mówili nigdy o niepodległości. Nawet w okresie potopu szwedzkiego niepodległość nie stanowiła zagadnienia. Polacy nigdy nie bali się Szwedów. W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej jedynym narodem, którego Polacy naprawdę się bali — byli Turcy. Swoistą ironią — w którą dzieje ludzkie obfitują — jest fakt, że potęga otomańska, której baliśmy się nadmiernie i w rezultacie popełniliśmy poważne błędy, była jedynym mocarstwem, które nie uznało rozbiórów Polski.

W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej niepodległość uważano za oczywistość a o rzeczach z natury swej oczywistych nie ma potrzeby dyskutować. Idea niepodległościowa zrodziła się po rozbiorach. Reprezentowała ową ideę szlachta i jej spadkobiercy — polska inteligencja. Stalin — zgodnie z tradycją carską — odmową pomocy zdławił Powstanie Warszawskie, które było ostatnim zbrojnym zrywem inteligencji polskiej.

Jeżeli za 100 lat od dziś Polska będzie państwem niepodległym — nasi historycy będą pisali, że naród polski przetrwał dziesiątki lat totalistycznej sowieckiej niewoli.

Lecz co to znaczy, że naród przetrwał?

W przeszłości przetrwanie gwarantowały dwa elementy. Część inteligencji z postulatu niepodległości wypracowała ogólnonarodową ideologię. W rzeczywistości była to ideologia stanu szlachecko-inteligenckiego. Lecz wówczas nikt nie kwestionował faktu, że w imieniu narodu mówi i działa inteligencja.

Bardzo znaczny procent inteligencji kolaborował z zaborcami. Wprawdzie starosta lwowski po pierwszym rozbiore odmówił przysięgi na wierność Marii Teresie — niemniej w stokilkadzieści lat później Polacy bywali premierami, ministrami, generałami, ambasadorami, namiestnikami — monarchii austriacko-węgierskiej.

Kolaboracja w zaborze rosyjskim i pruskim wyglądała mniej efektownie lecz była również zjawiskiem powszechnym. Generał Anders — pod którym miałem zaszczyt służyć wiele lat — był nie tylko zawodowym oficerem armii rosyjskiej lecz zajmował wysokie stanowisko szefa sztabu dywizji.

Pomiędzy Pierwszą Rzeczpospolitą a potęgami zaborczymi — choć istniały różnice ustrojowe i polityczne nie istniały różnice ideologiczne. Rosja, Austria, Prusy podobnie jak Pierwsza Rzeczpospolita były chrześcijańskimi monarchiami europejskimi. Rosjanie, Austriacy, Niemcy — to nie byli XVI-to-XVII-towieczni Turcy z ich mahometańskim bezwzględny uniwersalizmem, który dzielił świat ideologiczną zaporą na wiernych i niewiernych.

Dziś sytuacja wygląda inaczej. Pomiędzy republikańską Francją a monarchiczną Anglią istnieją różnice ustrojowe, lecz nie istnieją różnice cywilizacyjne. Natomiast komunizm to jest nie tylko inny ustrój lecz i inna cywilizacja. Jak wiemy, cywilizacja opiera się na pewnych skalach wartości — jak wolność słowa, nienaruszalność praw obywatelskich, swoboda twórczości artystycznej itd. Cywilizacja zachodnia i jej jedyne na świecie osiągnięcia naukowe i twórcze — okazały się możliwe dzięki temu, że po długim okresie zmagania zdołaliśmy oddzielić metafizykę od fizyki. Doszliśmy do wniosku, że nauka ani nie zaprzecza ani nie potwierdza tez metafizyki, ponieważ metafizyka z religią na czele dotyczy wglądu na innym szczeblu poznania.

W świecie komunistycznym obserwujemy odwrót od tak pojmowanej cywilizacji zachodniej. W średniowieczu teologia była królową nauk i domagała się całkowitej zgodności fizyki z metafizyką. Podobne średniowieczne warunki panują dziś w państwach komunistycznych, gdzie ideologia uzurpuje status królowej nauk i domaga się absolutnej zgodności nauki i literatury z jej metafizycznymi tezami. Na Zachodzie istnieje jasno zarysowany podział na rzeczy sakralne i świeckie. Natomiast na Wschodzie wszystko musi być „sakralne”, w przeciwnym bowiem wypadku staje się heretyckie i rewizjonistyczne.

Polska współczesna znajduje się nie tylko pod supremacją obcego mocarstwa lecz również w orbicie antyzachodniej cywilizacji. Zabór oznacza dziś zupełnie coś innego niż dawniej. Polacy rządzą w Warszawie — czego nie było za czasów carskich

lecz równocześnie w całej Polsce obowiązuje antyzachodnia totalna ideologia.

Lecz trzeba przetrwać i Polacy na pewno przetrwają. Inteligencja jednak — na skutek całkowicie odmiennej sytuacji — proces przetrwania pojmuje inaczej niż dawniej.

Wspomniałem na wstępie młodego człowieka z Kraju, który wprowadził mnie w zdumienie. Ofiarował mi miniaturowego orzełka na szpilce. Orzełka z koroną. Nie przywiązywałem nigdy żadnej wagi do korony na głowie polskiego orła, lecz dziś w oczach pewnej grupy młodzieży inteligenckiej w Kraju korona urosła do symbolu niepodległości. Mój młody znajomy mówił mi również, że w kole jego bliskich kolegów panuje ogromne zainteresowanie Polską niepodległą dwudziestolecia. Młodzi ludzie o których mówimy doszli do wniosku, że zostali w tej sprawie okłamani. Uważają, że władze PRL celowo oczerniają Polskę dwudziestolecia ponieważ porównanie prawdziwego obrazu Polski sprzed roku 1939 z Polską Ludową — wypadłoby na niekorzyść PRL.

Mój znajomy i jego koledzy przeczytali z uwagą pisma Marszałka Piłsudskiego i gorliwie zbierają książki wydane w okresie dwudziestolecia.

Zapytany co sądzi o rządzie polskim na emigracji młodzieniec odpowiedział, że jest to konsekwentna postawa i zgodna z tradycją rządu narodowego. Z chłopięcym zachwytem opowiadał, że widział na tabliczce Instytutu Im. Gen. Sikorskiego orła w koronie. W Polsce Ludowej jak długa i szeroka nie ma ani jednej takiej tabliczki. Mało tego, mój młody przyjaciel oświadczył, że rząd polski w pierwszym dniu niepodległości winien przywrócić wojsku rogatywki.

Jego ojca zabili Rosjanie a on sam jest inteligentem z dziada pradziada. To tłumaczy wiele — choć nie tłumaczy wszystkiego.

Renesans zainteresowań Drugą Rzeczpospolitą obejmuje szerszy krąg społeczny niż grupa kolegów mojego młodego znajomego. Młode pokolenie nie wierzy oszczerczej propagandzie, która *nota-bene* była dziełem ludzi starszego pokolenia, które pamięta czasy przedwojenne.

Jak wszystko na świecie Druga Rzeczpospolita miała swoje blaski i cienie. Gdyby zezwolono na krytyczną obiektywną analizę okresu międzywojennego — nie byłoby dziś wśród młodych pewnej kategorii — tendencji odrzucania wszelkiego krytycyzmu jako czarnej propagandy.

Jak wiemy, w epoce porozbiorowej analizowano, krytykowano i dyskutowano dzieje pierwszej Rzeczpospolitej szukając uporczywie przyczyn jej upadku.

Od roku 1956 odwiedziło mnie jeżeli nie setki to wiele dziesiątków ludzi w Kraju. Choć w PRL nigdy nie byłem, przedyskutowałem setki godzin z inteligentami z Polski, najrozmaitszych przekonań i z różnych środowisk. W oparciu o moje prywatne biuro badań opinii inteligencji polskiej — doszedłem do pewnych wniosków, które chciałbym przedstawić Czytelnikom. Fakt, że od 25 lat przebywam w Anglii umożliwia mi spojrzeć z zewnątrz na omawiany problem mimo, że jako inteligent stanowią część składową zagadnienia.

Inteligencja „szlachecka” — jeszcze raz podkreślam, że mianem tym obejmuję inteligentów, którzy bez względu na pochodzenie przyswoili sobie kulturę po-szlachecką — należy do przeszłości. Renesans modelu tej kultury wśród nielicznych grup inteligentów w Polsce spowodowany jest — zwłaszcza wśród młodych — głodem identyfikacji. Legitymacja partyjna czy członkostwo takiej czy innej organizacji nie daje odpowiedzi na klasyczne już dziś pytanie: „Polaku kim jesteś?”. Na to pytanie daje tylko odpowiedź przynależność do określonego modelu kultury.

Należy jeszcze podkreślić sprawę o istotnym znaczeniu. Inteligencja po-szlachecka była chorązym, bojownikiem i organizatorem idei niepodległościowej. W Polsce Ludowej nie ma elit inteligenckich, które przyznawałyby się do idei niepodległości. W okresie „Wiosny Praskiej” można było być czechosłowackim komunistą i niepodległościowcem. Komunizm Dubczeka oznaczał demokrację na wewnątrz i maksimum osiągalnych w danym układzie niezależności na zewnątrz.

W Polsce Ludowej wstępując do partii rezygnuje się tym samym z jakiegokolwiek suwerenności, choćby nawet bardzo ograniczonej. Nie wszystkich to martwi. Przed wielu laty rozmawiałem z młodym inteligentem, synem chłopą, który pierwszy ze swej rodziny zdobywał uniwersyteckie wykształcenie. Ów student powiedział mi bez wahania, że jeżeli niepodległość miałaby oznaczać powrót do gospodarki folwarcznej sprzed roku 1939 to chłop — inteligenci czy nie inteligenci — wolą Polskę Ludową z jej ułomną niepodległością.

To samo dotyczy robotników. Ileż razy słyszałem z ust krajowców opinię, że na emigracji przez niepodległość rozumiemy Polskę kapitalistyczną wraz z jej przedwojenną konstytucją. Szumne deklaracje, że po odzyskaniu niepodległości „naród przez demokratycznie wybrany parlament wypowie się w tych sprawach” — są zasłoną dymną, która umożliwia emigrantom nie akceptowanie zmian społeczno-gospodarczych jakie zaszły w Kraju. Polska klasa robotnicza nie poprze idei niepodległości — jeżeli

niepodległość miałyby oznaczać przywrócenie kapitalizmu opartego o konstytucję przedwrześniową i ustrój z nią związany.

Wszystko to już było dawno, dawno temu. Chłopi polscy w Galicji uważali cesarza Franciszka Józefa za gwaranta ich wolności obawiając się, że niepodległość Polski wyrazi się w stosunku do nich przywróceniem pańszczyzny.

Na emigracji jedyna *Kultura* zajęła w tych sprawach jasne stanowisko. Od samego początku reprezentowaliśmy pogląd, że konstytucja przedwrześniowa nie może być nawet symbolicznym „herbem” idei niepodległościowej. Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczpospolita, która będzie sukcesorką Polski Ludowej — odrzucając komunizm — zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej — tak nie może być również kapitalistycznej re-prywatyzacji wielkich zakładów przemysłowych.

Fakt, że bardzo wielu Polaków w Kraju — nawet tych, którzy z nami się nie zgadzają — uważa od 25 lat *Kulturę* za jedyne „światółko w tunelu” tu bierze swe źródło.

Inteligencja po-szlachecka — do której należy autor niniejszych rozważań — jest na wymarcu. Pogrobowcem można być równie dobrze mając lat 66 jak i 22. Młody człowiek z Kraju o którym wspominałem na wstępie — nawiązał ze mną natychmiastowy kontakt, ponieważ obaj jesteśmy pogrobowcami.

Skąd biorą się w Polsce Ludowej młodzi pogrobowcy? Są nieliczni i rodzi ich komunistyczna „pustynia elit”. W porównaniu z Bierutem, Gomułą, Gierkiem — Piłsudski, Dmowski Witos to byli giganci. Polska przedwrześniowa była w porównaniu z PRL wielką wybitnymi ludźmi, obfitowała w elity twórcze, błyszczała świetnymi nazwiskami w literaturze, w teatrze i w malarstwie. Jej jedyną wadą był fakt, że żyła tylko 20 lat i nie miała szansy naprawienia błędów młodości.

Dla nielicznej grupy młodych ludzi w Kraju Polska dwudziestolecia — szkalowana i obrzucana błotem przez reżym komunistyczny — stała się wizją innej Polski niepodległej i demokratycznej.

Lecz grupy owych neo-po-szlacheckich młodych inteligentów nie mają przed sobą żadnych perspektyw, ponieważ proces produkcji inteligencji uległ zasadniczej przemianie.

W Polsce przedwrześniowej profesorowie i młodzież akademicka w większości składali się z inteligentów inteligenckiego pochodzenia. Synowie chłopów i robotników stanowili mniejszość. Młodych chłopów i robotników, którzy dobrnęli do

uniwersytetów wchłaniała kultura, która choć socjologicznie wywodziła się z jednej warstwy — była kulturą panującą.

Dziś w PRL sytuacja wygląda zgoła inaczej. Przede wszystkim należy podkreślić, że inteligencja po-szlachecka poniosła olbrzymie straty biologiczne. Wrzesień, okupacja, obozy koncentracyjne masowe zsyłki w głąb Sowietów, Armia Krajowa, Powstanie Warszawskie, emigracja do wojska polskiego na Zachodzie — wszystko to ogołociło Kraj z inteligencji po-szlacheckiej.

Bezpośrednio po wojnie zastosowano podwójną gilotynę — która miała na celu odciąć Polskę raz i na zawsze od wzorców jej dotychczasowej kultury.

Lecz wpierv krótkie wyjaśnienie. Socjalizm humanistyczny i tolerancyjny byłby do pogodzenia z tradycyjną polską kulturą. Sowietyzm jest nie do pogodzenia z żadną kulturą — ani z tą, którą reprezentował Żeromski, ani z tą którą reprezentuje Sołżenicyn.

W Polsce Ludowej wszystko jest polskie z wyjątkiem nielicznej klasy rządzącej. Ci ludzie, choć są etnicznymi Polakami, ponieważ w całości zależą od Moskwy — stosują w polityce, gospodarce i kulturze — sowietyzm.

Nawet totalne państwo nie jest nigdy idealnie totalne — dzięki czemu w Polsce od czasu do czasu pojawiają się książki wartościowe. Lecz te rodzyńki w cieście podkreślają tylko fakt, że ciasto jest bezpostaciową miazgą.

W Polsce Ludowej jest znacznie więcej uniwersytetów i szkół akademickich niż w Polsce przedwrześniowej. Większość studentów stanowią synowie chłopów i robotników. Młody inteligent zdobywa wykształcenie i ogląda się za kulturą, której po prostu nie ma. Kultura po-szlachecka upadła i powstała próżnia. Tak zwana „kultura socjalistyczna” nie jest ani socjalizmem ani kulturą. Podobnie „socjalistyczny realizm” nie był i nie jest ani socjalizmem ani realizmem.

Jak zaznaczyłem powyżej kultura po-szlachecka w wielu dziedzinach była anachronizmem — niemniej przez 200 lat reprezentowała aktywnie ideę niepodległościową. Ponieważ kultura poszlachecka upadła idea niepodległościowa nie ma w Kraju żadnego intelektualnego zaplecza.

Synowie chłopów i robotników, którzy kończą studia uniwersyteckie w Polsce Ludowej — spotykają czasem pogrobowców kultury po-szlacheckiej, którzy wegetują w plebejskiej, powszechnej sub-kulturze. Polska nigdy nie była tak małomieszczańska jak obecnie. Trudno się temu dziwić, ponieważ klasa „właścicieli Polski Ludowej” — w poziomie i smaku kulturalnym,

w obyczaju i w chciwym materializmie wykazuje wszystkie cechy dorobkiewiczowskiego małomieszczństwa.

Oczywiście w tym mroku palą się światełka i nie brak pięknych wyjątków. Spójrzmy na *Więź* lub spójrzmy na ostatnią stronę *Tygodnika Powszechnego* z Kisielewskim, Kijowskim, Woroszyńskim, Spodkiem. Lecz fakt, że w całej prasie 33 milionowego narodu jest tylko jedna taka strona świadczy, że owa świetna kolumna reprezentuje *de facto* kulturę pogrobowców.

Andrzej Kijowski ma niewątpliwie rację wywodząc naszą ideę niepodległościową z romantyzmu. Romantykiem był Piłsudski, o czym może najlepiej świadczy motto „wybrane dla życia” z wiersza Słowackiego.

Polska dwudziestolecia była realizacją marzeń romantyków a 14-ty punkt Wilsona mógłby stanowić fragment Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa.

Lecz jest już czas podsumować nasze rozważania i wysnuć pewne wnioski.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej i komunistycznych rządów w Polsce — nawet i wówczas inteligencja po-szlachecka nie zdołałaby na dłuższą metę utrzymać swej elitarnej pozycji. Proces „nobiletowania” synów chłopskich i robotniczych poprzez patent uniwersytecki dobiegł kresu.

Komunizm wypaczył i opóźnił naturalną ewolucję. W demokratycznej Polsce młodzież chłopska i robotnicza stanowiłaby nie tylko większość na uniwersytetach lecz stanowiłaby również, w wieku dojrzałym, większość tych, którzy tworzą narodową kulturę. W warunkach swobodnego rozwoju powstałaby nowa inteligencja, która nie szukałaby „nobiletacji” — ponieważ byłaby świadoma swojego własnego, oryginalnego dorobku kulturalnego. Nie ulega wątpliwości, że owa nowa inteligencja formułowałaby odmiennie ideę państwowej niepodległości niż formułowała ją inteligencja wywodząca się w prostej linii z romantyzmu i z wielkiej emigracji.

Inaczej mówiąc, gdyby Polska niepodległa żyła i trwała nieprzerwanie od 1918 roku proces „mutacji elit” odbywałby się u nas stopniowo i ewolucyjnie — podobnie jak w państwach zachodnio-europejskich. Prawdopodobnie w roku 1973 nikt by już w Polsce nie mówił o inteligencji tylko o ludziach pracy. Termin „inteligencja” jako określenie warstwy społecznej wyszedłby z użycia. Kordian istnieje tylko w konfrontacji z Chamelem. Z chwilą gdy nie byłoby chamów — nie byłoby i Kordianów.

Komunizm zatrzymał normalną ewolucję społeczną. W rezultacie stale rosnące kadry inteligencji chłopskiego i robotniczego

po pochodzenia nie mają możliwości wypracowania własnego profilu kulturalnego.

Gdyby uznać moje kontakty i rozmowy za „badania opinii młodej inteligencji” — to należałoby stwierdzić, że najliczniejszą grupę stanowią młodzi ludzie na rozdrożu. Romantyczny program niepodległościowy (w najszerszym tego słowa znaczeniu) młodzi tej grupy uważają za „naftalinę”. Komunizmu nienawidzą i gardzą nim. Pragną się dorobić i przetrwać w możliwie komfortowych warunkach. Słowu „przetrwać” nadają zupełnie inny sens niż my. Dla nas „przetrwanie” implikuje oczekiwanie. Młodzi tej grupy niczego nie oczekują, ponieważ uważają, że niepodległość i demokracja „nie figurują w tabeli osiągnięć dwudziestego wieku”. W rozmowach podkreślali, że nie są „zawodowymi Polakami” jak my w *Kulturze* i wskutek tego sprawy bytowe interesują ich znacznie więcej niż polityka. To są często kulturalni, wykształceni ludzie, których interesuje Gombrowicz, Staliński, Kołakowski, Miłosz — lecz nie problematyka polityczna. Ich „credo” można streścić następująco. W sprawach ustroju i niepodległości nie można nic zrobić. Narażać się czy „wychylać” nie ma sensu. W istniejących warunkach w Kraju trzeba stworzyć sobie najpełniejsze życie w sensie materialnym i kulturalnym.

Socjologiczną cechą charakterystyczną dla tej grupy młodych jest brak poczucia lojalności wyższego szczebla. Odnoszą się z nieufnością zarówno do władz PRL jak i do instytucji emigracyjnych. Ideologię PRL uważają za propagandową blagę a ideologię emigracyjną za anachronizm.

Ci młodzi, choć sobie tego jasno nie uświadamiają, czekali zapewne na „autobus” normalnego społecznego rozwoju ich pokolenia. Lecz do przystanku gdzie startowali swoje życie ów „autobus” nigdy nie dotarł.

Powtarzam jeszcze raz. Normalny rozwój powinien być się wyrazić zmajoryzowaniem i wchłonięciem inteligencji starego typu przez inteligencję pochodzenia chłopsko-robotniczego. W prawidłowych warunkach proces ów nie oznaczałby konfrontacji tylko asymilację mniejszości przez większość. Pewne wartości wypracowane przez pokolenia inteligencji po-szlacheckiej stałyby się własnością całego narodu — choć inteligencja pojęta jako całość — miałaby charakter chłopsko-robotniczy. To byłaby prawdziwa Polska Ludowa.

Stało się inaczej ponieważ utrata niepodległości przedłużyła historyczną licencję inteligencji po-szlacheckiej z całym jej romantycznym bagażem.

Wszystko zależy od definicji. Jeżeli ktoś głosi tezę, że

przywrócenie Polsce choćby najskromniej zdefiniowanej niepodległości jest romantyzmem — to piszący te słowa jest zdeklarowanym romantykiem.

Powiedzenie Clausewitza, że polityka jest grą rzeczy możliwych, dotyczy metod i taktyki a nie celów. Był czas, że Niemcy składały się z 38 księstw i księstewek i zjednoczenie było nie tylko mrzonką lecz absurdem. A jednak Bismarck dokonał cudu zjednoczenia Niemiec.

Niepodległość Polski — skromnie lecz istotnie pojęta — nie jest mrzonką ponieważ jest koniecznością. To co jest niezbędnie konieczne wcześniej lub później staje się możliwe. Tylko wówczas gdyby większość narodu polskiego przestała odczuwać ów postulat za konieczny i niezbędny — niepodległość Polski stałaby się mrzonką pozbawioną wszelkiego realizmu.

Istotę współczesnego kryzysu inteligencji polskiej stanowi fakt, że chłopsko-robotnicza jej część wychowuje się i formuje na ideowej pustyni. Z drugiej strony pogrobowcy starszego i średniego pokolenia tak w Kraju jak i za granicą — mają mały związek z współczesnością, na którą patrzą z perspektywy wspomnień.

Nie pomniejszając wielkiego historycznego wkładu inteligencji pierwszej i drugiej emigracji oraz naszych licznych przyjaciół w Kraju — wydaje mi się oczywiste, że niepodległość i ustrój Polski, której nie doczekamy — będzie dziełem nowej inteligencji w przytłaczającym procencie pochodzenia chłopsko-robotniczego.

Lubię czasem przeglądać historię pierwszej wojny światowej A. J. P. Taylora. Patrząc na fotografię żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oglądam album „familijnych fotografii”. Wszystko niemal identyczne — te same hełmy, te same twarze, ta sama pozorna niedbałość i nonszalancja w geście i te same krzepkie ręce dzierzące karabin z tym samym beznadziejnie długim bagnetem, który w Sidi Bishr nazywaliśmy „śledziem”. Dosłownie tak samo wyglądali dwadzieścia kilka lat po walkach nad Sommą moi brytyjscy towarzysze broni w Palestynie, w Iraku, w Afryce. Jakby z martwych powstałi ze swych dalekich francuskich grobów by podjąć nową rozprawę z Niemcami.

Dwie końcowe refleksje. Pokolenia wymierają lecz narody trwają. Genetyczno-psychiczna konstytucja dziedziczona jest z pokolenia na pokolenie — dzięki czemu, mimo wszystkich przemian, Anglicy pozostają zawsze Anglikami a Polacy Polakami. Na szczęście czy na nieszczęście.

Młoda polska inteligencja chłopsko-robotnicza — choć dziś

do nas starych „kordianowskich” inteligentów mało podobna — za dwadzieścia kilka lat — choć my tego oglądać nie będziemy — znacznie się do nas upodobni. Aczkolwiek historia nie wyrównuje, to przecież niezmiernie łagodzi tzw. przepaść pokoleniową.

I refleksja druga. Patrząc na fotografię młodych żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą myślę, że ci synowie robotników i sklepikarzy — ci urodzeni praktycy — nie zdając sobie z tego sprawy walczyli i umierali na to, by punkty Wilsona — które według słów Kijowskiego realizowały sny romantyków — mogły stać się rzeczywistością.

Przewertujcie historię! Zawsze tak było. Sny romantyków urzeczywistniali realiści. Gdyby nie było romantyków — realiści nie mieliby czego urzeczywistniać.

Kultura Nr 1/304-2/305 (1973)

LEKCJA WIETNAMSKA DLA EUROPY

„Drogi Panie — albo jest Rosja słaba i zagrożona od Wschodu i wówczas nam nie zagraża, albo Rosja jest silna, zwarta i gotowa i wówczas nam zagraża. Na coś musi się Pan zdecydować. Nie może Pan natomiast w tym samym artykule twierdzić, że Rosja jest słaba wewnętrznie, zagrożona od Wschodu i równocześnie głosić, że wisi nad Europą jak miecz Damoklesa. Jeżeli Rosja jest słaba i zagrożona, nie jest — zgodnie z logiką — mieczem Damoklesa”.

Mój Czytelnik, którego fragment listu zacytowałem powyżej — w sprzeczności z logiką ma rację i nie ma racji.

Bertrand Russell, laureat Nobla — był znakomitym matematykiem i logikiem. Był również katastrofalnym politykiem. Może dlatego był katastrofalnym politykiem, że siłą nawyku usiłował stosować kryteria matematyczno-logiczne do tak irracjonalnej dziedziny działalności ludzkiej jak polityka.

Trzeba walczyć o to by busolą życia zbiorowego narodów była logika i racjonalizm. Nie wolno jednak zapominać, że polityka jest polem napięć i wybuchów, głęboko odczuwanych pasji, namiętności i ambicji.

Polityka jest pełna sprzeczności, ponieważ człowiek jest pełen sprzeczności. To co dzieje się w północnej Irlandii dla logicznie myślącego, obcego obserwatora jest kłębowiskiem absurdów. Problem polega na tym, że bardzo trudno jest myśleć logicznie o północnej Irlandii, gdy się jest rodowitym północnym Irlandczykiem zamieszkującym w Belfaście. Wówczas — czy ktoś chce czy nie chce — staje się ogniwem jednego z wielu irracjonalnych procesów, które wstrząsają społeczeństwem północno-irlandzkim. Ten nieszczęsny i piękny kraj przypomina mężom stanu, że polityka to nie tylko ekonomia i *prosperity*, lecz dążenia i namiętności dla których ludzie poświęcają życie i odbierają życie

innym. Jesteśmy niezmiernie daleko od fazy kiedy politykę będzie można powierzyć logicznie i beznamiętnie myślącym komputerom.

Lecz wróćmy do Rosji i Europy Zachodniej. Należałoby może powiedzieć, że zagrożenie sowieckie jest wtórne, ponieważ w pierwszej kolejności Europa zagraża sama sobie. EWG — w przeciwieństwie do Rosji i Ameryki, nie posiada żadnego „pogotowia kryzysowego”.

W Stanach Zjednoczonych prezydent i jego grupa bezpośrednich doradców — stanowią to pogotowie, które posiada władzę decydowania i działania w razie kryzysu. Widzieliśmy aparat prezydencki w akcji w kolejnych kryzysach koreańskim, kubańskim i wietnamskim.

EWG posiada, jak dotąd, cztery główne instytucje: Radę Ministrów, Komisję Europejską, Sąd i Parlament Europejski. Żadna z owych instytucji nawet w przybliżeniu nie pokrywa się z definicją „pogotowia kryzysowego”. Czy to oznacza, że EWG nie zagraża i nigdy nie będzie zagrażał żaden kryzys? Odpowiedź na to pytanie musi być negatywna. EWG — podobnie jak Stanom Zjednoczonym — każdej chwili może zagrozić kryzys. Natomiast różnica polega na tym, że Ameryka posiada „pogotowie kryzysowe” — natomiast EWG takiej aparatury nie posiada. To miałem na myśli twierdząc, że Europa zagraża sama sobie. Miasto, które nie posiada straży pożarnej nie tylko jest zagrożone pożarem, lecz stwarza realne niebezpieczeństwo pożaru.

Panowie w Brukseli odpowiedzialiby na to, że nam, tzn. EWG, — nie zagraża „pożar”. Nie mamy Korei czy Wietnamu — nie mamy baz militarnych rozrzuconych po całym świecie — krótko mówiąc nie prowadzimy polityki globalnej. Naszym celem jest ekspansja gospodarcza i handel i nic poza tym.

Na pewno nie zagraża nam kryzys typu wietnamskiego i prawdopodobnie nie zagraża nam wojna. Niestety nie wynika z powyższego, że nie zagrażają nam kryzysy innego rodzaju.

Technologia powoduje tak znaczne przyspieszenie tempa postępu we wszystkich dziedzinach, że znaczny procent ludzi odnosi wrażenie, że żyje nie w swojej epoce. Słowo „postęp” w tym kontekście nie ma charakteru kategorii wartości. Nie twierdząc, że postęp oznacza zmianę na lepsze czy na gorsze — twierdząc natomiast, że zmiany następują tak szybko, że wyprzedzają zdolność asymilacji społeczeństwa.

Jeden z psychologów amerykańskich wysunął projekt — w mojej opinii słuszny — że w szkołach należy wykładać nie tylko historię, tzn. naukę o przeszłości, lecz również alternatywną futurologię, która zaznajamiałaby młodzież z różnymi projekcjami

rozwojowymi przyszłości — tak by młodzi, gdy osiągną wiek dojrzały nie byli całkowicie zaskoczeni zmianą sytuacji.

Wybuchowy charakter postępu technologii powoduje kolejne przewroty w strategii militarnej, w organizowaniu produkcji przemysłowej, w komunikacji, w „inżynierii socjalnej” — nie mówiąc o biologii, medycynie itp. Suma owych przewrotów wyobcowuje nas z naszej własnej epoki, ponieważ do zasięgu i znaczenia owych przewrotów nie jesteśmy przygotowani.

Mamy dość przemian i rewolucji wszelkiego rodzaju i tu należy szukać nagłego i potężnego wzrostu konserwatyzmu w Ameryce, w Anglii i w innych krajach. Najbardziej popularnym hasłem jest: *law and order* — praworządność i ład. To jest reakcja na nieład a często chaos jaki powodują kolejne rewolucje technologiczne w różnych dziedzinach życia. Owe seryjne rewolucje powodują, że wiele instytucji staje się anachronizmami niezdolnymi do pełnienia swych tradycyjnych funkcji w zmienionych warunkach.

Wychowani i uwarunkowani historycznie a nie futurologicznie rozpatrujemy zawsze przyszłość w perspektywie historycznej. Mamy za sobą epokę niezmiernie bogatą w wydarzenia historyczne i historia przynęca nas w znacznie większym stopniu niż pokolenia uprzednie.

W przeszłości kryzysy społeczno-polityczne wyrażały się wojnami i rewolucjami. Można prowadzić technologicznie nowoczesną wojnę z krajem zapóźnionym w rozwoju przemysłowym. Przykładem takiej sytuacji był Wietnam. Lecz sytuacja uległaby całkowitej zmianie gdyby doszło do wojny pomiędzy dwoma supermocarstwami, tzn. pomiędzy Ameryką a Rosją.

Łatwo jest sobie wyobrazić rewolucję w jakimkolwiek kraju tak zwanego „Trzeciego Świata”. Lecz klasyczna rewolucja typu rewolucji październikowej — wydaje się wręcz nieprawdopodobna w krajach technologicznie wysoko zaawansowanych, jak Anglia czy Ameryka.

To wszystko nie oznacza, że super-mocarstwa i kraje technologicznie zaawansowane — jak Japonia — zdołały wytworzyć sytuacje bezkonfliktowe. W gruncie rzeczy istnieje współcześnie daleko więcej powodów do wojny niż w przeszłości i daleko więcej powodów do rewolucji niż w przeszłości. Pomiędzy Ameryką a Sowietami w momentach kryzysów nie doszło do wojny ponieważ w epoce nuklearnej wojna nie mieści się w swojej tradycyjnej historycznej definicji. Trzeba więc wynaleźć alternatywę wojny.

Klasy robotnicze w krajach wysoko uprzemysłowionych szukają alternatywy rewolucji, ponieważ rewolucja tradycyjna typu

październikowego w Zachodniej Europie nie spełniłaby swojego zadania.

Mówiąc o kryzysach, które w niedalekiej przyszłości mogą zagrozić EWG — mam na myśli kryzysy nowego rodzaju bez historycznych precedensów. Fakt, że wojna nuklearna jest mało prawdopodobna (ufajmy!) nie oznacza, że wkroczyliśmy w erę powszechnego pokoju. Fakt, że trudno sobie wyobrazić współczesnych robotników brytyjskich wieszających członków Izby Lordów na latarniach — nie oznacza, że brytyjska klasa robotnicza w błogostanie i pokoju będzie przypatrywała się biernie dalszemu rozwojowi wydarzeń. Zagrożają nam kryzysy tak wewnętrzne jak zewnętrzne lecz innego typu niż w przeszłości.

Lecz nim rozpatrzmy pewne alternatywy wojny i rewolucji chciałbym przedstawić Czytelnikom następujący problem. Jestem jak najbardziej za integracją Europy, tak w sensie gospodarczym jak politycznym i wojskowym. Niemniej, obiektywny analityk musi przyznać rację Rosjanom, którzy głoszą, że EWG jest formacją „zimnej wojny”. Nie można zaprzeczyć, że EWG powstała jako odpowiedź na hegemoniczną politykę sowiecką i równocześnie jako odpowiedź na supremację gospodarczo-handlową Ameryki.

Ameryka stanowi kontynent i odrębną część globu, którą w XIX-tym wieku łączyło „Nowym Światem” (*New World*). Lecz imperium sowieckie nie jest „Nowym Światem” i jego granica przebiega przez środek Berlina. Geograficznie, Rosja przed-uralska należy do Europy a Moskwa i Leningrad, tak historycznie jak i kulturalnie, są miastami europejskimi. Wspomniała literatura rosyjska XIX wieku była europejska — podobnie jak europejskimi kompozytorami byli Czajkowski czy Rachmaninow. Analogicznie, trudno by dziś zaliczyć Richtera czy Rostropowicza do muzyków azjatyckich. Dawid Oistrach — najświetniejszy współczesny odtwórca skrzypcowych koncertów Mozarta — jest kulturalnie stuprocentowym Europejczykiem.

A jednak owa europejskość Rosjan jest problematyczna i na tym polega... problem. Ów dziwny problem stanowi istotę „żelaznej kurtyny” — nie tylko tej, która przebiega dziś przez centrum Berlina lecz i tej, która przed pierwszą wojną światową przebiegała przez Michałowice, kilkanaście kilometrów od Krakowa.

Robert Kaiser i Dan Morgan w swych reportażach z Europy Wschodniej, które ukazały się w *The Guardian* w styczniu br. podkreślali, że Polacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni uważają się za Europejczyków. Cytowani autorzy dodali, że zachodni obserwator zwiedzający te kraje musi dojść do identycznego wniosku.

To są kraje europejskie.

Polacy, Węgrzy, Czesi są bezsprzecznie Europejczykami. Lecz kim są Rosjanie?

Kaiser i Morgan, którzy znają dokładnie Związek Sowiecki i Wschodnią Europę powiadają: Rosjanie są Rosjanami i to jest wszystko co o nich można powiedzieć.

Stalin nazywał się czasem Azjatą. Lecz Rosjanie nigdy nie identyfikowali się z Azją. Nie identyfikowali się również z Europą, którą uważają z jednej strony za symboliczny „owoc zakazany”, z drugiej strony za ojczyznę wszelkiej dekadencji i zgnilizny.

Kaiser i Morgan zauważyli, że granica polsko-sowiecka jest bardziej hermetyczna i lepiej strzeżona niż granica pomiędzy Węgrami a Austrią. Zauważyli również, że w czasie wizyty Nixona w Moskwie korespondenci prasy warszawskiej mieli znacznie trudniejszy dostęp do oficjalnych czynników sowieckich niż korespondenci amerykańscy.

Kaiser i Morgan zaobserwowali, że w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego — państwa satelickie zachowały ogromną różnorodność kulturalną a nawet gospodarczą. W ich opinii Bukareszt i Praga są bardziej różne niż Londyn i Mediolan.

Kaiser i Morgan dokonali również zdumiewającego „odkrycia”. Z licznych rozmów jakie przeprowadzili wysunęli wniosek, że Polacy, Węgrzy czy Rumuni nie czują się zagrożeni przez państwa NATO, tylko czują się zagrożeni przez Związek Sowiecki. Amerykanie potrzebowali dłuższego czasu dla zrobienia tego odkrycia, lecz go w końcu dokonali. (Obaj powyżej cytowani dziennikarze są korespondentami *Washington Post*).

Kaiser i Morgan kończą swój reportaż uwagą, że Rosjanie są całkowicie osamotnieni w swoim imperium, ponieważ nie identyfikują się ani z Azją ani z Europą a tylko wyłącznie ze Związkiem Sowieckim. Dodajmy od siebie, że i nie wszyscy Rosjanie identyfikują się ze Związkiem Sowieckim.

Żaden imperializm nie opierał się na zasadzie „równi z równymi” lecz narody imperialne, które osiągały sukces górowały zwykłe cywilizacyjnie i kulturalnie nad narodami podbitymi. Tak Rzymianie w starożytności jak i Anglicy w czasach nowożytnych górowali kulturą, ustrojem społecznym, technologią — nad narodami i szczepami, które włączyli w obręb swych imperiów.

Rosjanie zarówno za czasów carskich jak i obecnie odcinają się chińskim murem od Europy, nie tylko zachodniej lecz i wschodniej — ponieważ boją się Europy. Boją się Europy nie w sensie militarnym ani nawet nie w sensie ideologicznym tylko w sensie kulturalnym. Obawiają się, że prawdziwe zbliżenie zagroziłoby tym wartościom, które stanowią istotę rosyjskości.

Sowietyzm jest hodowcą i strażnikiem dawnego i głęboko zakorzenionego kompleksu niższości wobec Zachodu. Zbędne dodawać, że choć ów kompleks jest wytłumaczalny historycznie — dziś jest tylko neurozą, z której Rosjanie muszą się wyleczyć.

Pisaliśmy wielokrotnie na łamach *Kultury* o „europeizacji” Rosji. Istotą takiego uleczenia musiałoby być przełamanie wyżej cytowanej neurozy. Rosjanie boją się fikcji — ponieważ w normalnych warunkach naród rosyjski tworzyłby kulturę i technologię, które znakomicie wytrzymałyby porównanie z Zachodem. Zamiast „samizdatu” mielibyśmy wielką literaturę rosyjską — świetną muzykę rosyjską — a Leningrad i Moskwa stałyby się w przeciągu jednego pokolenia wielkimi centrami kultury europejskiej.

Tej wizji Rosjanie się boją. Ponieważ na skutek wielowiekowego kompleksu nie ufają własnemu potencjałowi kulturalnemu. Rosyjskość może być kultywowana tylko w izolacji, ponieważ obce wpływy przyniosłyby jej zagładę.

Amerykanie nie muszą identyfikować się ani z Europą ani z Azją ponieważ zagarnęli nowy kontynent, na którym stworzyli nowy naród. „Amerykanin” jest pojęciem konkretnym odpowiadającym rzeczywistości. „Człowiek Sowiecki” czy jak ktoś woli „Radziecki” — jest biurokratyczną zbitką. Nie ma „ludzi radzieckich” tak jak nie było „ludzi austriackich”. Byli natomiast obywatele austriaccy różnych narodowości.

Rosjanie weszli do Europy i Europa będzie na nich coraz silniej oddziaływała. Kulturalnie z Europą „przegrają”. Oczywiście procesy tego typu są powolne i nie mogą stanowić podstawy dla spekulacji obejmujących najbliższą przyszłość.

W chwili obecnej istnieją na kontynencie dwa przeciwstawne bloki wojskowe, które Rosja — po wszystkich konferencjach rozbrojeniowych i europejskiego bezpieczeństwa — pragnęłaby zlikwidować na zasadzie wzajemności. Innymi słowy równocześnie rozwiązaniu uległby Pakt Warszawski i NATO.

W zmodyfikowanej formie mogłaby to być propozycja do dyskusji. Po rozwiązaniu NATO, EWG przestałaby być formacją „zimno-wojenną”. Z chwilą gdy EWG przestałaby być konstrukcją „zimno-wojenną” — Moskwa nie mogłaby w zasadzie wyśnuwać żadnych zastrzeżeń w sprawie przystąpienia do EWG Polski, Węgier czy Rumunii.

Likwidacja obu „zimno-wojennych” paktów wojskowych miałyby tylko wówczas sens, gdyby otwierała drogę do pełniejszej integracji Europy. Oba cytowane paktory strzegą nienaruszalności „żelaznej kurtyny”. Jeżeli po likwidacji tych paktów „żelazna kurtyna” miałaby pozostać nadal nienaruszalna — likwidacja

paktów nie miałyby ani celu ani sensu. Należałoby to Rosjanom jasno i otwarcie powiedzieć.

Angielskie przysłowie mówi, że nie można mieć ciastka i równocześnie go zjeść. Trzeba zdecydować się na jedno albo drugie. „Żelazna kurtyna” stanowi istotę „zimnej wojny”. Nie można likwidować olbrzymiej aparatury „zimno-wojennej” z NATO i Paktem Warszawskim włącznie i równocześnie zatrzymać „żelazną kurtynę”. Albo likwidujemy „zimną wojnę” z „żelazną kurtyną” włącznie — albo wszystko pozostaje po staremu. „Zimna wojna”, której Pakt Warszawski i NATO są instrumentami, jest — jak każda wojna — stosunkiem dwustronnym. Nie może być zlikwidowana jednostronnie.



Powieści i filmy futurologiczne, czyli tzw. *science fiction* cieszą się zarówno w Ameryce jak i w Europie wielkim powodzeniem. Znaczny procent wynalazków i wydarzeń przepowiedzianych przez autorów *science fiction* sprawdził się. Statki kosmiczne i lądowanie na księżycu stanowią klasyczną ilustrację w tej sprawie.

Jeden z astronautów ostatniej misji na księżyc ujął w jednym zdaniu wynik tych ekspedycji: „Dowiedliśmy, że to, co jest niemal niemożliwe — jest możliwe”.

Science fiction nie przedstawia sytuacji absurda, ale przedstawia to, co dzisiaj niemal niemożliwe, lecz może być za 50 lat będzie możliwe.

Przed kilku tygodniami oglądałem na telewizji amerykański film z serii *science fiction*, w którym czołową rolę odgrywało nieznane supermocarstwo o nazwie *Europe People's Republic* (Europejska Republika Ludowa). „Niemożliwe” — czyli w gruncie rzeczy możliwe?

Fakt, że amerykański autor i reżyser stworzyli tego typu *science fiction* dowodzi, że w umysłowości Amerykanów „Europejska Republika Ludowa” — choć niemal niemożliwa, jak lądowanie człowieka na Wenus — leży jednak w granicach przyszłych możliwości. Nie jest pewne czy kiedyś wylądujemy na Wenus i nie jest pewne czy powstanie „Europejska Republika Ludowa” — lecz tak pierwszy jak i drugi projekt mieszczą się w granicach futurologicznych alternatyw.

Porzućmy jednak *science fiction* i posłuchajmy co na zbliżony temat ma do powiedzenia dyrektor Brytyjskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, Andrew Schoenfield, który w grudniu ub.

roku w ramach tzw. *Reith Lectures* wygłosił sześć wykładów dotyczących polityki EWG.

Schoenfield rozpatrując możliwości kryzysu przytacza następujący wymaginowany przykład. We Włoszech partia chrześcijańsko-demokratyczna, która stanowiła podstawę wszystkich rządów od czasu wojny — uległa rozłamowi lub znacznemu osłabieniu. Równocześnie komuniści, którzy w każdych wyborach zdobywają jedną czwartą oddanych głosów — wybitnie wzmacniają swoją pozycję. Powstaje rząd lewicowy w którym komuniści odgrywają poważną rolę. Następuje polaryzacja życia politycznego i w rezultacie dochodzi do gwałtownych starć i zaburzeń w miastach włoskich. Na ulicach toczą się walki pomiędzy członkami organizacji lewicowych i prawicowych. Rząd w którym większość stanowią komuniści ogłasza stan wyjątkowy i zawiesza konstytucję na czas nieograniczony. Tak oto, bez rewolucji, w sposób legalny, względnie semi-legalny zostałyby ustanowione w ramach EWG państwo komunistyczne.

Europejska Wspólnota Gospodarcza byłaby bezsilna w obliczu kryzysu tej miary.

Schoenfield pomija przesłankę, która w mojej opinii posiada wielką wagę. Osiągnęliśmy punkt rozwojowy, który oznacza, że ustanowienie rządu komunistycznego drogą „alternatywnej rewolucji” w jednym lub w kilku państwach EWG posiada większy stopień prawdopodobieństwa niż ustanowienie drogą „alternatywnej rewolucji” ustroju demokratycznego w jednym z państw satelickich we Wschodniej Europie.

Wydaje mi się jednak, że Sowiety nie przywiązują większej wagi do ewentualnych rewolucji w Europie Zachodniej. Moskwa nie ufa komunistom włoskim, francuskim czy brytyjskim. Sowiety swoje plany opierają na *power politics* a nie na ideologii. Gdyby kiedyś — co nie daj Boże — doszło do ustanowienia rządu komunistycznego we Włoszech — Kreml nie byłby zainteresowany włoskimi kołchozami czy PGR-ami, tylko domagałby się baz morskich dla swoich okrętów wojennych.

Włosi dopłacają do baz NATO na Malcie, ponieważ obawiają się, że w razie zerwania kontraktu z rządem maltańskim musieliby udzielić gościny we własnym kraju bazom amerykańskim i brytyjskim. Oczywiście spowodowałyby to gwałtowne protesty i demonstracje ze strony potężnej włoskiej partii komunistycznej.

Czy w sytuacji odwrotnej — protest nie-komunistycznych partii i organizacji uniemożliwiłby komunistycznemu rządowi włoskiemu udzielenie gościny sowieckim bazom wojskowym trudno przewidzieć. Skłonny jestem przypuszczać, że Sowiety uzyskałyby bazy. Nie jest jednak wykluczone, że Moskwa w póź-

niejszej fazie zrezygnowałaby z baz i narzuciła Włochom status neutralny. Wiele wskazuje na to, że dalekofalowym celem Sowietów jest neutralizacja całego obszaru EWG a nie rewolucje, które przysporzyłyby Moskwie więcej kłopotu niż korzyści. EWG rozbrojona, bez baz NATO i wojsk amerykańskich, lecz prężna gospodarczo i powiązana szeregiem korzystnych układów ekonomicznych z Sowietami — odpowiadałaby Moskwie znacznie bardziej, niż nowe ugrupowanie komunistycznych państw semi-satelickich z których każde zgłaszałoby głośno prawo do własnej drogi do socjalizmu.

Swojego czasu wysuwaliśmy projekt pasa neutralnego, który obejmowałby państwa Wschodniej Europy. Na emigracji ów pomysł skrytykowano w myśl zasady: wszystko albo nic. Osobiście uważam i dziś, że status neutralny jest niepomrotnie korzystniejszy niż status satelicki. Austria jest w znacznie lepszej sytuacji niż Polska czy Czechosłowacja. O ile jednak neutralizacja czy finlandyzacja dla Polski czy Czechosłowacji oznaczałaby zmianę na lepsze — o tyle neutralizacja Europy Zachodniej oznaczałaby degradację i wstęp do klęski. Ze statusu neutralnego nie przyszłoby Polsce nic gdyby równocześnie neutralizacji uległa cała Europa Zachodnia.

W związku z powyższymi możliwościami nie wszyscy zdają sobie sprawę z istoty roli wojsk amerykańskich na kontynencie. Obecność tych wojsk posiada poważniejszy wydźwięk polityczny niż czysto wojskowy. Podstawowym warunkiem zneutralizowania Europy Zachodniej jest ewakuacja wojsk amerykańskich z kontynentu. Problem należy sformułować następująco. Nie jest pewne czy nawet po ewakuacji Amerykanów powiedzie się Rosji dokonać finlandyzacji Europy Zachodniej. Natomiast jest stuprocentowo pewne, że obecność wojsk i baz amerykańskich na kontynencie czyni wszelki zamysł finlandyzacji czy neutralizacji Europy nierealną mrzonką. Wniosek stąd prosty, że ewakuacja Amerykanów musi być pierwszym postulatem w polityce zmierzającej do ewentualnej neutralizacji Europy Zachodniej.

Jak wiadomo Francuzi są przeciwnikami MBFR (wzajemne, zrównoważone redukcje sił zbrojnych) — jak również są przeciwnikami bilateralizmu, tzn. układów pomiędzy super-mocarstwami, które wiązałyby nie tylko Sowiety i Stany Zjednoczone lecz również państwa NATO i Paktu Warszawskiego.

Francuzi proponują zamrożenie istniejących sił po obu stronach „żelaznej kurtyny”. Owemu zamrożeniu podlegałyby oczywiście również wojska i bazy amerykańskie w Europie Zachodniej.

Amerykanie na to odpowiadają, że MBFR byłyby pożyteczne ponieważ, gdyby na skutek negocjacji podpisano nowy układ

zapewniający obecność wojsk amerykańskich na kontynencie choćby w znacznie uszczuplonej formie — Kongres nie mógłby podjąć jednostronnej decyzji drastycznych redukcji czy całkowitej ewakuacji wojsk amerykańskich w Europie.

Dwa punkty można uznać za pewniki. Na dłuższą metę nie zatrzymamy wojsk i baz amerykańskich wbrew woli Kongresu. I punkt drugi. Rosjanie dołożą wszelkich starań i gotowi będą zapłacić wysoką cenę, by pozbyć się Amerykanów z Europy.

W chwili gdy ostatni żołnierz amerykański opuści kontynent, choć pozornie nic się nie zmieni — status EWG ulegnie dramatycznej przemianie. Przywódcy sowieccy będą wówczas wiedzieli, że szantaż czy nawet lokalna interwencja zbrojna nie spowodują konfrontacji sowiecko-amerykańskiej a tym samym w kontekście polityki globalnej częściowa inwazja EWG byłaby operacją „niskiego profilu” jak wojna w Wietnamie.

Jeden z polityków niemieckich (Straus?) powiedział kiedyś, że Niemcy zachodnie są gospodarczym gigantem i politycznym karłem. To samo można powiedzieć o Europie Zachodniej. EWG jest gospodarczym gigantem i polityczno-militarnym karłem.

Mówiąc o finlandyzacji EWG nie wyobrażam sobie, że eurokraci w Brukseli któregoś dnia uchwalą status neutralny dla Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nie będzie potrzeba niczego uchylać ani niczego ogłaszać. Finlandyzacja jest stanem faktycznym a nie statusem prawnym w sensie norm prawa międzynarodowego. Jeżeli nie zdołamy zatrzymać Amerykanów na kontynencie do czasu kiedy EWG zechce i potrafi się dozbroić — finlandyzacja Europy Zachodniej jest nieuchronna.

Być może, że powiedzie się nam zatrzymać choćby znacznie zredukowane oddziały wojsk amerykańskich przez następne trzy czy cztery lata. Lecz czy EWG podejmie poważniejszy wysiłek w celu wzmocnienia swego potencjału militarnego — tego nie wiemy.



W końcowych uwagach, które pokrywają się z tytułem niniejszego artykułu — pragnąłbym przeanalizować wpływ wojny wietnamskiej na sytuację w Europie.

Wojna w Wietnamie utrwali w społeczeństwie amerykańskim przekonanie, że Stany Zjednoczone nie powinny angażować się w jakiegokolwiek wojnie zamorskiej. To jest wniosek ogólny. Kampania wietnamska dostarcza jednak również podstaw do wydedukowania kilku wniosków szczegółowych.

Nawet tak długotrwała i krwawa wojna jak w Wietnamie nie prowadzi do bezpośredniej konfrontacji zbrojnej super-mocarstw

jeżeli zachowane są pewne warunki. Gdyby w Wietnamie północnym stacjonowała choćby niewielka armia sowiecka — Amerykanie mieliby do wyboru albo walczyć wyłącznie rękami południowych Wietnamczyków, albo zaangażować w akcji własne wojska i ryzykować wówczas totalną wojnę amerykańsko-sowiecką.

Przykład wietnamski zdaje się wskazywać, że tak Ameryka jak i Sowiety, gotowe są angażować swoje armie tylko tam, gdzie nie ma ryzyka bezpośredniej konfrontacji obu super-mocarstw. Ewakuacja Amerykanów z Europy umożliwiłaby Rosjanom szantaż czy nawet interwencję zbrojną bez ryzykowania zbrojnej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi.

Przykład Wietnamu dowodzi również, że super-mocarstwo „A” nie zaryzykuje wojny z super-mocarstwem „B” tylko w tym celu, by pospieszyć z pomocą swojemu sojusznikowi. Kapitałistyczne super-mocarstwo zaminowało porty państwa komunistycznego. Byłoby naturalne gdyby Moskwa wysłała notę do Waszyngtonu z żądaniem odminowania portów zaznaczając, że w braku pozytywnej reakcji ze strony Amerykanów, wojenna flota sowiecka odminuje te porty. Jak wiadomo nic podobnego się nie stało.

Gdy w roku 1956 Budapeszt dogorywał, na niebie węgierskim nie pojawił się ani jeden samolot amerykański. Gdy w końcu grudnia 1972 Amerykanie poddali Hanoi najcięższemu bombardowaniu znanemu w dziejach — na niebie Wietnamu nie pojawiła się ani jedna eskadra lotnictwa sowieckiego.

Wojny lokalne, gdy zachowane są pewne warunki, nie zagrażają pokojowi. Przez „pokój” Moskwa i Waszyngton rozumieją pokój pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. W ramach tego „pokoju” możliwe jest zbombardowanie Budapesztu czy Hanoi a w przyszłości innych miast w Azji czy w Europie.

Jak widzimy istnieją dwa typy pokoju. Pokój dla super-mocarstw, który musi być zachowany, i pokój dla państw drugiej klasy, który każdej chwili może być zerwany, pod warunkiem, że oba super-mocarstwa przestrzegają pewnych konwencji.

Przyłączenie zachodniego Berlina do NRD czy inna akcja tego typu — nie musi prowadzić do wojny, jeżeli w Europie zostaną stworzone warunki umożliwiające zachowanie pokoju pomiędzy obu super-mocarstwami. Całkowita ewakuacja Amerykanów z Europy uczyniłaby z EWG zespół państw drugiej klasy, które — podobnie jak oba Wietnamy — nawet w razie zbrojnego konfliktu nie zagrażają pokojowi światowemu, ponieważ pokojowi

światowemu zagrozić może tylko konfrontacja zbrojna sowiecko-amerykańska.

The Guardian ogłosił artykuł (w pierwszej dekadzie stycznia bież. roku) pod tytułem: „Po Wietnamie — kto będzie bronił Europy?”.

Liberałowie — podobnie jak pewni marksiści — dbają przede wszystkim o czystość doktryny.

Nie jestem konserwatystą, lecz uważam, że premier Heath wykazał odwagę wprowadzając niemal socjalistyczną aparaturę kontroli cen i płac w celu zahamowania inflacji. Oczywiście popadł w jaskrawą sprzeczność z tym co głosił w swojej platformie wyborczej. Lecz co jest obowiązkiem polityka — czy nie popadać nigdy w sprzeczność, czy wskazywać realną drogę wyjścia nawet za cenę popadnięcia w sprzeczność?

Wierność doktrynie chroni polityka przed popadaniem w sprzeczność lecz równocześnie uniemożliwia mu stosowanie rozwiązań pragmatycznych, które wynikają z oceny każdorazowej sytuacji a nie z ideologicznych założeń doktrynalnych.

Podobnie jak redaktorzy *The Guardian* jestem zachodnio-europejskim liberałem. Lecz w stosunku do zbrojeń atomowych EWG zmieniłem pogląd w znacznej mierze na skutek wojny w Wietnamie.

Amerykanie i Rosjanie nie skoczyli sobie do gardła, ponieważ są uzbrojeni atomowo. Faktem jest, że jedynym realnym gwarantem pokoju są bronie atomowe. Pragmatyzm polega na tym, że faktem przyznaje się pierwszeństwo przed ideologią czy doktryną.

Przeciwnicy zbrojeń atomowych wysuwają zawsze argument, że nawet gdyby Stany Zjednoczone wycofały swoje wojska z Europy — chronieni będziemy nadal amerykańskim „parasolem atomowym”.

W grudniu ub. roku prezydent Nixon nie radząc się dosłownie nikogo wydał rozkaz intensywnego bombardowania Hanoi. W owym okresie prezydent od półtora miesiąca nie zwoływał posiedzeń swojego gabinetu i nie kontaktował się ani z Kongresem ani z prasą. Do grudnia ub. roku żaden z prezydentów USA nie zademonstrował w ten sposób swojej samodzielności. Prezydent zlekceważył zarówno burzę w Kongresie jak i burzę w prasie światowej. Dyplomacja à la Kissinger jest ściśle tajna i nikt nie wiedział jakimi przesłankami kierował się prezydent wydając rozkaz bombardowania Hanoi.

Zachowanie się prezydenta USA w grudniu ub. roku zawiera dla zachodniej Europy znamiennej lekcję. Rozwinięcie w danym momencie „atomowego parasola” — co stanowić może o życiu

lub śmierci Europy — zależeć będzie wyłącznie i dosłownie od decyzji jednego człowieka. Wystarczy porównać sylwetkę Nixona z senatorem McGovern'em, by zdać sobie sprawę jak różnymi ludźmi mogą być prezydenci Stanów Zjednoczonych.

Faktem jest, że prezydent USA może nie otworzyć „parasola atomowego” wbrew opinii Kongresu, Gabinetu, Rady Obrony, NATO i prasy całego świata. Konstytucyjnie nikt nie może go zmusić do podjęcia takiej decyzji i tylko prezydent jako naczelny zwierzchnik sił zbrojnych może nacisnąć lub nie nacisnąć odpowiedni guzik w czarnej walizeczce, która mu towarzyszy wszędzie gdzie podróżuje.

W sumie należy stwierdzić, że Europejska Wspólnota Gospodarcza nie jest przygotowana do stawienia czoła kryzysowi ani zewnętrznemu ani wewnętrznemu. Wyłączając Stany Zjednoczone — EWG stanowi klub 9 najbogatszych państw świata. Byłoby nas stać stworzyć w obrębie dekady poważny odstraszak atomowy.

Stopa życiowa przeciętnego Chińczyka jest nieporównywalnie niższa od stopy życiowej przeciętnego obywatela EWG. Niemniej Chińczycy z uporem i wytrwałością budują swój potencjał nuklearny i, jak doniosła prasa amerykańska, w zasięgu ich pocisków atomowych w roku 1975 znajdzie się Waszyngton i Tokio. Moskwa już dziś znajduje się w promieniu ich broni nuklearnych. Lecz Chińczycy w przeciwieństwie do EWG są zjednoczeni. My natomiast chorujemy na naszą historyczną europejską chorobę nacjonalizmów i przebrzmiałych ambicji, które wywodzą się z imperialnych tradycji, po których nie pozostało ani śladu ani popiołu. Cierpimy na nadmiar poczucia historycznego i na niebezpieczny niedowład poczucia rzeczywistości.

Na pytanie dlaczego musimy się zjednoczyć, uładzić i uzbroić — odpowiedź jest prosta. Choć zjednoczenie przychodzi nam opornie musimy się zjednoczyć i uzbroić ponieważ tym razem nikt nas nie będzie wyzwał. Dosłownie nikt. Stany Zjednoczone w przymierzu z Japonią i w dobrych stosunkach z Chinami mogą spokojnie pogodzić się z finlandyzacją Europy zachowując globalną równowagę sił. Niezależna Europa Zachodnia potrzebna jest tylko Europejczykom — nie Amerykanom.

Kultura Nr 3/306 (1973)

FUTUROLOGIA CHIN

Jeden z dziennikarzy amerykańskich, który towarzyszył Kissingerowi w jego ostatniej podróży do Pekinu zauważył co następuje: Rosjanie są gotowi do drobnych ustępstw w sporze terytorialno-granicznym. Z całą pewnością pragną pokojowego zakończenia sporu, i choć utrzymują poważne siły na granicy — nie przygotowują wojny przeciwko Chinom. Czym więc należy tłumaczyć nieprzejednany anty-sowietyzm Chińczyków? Breżniew oświadczył Kissingerowi, że „jako Europejczyk nie rozumie Chińczyków”.

Szarada chińsko-sowiecka zawiera niewiadomą, która unie-możliwia klasyczne rozwiązanie. Amerykańscy dziennikarze sądzą, że Chińczycy wiedzą coś, czego my nie wiemy.

W prasie światowej spotykałem podobne opinie, które można streścić następująco: to co wiemy o sporze chińsko-rosyjskim nie wyjaśnia w pełni reakcji Chińczyków. Albo ów spór zawiera element, względnie elementy nam nieznane — albo Chińczycy w swej reakcji przesadzają.

W mojej opinii Chińczycy ani nie przesadzają ani nie kryją przed nami żadnego z elementów swojego sporu z Sowietami. To nie Chińczycy przesadzają tylko Amerykanie „nie dosadzają” znaczenia sporu, ponieważ Chiny a nie Stany Zjednoczone posiadają najdłuższą lądową granicę z Sowietami.

Kissinger, w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi agencji CBS, wypowiedział mądrą i godną zapamiętania sentencję: „Jeżeli posiada się możliwość wyboru nie należy niepodległości (własnego) państwa uzależniać od dobrej woli drugiego państwa. Bronie atomowe umożliwiają samodzielne kierowanie losem własnego państwa”.

W nawiasach dodam, że powyższa sentencja winna być wypisana literami dwu-metrowej wielkości na frontonie gmachu Komisji Europejskiej w Brukseli.

Polska w obecnej sytuacji nie ma wyboru lecz EWG może wybierać pomiędzy bezpieczeństwem opartym na „dobrej woli” Sowietów a bezpieczeństwem opartym na własnym potencjale siły.

Sentencja Kissingera przytoczona powyżej stanowi również klucz do zrozumienia polityki Chin.

Chiny doświadczyły na własnej skórze co to znaczy opierać swoje bezpieczeństwo i gospodarkę na dobrej woli sąsiada. Sowiety wycofały pewnego dnia z Chin 1.390 ekspertów, podały 343 kontrakty, na przestrzeni miesiąca zlikwidowały 257 naukowych i technologicznych projektów. Sowieccy inżynierowie i rzeczoznawcy zajmowali kluczowe stanowiska w setkach wielkich zakładów przemysłowych i rolniczych. Setki kopalń i fabryk zawiesiło produkcję — setki zakładów przemysłowych, będących w budowie, zamknięto, ponieważ sowieccy eksperci zabrali ze sobą wszystkie plany konstrukcyjne i całą dokumentację.

Pięcioletni plan gospodarczy leżał w gruzach a straty szły w setki milionów. Lecz dopiero dziś — na podstawie najnowszych analiz — można stwierdzić, że straty gospodarcze nie stanowiły istoty klęski. Istotą klęski był ogólnonarodowy szok. Chińczycy przeżyli klęskę, której nie tylko nie spodziewali się, ale uważali ją za całkowicie wykluczoną. Wierzyli niezachwianie i pryncypialnie, że klęskę mogą im zadać imperialiści i kapitałiści, lecz uważali za wykluczone, by mogło ich spotkać coś złego z rąk towarzyszy komunistów.

Jak wiemy nie było nigdy przyjaźni pomiędzy Chinami a Rosją. Lecz Chińczycy Związku Sowieckiego nie uważali za Rosję a ludzi sowieckich nie uważali za Rosjan tylko za braci komunistów.

Wschodnim Europejczykom, wychowanym na często prostackiej antykomunistycznej propagandzie — przychodzi niezmiernie trudno uwierzyć, że większość Chińczyków traktuje marksizm-leninizm w wydaniu Mao Tse-tunga ze śmiertelną powagą i niezachwianą wiarą. Lecz istotnie tak jest i nie mam podstawy do odrzucenia świadectw zachodnich, nie-komunistycznych autorów, którzy znają Chiny z własnych wieloletnich doświadczeń.

Nie czuję się powołany do wypowiedzania kwalifikującego sądu o tak niebanalnej postaci jak Mao Tse-tung. Wydaje mi się jednak, że można uznać za pewne, że jest to człowiek znacznie większego kalibru niż Breżniew — nie mówiąc o galerii przeciwników jak Gierek, Kadar czy Husak.

Gdyby w naprężonej sytuacji czołgi sowieckie któregoś dnia przekroczyły granice Polski — Polacy w Kraju i za granicą zawyrokowałiby zgodnym chórem: po „sojusznikach” sowieckich

niczego innego nie można było się spodziewać. Czy Polacy stawiliby opór czy nie stawiliby oporu — to jest inny problem. W każdym wypadku inwazja nie byłaby kryzysem zaufania i załamaniem się przyjaźni polsko-sowieckiej — ponieważ Polacy, jako naród, nie mają i nigdy nie mieli cienia zaufania do Sowietów.

Chiny nie były „wyzwolone” przez armię sowiecką jak Polska — komunizm został w Chinach ustanowiony w wyniku wojny domowej, którą wygrał Mao Tse-tung i jego zwolennicy. Mao nie przyjechał do Pekinu z „komitetem lubelskim”, lecz był czołowym przywódcą chińskiej partii komunistycznej od roku 1927.

Czang Kai-szek nigdy nie był zjednoczycielem Chin, za jakiego mylnie uważali go Churchill i Roosevelt. W rzeczywistości problem sprowadzał się do pytania czy Czang Kai-szek zdoła się utrzymać w południowych Chinach — czy też komuniści opadną cały kraj. Według ocen specjalistów, Czang Kai-szek w roku 1945 posiadał trzykrotnie większą armię niż Mao. Posiadał również lotnictwo, ciężką artylerię i marynarkę, czego komuniści nie mieli. Mimo tej przewagi Czang Kai-szek nie miał żadnej szansy zjednoczenia Chin. Zjednoczyć Chiny pod sztandarem nacjonalistycznym mogli tylko Amerykanie ryzykując wojnę z Sowietami.

Polak czyta z uśmiechem pobłażania cytowane w reportażach zachodnich wypowiedzi Chińczyków w rodzaju: „zdradzili nasze zaufanie — pohańbili proletariacki internacjonalizm i dlatego już nigdy nie będziemy mogli im zaufać”.

Nie powinniśmy się pobłażliwie uśmiechać, ponieważ, choć słowa są te same, komunizm i Sowiety, problem Chin jest całkowicie odmienny niż nasz. Polacy muszą zrozumieć i przyswoić sobie następujący aksjomat: Chiny są dziś najpotężniejszym sąsiadem naszego najpotężniejszego sąsiada. Choć w przeszłości tak nie było — Chiny stanowią obecnie ważny element polskiej sytuacji i znaczenie Chin w polskiej perspektywie politycznej będzie wzrastać a nie maleć. Skłaniam się również do poglądu, że za 50 lat od dziś historycy będą mieli podstawy do stwierdzenia, że podarcie owych 343 kontraktów — było jednym z kapitalnych błędów politycznych Związku Sowieckiego.

Chińczycy, tzn. chińscy komuniści, od Mao Tse-tunga i Czu En-lai zaczawszy a na najniższym funkcjonariuszu partyjnym skończywszy, są głęboko i szczerze przekonani, że Rosjanie dokonali w stosunku do Chin podwójnej zdrady. Zdradzili Chińczyków jako towarzysze komuniści, łamiąc podstawowe zasady marksistowskiego internacjonalizmu oraz zdradzili Chiny jako

sąsiedzi, poświęcają na ołtarzu wielko-rosyjskiego imperializmu zasady sąsiedzkiej współpracy, która winna być oparta na uznaniu suwerenności i nie interferencji w sprawy wewnętrzne ościennych państw. Tak oto Rosjanie przestali być ideowymi komunistami i stali się „soc-imperialistami”.

Wielu znawców uważa, że Chiny są z natury państwem statycznym zorientowanym dośrodkowo i że Pekin pragnie jedynie przyłączyć do macierzy ziemie, które należały do Chin, jak Tybet, Formoza czy terytoria utracone na rzecz Rosji w rezultacie tzw. wymuszonych traktatów.

Wydaje mi się, że powyższy pogląd odpowiada prawdzie. Lecz równie prawdziwy wydaje mi się pogląd, że Chiny czy chcą czy nie chcą — muszą prowadzić politykę globalną, ponieważ Sowiety prowadzą politykę globalną. Ta ostatnia sprawa, że posunięcia pozornie niczym nie związane z Chinami — *de facto* ściśle wiążą się z sowiecką polityką w stosunku do Chin.

Weźmy przykład. Jak wiemy Sowiety okupują kilka wysp japońskich od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Moskwa szuka zbliżenia z Tokio — tym bardziej, że przemysł japoński ma wiele do zaoferowania Sowiетom. W ramach polityki globalnej leży w interesie Moskwy maksymalna poprawa stosunków z Japonią — ponieważ Japonia jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i ważnym elementem w polityce Pekinu.

Japończycy powtarzają Sowiетom: oddajcie nam nasze wyspy, ponieważ taki gest zjedna wam opinię społeczeństwa japońskiego. Japonia jest mała i przeludniona. Związek Sowiecki jest olbrzymi i na wielu przestrzeniach słabo zaludniony. Wyspy, o których mowa, dla Sowiетów nie przedstawiają żadnej wartości — natomiast, dopóki są okupowane, przypominają Japończykom najbardziej sromotną klęskę w ich dziejach.

Czy więc Rosjanie nie chcą poprawić stosunków z Japonią?

Rosjanie pragną zjednać sobie Japończyków... ale jak wyznali w poufnych rozmowach boją się, że zwrot owych wysp dostarczy Chinom nowego argumentu w sporze terytorialnym chińsko-sowieckim. Chińczycy głoszą tezę że soc-imperialiści sowieccy winni się wycofać ze wszystkich zrabowanych przez Rosję obszarów i głośno popierają roszczenia rewindykacyjne Japonii.

Gdybyśmy oddali wam wasze wyspy — powiadają Rosjanie — Chińczycy argumentowaliby, że na tej samej zasadzie winniśmy oddać Chinom setki tysięcy kilometrów kwadratowych, które uzyskała carska Rosja drogą tzw. wymuszonych traktatów.

Japończykom nie trafia do przekonania powyższa interpretacja. Cytowane wyspy uwypuklają paradoksy globalnej polityki.

Rosjanie boją się choćby luźnego zgrupowania: Stany Zjedno-

czne, Japonia, Chiny. Pragnęliby zjednać sobie Japonię, by nie dopuścić nawet do cienia możliwości tego typu ugrupowania. Innymi słowy, kokietują Japonię by zaszachować Chiny. Równocześnie nie mogą oddać Japończykom ich wysp, ponieważ choć zwracając wyspy poprawiliby swe stosunki z Japonią — wzmocniliby równocześnie przetargową pozycję Chin.

Nie interesują nas w tym artykule wyspy japońskie okupowane przez Sowiety ani w ogóle żadne inne wyspy. Chciałem tylko wykazać na tym przykładzie, że dla Chin nie ma ucieczki przed polityką globalną, ponieważ tak Rosja jak i Ameryka prowadzą polityki globalne. Należy wierzyć w szczerość Chińczyków gdy mówią, że nie chcą statusu super-mocarstwa. Gdyby mieli wybór, Chińczycy odciełliby się od świata przysłowiowym chińskim murem i kultywowali w izolacji od obcych wpływów swą kulturę i modłę życia. Chiny są tak olbrzymie i tak odrębne w swej historyczno-kulturalnej genezie, że każdemu zagadnieniu chińskiemu można nadać wymiar uniwersalny. To stanowi podstawę filozofii Mao Tse-tunga, który głosi, że problem który nie ma znaczenia uniwersalnego nie jest problemem.

Nie podejmuję się dać odpowiedzi na wysuwane przez wielu pytanie czy Chiny ulegną „japonizacji”. Przez „japonizację” należy rozumieć w tym kontekście intensywne uprzemysłowienie i urbanizację na wzór Japonii. Skłonny jestem przypuszczać, że model przemysłowy japoński nie przyjmie się w Chinach. Nowe miasta i ośrodki przemysłowe w Chinach budowane są jako dodatek do komun wiejskich a nie odwrotnie. Chińczycy pragną za wszelką cenę uniknąć plag urbanizacji — których wymownymi ilustracjami są takie miasta jak Nowy Jork, San Francisco czy Tokio.

Nim przejdziemy do dalszej analizy należy podkreślić dwa punkty. Chiny obiektywnie rzecz biorąc należą do koncertu super-mocarstw i mogłyby się wycofać z polityki globalnej tylko za cenę uzgodnienia swych stosunków z Sowietami na warunkach Kremla — co byłoby równoznaczne z przyjęciem statusu semi-satelickiego.

Punkt drugi. Chiny uważają Sowiety nie tylko za złego sąsiada. Sowieckich przywódców partyjnych uważają również za fałszerzy ideologii komunistycznej, którzy dla wielko-rosyjskiego imperializmu zdradzili podstawowe zasady marksizmu.

To jest punkt ważny i na Zachodzie niedoceniany. Przemieniając komunizm w narzędzie szowinizmu i imperializmu wielko-rosyjskiego — Rosjanie odebrali idei komunistycznej charakter uniwersalny, co w oczach Mao Tse-tunga stanowi największą zbrodnię.

Politycy w wolnym świecie powyższe problemy pozostawiają sowietologom i specjalistom w mniemaniu, że zarówno marksizm jak i jego interpretacje nie mają wpływu na politykę międzynarodową. Breżniew utwierdził zarówno Nixona jak i Kissingera w powyższym poglądzie. Dyskutowano w Moskwie różne sprawy lecz nigdy nie było mowy o marksizmie ani o ideologii ani o sytuacji wewnętrznej w Sowietach. Omawiano pewne problemy gospodarcze lecz nie sprawy ustrojowe czy ideologiczne.

W Pekinie rozmowy wyglądały inaczej. Chińczycy mówili o swoich problemach wewnętrznych i ideologicznych. Czu En-lai wyjaśnił Kissingerowi dokładnie na czym polegała „Rewolucja Kulturalna”. Kissinger ostrzegł premiera chińskiego, że to są sprawy, których nie musi ujawniać. Metternichowski Kissinger dał chińskiemu premierowi do zrozumienia, że to go nie interesuje, ponieważ problem rewolucji kulturalnej nie należy do tematu. To jest problem dla prof. Brzezińskiego a nie dla Kissingera.

Czu En-lai był jednak innego zdania, ponieważ Chiny w przeciwieństwie do Sowietów są mocarstwem rewolucyjnym, w którym ideologia jeszcze nie zwyrodniała. To jest obca nam i wroga ideologia — niemniej to jest ideologia. Natomiast w Sowietach z ideologii nie pozostało nic. Sowiety produkują biurokratycznych „carskich” polityków jak Breżniew czy Kosygin. Chinami natomiast rządzi z ramienia Mao Tse-tunga premier Czu En-lai, którego Kissinger porównał do apostoła. Komu przyszyłoby do głowy Breżniewa nazwać apostołem?

Rozpatrując przyszły rozwój Chin trzeba wziąć pod uwagę trzy czynniki.

I. — Chiny są największym na świecie ogniskiem nacjonalizmu. Mao Tse-tung Chiny zjednoczył i przywrócił Chińczykom poczucie dumy narodowej. W Chinach ludowych rdzenni Chińczycy stanowią 95 % ogółu ludności. Rosjanie w Związku Sowieckim stanowią nieco mniej niż 50 % ogółu ludności.

Nacjonalizm w Chinach stanowi siłę — nacjonalizmy w Sowietach stanowią zagrożenie.

II. — Spór z Sowietami jest sporem ideologicznym i narodowym a dopiero w ostatecznej kolejności sporem terytorialnym. Chińczycy uważają, że zostali przez Rosjan oszukani i upokorzeni. Uważają również, że Rosjanie zdradzili zarówno rewolucję jak i sojusznika chińskiego.

III. — Pomiędzy Sowietami a Ameryką — Chiny prowadzą i będą musiały w przyszłości prowadzić politykę globalną. Zaan-gażowanie światowe Chin będzie rosło, ponieważ nie tyle granica

sowiecko-chińska co polityka globalna stanowić będzie główne pole zmagania Pekinu z Moskwą.

Na scenie polityki globalnej Chiny dokonały wyboru. Pekin nie tylko popiera dążenia rewindykacyjne Japonii w odniesieniu do czterech wysp Kurylskich. Czu En-lai wyraził również pogląd, że Japonia powinna pozostać pod atomowym parasolem amerykańskim i dochować sojuszu wojskowego ze Stanami Zjednoczonymi. Nie bez przyjemności słuchałem w połowie lutego bież. roku komentarzy na ten temat rozgłośni radia Moskwa. Radio Moskwa podało również wiadomość potwierdzoną przez inne źródła — że Chiny życzą sobie, by siły zbrojne Stanów Zjednoczonych łącznie z 7 Flotą pozostały na teatrze Pacyfiku oraz by bazy lotnictwa amerykańskiego w Syjamie (Thailand) zostały utrzymane.

Chiny nie robią tego wszystkiego z miłości do Waszyngtonu. Pekin zmierza do pokrzyżowania planów Breżniewa, który pragnąłby mieć w Azji podobny porządek jak w Europie (Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy). Plan sformułowany przez Breżniewa w roku 1969 dąży do zlikwidowania SEATO — i zastąpienia go układem, który gwarantowałby nienaruszalność granic, wyrzeczenie się użycia sił zbrojnych, nieinterwencję w stosunki wewnętrzne państw itp., itd. Nad całością — podobnie jak to jest planowane dla Europy — czuwałaby stała komisja mocarstw w której to komisji (również jak w Europie) — Sowiety obierają dla siebie przywódczą rolę. W sumie, Breżniewowi chodzi o neutralizację całego obszaru południowo-wschodniej Azji na wzór planowany dla naszego kontynentu.

Rosjanie twierdzą, że dla swojego azjatyckiego planu zdobyli poparcie Indii, Burmy i Afganistanu. Oczywiście bez poparcia Japonii plan sowiecki nie ma żadnej szansy realizacji.

Musimy stale pamiętać, że polityka globalna operuje nowym zestawem instrumentów i pojęć, które niezawsze pokrywają się z tradycyjną polityką międzynarodową. Chiny i Stany Zjednoczone nie nawiązały tradycyjnie pojętych stosunków dyplomatycznych lecz postanowiły utworzyć w Pekinie i w Waszyngtonie misje łącznikowe o statusie ambasad.

Walka o sfery wpływów toczy się na różnych płaszczyznach. Dostarcza się broni i wojskowych „doradców” lub uprawia się tzw. *welfare imperialism*. Inwestuje się kapitał, buduje fabryki, szpitale itd. Ponieważ nie można dopuścić do wojny pomiędzy mocarstwami nuklearnymi, usiłuje się w ramach polityki globalnej stworzyć instrumenty zastępcze.

W perspektywie nowej polityki globalnej należy rozpatrywać

kwadraturę azjatyckiego koła, to znaczy stosunki czterech mocarstw: Ameryki, Chin, Japonii i Związku Sowieckiego.

Chińczycy nie tają, że uważają Amerykanów za imperialistów. Lecz imperializm amerykański oceniają za mniejsze zło niż imperializm sowiecki. W opinii Pekinu wojna wietnamska wykazała głęboką niechęć narodu amerykańskiego do wojen kolonialnych, i o dziwo — z Amerykanami można godzinami dyskutować (Chińczycy są wielkimi dyskutantami) i w pewnych rzeczach można się z Amerykanami porozumieć.

Największym osiągnięciem polityki Nixon-Kissinger jest fakt, że przekonali Chińczyków, że Ameryka Chinom nie zagraża i nie zamierza Chinom niczego zabierać. Wielki strach upadł.

Czytając przez miesiąc niemal wyłącznie materiały dotyczące Chin zdałem sobie w pełni sprawę z epokowego znaczenia upadku owego wielkiego strachu. Chińczycy w swej izolacji jeszcze kilka lat temu byli najgłębiej przekonani, że ich głównym wrogiem jest Ameryka, która wyczekuje okazji by dokonać inwazji Chin. Nixon i Kissinger umożliwili Chińczykom dosłownie „odkryć Amerykę”.

Z punktu widzenia futurologii należy przyjąć, że stosunki pomiędzy Ameryką a Chinami będą się zacieśniać, ponieważ oparte są na realnych przesłankach. Ameryka istotnie nie zagraża Chinom i gotowa jest w pokojowej formie załatwić problem Formozy po myśli Pekinu.

Polityka globalna toczy się w czworoboku: Sowiety-Chiny-Stany Zjednoczone-Japonia. W owym czworoboku Rosja jest zmajoryzowana w stosunku trzy do jeden.

W polityce globalnej niezawsze operuje się kanonami klasycznej dyplomacji i niezawsze zawiera się formalne sojusze. O ile formalny sojusz chińsko-amerykański jest wykluczony, ponieważ byłby w najwyższym stopniu ambarasujący tak dla Pekinu jak i dla Waszyngtonu — o tyle zbliżenie amerykańsko-chińskie wzmocnione szeregiem konkretnych układów leży w kartach kabały azjatyckiej.

Kluczową pozycję w owym czworoboku zajmuje Japonia. Stąd wysiłki sowieckie zmierzające do zjednania sobie Tokio. Sowiety wyraziły nawet ostatnio gotowość zwrócenia dwóch (z czterech) wysp Kurylskich. Przypuszczam jednak, że zwrócenie wszystkich wysp Kurylskich nie wpłynęłoby zasadniczo na postawę Japonii — wzmocniłoby natomiast argumentację Chin w sporze terytorialnym z Sowietami.

Japończycy żyją na przybrzeżnych wyspach kontynentu chińskiego. Jak wspominałem, w jednym z poprzednich moich artykułów — Japończycy porównują chętnie geopolityczną pozy-

cję Wielkiej Brytanii w stosunku do kontynentu Europy z analogiczną sytuacją Japonii w stosunku do kontynentalnych Chin.

Ponieważ Japonii nie powiodło się Chin pobić — raczej geopolityczne nakazują jej z Chinami się ułożyć. Chiny nie zdradzają żadnych agresywnych tendencji w stosunku do Japonii i antagonizowanie Chin byłoby kardynalnym błędem ze strony Tokio.



Zarówno Chiny jak i Sowiety są państwami komunistycznymi i totalistycznymi i bardzo trudno jest oprzeć się pokusie stosowania w obu wypadkach tej samej miary. Maoizm w pewnych aspektach wydaje się jeszcze bardziej obcy i wrogi niż sowietyzm. Oskarżenia pod adresem Breżniewa, powtarzane przez Pekin, że spiskuje ze „światowym centrum obskurantyzmu”, to jest z Watykanem, nie mogą budzić sympatii wśród Polaków, choć oskarżenia te noszą charakter antysowiecki. Mao Tse-tung jest bezkompromisowym ateistą i flirty reżymów komunistycznych z Watykanem uważa za zdradę prawdziwej ideologii komunistycznej. Polska z trzema kardynałami (pierwszy raz w historii) i z przepełnionymi kościołami nie może liczyć na sympatię Mao.

Maoizm jest równie obcy i wrogi Polakom jak Sowietyzm. Jednak tak z polskiego jak i z międzynarodowego punktu widzenia należy stwierdzić, że Chiny posiadają odmienną wykładnię polityczną niż Sowiety.

Chiny — jak już podkreślałem — są największym na świecie ogniskiem nacjonalizmu. Nie powątpiewam w szczerość ideologiczną Mao Tse-tunga czy Czu En-lai. Niemniej, owa namiętna nienawiść z jaką mówią o Sowietach nie jest wytłumaczalna ideologicznie. To nie mówią zatroskani o czystość doktryny marksieści — ale nacjonaści chińscy, upokorzeni i skrzywdzeni w przeszłości i — jak sądzą — zagrożeni nadal przez imperializm sowiecki. Według Czu En-lai imperializm sowiecki jest bardziej perfidny niż był imperializm carskiej Rosji.

Jeżeli przez imperializm rozumieć umacnianie wpływów poza granicami własnego państwa — Chiny niewątpliwie są imperialistyczne.

Jednak pomiędzy imperializmem chińskim a sowieckim zachodzą znaczne różnice. Chińczycy, którzy znają imperializm sowiecki z własnych doświadczeń, starają się uniknąć błędów, które popełniają Rosjanie. Tam gdzie operują Chińczycy nigdy nie ma zatargów pomiędzy tubylcami a Chińczykami. Klasycznym przykładem w tej dziedzinie jest Zambia, gdzie Chińczycy budują

linię kolejową, która połączy kopalnie miedzi w Zambii z portem Dar-Es-Salaam w Tanzanii.

Chińczycy nie tylko finansują ten projekt — nie tylko dostarczyli inżynierów i techników, lecz także dostarczyli armię wyszkolonych chińskich robotników. Chińczycy jedzą i mieszkają identycznie jak tubylcy a inżynierowie i robotnicy chińscy otrzymują identyczne wynagrodzenie jak robotnicy miejscowi. Chińczycy zatrudnieni w Zambii mają surowo zakazane mieszać się w jakiejkolwiek sprawy wewnętrzne kraju.

Podobnie postępują Chińczycy w całej Afryce. Przypuszczam, że wyparliby Sowiety z Środkowego Wschodu gdyby mieli więcej pieniędzy.

Tak zwany wolny świat finansuje pośrednio imperializm sowiecki dostarczając Moskwie niemal wszystkiego: od zboża po komputery. Gdyby podsumować zawarte w ostatnich kilkunastu miesiącach z Sowietami kontrakty przez koncerny amerykańskie, zachodnio-niemieckie, włoskie, francuskie itp. — otrzymalibyśmy imponującą cyfrę. Jeżeli musimy finansować imperializmy — byłoby bezpieczniej finansować pośrednio imperializm chiński niż sowiecki. Przemysłowcy amerykańscy czy niemieccy nie mają powodu ubiegać się o tytuł „budowniczych Związku Sowieckiego”. Nikt nie wymaga od kapitalistów, by byli dobrymi socjalistami. Dramat polega na tym, że zachodni kapitaliści nie-zawsze są... dobrymi kapitalistami.

Podsumujmy nasze dotychczasowe rozważania.

Wydaje mi się, że Chińczycy mogą z większą ufnością patrzeć w przyszłość niż Rosjanie. Chińczycy są jeszcze w 80 % narodem rolniczym. Jednak nie ma tam głodu i żywność nigdzie nie jest racjonowana. Sklepy są dobrze zaopatrzone w żywność i w artykuły codziennego użytku.

Opierając się na ocenach Anglików, Amerykanów i Niemców, którzy studiowali ów problem na miejscu — należy stwierdzić, że komuny rolnicze w Chinach są sukcesem, a w porównaniu z sowieckimi kołchozami, są fenomenalnym sukcesem.

Jeszcze raz warto podkreślić, że w Chinach, które są narodo-
dowo jednolite, nacjonalizm stanowi siłę — natomiast w Sowietach ruchy narodowościowe stanowią zagrożenie. Rosjanie nie mają w tej sprawie łatwego rozwiązania. Ich własny nacjonalizm — wielko-rosyjski — podszeptuje im, że najwyższą racją jest utrzymanie imperium. Utrzymać imperium w jego obecnej formie można tylko w ramach totalizmu. Trzeba żelazną ręką kruszyć cudze nacjonalizmy, by rosyjski nacjonalizm mógł cieszyć się swoim „wielkim i niepodzielnym” imperium.

Ani Rosja carska ani Rosja sowiecka nie wypracowały polityki

narodowościowej, ponieważ w ramach imperializmu nie jest rzeczą możliwą wypracowanie odpowiedzi na ten problem. Lecz przedmiotem niniejszego artykułu jest przyszłość Chin a nie Rosji.

Zaznaczyłem powyżej, że w rozwoju stosunków w Azji bardzo wiele zależeć będzie od postawy Japonii. Japończycy zdają sobie dziś sprawę z niebezpieczeństw związanych ze zbyt wielkim uzależnieniem się od jednego rynku zbytu.

Świetny znawca Dalekiego Wschodu, Selig Harrison (*Washington Post*) podkreślił w jednym ze swych studiów, że pamięć okupacji japońskiej na terenach Azji w czasie drugiej wojny światowej uległa odnowieniu na skutek całkowitej obojętności Japończyków. Przemysłowców japońskich nie interesuje los ich azjatyckich partnerów a zwłaszcza ich dążenia narodowe, gospodarcze czy polityczne. Japońskie przedsiębiorstwa karczują lasy Indonezji lecz Japończycy nie budują przemysłów przetwórczych czy nawet tartaków. Drzewo jest ładowane na japońskie statki, przewożone do Japonii i służy za surowiec przemysłom japońskim. Mieszkańcy Indonezji mogą tylko kupować rozliczne artykuły produkowane z miazgi drzewnej pochodzącej z ich kraju, przy czym operacja od „A” do „Z” jest tak zorganizowana, że bogacą się na niej wyłącznie Japończycy.

„Asian Development Bank” jest opanowany przez Japończyków — nie przez Amerykanów i — zbędne dodawać — dba niemal wyłącznie o interesy japońskie.

„Welfare Imperialism” na wzór amerykański, to znaczy hojna pomoc finansowa i gospodarcza narodom zapóźnionym w rozwoju — nie przemawia do mentalności Japończyków.

Jeżeli Amerykanie, którzy sami są kapitalistami przez wielkie „K” zarzucają Japończykom, że poza zyskiem nie widzą niczego — to opinia powyższa skłania mnie do wniosku, że dwa azjatyckie narody — dwie odmienne europejskie doktryny doprowadziły do perfekcji. Japończycy doprowadzili do perfekcji kapitalizm a Chińczycy komunizm. Dialektyka owego azjatyckiego procesu kryje w sobie nieoczekiwane możliwości.

Amerykanie starają się wszędzie popierać polityków pro-amerykańskich. Najwymowniejszym przykładem tego typu polityki był i jest południowy Wietnam. Natomiast Japończycy, choć są związani w pewnej mierze z różnymi reżymami — równocześnie nie są nigdzie zainteresowani polityką i narodową problematyką danego kraju. Amerykanie propagują ustrój demokratyczny i przeciwstawiają się komunizmowi. Japończycy są do tego stopnia obojętni w tych sprawach, że Harrison mniema, że chińscy czy pro-chińscy komuniści operujący w krajach azjatyckich gotowi są tolerować Japończyków, ponieważ są jedyną siłą

politycznie i ideologicznie bezbarwną. Chińczycy i kierowane przez nich frakcje w krajach azjatyckich wiedzą, że Japończycy nie staną w obronie ustrojowego *status quo* w danym kraju — ponieważ ustroj i ideologia są im obojętne pod warunkiem, że japońskie koncerny będą mogły nadal prowadzić *business as usual*.

Ludzie, którzy wyobrażają sobie naiwnie, że polityka przypomina problem szachowy, który stanowi sekwens logicznych posunięć — zauważą w tym miejscu z triumfem, że istnieje sprzeczność pomiędzy super-komunizmem chińskim a super-kapitalizmem japońskim, i w rezultacie nie może być mowy o tolerancji i koegzystencji wzajemnej na terytoriach azjatyckich.

To wszystko nie jest takie proste. Pierwszą fazą na drodze ustrojowej przebudowy w danym kraju do której dążą chińscy komuniści jest obalenie *status quo*. Z tymi, którzy nie bronią *status quo* — można koegzystować. Poza tym zrażanie sobie Japończyków nie leży w interesie Chin — ponieważ jeżeli Pekin będzie utrudniał japoński *business as usual* — Tokio postara się rozszerzyć swoje interesy przemysłowo-handlowe z Sowietami. Chińczycy potrafią łączyć wzniosłą ideologię z cynicznym niemal pragmatyzmem.

Warto jeszcze na marginesie odnotować szczegół podkreślany niemal przez wszystkich znawców przedmiotu. Z pozorów mogłoby się wydawać, że Japończycy są zamerykanizowani do dna i bez reszty. A jednak owi a-ideologiczni Japończycy identyfikują się kulturalnie z wschodnią Azją i z centrum owej kultury, którym są Chiny. To jest kultura im najbliższa i z narodami tej kultury znajdują najłatwiej wspólny język.

Amerykanie wyobrażają to sobie inaczej. Chcieliby widzieć Japonię nie jako partnera ale jako rywala Chin. Po tej linii szedł projekt „Pacific Economic Pact” wysunięty w ubiegłym roku przez Johna Connolly.

Ameryka mimo, że jeszcze ciągle jest najbogatszym państwem świata jest tradycyjnie mocarstwem protekcyjnym. Ów wrodzony protekcyjizm powoduje, że Stany Zjednoczone czują się gospodarczo „skrzywdzone” przez swoich partnerów a zwłaszcza przez Japonię i przez EWG. Wystarczy jednak rzucić okiem w jakikolwiek rocznik statystyczny by się przekonać, że w przeliczeniu GNP *per capita* — Ameryka jest bogatsza od Niemiec o 14 %, od Francji o 21 %, od Japonii o 41 % i o 50 % bogatsza od Anglii. Również w przeliczeniu na dolaro-godziny płace robotnicze w Stanach są najwyższe na świecie. Amerykanie zdecydowani są nie tylko utrzymać powyższy stan rzeczy lecz chcieliby

zдобыć dodatkowe zapewnienia i gwarancje dla amerykańskiej prosperity.

Jeżeli Stany Zjednoczone i państwa EWG wprowadzą przepisy utrudniające ofensywę eksportu japońskiego — wówczas w Tokio wzmoże się ogromnie zainteresowanie rynkiem chińskim. Myślę, że z futurologicznego punktu widzenia wydaje się bardziej prawdopodobne, że Japonia będzie partnerem Chin niż ich rywalem.

I punkt ostatni. Dzięki temu, że Chińczycy są mocarstwem narodowo i kulturalnie jednolitym — ewentualna liberalizacja ustroju nie grozi katastrofą. Natomiast Rosjanie mogliby zliberalizować swój ustrój tylko za cenę odrzucenia imperializmu. Demokratyzacja musiałaby pociągnąć za sobą strukturalne przemiany Związku Sowieckiego co wyraziłoby się znacznym osłabieniem Rosji jako mocarstwa. Chiny posiadają wszelkie warunki do ewolucji, natomiast w Sowietach prawdopodobieństwo rewolucji wydaje się większe niż ewolucji.

Wyda mi się również, że jeżeli komunizm ma w ogóle jakąkolwiek przyszłość — to futurologię ma tylko komunizm chiński i głównie w granicach Chin. Składa się na to wiele przyczyn. Chiny nie mają ani tradycji demokratycznej ani tradycji religii monoteistycznej. „Westernizacja” Chin była zawsze bardzo powierzchowna. Żadna doktryna, z komunizmem włącznie — nie stanowi zagrożenia dla starej, niemal odwiecznej, kultury i cywilizacji chińskiej. Dzięki swej jednorodności narodowej i tradycyjno-kulturalnej Chiny będą zawsze Chinami. Natomiast Rosja nie będzie zawsze Związkiem Sowieckim.

Kultura Nr 5/308 (1973)

POLSKA „OSTPOLITIK”

Pisałem na tych łamach na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy o niemieckiej „Ostpolitik” i o amerykańskiej „Ostpolitik”. Z kolei warto zastanowić się nad polską „Ostpolitik” — tym bardziej, że Polska Ludowa nie ma i nie może mieć żadnego programu wschodniego.

Stosunkowo niedawno, w londyńskim *Dzienniku Polskim* i w *Myśli Polskiej*, ukazała się seria artykułów na powyższy temat — które dowodzą, że o ile w sprawie granicy na Odrze i Nysie Polacy są zgodni i jednomyślni o tyle zarówno w kwestii granicy wschodniej jak i programu wschodniego, panują w opinii polskiej znaczne rozbieżności.

Dwie uwagi wstępne.

Czy mają jakikolwiek cel rozważania na temat polskiego programu wschodniego? Czy nie są po prostu przedwczesne? Nie wiemy jak długo będzie trwał obecny stan rzeczy. Niemniej jedno można uznać za pewne. Z chwilą gdy sytuacja we Wschodniej Europie zacznie się zmieniać — Polacy będą mogli wpływać na rozwój wydarzeń tylko wówczas, jeżeli będą posiadali uzgodniony program wschodni.

Odnosiłem się zawsze z wielką nieufnością do postaw jednolitych (zwarcu, silni, gotowi). Jednak Rosja w polskiej perspektywie politycznej stanowi taki super-problem, że jako naród nie możemy pozwolić sobie na 5 czy 6 różnych programów wschodnich. Mądra zasada „gry na dwóch fortepianach” — winna w tym szczególnym wypadku dotyczyć taktyki lecz nie podstawowych zasad. Musimy również pamiętać, że polityka wschodnia to nie tylko Rosja lecz i narody przez Rosję ujarzmione.

W chwili kryzysu i wrzenia rząd sowiecki może odzębnić się od stalinizmu i unieważnić zabór dokonany przez Stalina

i Hitlera. Przywracając Polsce granice z 1939 roku — Rosja liczyłaby na skłócenie Polaków, Ukraińców i Litwinów — co nie tylko uniemożliwiłoby stworzenie wspólnego frontu lecz przeciwnie stwarzałoby „wspólnotę interesów” pomiędzy Moskwą a Warszawą, wspólnotę opartą na restauracji granicy z 1939 roku.

Rosja ufałaby, że Polacy z entuzjazmem pomogą jej utrzymać i utrwalić imperium w granicach przedwojennych, a przede wszystkim dopomogą w zatrzymaniu dla Moskwy spichrza ukraińskiego.

Program wschodni musi dawać odpowiedź na pytanie jak winniśmy się zachować w opisanej wyżej sytuacji, która może się zdarzyć.

I uwaga druga. Nie wymieniam nazwisk — które zresztą łatwe są do odcyfrowania dla każdego, kto zada sobie trud przewertowania odnośnych numerów *Dziennika Polskiego* i *Myśli Polskiej*. Nie wymieniam nazwisk, ponieważ nie chodzi w tym wypadku o jeszcze jedną personalną polemikę prasową. *Myśl Polska* reprezentuje coś więcej niż opinię poszczególnych autorów. Pismo jest organem Stronnictwa Narodowego, które jest zarówno historyczną polską partią polityczną jak poważną siłą tak na emigracji jak i w Kraju.



Nie zamierzam dyskutować z ludźmi, których program wschodni składa się z emocji, kompleksów i uprzedzeń. Ci panowie, którzy głoszą, że wszystko co rosyjskie jest złe i godne pogardy, stanowią problem dla psychiatrów a nie dla polityka.

Na szczęście znakomita większość Polaków zdaje sobie sprawę, że z Rosją w naszym własnym interesie — musimy się kiedyś porozumieć. Rozumiał to również Roman Dmowski, który jednak nie przewidywał problemów narodowościowych ani przemian socjalnych jakie w Rosji miały nastąpić. Myślał jedynie o układaniu się z carskim *Establishment*'em.

Ów pierwotny błąd Dmowskiego odnajdujemy również w rozumowaniu współczesnych polityków Stronnictwa Narodowego, którzy przez Rosję rozumieją Związek Sowiecki, tak jak Dmowski przez Rosję rozumiał carat.

Znany „List Otwarty do Chruszczowa” (*Horyzonty* nr 43, r. 1959) — jak również wypowiedź autora tegoż listu pt. „Polska między Ameryką, Niemcami, Chinami a Rosją” (*Myśl Polska* z 1. III. 1973) — stanowią dobrą ilustrację owego duplikowania błędu Dmowskiego sprzed przeszło pół wieku.

Błąd ten wynika z dwóch fałszywych przesłanek. Po pierwsze,

że należy szukać porozumienia nie z narodem i społeczeństwem rosyjskim lecz z *Establishment'em* i po drugie z przekonania — jakże dla Rosjan poniżającego — że totalizm i imperializm są w Rosji zjawiskiem wieczystym, przeto musi się rozmawiać z carami lub z Chruszczowowami, bo demokratycznego rządu w Moskwie nigdy nie będzie.

Pisarze polityczni ze Stronnictwa Narodowego zgadzają się na ogół z poglądem, że Związek Sowiecki jest „skazany na imperializm”, ponieważ jakakolwiek liberalizacja zagrażałaby całości imperium. Gdyby zezwolono małej Czechosłowacji na przeprowadzenie reform demokratycznych w roku 1968 — byłoby trudno oprzeć się analogicznym żądaniom Polaków i Ukraińców których jest ponad 75 milionów.

Na łamach *Kultury* podkreślaliśmy zawsze, że rewizjoniści, radykalni reformiści czy rewolucjoniści w krajach satelickich winni szukać kontaktów i powiązań z opozycją w samej Rosji. W moich książkach wskazywałem na przykład Indii. Ewolucja — by przynieść oczekiwane owoce — musiała postępować nie tylko w Indiach lecz i w Wielkiej Brytanii. Hindusi zdawali sobie z tego doskonale sprawę i przez długie lata walczyli w Anglii o zmianę poglądów nie Hindusów lecz Brytyjczyków.

Historia dostarcza bogatych dowodów, że z autokratycznym imperializmem nie może być rozmów na temat niepodległości czy samostanowienia z tej prostej przyczyny, że w ramach autokratycznego imperializmu nie może być demokracji na wewnątrz ani liberalizmu na zewnątrz. Władze sowieckie nie mogą zaofiarować Polsce niezależności z tych samych przyczyn, dla których nie mogą zaofiarować demokracji narodowi rosyjskiemu.

Nie wybieramy pomiędzy tzw. programem prometejskim a programem rozmów z Sowietami — ponieważ takiego wyboru nie mamy. Opowiadamy się za programem wyzwolenia narodów ujarzmionych przez Rosję — nie z romantyzmu tylko dlatego, że innej drogi przed nami nie ma i *de facto* nigdy nie było.

Rozbitek na bezludnej wyspie wymachujący chusteczką do nosa w nadziei, że dojrzy go jakiś okręt czy samolot — jest niewątpliwie figurą romantyczną i patetyczną. Niemniej rozbitek ten uprawia jedyną realistyczną politykę, jaka pozostała mu do dyspozycji — ponieważ innych możliwości nie ma.

Nie wszystko co jest szlachetne i romantyczne musi być nierealistyczne. Sprawdzianem i kryterium realizmu jest konieczność. Konieczność ratowania życia, konieczność ratowania niepodległości państwowej. W czasie pożaru ludzie skaczą czasem z drugiego piętra — ponieważ to jest decyzja konieczna i jedyna bez względu na stopień jej realizmu. Konieczność można zdefi-

niować jako brak wyboru. Droga jedyna jest konieczna a tym samym realna — ponieważ innej drogi nie ma.

Na emigracji można wyodrębnić cztery orientacje dotyczące polskiej polityki wschodniej.

I. — Pogląd wysuwany przez publicystów Stronnictwa Narodowego — nie jest jednolity. Wydaje się, że nie wszyscy członkowie i sympatycy Stronnictwa podpisaliby się pod listem otwartym do Chruszczowa. Nie wszyscy byłiby gotowi akceptować linię, która — doprowadzona do swych logicznych konsekwencji — prowadziłaby do koncesjonowania Stronnictwa Narodowego w Polsce Ludowej. Wydaje mi się, że tylko poprzez akces do stowarzyszenia „Pax” — byłoby możliwe dla odłamu Stronnictwa Narodowego wylądowanie w Polsce Ludowej. Nie jest to propozycja zachęcająca i myślę, że tylko izolowane jednostki rozpatrywać mogą tego typu ewentualność.

Większość endeków zgadza się z poglądem — wyrażanym wielokrotnie przez publicystów Stronnictwa — że należy potępić program prometejski jako fikcyjny, i ufać, że nadejdzie pora — kiedy Rosja dojrzy swój własny interes państwowy w rzetelnym porozumieniu się z Polską. Ci sami pisarze, którzy propagują powyższy pogląd głoszą równocześnie, że Sowiety nie mogą opuścić cugli państwu satelickim ponieważ doprowadziłoby to do rozpadu Związku Sowieckiego. Ci sami publicyści twierdzą również, że wśród nie-rosyjskich narodów, stanowiących połowę ogółu ludności Związku Sowieckiego, wzrasta ogromnie nacjonalizm. Ci sami autorzy wysuwają z powyższego wniosek, że kwestia narodowościowa w Sowietach jest zupełnie czymś innym dziś niż za czasów Lenina.

II. — Piłsudczycy — oraz publicyści którzy wyrażają opinię tzw. obozu zamkowego — nie są przeciwni programowi wyzwolenia — pod warunkiem, że wyzwolone miasta Lwów i Wilno wrócą do Polski. Polska winna być wyzwolona i restaurowana w granicach 1939 roku na wschodzie i w granicach 1973 roku na zachodzie.

III. — Obiektywizm nakazuje stwierdzić, że wśród zwolenników obozu pro-zamkowego istnieją nieliczni lecz odważni publicyści, którzy głoszą konieczność pogodzenia się z obecną granicą wschodnią w przewidywaniu, że trudno liczyć na przyjaźń Ukraińców odbierając im Lwów i trudno zjednać sobie Litwinów odbierając im Wilno.

IV. — Jako ostatni wymieniam program wschodni *Kultury* — wielokrotnie prezentowany na tych łamach.

Zacznijmy od przeanalizowania polityki wschodniej Stron-

nictwa Narodowego. Szczególnie niebezpieczny wydaje mi się zasadniczy punkt wyjścia tego programu a mianowicie, że należy szukać porozumienia z rosyjskim *Establishment*'em bez względu na jego socjalno-polityczne zabarwienie.

Komuniści szukają również porozumienia z rosyjskim *Establishment*'em. Cytowany autor z *Horyzontów* napisał otwarty list do Chruszczowa. Aleksander Dubczek, jak dziś wiadomo, do ostatniej chwili pisał rozpaczliwe listy do Breżniewa.

Pomijam fakt, że powyższa taktyka redukuje niepodległościowe Stronnictwo do statusu nieuznanego jeszcze neo-Paxu. Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie dlaczego tego rodzaju inicjatywy nie mogą przynieść pozytywnych rezultatów.

Dubczek nie był emigrantem z *Horyzontów* lecz wypróbowanym komunistą, który miał za sobą autentyczną większość społeczeństwa czechosłowackiego a mimo to niczego nie osiągnął. Dlaczego?

Odpowiedzi na powyżej zacytowany dylemat udzielił wybitny pisarz Stronnictwa Narodowego, który listów do Chruszczowa nie pisał. Oto jego słowa:

„Poczucie odrębności narodów nierosyjskich nie słabnie. Jest ono na pewno silniejsze dziś niż przed pół wiekiem, gdy tworzono Związek Sowiecki. W ostatnich miesiącach mieliśmy demonstracje na Litwie, ferment wśród inteligencji ukraińskiej, zmianę rządu w Gruzji. To wewnętrzne ciśnienie w Sowietach ma dwa skutki. Po pierwsze unie-
możliwia liberalizację ustroju, dopuszczenie mas do większego głosu, uzasadnia w oczach narodowości imperialnej potrzebę dyktatury partii rosyjskiej. Odbija się także na polityce w stosunku do satelitów, skłania do ostrzejszego reagowania na prądy liberalne, na przykład w Czechosłowacji, i do ściślejszej kontroli podległych rządów komunistycznych. Nie jest rozsądne liczenie na zasadniczą demokrację Sowietów. Rosjanie nie mogą sobie na to pozwolić z obawy, że Związek Sowiecki im się rozleci”. (*Mysł Polska* z 1. I. 1973).

Z czysto pragmatycznego punktu widzenia — odrzucając wszystkie ideologie i doktryny partyjne — należy stwierdzić, że domaganie się od Związku Sowieckiego niezależności dla Polski jest absurdem, ponieważ Sowiety dopóki chcą być Związkiem Sowieckim nie mogą tego zrobić. Narodów kandydujących do niezależności w Związku Sowieckim jest sporo i gdyby Moskwa przyznała niezależność jednemu z nich, Związek Sowiecki — jak pisze cytowany autor — rozleciałby się. Imperialistyczny totalizm można utrzymać tylko imperialistyczno-totalnymi metodami. Gdy kończą się metody imperialne kończy się imperializm.

Jesteśmy całkowicie zgodni z fragmentem artykułu z *Mysli Polskiej* który przytoczyłem powyżej. Lecz autor fragmentu jest związany doktryną swojego stronnictwa i woli popaść w sprzecz-

ność sam ze sobą — niż wysunąć logiczne wnioski z własnego tekstu.

Jeżeli twierdzimy, że Związek Sowiecki nie może sobie pozwolić na żadną liberalizację, ponieważ rozleciałby się — jest oczywiste, że jakiegokolwiek rozmowy ze Związkiem Sowieckim nie mogą spowodować poprawy sytuacji Polski. Jeżeli tak jest — musimy łączyć naszą akcję i nadzieję z tymi narodami które — podobnie jak Polacy — dążą do niezależności — choć wiedzą, że owej niezależności nie wynegocjują z władzami sowieckimi.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Rosja jest państwem narodowo jednolitym. Niezmierzone obszary od Władywostoku po Lwów zaludnia zwarta masa rdzennych Rosjan. W takim układzie sytuacja Polski byłaby beznadziejna. Jak szczypta soli rozpyłnilibyśmy się w oceanie rosyjskim.

Na szczęście tak nie jest. Rosja nie jest narodowo jednolita a Polacy nie są osamotnieni. Jedyną naszą szansą jest łączyć się z tymi, którzy, podobnie jak my — chcieliby wyzwolić się i stanowić o własnym losie. Autor omawianego artykułu odrzuca jednak tę jedyną szansę. Odrzuca ją — mimo, że jak pisze „poczucie odrębności narodów nierosyjskich nie słabnie i jest ono na pewno silniejsze dziś niż przed pół-wiekim”.

Wyznawcy doktryn politycznych popełniają zawsze pewien podstawowy błąd. Ponieważ Dmowski nie żyje od 34 lat — nie może niczego zmienić w swojej politycznej filozofii i byłoby niesprawiedliwością obwiniać go za to, że jego poglądy nie pasują do obecnej sytuacji. Obowiązkiem jego współcześnie żyjących następców jest dostosować doktrynę polityczną Stronnictwa Narodowego do wymogów rzeczywistości.

Na przykład — wszystko co pisał Dmowski na temat kwestii żydowskiej utraciło swą przedmiotowość — ponieważ w Polsce w roku 1973 — Żydów jest tylko kilka czy kilkanaście tysięcy.

Największymi pomniejszych twórców doktryn politycznych są ich „późne wnuki”. Wkładają bowiem w usta przywódców poglądy sprzed dziesiątków lat — których owi przywódcy nigdy by nie wypowiedzieli, gdyby żyli.

Dmowski głosił, że sprawę polską należy wiązać z głównymi prądami historycznymi epoki. Nie może ulegać wątpliwości, że program wyzwolenczy i dążenie do narodowego samostanowienia — stanowią jeden z głównych nurtów naszej epoki. Na cmentarzysku idei i ideologii w drugiej połowie XX wieku ostała się tylko jedna idea wykazująca dynamikę i prężność. Tą ideą jest nacjonalizm.

W sumie, najwymowniejszy endek nie przekona mnie, że Dmowski, gdyby żył, pisałby listy do Chruszczowa czy Breżniewa,

jak również nikt nie przekona mnie, że Dmowski, gdyby żył zlekceważyłby ruchy wyzwolenieczne Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów i wyraził gotowość ułożenia się z oficjalną Moskwą kosztem tych narodów. Dmowski bowiem zdawałby sobie sprawę, że problem ukraiński jest zupełnie czymś innym dziś niż 50 lat temu i wymaga w tym względzie re-orientacji polskiej polityki.

Lecz mumifikacja dokonywana rękami późnych wnuków jest generalną regułą. Mumifikacji uległ nie tylko Dmowski lecz i Piłsudski — nie mówiąc o prorokach międzynarodowych: Marksie i Leninie.

Jeszcze trudniejsza do zrozumienia jest „Ostpolitik” Piłsudczyków i tzw. „zamku”. Ci panowie reprezentują przedwojenne hasło: „nie oddamy ani jednego guzika”. Członkowie tego obozu przez program prometejski rozumieją rozbicie Związku Radzieckiego a nie politykę wyzwolenczą dla Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Redukowanie programu prometejskiego do nowego wydania polskiej polityki mniejszościowej jest najpewniejszą drogą do przekształcenia Ukraińców, Litwinów i Białorusinów we wrogów Rzeczypospolitej.

W Londynie można zawsze znaleźć garść Ukraińców mówiących nieporównanie lepiej po polsku niż po ukraińsku, którzy gotowi są zamanifestować nie tyle przyjaźń polsko-ukraińską ile wspólną nienawiść do Sowietów.

Gdyby Ukraińcy mieli wybierać wyłącznie i jedynie pomiędzy polskim a sowieckim Lwowem — znaczna część Ukraińców na emigracji opowiedziałaby się za polskim Lwowem — zakładając oczywiście, że Lwów wchodziłby w skład niekomunistycznej, demokratycznej Polski.

Rzetelny program prometejski zakłada jednak inną alternatywę. Ufamy, że Ukraińcy będą mogli wybierać pomiędzy Lwowem w niezależnej, demokratycznej Polsce a Lwowem w niezależnej demokratycznej Ukrainie. W takiej sytuacji nie ulega wątpliwości, że znakomita większość narodu ukraińskiego wypowie się za Lwowem w niezależnej Ukrainie.

Program wschodni endecków jest bardziej konsekwentny niż program obozu zamkowego. Endecy odrzucają program prometejski, tzn. uważają że nie istnieje żaden związek przyczynowy pomiędzy polską polityką wschodnią a wyzwoleniem Ukrainy, Białorusi czy Litwy. Według tezy endeckiej Polacy stanowią po Rosjanach największy słowiański naród państwowy i powinni ułożyć swe stosunki z Moskwą na bazie bilateralnej. Oczywiście, pragnąc rozmów i układów na bazie bilateralnej — nie można popierać ruchów wyzwolenczych, ponieważ oficjalna Moskwa nie podejmie nigdy żadnych rozmów z sympatykami

prometeizmu. Dopóki stoi się na stanowisku bilateralnych rozmów polsko-rosyjskich — powyższy punkt widzenia jest logiczny, choć obrzydliwy. Zakłada bowiem, że przy sprzyjającej koniunkturze Moskwa uzna naszą niezależność za cenę uznania przez Polskę wieczystej niewoli Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

Endecy na to odpowiadają, że programów politycznych nie dzielimy na obrzydliwe i wzniosłe, tylko na skuteczne i nieskuteczne. Zadaniem naszej polityki nie jest zdobywanie niepodległości dla Ukrainy czy Litwy tylko zapewnienie niezależnego bytu dla Polski.

Niewątpliwie tak jest i nie zamierzamy kwestionować powyższych argumentów. Nie jest obowiązkiem Polski wyzwalać Ukrainę tak jak nie jest obowiązkiem Ukrainy wyzwalać Polskę.

Sprawa jednak dotyczy innego zagadnienia. Ocena polityki wschodniej endeków zależy wyłącznie od odpowiedzi na pytanie czy perspektywy rozmów bilateralnych polsko-rosyjskich, obecnie czy w przyszłości, są propozycją realną?

W okresie ostatnich 200 lat Rosja zamiast negocjować z nami wzięła udział w 4-ch rozbiorach Polski. Stało się tak, ponieważ Rosja jest i była mocarstwem imperialistycznym. Czynnikiem dodatkowym jest i był fakt, że istniała i istnieje znaczna dysproporcja sił pomiędzy obu sąsiedzkimi państwami. Moskwa nie musi uznawać nas za partnera, ponieważ jest władna narzucić Polsce status wasala.

Propagowane na emigracji plany federacji polsko-czechosłowackiej czy polsko-czechosłowacko-węgierskiej, mają na celu stworzenie w Europie Środkowo-Wschodniej zgrupowania państw, których łączny potencjał gospodarczo-przemysłowy czyniłby z projektowanej federacji poważnego kandydata na partnera Rosji. Połączeni i sfederalizowani moglibyśmy przeciwstawić się politycznie imperialistycznym zakusom Moskwy.

Dramat polega na tym, że Rosja, właśnie dlatego że jest imperialistyczna, nie dopuści do realizacji planów federacyjnych. Innymi słowy, jest bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że imperialistyczna Rosja zgodzi się na jakiegokolwiek negocjacje, które miałyby na celu zabezpieczyć nas przed imperializmem rosyjskim. Jeszcze większą naiwnością jest sądzić, że imperialna Rosja zgodzi się na rozmowy zmierzające do pozbawienia Moskwy owoców i korzyści jej imperialistycznej polityki.

Dopóki Rosja będzie imperialistycznym kolosem w obecnych granicach — nasze szanse uniezależnienia się od Moskwy są równe zeru. Na to by Polska odzyskać mogła niezależność — musi się urzeczywistnić jeden z dwóch następujących warunków: albo Polska ulegnie wzmocnieniu, albo Rosja ulegnie osłabieniu.

Tak czy inaczej obecna dysproporcja sił musi ulec zmianie, ponieważ dopóki trwa owa dysproporcja potencjałów — po ludzku biorąc sytuacja Polski jest beznadziejna.

Imperialistycznej Rosji nie mamy szansy ani pobić ani wytargować od niej dla Polski statusu niezależnego partnera.

Jeżeli za główną choć nie jedyną przyczynę niepowodzeń polskiej polityki wschodniej na przestrzeni ostatnich 200 lat uznamy rosyjski imperializm — należy zapytać czy i kiedy Rosja przestanie być imperialistyczna?

Rosja w analogii do innych mocarstw przestanie być imperialistyczna gdy straci imperium. Byłoby rzeczą jałową spekulować kiedy i w jakich warunkach upadnie imperium sowieckie. Wystarczy stwierdzić, że w epoce potęgujących się ruchów narodowych i wolnościowych — imperium sowieckie staje się coraz większym anachronizmem — coraz większą „osobliwością” dwudziestego wieku.

Imperialistyczna Rosja zagraża Chinom. Jestem przekonany, że gdy Chiny wzmocnią swój przemysł i potencjał nuklearny — podejmą bardziej konkretną politykę w stosunku do Sowietów. Sądzę, że będą się domagały na forum międzynarodowym niepodległości dla państw bałtyckich i Ukrainy. W Pekinie zdają sobie dobrze sprawę, że tylko poprzez problem narodowościowy można rozczłonkować Związek Sowiecki i zredukować Rosję do terytorialnie właściwych proporcji.

Ktoś może powie, że program wschodni jest nam niepotrzebny dopóki istnieje sowieckie imperium. Będziemy formułować ten program wówczas, gdy Związek Sowiecki znajdzie się w stanie rozkładu.

Nie zgadzam się z powyższą tezą. Kryzys w Związku Sowieckim — bez względu na jego formę — stworzy dla narodów ujarzmionych koniunkturę, którą będziemy mogli albo wykorzystać albo zmarnować. Szansa zmarnowania ewentualnej koniunktury jest bardzo znaczna właśnie dlatego, że nie ma uzgodnionego programu.

Gdybym był imperialistą rosyjskim pocieszałbym się przypuszczeniem, że w razie wojny czy poważnego kryzysu — jest mało prawdopodobne, że narody ciemnione przez Sowiety utworzą wspólny front — co byłoby groźne. Sądziłbym, że jest bardziej prawdopodobne, że Polacy, Ukraińcy, Litwini — jak tylko uwolnią choćby jedną rękę — chwycą się za gardła, co umożliwi Moskwie częściowe opanowanie sytuacji.

Oddanie w danym momencie Polsce Lwowa byłoby śmiesznie niską cenę — jeżeli za taki gest można by zniwieczyć porozumienie 33 milionów Polaków z 44 milionami Ukraińców.

Program wschodni nie powinien wybiegać zbyt daleko w przyszłość i snuć planów, które mogą stanowić przedmiot dyskusji dopiero po odzyskaniu niepodległości. Obserwując jak opornie postępuje zjednoczenie w bloku zachodnim — byłoby nieprzezwrotnie planować na emigracji federację czy związki ponadpaństwowe w przyszłej Europie Wschodniej. Pozostawmy to tym, którzy doczekają dnia wyzwolenia.

Naszym zadaniem — i to nie małym i oby nie syzyfowym — jest oczyścić pole z upiornych błędów, które umożliwiły Rosji ujarzmić nasze narody. Polska i Ukraina obejmują obszar niemal miliona kilometrów kwadratowych z ludnością około 80 milionów. Nie ma żadnych obiektywnych powodów by 80 milionów Europejczyków — zamieszkujących jeden z najbogatszych obszarów naszego kontynentu — było pozbawionych elementarnych praw, które są udziałem obywateli Ugandy czy Tanzanii.

Pierwszym punktem polskiej polityki wschodniej winno być uznanie prawa do samostanowienia i niezależnego bytu państwowego wszystkich narodów ciemionych przez Sowiety. Z polskiego punktu widzenia w szczególności ów punkt dotyczy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

Ponieważ zgoda i jednolity front narodów ujarzmionych stanowi podstawowy warunek likwidacji — w sprzyjającej koniunkturze — imperializmu rosyjskiego — winniśmy nie tylko zapewnić Ukraińców i Litwinów, że nie zgłaszamy roszczeń rewindykacyjnych do Wilna i Lwowa — lecz, że nie sięgniemy zbrojnie po te miasta, nawet gdyby w danej sytuacji okoliczności nam sprzyjały.

Polska współczesna jest krajem narodowo jednolitym. Polsce nie potrzeba nowych miast czy terytoriów — potrzeba jej natomiast choćby minimum niezależności. Nie możemy walczyć z sowieckim imperializmem pod sztandarem polskiego imperializmu — nie możemy przeciwstawiać sowieckiej polityce narodowościowej — polskiej polityki narodowościowej, ponieważ narody nad którymi panowały kolejno Polska i Rosja pragną dziś nie bardziej liberalnej polityki narodowościowej lecz prawa do samostanowienia.

Życzymy sobie przyjaznych stosunków z narodem rosyjskim. Leszek Kołakowski, który zna i rozumie komunizm z własnych bolesnych doświadczeń — w artykule pt. „Sprawa Polska” w kwietniowym zeszycie *Kultury* — napisał, że: „Sowietyzm samych Rosjan wyzuwa z ich ojczyzny, z historycznej ciągłości, z języka jako spoiwa narodowej świadomości”.

Dodajmy od siebie, że totaliści sowieccy na ołtarzu zaborczego

imperializmu niszczą całopalnie sztukę i literaturę rosyjską — bez której narodowa kultura rosyjska skazana jest na skarcenie.

Nie tylko nie ma żadnej sprzeczności w postawie pro-rosyjskiej i równocześnie antysowieckiej lecz przeciwnie, prawdziwa życzliwość do narodu rosyjskiego musi być z definicji równoznaczna z negatywnym nastawieniem do sowietyzmu. Nikt z nas nie uważa, że Gierek i jego partia stanowią rząd na jaki Polacy zasługują. Tylko bezbrzeżna pogarda mogłaby dyktować opinię, że choć staliniści, jak Breżniew czy Gierek, dla Polaków stanowią obrazę — dla Rosjan wystarczą, ponieważ Rosjanie na nic lepszego nie zasługują.

Powtarzamy, że geopolitycznie Polska znajduje się w trudnej a czasowo nawet beznadziejnej sytuacji. Zapominamy natomiast, że geopolityka to nie tylko Rosja lecz również Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś. Geopolityka czyni z Polski państwo satelickie. Lecz ta sama geopolityka sprawia, że Rosjanie stanowią mniej niż 50 % ludności w Związku Sowieckim. Geopolityka stanowi *de facto* piętę achillesową Sowietów, które znalazły się pomiędzy nacjonalistycznymi Chinami a ogniskiem ruchów narodowych w Sowietach i w państwach satelickich.

Wszystko się przeżyło, z wyjątkiem nacjonalizmu. Nie XIX-ty wiek lecz wiek XX-ty stoi pod hasłem nacjonalizmów. Stwierdzam to bez radości, ponieważ nigdy nie byłem i nie jestem nacjonalistą. Trzeba jednak odróżnić nacjonalizm obronny od nacjonalizmu zaborczego. Jestem przeciwnikiem przemocy, jest jednak oczywiste, że człowiek napadnięty przez bandytę ma prawo do obrony, choć obrona niemal zawsze jest defensywną przemocą.

Podobnie, choć jestem przeciwnikiem imperialistycznego nacjonalizmu — uważam, że każdy naród ma prawo do obrony, która bez spotęgowanego poczucia nacjonalnego nie jest możliwa. Nacjonalizm staje się złem gdy wynaturza się w zaborczość — inaczej mówiąc, gdy nie tylko broni się swojego lecz sięga się po cudze.

Trzeba jeszcze podjąć próbę skomentowania następującego stwierdzenia. Pisarze polityczni Stronnictwa Narodowego podają za pewnik, że rozczłonkowanie Sowietów *bez wojny* nie jest możliwe. W oparciu o powyższy pewnik wysuwają wniosek, że program prometejski jest mrzonką.

Napoleon był w Moskwie, Hitler stał na przedmieściach Moskwy i ani w pierwszym ani w drugim wypadku nie doszło do rozczłonkowania Rosji. Na jakich więc przesłankach historycznych nasi oponenti opierają swój kategoryczny wniosek, że bez wojny rozczłonkowanie Rosji nie jest możliwe?

Osobiście mniemam, że proces rozczłonkowania Sowietów

czy jego przekształcenia w *Commonwealth* narodów nie może zacząć się w Waszyngtonie czy w Pekinie, tylko musi zacząć się i dojrzeć w samym imperium sowieckim. Tylko wówczas wojna mogłaby spełnić zadanie czynnika sprzyjającego ruchom wyzwolenńczym. Ewentualna wojna rosyjsko-chińska, gdyby wybuchła zbyt wcześnie — byłaby z punktu widzenia ruchów wyzwolenńczych jedynie zmarnowaną okazją.

W artykule pt. „Technologiczne pojmowanie dziejów” (*Kultura* nr 4/307) — wyraziłem opinię, że technologia czyni mocnych arcy-mocnymi a słabych arcy-słabymi. Powyższy sąd jest w całości uwarunkowany historycznie. Ponieważ Rzesza hitlerowska produkowała 10 razy więcej stali niż Polska — skazani byliśmy na klęskę. W oparciu o tę analogię historyczną wnioskujemy, że ponieważ Sowiety posiadają broń nuklearną, których my nie posiadamy — wojna nie może wchodzić w grę, ponieważ musiałaby się zakończyć naszą przegraną.

Gwoli obiektywizmu trzeba jednak podkreślić, że technologia, a zwłaszcza technologia nuklearna, obraca często w niwecz spekulacje analogiami historycznymi.

Specjaliści amerykańscy sądzą, że w związku z kryzysem energetycznym trzeba będzie w najbliższych 50 latach ogromnie rozbudować siłownie atomowe. Wnioskuje się również, że w drugiej połowie XXI-go wieku — technologia znajdzie sposób czerpania energii wprost ze słońca i z oceanów. To są bowiem dwa gigantyczne potencjały energii naturalnej do tej pory nie wykorzystane.

Jest to jednak wizja dalekiej przyszłości. Natomiast dziś dostępna jest nam tylko energia atomowa. Specjaliści zwracają uwagę, że siłownie atomowe stwarzają różne niebezpieczeństwa, nie tylko natury zdrowotnej. Z chwilą gdy kraj pokryje się setkami tego typu zakładów — powstanie niebezpieczeństwo, że któregoś dnia grupa terrorystów opanuje jedną z atomowych siłowni i wówczas będzie mogła dyktować warunki Waszyngtonowi.

Sporządzenie prymitywnej bomby atomowej jest stosunkowo prostym zabiegiem gdy posiada się atomowy materiał. Zdobycie owego materiału będzie łatwiejsze z każdym rokiem.

Przytoczyłem powyższe informacje by wykazać, że spekulowanie analogiami historycznymi w dzisiejszej epoce często zawodzi. W roku 1939 Gdyni bronili kosynierzy jakby zmartwychwstali z pól racławickich. W Polsce kończył się wówczas wiek XIX-ty. Lecz kto może przewidzieć jakimi bronią i jakimi bombami operować będą powstańcy w Europie Wschodniej obecnie?

Nie bawiąc się w przepowiednie — należy powtórnie podkreślić, że imperium sowieckie w epoce wzrastającej dynamiki ruchów narodowościowych jest anachronizmem. Anachronizmy trwają czasem długo, lecz w końcu zawsze upadają.

Zadaniem polskiej polityki wschodniej winno być rozbudzanie i potęgowanie wszystkich sił odśrodkowych w Sowietach i scementowanie wspólnego frontu narodów ujarzmionych przez Sowiety — Rosjan nie wyłączając.

Pogodziłem się dawno z faktem, że zapewne nie doczekam chwili wyzwolenia. Boleję natomiast nad tym, że do tej chwili nie jesteśmy przygotowani, że nie ma pełnego porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Boleję nad tym, że jeszcze są wśród nas politycy gotowi do rozmów z imperialistyczną Moskwą ponad głowami i kosztem pobratymczych narodów. Boleję nad tym, że istnieją na emigracji ugrupowania złożone z zasłużonych patriotów, którzy jednak stawiają wyżej martwy legalizm granic z 1939 roku niż imperatyw jednolitego działania narodów ujarzmionych. Boleję nad tym, że tak mało Polaków szuka porozumienia i współpracy z nowym pokoleniem rosyjskim.

Niech mi wolno będzie powtórzyć jeszcze raz: z historycznej koniunktury na którą czekamy — nic nam nie przyjdzie, jeżeli do niej nie będziemy rzetelnie przygotowani.

Kultura Nr 6/309 (1973)

POLSKA „WESTPOLITIK”

„Amerykanie nie potrzebują Rosji dla celów gospodarczych. Nawet trudna do osiągnięcia wymiana z Sowietami wartości pięciu miliardów dolarów rocznie, to jest mucha w ogólnym bilansie amerykańskim. Amerykanie potrzebują — i tu jest cały paradoks — pomocy Rosji w pomyślnej likwidacji swojej hegemonii światowej”.

To jest opinia Wojciecha Wasiutyńskiego, który od szeregu lat przebywa w Stanach Zjednoczonych i na pewno lepiej jest zorientowany w polityce amerykańskiej niż emigracyjni publicyści, którzy od 30 lat nie opuścili Londynu.

Musimy wyzbyć się schizofrenicznego stosunku do Stanów Zjednoczonych. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie mocarstwem jakie wyśnili sobie Polacy. Odmowa z naszej strony uznania Ameryki za taką jaką ona istotnie jest uniemożliwia nam realizowanie tych niewielkich wpływów jakie w Stanach Zjednoczonych posiadamy.

Propaganda na dalszą metę ogłupia tych, którzy ją głoszą, a nie tych przeciwko którym jest wymierzona. W okresie „zimnej wojny” tak uporczywie i tak długo głosiliśmy całkowitą zbieżność polskich i amerykańskich interesów, że dziś dosłownie fałszujemy rzeczywistość, by pokrywała się z założeniami przestarzałej propagandy.

W opinii komentatorów londyńskiej prasy emigracyjnej polityka Nixona w stosunku do Sowietów jest manewrem taktycznym czy pozorem, który przysłania wręcz odmienne zamiary Stanów Zjednoczonych.

Senior publicystów emigracyjnych wyraził opinię, że skandal Watergate jest rozdmuchany przez propagandę komunistyczną. Faktem natomiast jest, że prasa sowiecka wysunęła tezę, że afera

Watergate jest rozdmuchiwana przez reakcjonistów, przeciwnych polityce odprężenia zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Ale zawsze tak było. Lechoń w swym ostatnio wydanym tomie „Dzienników” pieje peany na cześć Eisenhowera i wierzy, że wszystko ulegnie zmianie na lepsze z chwilą gdy generał, republikanin i prawnikowie, osiadł w Białym Domu.

Eisenhower grał w golfa gdy Budapeszt dogorywał. Podobnie, sylwetka Nixona w prasie emigracyjnej to nie jest żywy człowiek i polityk tylko kukła nafaszerowana polskimi pobożnymi życzeniami.

Podstawowym elementem wszelkiej polityki jest prawidłowe rozpoznanie. Trzeba umieć prawidłowo rozpoznać zarówno wroga jak i sojusznika. Fałszywe rozpoznanie sojusznika może być równie katastrofalne w skutkach jak fałszywe rozpoznanie wroga.

U nas niestety analizę i rozpoznanie zastępuje tradycyjne trzymanie się „pańskiej klamki”. Wielu Polaków na emigracji wykazuje identyczną lojalność w stosunku do Nixona jak Gierk i jego prasa w stosunku do Breżniewa. Tak jak wszelka krytyka reżymu Gierka uważana jest przez prasę krajową za kapitalistyczną dywersję ideologiczną — tak u nas na emigracji wszelka krytyka Nixona uważana jest za dzieło inspiracji komunistycznej.

Sprawę komplikuje fakt, że znani mi Polacy, którzy bywają w PRL i ogłaszają w periodykach zachodnich artykuły — często chwalone przez reżymową prasę — twierdzą, że działają z pełnym poparciem Amerykanów.

Mamy przeto dwa skrajne a nawet sprzeczne odłamy emigracyjnego filoamerykanizmu. Przynależni do pierwszego obozu głoszą, że Watergate jest rozdęta przez liberałów i komunistów, by szkodzić Nixonowi. Odprężenie i zbliżenie sowiecko-amerykańskie jest pozorem. W rzeczywistości Nixon i cała Ameryka dyszą tą samą nienawiścią do Sowietów jak w szczytowym okresie „zimnej wojny”. Mobilizacja wszystkich antykomunistycznych sił świata tak jak dawniej jest naczelnym celem polityki amerykańskiej, której żywym symbolem jest prezydent Nixon.

Do drugiego obozu należą przeważnie Polacy zagraniczni młodego i średniego pokolenia, wykształceni za granicą. Ci panowie odwiedzają Kraj, pisują artykuły w periodykach emigracyjnych i obcych, bywają zauważani a nawet chwaleni przez prasę reżymową i postępując w ten sposób sądzą, że realizują amerykańsko-sowiecką politykę odprężenia i koegzystencji.

Nie ulega wątpliwości, że tak profesor Pragier jak i prof. Bromke są szczerze pro-amerykańscy — choć filo-amerykanizmowi nadają różną treść. Cenię i poważam obu tych panów,

nie zgadzam się jednak ani z jednym ani z drugim. Wydaje mi się, że prof. Pragier i Bromke są reprezentatywni dla dwóch odłamów pro-amerykanizmu o których mówiliśmy powyżej.

W mojej opinii obaj profesorowie wadliwie interpretują kluczowe terminy: „koegzystencja” i „odprężenie”.

W wielkim skrócie można powiedzieć, że prof. Pragier uważa, że koegzystencja i odprężenie pomiędzy Sowietami a Ameryką nie są możliwe i wskutek tego odprężenie i Polsce nie może przynieść żadnych korzyści.

Prof. Bromke sądzi natomiast, że rzecz warta jest próby. Mniema, że jeżeli odprężenie i współpraca sowiecko-amerykańska mimo wszystko przyniesie pozytywne rezultaty — odbije się to korzystnie na Polsce.

Błąd w rozumowaniu obu profesorów polega na tym, że nie ma żadnej analogii ani związku przyczynowego pomiędzy Polską a Ameryką. Wbrew temu co twierdzi prof. Pragier, odprężenie pomiędzy Ameryką a Sowietami jest możliwe — i wbrew temu co twierdzi prof. Bromke — odprężenie sowiecko-amerykańskie może pogorszyć a nie polepszyć sytuację Polski.

Ameryka jest najpotężniejszym supermocarstwem świata i może odprężyć swoje stosunki z Rosją czy z Chinami, ponieważ z zewnątrz Stanom Zjednoczonym nic nie zagraża i *de facto* nic nie może zagrozić. Gdyby Pekin czy Moskwa targnęły się na Stany Zjednoczone podpisałyby swą własną metrykę zgonu.

Ceną za odprężenie nie jest również rezygnacja z hegemonii — ponieważ Ameryka nie pragnie hegemonii. Pełnienie roli żandarma świata jest procedurą bardzo kosztowną i kolejne Kongresy nie chcą uchylać odpowiednich kredytów.

Sowiety w przeciągu 20 lat zbudowały drugą z kolei największą flotę wojenną świata. Lecz ani Chruszczow ani Breżniew nie musieli liczyć się z wolą czy opinią sowieckiego poddanika.

Stany Zjednoczone są uwikłane w różnorodne trudności gospodarcze, które wyrażają się inflacją i wzrastającą drożyzną. Mając do wyboru kosztowną hegemonię światową czy *prosperity* bez hegemonii — Amerykanie z całą pewnością wybiorą *prosperity* bez hegemonii.

Jeżeli chodzi o tezę prof. Bromke to należy zauważyć, że choćby konferencja w Helsinkach i proponowana przez Sowiety konferencja na szczycie przyniosły nawet jakieś ustępstwa ze strony Moskwy — to cały koncept „odprężeniowy” polityki sowieckiej, wyłożony w dniu 10 lipca bież. roku w Helsinkach przez min. Gromyko, opiera się na uznaniu i zaalegalizowaniu przez Zachód *status quo* w Europie Środkowo-Wschodniej.

W pewnej mierze może wydawać się dziwne, że Sowietom

tak niezmiernie zależy na formalnym zalegalizowaniu owego *status quo*, który w gruncie rzeczy wszyscy biernie i zgodnie uznają. Wszyscy — z wyjątkiem Chin, które nie uznają granicy na Odrze i Nysie tudzież zaboru Lwowa i Wilna, Nie uznają również wcielenia do Związku Sowieckiego państw bałtyckich. Innymi słowy, Chiny nie uznają ani sowieckiej sfery wpływów w Europie, ani nawet nie uznają powojennych granic samego Związku Sowieckiego.

Moskwa pragnie przeto formalnego uznania *status quo* w Europie przez mocarstwa zachodnie — ponieważ nie może liczyć na uznanie swych po-Jałtańskich zdobyczy przez Chiny, które są również jak najdalej od likwidowania „zimnej wojny” przeciwko Związkowi Sowieckiemu. (Leży przede mną broszura wydana niedawno w Pekinie pod wymownym tytułem: „Down with the new Tsars”).

Lecz stosunki sowiecko-chińskie choć bezpośrednio związane z sytuacją europejską nie są tematem niniejszych rozważań.

Pragnąc wyprostować nasz stosunek do Zachodu powinniśmy zacząć od wytepienia kompleksu trzymania się „pańskiej klamki”. Na czym ów kompleks polega? Weźmy przykład. W czasie ostatniej wizyty Breżniewa w Waszyngtonie była tylko jedna antysowiecka demonstracja. Na ulicach stolicy Stanów Zjednoczonych demonstrowali pokojowo choć wyraziście Żydzi. Wydawałoby się, że Polacy mają niepomieranie więcej powodów do demonstrowania przeciwko Sowietom niż Żydzi. Polska a nie Izrael jest satelitą Sowietów. Czy cytowana demonstracja dowodzi, że Żydzi są mniej pro-amerykańscy niż Polacy? Na pewno nie. Żydzi są pro-amerykańscy, ponieważ Stany Zjednoczone są Izraelowi bardzo potrzebne.

Polacy i Żydzi są pro-amerykańscy i tak jedni jak i drudzy są antysowieccy. Demonstrowali natomiast tylko Żydzi, ponieważ Polakom uniemożliwił demonstrowanie kompleks „pańskiej klamki”. Demonstracji nie życzył sobie prez. Nixon a któżby chciał się narazić prezydentowi? „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i przy Tobie Najjaśniejszy Panie stać pragniemy”. Polacy w znacznym odłamie są tradycyjnymi lojalistami i wierzą, że tylko na tej drodze można coś osiągnąć. Na skutek braku tradycji demokratycznej nie rozumieją, że można być szczerze i gorąco pro-amerykańskim i równocześnie demonstrować przeciwko *Ostpolitik* prez. Nixona. Polacy przywykli wierzyć, że pensje, emerytury, stanowiska uniwersyteckie — zależne są od łaski rządu i prezydenta i boją się, że — choćby najbardziej pokojowa i cywilizowana — demonstracja przeciwko oficjalnej polityce mogłaby ich pozbawić dachu nad głową i środków utrzymania.

Lojaliści w Polsce Ludowej mają podstawy do tego typu przekonań — lecz w demokratycznej Ameryce lojalistyczna filozofia jest zupełnie nie na miejscu.

Ów kompleks trzymania się „pańskiej klamki” i wierność feudalnie pojmowanemu lojalizmowi — stwarzają również wymarzony klimat dla działalności reżymowej. Jeżeli prezydent przyjmuje kordialnie Breżniewa, jeżeli prezydent odwiedza Gierka w Warszawie — to demonstrowaniem krytycznej postawy wobec „odprężenia” można by się narazić na zarzut antylojalności. A przecież od przynależności do waszyngtońskiego BBWR — zależą (w opinii polskich przybyszów) posady, emerytury i stanowiska.

Przykłady, przykłady! — Zawoła w tym miejscu Czytelnik. Prezentuję poniżej przykłady klasyczne. W uroczystości podpisania w Departamencie Stanu w Waszyngtonie umów pomiędzy Polską Ludową a USA — wzięło udział dwóch wysokich przedstawicieli Kongresu Polonii. Swoją obecnością owi polscy dygnitarze afirmowali legalizm reżymu warszawskiego w myśl lojalistycznej zasady, że skoro rząd amerykański uznaje reżym warszawski za legalny rząd polski — nie ma powodu by Polacy amerykańscy myśleli inaczej.

W Waszyngtonie pod patronatem Kongresu Polonii Amerykańskiej odbyły się uroczystości związane z 500-leciem urodzin Kopernika. W uroczystościach wzięły udział wszystkie polskie organizacje nie wyłączając SPK. Lecz obok Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w budującej manifestacji wzięły udział również reżymowe placówki LOT i Cepelia. Mało tego — główną wygraną na loterii fantowej był darmowy bilet reżymowych linii lotniczych na trasie Waszyngton-Warszawa.

A naiwna emigracyjna prasa londyńska uporczywie głosi, że Nixonowska doktryna „odprężenia” jest złudzeniem.

Nasz stosunek do tzw. Zachodu jest zdumiewający. Do Anglików czy Francuzów odnosimy się z pobłażliwym lekceważeniem, a na łamach prasy emigracyjnej pełno jest artykułów które opiewają upadek i dekadencję europejskiego zachodu. Nawet publicyści, którzy kiedyś związani byli z socjalizmem — w działalności brytyjskich Związków Zawodowych nie mogą dopatrzeć się niczego innego poza „machinacjami komunistów”.

Stuprocentowym poparciem Polaków zagranicznych cieszy się natomiast prez. Nixon, który z przywódców zachodniego świata — zbliża się najbardziej do ogólnie polskiego ideału antyliberalnego, prawicowego „męża opatrnościowego”.

Brytyjski premier Edward Heath — choć konserwatysta —

jest zbyt liberalny, zbyt postępowy, zbyt „socjalistyczny” — i będąc rzetelnym demokratą w niczym nie przypomina męża „silnej ręki” z polskiej legendy.

Niestety — jak z patosem stwierdził jeden z czołowych publicystów londyńskiego *Dziennika Polskiego* — liberałowie aferą Watergate zadali Nixonowi cios w plecy.

Skandal Watergate jest mieszaniną plotek, zeznań i kontrzeznań. Jedno jest jednak pewne: sprawcami Watergate byli republikanie. Jak więc mogli republikanie zadać sami sobie cios w plecy — pozostaje tajemnicą londyńskiego *Dziennika Polskiego*.

Oczywiście BBWR nie organizowało nigdy „cudów nad urną” i podobnie partia republikańska jako kapitalistyczna i prawicowa — z definicji jest bez zmyślenia i skazy. Wszystkiemu winni są liberałowie, którzy w 80 % są krypto-komunistami.

Lecz w tym szczególnym wypadku nie chodzi mi o poglądy polityczne starszego pokolenia na emigracji. Chodzi mi o ów kompleks „pańskiej klamki”, który często paraliżuje akcję polityczną emigracji.

Przeżywamy epokę masowych strajków, masowych pochodów, masowych protestów. Następującą sprawę trzeba wyjaśnić całkowicie i bez reszty. Na emigracji panuje przekonanie, że protestami niczego nie można osiągnąć. To jest częściowo prawda. Protesty Żydów w związku z „podatkiem emigracyjnym” przyniosły częściowy rezultat, lecz niewątpliwie to jest raczej wyjątek niż reguła. Lecz brak protestu — nawet takiego, który z góry skazany jest na niepowodzenie — odczytywany jest przez opinię międzynarodową jako zrezygnowana zgoda na *status quo*.

W pierwszych dniach lipca bież. roku w czasie konferencji ministrów spraw zagranicznych — na ulicach Helsinek protestowali Litwini, Łotysze i Estończycy przeważnie z amerykańskimi paszportami. Korespondent *The Guardian* zauważył, że Polacy nie protestowali.

Musimy zrozumieć i pamiętać, że brak protestu jest również aktem politycznym o negatywnym znaczeniu.

Gdyby Polacy złożyli w sekretariacie Konferencji w Helsinkach protest w czterech potężnych skrzyniach, zawierający podpisy pół miliona Polaków zagranicznych — tego typu potężny gest nie osiągnąłby niczego w wymiarze praktyki na dzisiaj — lecz stałby się polityczną sensacją światową i prasową. Musimy również pamiętać, że czego nie ma na ekranie telewizyjnym i na łamach dzienników — to nie istnieje.

Protest tego typu uprzytomniłby 33 ministrom i państwom

przez nich reprezentowanym, że Polacy zagraniczni pojmują na serio słowa: „jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy”.

Lecz kto ma organizować protesty i akcje polityczne? Oczywiście nie ci, którzy trzymają się kurczowo nixonowskiej klamki, tj. członkowie waszyngtońskiego i nowojorskiego Bezpартyjnego Bloku Współpracy z Rządem amerykańskim.

Nie jest winą Amerykanów, że ich kraj leży na drugiej półkuli i interesy Polski nie zawsze pokrywają się z interesami Stanów Zjednoczonych. Natomiast jest wielkim błędem mniemać, że można sobie zjednać Amerykanów popierając ich politykę nawet wówczas, gdy jest wyraźnie sprzeczna z polską polityką niepodległościową.

Stany Zjednoczone mogą „odprężyć” stosunki z Sowietami, ponieważ są najpotężniejszym super-mocarstwem świata. Natomiast emigracja polityczna szukając „odprężenia” czy współpracy z reżymami komunistycznymi — złamałaby niepisaną umowę, zawartą pomiędzy nami a państwami, które udzielają nam gościny. Anglicy przyznali prawo stałego pobytu tym żołnierzom 2-go Korpusu, którzy odmówili uznania reżymu komunistycznego w Polsce. Sprawa była postawiona jasno i bez niedomówień. To jest punkt ważny, ponieważ dotyczy uznania nas przez rząd Brytyjski za emigrację polityczną. Wiem pozytywnie, że rząd Brytyjski oczekuje od każdego z nas postawy antykomunistycznej, ponieważ jako anty-komunistom udzielono nam prawa pobytu i uznano nas za emigrację polityczną.

Rząd Brytyjski może w danym okresie prowadzić w stosunku do bloku sowieckiego taką czy inną politykę. Lecz to w niczym nie zmienia charakteru polskiej emigracji. Nawet w okresie największego „odprężenia” — gdybyśmy zaczęli współpracować z instytucjami reżymowymi, gdybyśmy organizowali obchody i akademie pod hasłem Emigracja-Cepelia — Anglicy bardzo szybko powiedzieliby nam, że zerwaliśmy jednostronnie porozumienie, które gwarantowało nam prawo pobytu na tych Wyspach. I mieliby stuprocentową rację. Polak, który uznaje rząd PRL i kuma się z reżymowymi ekspozyturami za granicą — nie ma prawa do statusu emigranta politycznego i związanego z owym statusem prawa stałego pobytu w Anglii. To samo dotyczy emigrantów, którzy przyjęli obce obywatelstwo. Emigrant *de facto* nigdy nie przestaje być emigrantem, ponieważ w przeciwieństwie do obywatelstwa z tytułu urodzenia — obywatelstwo nabyte przez naturalizację — może być sądownie unieważnione a eksnaturalizowany obywatel skazany na deportację.

Piszę to wszystko, by wyprowadzić z błędu tych Polaków — obywateli brytyjskich, kanadyjskich czy amerykańskich,

którzy wyobrażają sobie, że ich „powołaniem” jest czynnie współ-pracować w polityce „odprężenia” zainicjowanej przez Nixona i Breżniewa.

Każdy Polak bez względu na to czy przyjął czy nie przyjął obce obywatelstwo stanowi potencjalny *security risk* — ponieważ Polska nie jest członkiem NATO tylko członkiem Paktu Warszawskiego. Nam, starym żołnierzom, może się to wydawać tragiczno-komiczne — niemniej faktem jest, że pomiędzy zachodnim Niemcem a Polakiem, którzy mieszkają w Londynie czy w Nowym Jorku — zachodzi zasadnicza różnica. Niemiec jest dzisiaj cudzoziemcem *of allied nationality* (sojuszniczej narodowości) tak jak my byliśmy w okresie drugiej wojny światowej. Natomiast Polak nie jest dziś *of allied nationality* — ponieważ Polska należy do potencjalnie wrogiego zgrupowania państw.

Polacy o tym nie myślą, lecz władze brytyjskie i amerykańskie — a zwłaszcza departamenty rządowe odpowiedzialne za bezpieczeństwo — nigdy tych faktów nie tracą z oczu. Dlatego nawet młodym Polakom urodzonym w Anglii — często trudno jest zdobyć stanowisko, które wymaga wysokiego stopnia *security clearance*.

W sumie należy stwierdzić co następuje. Każdy Polak może wrócić do Kraju i przyjąć obywatelstwo PRL. Natomiast ci emigranci, z obcymi paszportami czy bez — którzy szukają bezpośrednio kontaktów z placówkami reżymowymi jeżeli wyobrażają sobie, że wprowadzają w czyn politykę „odprężenia” i wobec tego liczyć mogą na zaufanie i poparcie rządów krajów osiedlenia — popełniają podstawowy błąd. W czasie wojny czy poważnego kryzysu ci panowie znajdą się pierwsi na liście tych cudzoziemców czy obywateli obcego pochodzenia, których jako *enemy aliens* należy izolować i kontrolować.

W czasie wojny pracowałem w Afryce w jednej z placówek ówczesnego Brytyjskiego Ministerstwa Informacji i miałem możliwość zaobserwowania z bliska tych spraw. Wszystkie artykuły z prasy Drugiego Korpusu były tłumaczone na język angielski. Mam podstawy do przypuszczenia, że dzieje się podobnie i dziś. Emigracje zza żelaznej kurtyny są zbyt liczne i politycznie zbyt „sensacyjne” — by można było nimi się nie interesować.

Jeszcze raz powtarzam, każdy Polak w Anglii czy w Kanadzie jest potencjalnym *security risk*. Polak, który utrzymuje stosunki z instytucjami reżymowymi, jeździ do Warszawy, gdzie jego kontakty trudno sprawdzić — jest oczywiście jeszcze większym *security risk* ponieważ — chociaż wiadomo jaki pojechał, nigdy nie wiadomo jaki wrócił.

Dla ludzi, którzy przeżyli drugą wojnę światową w czynnej

służbie jest wręcz zenujące o tym pisać, ponieważ to jest abecadło zachowania się w stosunku do potencjalnego wroga. Poświęciłem tej sprawie sporo miejsca ponieważ wydaje mi się, że Polacy średniego i młodego pokolenia, którzy w wojnie nie brali czynnego udziału — lekceważą wyżej zacytowane „abecadło” — i nie pamiętają, że — odprężenie czy nie-odprężenie — w kancelariach rządowych Londynu, Paryża czy Waszyngtonu przez „potencjalne wrogie mocarstwo” (*potential enemy power*) rozumie się zawsze i bez wyjątku Sowiety i ich sojuszników. Dlatego „abecadło” w pełni obowiązuje i tych, którzy o tym nie pamiętają spotkać może przykra niespodzianka.



Przed wojną nigdy nie myślałem, że mieszkam w Europie Wschodniej. Wawel, Kościół Mariacki z ołtarzem Wita Stwosza a przede wszystkim rynek krakowski — to wszystko miało tyle wspólnego ze Wschodem co stara Norymberga. Gdy wyjeżdżałem do Wiednia, Paryża czy Berlina — ani nie myślałem ani nie mówiłem, że wyjeżdżam na zachód. Wyjeżdżałem zwyczajnie za granicę.

Gdyby przed wojną zaliczył ktoś Drezno do miast wschodnio-europejskich — przyjęto by taką geograficzną klasyfikację wybuchem śmiechu.

Wschodem była zawsze Rosja. Tam gdzie sięgało panowanie rosyjskie czy sowieckie zaczynał się Wschód.

Pod koniec drugiej wojny światowej zaczęliśmy mówić i pisać o „zdradzie Zachodu”. Polskę arbitralnie włączono do Wschodu — co wydawało się nam nie tylko katastrofą lecz absurdem. To tak jakby ktoś na mocy takiego czy innego traktatu Kraków włączył do Kanady.

Jeżeli ktoś z przedwojennego Krakowa wyjeżdżał na Polesie — a bywali i tacy ekscentrycy — nikt nie mówił, że ci odważni Krakowianie wyjeżdżają na wschód. Mówiło się, że wyjeżdżają na kresy.

Gdy po wielotygodniowym pobycie za granicą wracałem do Krakowa — nigdy nie odnosiłem wrażenia, że z jednej części Europy przybyłem do innej, odrębnej części Europy. W Wiedniu mówiło się po niemiecku — lecz kto w Krakowie nie mówił po niemiecku? W Wiedniu było trochę inaczej, lecz nie było obco.

Nigdy nie mieszkalem w Warszawie. Przyjeżdżałem do stolicy na kilka dni a czasem tylko na kilkanaście godzin.

Warszawa robiła na mnie wrażenie miasta kresowego. Nie

Lwów, który był „austriacki” jak Pan Bóg przykazał — tylko Warszawa. W stolicy bliskość Wschodu była wyczuwalna i obecna.

Zachód zdradził nas we wrześniu 1939 roku. Jałta była konsekwencją tej zdrady. Drugą wojnę światową można było wygrać w latach 1939-40 i gdyby Niemcy zostali pobici bez udziału Rosji — do Jałty oczywiście by nie doszło.

Naukę jaką należy wysnuć tak z września 39 jak i z Jałty — ująć trzeba następująco. Dalekimi sojuszami na Zachodzie nie można zastąpić porozumienia z naszymi sąsiadami na Wschodzie. Wyrównanie stosunków z Ukraińcami, z Białorusinami, z Litwinami i w dalszej perspektywie z nie-imperialistyczną Rosją — stanowi podstawowy warunek odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski. Przyjaźń z mocarstwami zachodnimi — choć cenna i potrzebna — nie zastąpi programu wschodniego.

Gdy się ma fałszywe marzenia — „ginie się zdradą marzeń” — by użyć słów Słowackiego. Zachodni mit emigracyjny zakłada, że kiedyś Waszyngton się przebudzi i Stany Zjednoczone wraz ze zjednoczoną Europą Zachodnią — w jakiś sposób odepchną Rosję. Jak w każdym micie, tak i w tym szczegóły są nieważne — istotne jest tylko końcowe spełnienie. Poprzez klęskę Rosji zostaną wymazane i naprawione krzywdy września i Jałty. Polska niepodległa z Wilnem i Lwowem wejdzie do powiększonej, zjednoczonej EWG — a na naszych wschodnich granicach stać będą na straży polskie dywizje wyposażone w broń amerykańską. Tak oto ziści się mit emigracyjny: Polska wróci na Zachód.

Ów fałszywy mit powoduje, że Stany Zjednoczone i mocarstwa zachodnie uważamy za sojuszników — z czego płynie kompleks „pańskiej klamki”, omówiony w pierwszej części tego artykułu.

Nie pamiętamy natomiast, że ewentualny rozpad imperium sowieckiego stworzy koniunkturę nie tylko dla Polski i narodów ciemnionych przez Rosję lecz również rozwiąże problem Niemiec. Na kontynencie europejskim pojawi się nagle nowe super-mocarstwo: zjednoczone Niemcy.

Jeżeli pozostaniemy wierni mitowi emigracyjnemu — znajdziemy się w chwili wymodlonej koniunktury — pomiędzy wrogo do nas nastawionymi narodami wschodu Europy a rewizjonistycznymi, super-mocarstwowymi Niemcami. W takiej sytuacji nie znajdziemy na zachodzie poparcia dla naszych roszczeń w stosunku do Lwowa i Wilna natomiast Niemcy, sojusznik mocarstw zachodnich, znajdą poparcie dla swoich roszczeń w stosunku do polskich ziem zachodnich.

Nie możemy sterować ku klasycznej rozbiorowej sytuacji — to znaczy nie możemy być na noże zarówno ze wschodem jak i zachodem reprezentowanym przez Niemców.

Musimy wybrać pomiędzy Wschodem a Zachodem — przy czym wybór w obu wypadkach oznacza z naszej strony znaczne ustępstwa. Jeszcze raz podkreślam, że nowa sytuacja, która umożliwi Polsce odzyskanie niepodległości — automatycznie umożliwi Niemcom zjednoczenie obu państw niemieckich.

Jeżeli nie wyrównamy stosunków z Ukraińcami, jeżeli wysuwać będziemy pretensje rewindykacyjne w stosunku do Lwowa — Ukraińcy szukać będą poparcia Niemiec. Musimy z długiej ręki rozbroić potencjalną orientację pro-niemiecką Ukraińców. Niepodległa Ukraina, gdyby miała powstać pod egidą Niemiec — stanowiłaby nie polepszenie lecz pogorszenie położenia Polski. W ten sposób problem ukraiński w perspektywie polskiej zahacza zarówno o wschodni jak i zachodni program naszej polityki.

Nie możemy operować problemem ukraińskim jako instrumentem szantażu w stosunku do Rosji. Nie możemy — w danej sytuacji — grozić Rosjanom, że jeżeli z nami się nie ugodzą to my ugodzimy się z Ukraińcami przeciwko nim. Tego rodzaju szantaż zakłada bowiem gotowość z naszej strony porzucenia problemu ukraińskiego za cenę uzyskania porozumienia z Rosją.

Jeżeli chodzi o Niemcy — stwierdzając, że uznajemy obecną granicę wschodnią Polski za ostateczną — czynimy potencjalną ukraińską orientację pro-niemiecką bezprzedmiotową.

Tylko tak sformułowana polska polityka ukraińska może zapewnić życzliwe nastawienie przyszłej niepodległej Ukrainy w stosunku do Polski.

Niniejszy artykuł jak tytuł wskazuje — poświęcony jest polskiej polityce zachodniej w jej podstawowych założeniach. Na skutek położenia geograficznego nasz program zachodni uzależniony jest od programu wschodniego.

Celem tych rozważań jest uświadomienie Czytelnikowi faktu, że koniunktura historyczna, na którą czekamy, niczym nie będzie przypominała sytuacji z 1918 roku — mimo, że i tym razem jej nieodzownym składnikiem musi być upadek imperium rosyjskiego w jego obecnej postaci.



Anglicy, Francuzi, Amerykanie powitaliby życzliwie demokratyczny rząd w Warszawie. Nie oznacza to, że możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Zachodu. Francuzi i Anglicy z całą pewnością nie życzą sobie zjednoczenia Niemiec. Lecz

dla mocarstw zachodnich problem Niemiec jest czymś innym niż dla nas. Niemcy nawet zjednoczone nie będą wysuwać pretensji terytorialnych pod adresem Francji.

Na Zachodzie mamy przyjaciół i sympatyków, którzy często wadliwie rozpoznają sprawę polską — nie na skutek złej woli tylko z braku głębszego zrozumienia. Wielu z nas przyczynia się do owego wadliwego zrozumienia ponieważ boimy się, by nas nie posądzono o brak realizmu.

Posłużmy się następującym przykładem. Każde leczenie jest programem minimalnym o celu maksymalnym. Jeżeli choremu na tyfus lekarz zdoła obniżyć temperaturę choćby minimalnie to jest poważny sukces. Niemniej celem procesu leczenia nie jest minimalna poprawa, tylko całkowity powrót do zdrowia pacjenta.

Podobnie witając z zadowoleniem każdą choćby minimalną poprawę sytuacji w Kraju — nie powinniśmy zapominać i nie powinniśmy pozwolić zapominać innym, że nie zrezygnowaliśmy z celu maksymalnego — jakim jest całkowite odzyskanie niepodległości.

Nie ma w tym nic romantycznego, tym mniej, nie ma w tym nic wstydliwego. Anglicy zachowanie niepodległości dla Wielkiej Brytanii uważają za podstawowy i oczywisty realizm i byłoby zdumieni gdyby ich ktoś posądził o romantyzm. Przystępując do EWG Anglia zrezygnowała z części swej suwerenności. Lecz suwerenność jest niezbędna choćby dlatego, by móc częściowo z niej zrezygnować. Anglia rezygnując z odłamka suwerenności zyskała instytucjonalny wpływ, tzn. ułamek suwerenności, w Komisji Europejskiej. W rezultacie Wielka Brytania nie zrezygnowała z niczego tylko zamieniła część suwerennych uprawnień jednego typu na częściową suwerenność innego rodzaju.

Natomiast Polska i inne kraje satelickie utraciły nie część lecz całość swojej suwerenności nie zyskując niczego w zamian.

Przypominając nieustannie Zachodowi, że nie zrezygnowaliśmy z naszych celów maksymalnych — nie działamy w sprzeczności z podstawowymi zasadami cywilizacji zachodniej — choć możemy działać w sprzeczności z bieżącą polityką Zachodu dyktowaną wymogami chwili. W zakresie praktycznym liczy się zawsze polityka bieżąca ponieważ w ramach polityki bieżącej wygrywa się lub przegrywa wybory. Przywrócenie niepodległości krajom satelickim jest propozycją odległą i niewymierną w kategoriach planowania politycznego. Z tej przyczyny Zachód nie narazi nigdy na niepowodzenie swojej polityki bieżącej wysuwaniem postulatów, których realizacja byłaby powitana życzliwie pod warunkiem, że dokonałaby się bez wysiłku i ryzyka ze strony Zachodu.

Jeżeli moje przewidywania okażą się słuszne — imperium sowieckie skazane jest na upadek w każdym wypadku. Gdyby przyjąć fantastyczną supozycję, że Sowiety wchłoną całe Niemcy i wciela państwa satelickie — Kreml wielokrotnieby tylko taką polityką swój problem narodowościowy redukując naród imperialny, tzn. Rosjan, do statusu mniejszości we własnym supermocarstwie. Wyłączając wojnę z Chinami — kto wie czy nie byłaby to najkrótsza droga wiodąca do upadku sowieckiego imperium. I dlatego Rosjanie tego nie robią. Boją się wpływów polskich, polskiej kultury, polskiego katolicko-rzymskiego nacjonalizmu — przemianowanie 33 milionów Polaków na rzeczywistych obywateli sowieckich byłoby szaleństwem. Rosjanie tego nie robią ponieważ politycy sowieccy popełniają błędy, lecz nie popełniają szaleństw.

Moim zamierzeniem było napisać artykuł poświęcony polskiej *Westpolitik*. Lecz w gruncie rzeczy w naszej sytuacji nie można wyodrębnić programu zachodniego. Nasz program zachodni będzie sukcesem tylko wówczas gdy nasz program wschodni będzie sukcesem. Tylko wtedy gdy po odzyskaniu niepodległości zdołamy ułożyć nasze stosunki z sąsiadami wschodnimi — zdołamy oprzeć się naciskowi zjednoczonych Niemiec. Francja i Anglia nie życzą sobie super-mocarstwa niemieckiego w środku Europy — lecz Paryż i Londyn poprą Polskę pod warunkiem, że Polska z uładowaną granicą wschodnią stanowić będzie kartę, na którą warto postawić.

Polsce usiłującej odebrać Ukraincom Lwów na wschodzie i usiłującej bronić Wrocławia na zachodzie — nikt nie zaoferuje pomocy czy poparcia. Zachód w takiej sytuacji byłby tylko — w imię porządku i pokoju — notariuszem, gotowym do zalegalizowania jeszcze jednej naszej klęski.

Kultura Nr 9/312 (1973)

TEMAT: KONFLIKTY

Przeciętny mieszkaniec Wielkiej Brytanii nie zdaje sobie sprawy, że na tych Wyspach istnieje przeszło 200 komun. Z braku innego zbiorczego określenia tego zjawiska — używam semantycznie logicznie brzmiącego terminu „komunizm”, choć w tym wypadku słowo „komunizm” nie ma nic wspólnego z ustrojem sowieckim czy chińskim. Lecz jak inaczej nazwać ruch oparty na komunach (po angielsku *communes*)?

W Ameryce istnieją nie setki lecz tysiące komun. „Komunizm” rozrasta się również na kontynencie Europy.

W pięknym parku o powierzchni 25 akrów w Dumfrieshire — mieści się siedziba tybetańskiej komuny Samey-Ling. Dziwnie wygląda duża statua Buddy siedzącego na skrzyżowanych nogach na tle typowego angielskiego parku.

Nie wszystkie komuny są buddyjskie. Są komuny praktykujące powrót do „pierwotnego” chrześcijaństwa. Nie brak komun w których element religijny nie odgrywa w ogóle żadnej roli. Wymyślono nawet systemy medytacji ateistycznej. W tych systemach zakłada się, że medytacja nawet bez założeń metafizycznych jest zbawienna dla zdrowia fizycznego i psychicznego.

W niniejszym artykule interesuje mnie tylko jeden aspekt tego zagadnienia. Komuny stanowią zbiorową formę ucieczki. Przed czym ci ludzie uciekają? Warto może jeszcze dodać, że komuny nie składają się wyłącznie z brodatych i kudłatych młodzieńców. „Komunistami” bywają również ludzie w średnim wieku obojga płci, często ze stopniami uniwersyteckimi, którzy porzucili kariery i stanowiska w naszym świecie by uciekać. Uciekać przed czym?

Jeżeli ktoś jest anarchistą zwalcza konserwatystów. Jeżeli ktoś jest konserwatystą — zwalcza anarchistów. Człowiek

religijny w miarę swych możliwości zwalcza ateizm, a ateści — jak wiadomo — zwalczają religię.

W naszym świecie być za czymś jest równoznaczne z faktem, że się jest przeciwko czemuś. Innymi słowy tzw. normalne życie jest zawsze sytuacją konfliktową. Banalne określenie, że życie jest walką — implikuje istnienie permanentnego konfliktu — ponieważ nie walczymy z wiatrakami tylko z ludźmi o odmiennych przekonaniach i poglądach.

Oczywiście walka nie odbywa się wyłącznie w płaszczyźnie idei politycznych. Ludzie walczą o władzę, o stanowiska, o pieniądze. Walcząc o coś walczą równocześnie przeciwko komuś.

Komuny — o których wspomniałem powyżej — stawiają sobie za cel stworzenie form życia zbiorowego uwolnionego od sytuacji konfliktowej.

Bezkonfliktowość jest możliwa tylko za cenę rezygnacji z jakiegokolwiek zaangażowania. Z tej przyczyny komuny nie mogą być porównane z klasztorami chrześcijańskimi. Zakonnik — nawet w czysto kontemplacyjnym zakonie — jest zaangażowany w walce ze złem, któremu przeciwstawia modlitwę i świątobliwe życie.

Jest rzeczą zdumiewającą, że są pisarze operujący socjologiczną terminologią, którzy w komunach dopatrują się projekcji alternatywnej cywilizacji.

W moim przekonaniu bezkonfliktowość byłaby nie alternatywą lecz grobem cywilizacji. Bezkonfliktowe życie można sobie wyobrazić tylko w innym wymiarze, poza grobem lecz nie na tej ziemi.

Z konfliktowością trzeba nie tylko współżyć lecz oceniać ów stan rzeczy jako zjawisko pozytywne. Przychodzi to nie łatwo, bo w każdym człowieku, zwłaszcza starszym — budzi się tęsknota do syntezy i spokoju. W każdym socjaliście tkwi konserwatysta, który szepcze, że za cenę zdławienia kolejnych konfliktów można osiągnąć upragniony spokój.

Ojczyznę konserwatysty jest *status quo*. To jest twarda ziemia pod nogami — inaczej mówiąc sytuacja o minimalnej ilości niewiadomych. Natomiast reformy — zwłaszcza reformy radykalne — usuwają twardy grunt spod stóp konserwatysty. Każda reforma, choćby najślusniejsza — niesie z sobą znaczny procent niewiadomych, co określamy mianem ryzyka. Konserwatysta mieszkający w każdym z nas nie lubi ryzyka i z nieufnością odnosi się do każdej zmiany — ponieważ długie doświadczenie życiowe mówi mu, że jest niewielka szansa by jakakolwiek zmiana okazała się zmianą na lepsze.

Ludzie starsi wiekiem źle adaptują się do zmienionych wa-

runków i dlatego instynkt biologiczny dyktuje im postawę konserwatywną. Oczywiście są wyjątki.

Przez uczciwe życie należy rozumieć postawę jednostki opartą na przekonaniu — a nie na zmianach biologicznych, nie na zainwestowanych pieniądzach, nie na subiektywnym pragnieniu „świętego spokoju”, choćby kupionego krzywdą innych.

Powinniśmy patrzeć z największą nieufnością na naszego „sobowtóra” konserwatystę, ponieważ on jest rzecznikiem egoizmu i wszelkiej moralnej brzydoty z egoizmem związanej.

Konserwatyści zdają się posiadać wyłączny monopol na realizm. Polityka zachowawcza jest zawsze realna — natomiast dążenie do reform, zwłaszcza radykalnych, piętnowane jest jako utopizm.

W rzeczywistości jednak gdy do władzy, po socjalistach, przychodzą konserwatyści, akceptują większość wprowadzonych zmian i reform. Z chwilą gdy nowe instytucje — jak państwowa służba zdrowia — stają się częścią aparatu rządowego konserwatystów — nabierają *respectability* i z utopii przekształcają się w powszechnie uznawany składnik „realnego stanu rzeczy”.

Nie mówimy o ustrojach utopijnych, do których zaliczyć należy również i komunizm. Chciałem tylko uwypuklić fakt, że realizm nie może stanowić kategorii moralnej. Konserwatyści wszystkich krajów mają tendencję do interpretacji życia według schematu: słuszne może być tylko to co jest realne. Jeżeli coś jest nierealne, jest tym samym głupie, a rzecz głupia nie może być słuszną.

Dla człowieka o przekonaniach lewicowych powyższy schemat jest nie do przyjęcia. Dana sprawa, jeżeli jest naprawdę słuszną, nie przestaje być słuszną nawet jeżeli jest nierealna. Musimy również pamiętać, że wykładnik moralny — tzn. obiektywna słuszność danej sprawy — stanowi czynnik stały. Natomiast kwalifikacja realizmu jest oceną płynną i zmienną. Równouprawnienie kobiet było sprawą moralnie słuszną tak sto lat temu jak i dziś. Natomiast sto lat temu ów problem, choć moralnie słuszny, był nierealny. Dziś jednak równouprawnienie kobiet jest zarówno moralnie słuszne jak i całkowicie realne. Walczyć obecnie o równouprawnienie kobiet nie jest bohaterstwem — ponieważ bitwa jest wygrana. Lecz choć rezultaty zwycięstwa oglądamy dopiero dziś — bitwa została stoczona i wygrana przez pokolenie, które działało w epoce, która temu problemowi odmawiała realizmu.

Podobnie było ze związkami zawodowymi, z powszechnym głosowaniem — ze wszystkim co określamy mianem postępu.

Postęp staje się realny dopiero w chwili gdy jest wywalczony. Lecz postępu nie byłoby w ogóle — gdyby zabrakło ludzi gotowych walczyć o sprawy słuszne, choć w danym okresie nierealne.

Wszystkie biurokracje są konserwatywne. Im dana biurokracja posiada większą władzę tym jest bardziej konserwatywna. O ile jednak konflikt pomiędzy socjalistami a konserwatystami w systemie demokratycznym jest zjawiskiem stałym o wypracowanych regułach gry — o tyle coraz częstsze konflikty w ramach samej biurokracji są nowym fenomenem. Strajkują urzędnicy niskiego stopnia przynależni do tej samej biurokracji co urzędnicy średnich i wysokich stopni. Obserwujemy również nieustanny konflikt w związkach zawodowych. Przywódcy lokalni, bezpośrednio wybrani przez robotników — popadają często w konflikt z centralną biurokracją związkową.

Jest naiwnością twierdzić, że wszystkie nieoficjalne strajki, pikietowania, strajki okupacyjne itp. są organizowane wyłącznie przez komunistów. Wpływów komunistycznych nie należy lekceważyć. Lecz gdyby jutro wszystkich komunistów brytyjskich wywieziono na Syberię — mielibyśmy nadal strajki, pikietowania i wszystko to, co Anglicy określają terminem *militancy*.

Jedną z niebezpiecznych wad antykomunizmu jest jego intelektualne prostactwo. Każdy trudny czy niepożądany fenomen społeczny jest daleko łatwiej napiętnować jako machinację komunistów niż przeanalizować i wyjaśnić jego przyczyny.

Lecz wróćmy do rzeczy. Strajk oficjalny jest akcją legalną — to znaczy system demokratyczny wypracował w tym względzie obowiązujące reguły gry. Przełom technologiczny powoduje zasadnicze zmiany w procesie produkcji przemysłowej, co pociąga za sobą głębokie przemiany gospodarcze, społeczne i polityczne. W rezultacie powstają nie tylko wielonarodowe koncerny przemysłowe lecz i E.W.G.

Lecz to są zmiany w pewnej mierze zewnętrzne. Nie docenia się przemian na samym dole, tzn. w ludziach.

Symboliczną postacią w panteonie nowoczesnego przemysłu jest Henry Ford — twórca przenośnika taśmowego (*conveyer belt*) i autor słynnego powiedzenia, że „robotnik jest szczęśliwy dopóki przy swojej pracy nie musi myśleć”.

Brytyjski przemysł samochodowy może się poszczycić największą ilością strajków i zatargów z robotnikami. Badania ustaliły, że praca przy przenośniku taśmowym jest zabójczo nudna i monotonna. Badania ustaliły również, że praca tego typu prowadzi do frustracji, do zniecierpliwienia, a często do gwałtownych wybuchów. Robotnicy w fabrykach samochodowych

często strajkują z najbardziej błahych powodów, szukając upustu dla nudy, monotonii i zniecierpliwienia.

Niektóre fabryki samochodów w Niemczech zarzuciły całkowicie system przenośnika taśmowego. W tych fabrykach samochód buduje sześciu mechaników. Samochód, który budują, stanowi ich indywidualne dzieło i osiągnięcie którym są zainteresowani i z którego są dumni. W takich fabrykach jak Volkswagen strajki są zjawiskiem nieznanym.

Powyżej przytoczony przykład ilustruje rozległy i różnorodny konflikt pomiędzy technologią a robotnikami. Ów konflikt nie ma nic wspólnego z płacą. Robotnicy w angielskich fabrykach samochodowych są jednymi z najlepiej płatnych robotników w Europie. Lecz jak wyraził się jeden z rzeczoznawców w dyskusji na ten temat w BBC — żadnymi pieniędzmi nie można zapłacić za nudę, monotonię i frustrację pracy przy przenośniku taśmowym.

Z jednej strony technologia w wielu dziedzinach de-humanizuje pracę robotników — z drugiej strony radio, prasa, oświata a w szczególności szeroko rozbudowany system oświaty dla dorosłych — podnoszą systematycznie poziom intelektualny i kulturalny robotników. Od czasów gdy Henry Ford wypuścił na świat swój słynny „T” Model — poziom klasy robotniczej, zwłaszcza w Zachodniej Europie, uległ wielkiej przemianie.

Oczywiście przy systemie przenośnika taśmowego można produkować więcej i taniej niż przy systemie indywidualnym, w którym sześciu robotników buduje jeden samochód. Lecz fabryka produkująca w oparciu o system taśmowy — w której robotnicy strajkują przez 150 dni w roku — na pewno nie produkuje ani taniej ani więcej.

Główną motywacją kapitalizmu jest zysk. Metoda, która obniża kosztą produkcji tym samym zwiększa zysk. Można więc argumentować tak, jak pewni przywódcy amerykańskich związków zawodowych — że zwiększenie rentowności danego zakładu przemysłowego leży w interesie robotników, ponieważ tylko fabryka, która wykazuje wielkie zyski może płacić wysokie stawki.

W jednym z moich poprzednich artykułów pisałem, że konflikt pomiędzy kapitałem a pracą w każdym kraju oznacza co innego. Co jest do przyjęcia dla robotników chińskich — jest nie do przyjęcia dla robotników amerykańskich — a co jest do przyjęcia dla robotników amerykańskich — nie zawsze jest do przyjęcia dla bardziej *sofisticated* robotników zachodnio-europejskich.

W moim przekonaniu im będzie się zwiększał ogólny poziom kulturalny robotników — tym silniejszy będzie opór klasy robotniczej przeciwko nudzie i monotonii, wywołanej technologizacją pracy. Choć kapitalistyczni pragmatycy pokwitują co powiem ironicznym uśmiechem — niemniej faktem jest, że nie pracujemy dla zysku, tylko dla osiągnięcia maksimum zadowolenia z życia. Pełne zadowolenie daje zwykle pełne zaangażowanie. Redaktor pisma jest w pełni zaangażowany swą pracą, lekarz z powołania, ksiądz z powołania i *businessman* są również w pełni zaangażowani. Określenie *total engagement syndrome* zostało ukute przez „nadwornych” lekarzy klubów skupiających dyrektorów wielkich firm i koncernów.

Pełne zaangażowanie rodzi nowe konflikty i problemy. Życie ludzkie jest zawsze sytuacją konfliktową ponieważ człowiek zbudowany jest z ożywionej materii i z nieprawdopodobnej ilości wody — nie w przenośnym lecz w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jedynym „marzeniem” wody jest urzeczywistnienie drugiego prawa termo-dynamiki — co wyraża się wyrównaniem poziomów, atrofią czyli po naszymu śmiercią.

Z powyższych przyczyn nie wybieramy nigdy pomiędzy nieszczęściem a szczęściem. Wybieramy pomiędzy nieszczęściem a zadowoleniem. Jednym z głównych źródeł zadowolenia jest zaangażowanie. Nuda i monotonia wykluczają zaangażowanie czyniąc z pracy nie źródło zadowolenia, lecz źródło depresji i gwałtownych reakcji.

Marksiści wyobrażają sobie, że uspołecznienie środków produkcji rozwiązuje wszystkie problemy. Czy uspołecznienie niewolnictwa zmieniłoby na lepsze los niewolników? Uspołeczniony czy upaństwowiony *conveyer belt* pozostaje nadal tym czym jest.

W krajach wysoko uprzemysłowionych, jak Niemcy czy Holandia, do nudnych i brudnych zajęć, których nie chcą wykonywać kulturalnie zaawansowani robotnicy miejscowi — wprowadza się tysiącami Turków czy Jugosłowian. Lecz to nie jest załatwienie problemu. Nie możemy budować naszej technologicznej cywilizacji w oparciu o założenie, że zawsze będzie można importować biedotę z „trzeciego świata” do prac, których nikt z nas nie chciałby się podjąć.

Jeżeli chłop turecki uczciwie wynagradzany pracuje przez dwa lata w Holandii by z oszczędności kupić traktor dla swojego gospodarstwa w Turcji — oczywiście nie ma w tym nic złego. Lecz Holandia w tym wypadku rozwiązuje problem tureckiego chłopca a nie problem swojej własnej technologicznej cywilizacji.

Europejska technologia będzie musiała się nagiąć i zaadaptować

tować do wymagań poziomu europejskiego robotnika nawet kosztem zysków.



Po drugiej wojnie światowej zostaliśmy na emigracji ponieważ naród polski jest w konflikcie z Sowietami.

Powyższe stwierdzenie jest uogólnieniem, które nie w pełni odpowiada prawdzie. Wielu polskich komunistów — choć nie wszyscy — nie uważa, że Polska znajduje się w konfliktowej sytuacji z Sowietami. Również wielu Polaków zagranicznych, którzy są Polakami tylko w sensie etnicznym — nie ma żywego poczucia konfliktu polsko-sowieckiego.

Istnieją jeszcze dość liczni Polacy młodego i średniego pokolenia, którzy swój brak zaangażowania usprawiedliwiają krytyczną postawą zarówno w stosunku do Wschodu jak i Zachodu. Nie ma sensu i celu angażować się przeciwko Wschodowi ponieważ Zachód nie jest lepszy. Oczywiście tego typu filozofia nie ma nic wspólnego z logicznym rozumowaniem. Choć uznalibyśmy Zachód za Sodomę i Gomorę — to w niczym nie zmienia faktu, że nie Francja i Anglia lecz Sowiety narzuciły nam status satelicki.

Powyższa postawa cechuje głównie część Polaków z nowej emigracji. Ci ludzie wywieźli z Kraju osobistą niechęć do komunizmu oraz wpajaną im przez lata niechęć do emigracji politycznej i Zachodu. Żaden z tych panów — z których wielu pisuje do periodyków emigracyjnych — nie wykrztusi nigdy słów „niepodległość” czy „polityka niepodległościowa”, ponieważ to są terminy intelektualnie „trefne”, które identyfikowałyby autora ze starą żołnierską emigracją, z jej partiami politycznymi, legalizmem — jednym słowem z tym wszystkim co nowi emigranci uważają za starcze i śmieszne.

Sprawa polska należy do staroświeckiego repertuaru i jest intelektualnie zdeklasowana faktem, że stanowi pole „popisu” wszystkich grafomanów na emigracji. Wyodrębnić się z klanu pompierów, dygnitarzy z urojenia i skupionych wokół nich czwartorzędnych pismaków — można najłatwiej poprzez odcięcie się od tzw. sprawy polskiej.

Istnieje jeszcze jedna niezawiniona różnica. Nowi polscy emigranci są emigrantami z bloku sowieckiego. My natomiast jesteśmy emigrantami z niepodległego państwa polskiego. Stara, żołnierska emigracja reprezentuje naród państwowy — podczas gdy nowi emigranci, nie z własnej winy — powtarzam — reprezentują polskość etniczną. Wszystkie „Mazowsza”, albumy z płytami Chopina, góralskie Chrystusiki frasośliwe, kilimy i ceramiki

— cały ów rzewny sprzęt folklorystyczny reprezentuje polskość etniczną, odartą z jakiegokolwiek myśli państwowej.

Sowietyzm sprowadza się do prostej propozycji: folklor za wyrzeczenie się myśli państwowej. Można pławić się w łowickich pasiakach, w pawich piórach i czytać „Trylogię” — lecz nie wolno myśleć o niepodległym państwie polskim.

Operacja w dużej mierze przyniosła zamierzone rezultaty. Wśród młodego i średniego pokolenia nowych emigrantów — bardzo trudno dopatrzeć się myśli państwowej.

Niepodległość uważa się nie za cel polityczny lecz za utopię. Wiadomo, że poza Ameryką i Sowietami, nikt nie jest stuprocentowo suwerenny. Lecz domaganie się dla Polski ograniczonej suwerenności, która jest udziałem Austrii, Belgii czy Szwecji — nie jest utopią ale naturalnym prawem.

W latach 80-tych i 90-tych ubiegłego stulecia niepodległość mogła wydawać się istotnie propozycją utopijną. Niemniej w tych latach naród polski produkował literaturę niepodległościową, organizował stowarzyszenia i związki niepodległościowe — choć nikomu nie śniło się wówczas o samostanowieniu czy o Karcie Praw Człowieka.

Literatury niepodległościowej po prostu nie mamy. Mamy tomy wspomnień z okresu wojny lecz to wszystko. Nie mamy „samizdatu”, ponieważ nie mamy Sołżenicynów — brak nam pisarzy, którzy by potrafili ideę niepodległościową wyrazić w formie wielkiego dzieła sztuki.

Nawet gdyby żył współcześnie Żeromski — nie wiem czy odważyłby się dotknąć tematyki niepodległościowej — spłaszczonej i zbanalizowanej przez legion grafomanów, ośmieszanej fikcyjnymi awansami i orderami — zepchniętej w getto wymierającego klubu włodarzy Drugiej Rzeczypospolitej.

Onegdaj jeden z wybitnych emigracyjnych publicystów zakończył swój artykuł w londyńskim *Dzienniku Polskim* następującymi słowami:

„My, Polacy, nie mogą tego dość często powtarzać, uczmy się neutralności, nie kładźmy palca między drzwi, i starajmy się od wszystkich sporów, które o nas nie zahaczają, trzymać się jak najdalej. Jak powiada jedyne rozsądne przysłowie ukraińskie 'moja chata z kraju'...”.

Ach gdyby tak było! Gdybyśmy mogli być neutralni jak Austria — bez obcych wojsk na naszym terenie. Niestety nasza chata nie jest z kraju.

W tym samym *Dzienniku Polskim* kilka dni wcześniej ukazała się korespondencja z Genewy. Autor pisze, że pytają nas „dlaczego nie ma tu wszystkich wolnych przedstawicieli krajów

środkowo-europejskich? Dlaczego nie składają formalnych deklaracji, domagających się niepodległości? Gdzie są kombataneci środkowo-europejscy z ostatniej wojny? Gdzie są demonstracje publiczne?”.

W dniu 17 października odbył się w Londynie mecz piłki nożnej Polska-Anglia. Jak podało BBC na ów „historyczny” mecz zjechali się Polacy nie tylko ze Szkocji i z Walii lecz również z Kanady, z Francji, ze Szwecji, z Holandii, ze Stanów Zjednoczonych a nawet z Australii.

W Genewie trzeba było być Polakiem państwowym. Na stadionie w Wembley — wystarczyło być etnikiem. Za granicą Polaków-etników są miliony — Polaków-państwowców nie ma nawet pół miliona.

Nie mam nic przeciwko Polakom-etnikom. Przeciwnie, moja krytyka skierowana jest przeciwko emigrantom nie z Polski satelickiej, tylko z Polski niepodległej. Zrobiliśmy bardzo wiele — stworzyliśmy liczne organizacje i instytucje, wydajemy pisma, periodyki i publikujemy setki książek.

Pisałem wiele razy, że nikomu nie można przekazać statusu emigranta politycznego. Polakom urodzonym za granicą bardzo trudno jest przekazać ideę niepodległościową. To jest dla nich koncept historyczny, bagaż ideowy ich ojców, który wraz ze starymi mundurami można w kuferku zdeponować na strychu. Poszliśmy po drodze najmniejszego oporu — staraliśmy się zafascynować młodzież polskim folklorem. Być może nie było rzeczą możliwą wpojenie w młodych idei państwowej i niepodległościowej. Było natomiast rzeczą możliwą — i nadal jest rzeczą możliwą — wpoić w młodych poczucie konfliktu i zaangażowania w szerszej płaszczyźnie — w płaszczyźnie europejskiej. Trzeba młodym zaprezentować polskość jako istotny fragment problemu europejskiego. Gdybym miał przemawiać do młodych chłopców i dziewcząt urodzonych w Anglii — to nie mówiłbym im o Bolesławie Chrobrym, Koperniku czy Piłsudskim — ale zacząłbym od stwierdzenia, że w roku 1939 było w Europie 7 dyktatorskich rządów. Dziś jest ich 12.

Wydaje się wielu, że klęska Hitlera była zwycięstwem wolności i demokracji. Niestety obiektywne cyfry i mapa polityczna Europy, którą można nabyć w każdej księgarni — przeczą temu.

Powyżej przytoczone cyfry są miarą konfliktu i zagrożenia. Owo zagrożenie w pierwszym rządzie dotyczy młodych a nie starych — bo nie my, tylko młodzi, doczekają czasów w których albo dyktatury w Europie upadną albo liczba ich jeszcze bardziej wzrośnie.

Winniśmy w kontekście europejskim, a nie w kontekście

Polski emigracyjnej, wpajać w młodych świadomość zagrożenia i konieczność zaangażowania.

Swojego czasu proponowaliśmy na łamach *Kultury* utworzenie pasa neutralnego, który obejmowałby Polskę. Koniunktura międzynarodowa zdawała się wówczas sprzyjać tego rodzaju koncepcjom. Byliśmy całkowicie osamotnieni w naszej inicjatywie, bo dla znakomitej większości Polaków w Wielkiej Brytanii ideałem jest „chata z kraju”, londyńska *Little Poland*. Nasze dzieci w naszej „Małej Polsce” chrzczą polscy księża, zmarłych grzebią polscy księża, leczą nas polscy lekarze, nasze sprawy załatwiają polscy adwokaci, a polską wódkę zagryzamy polską kiełbasą w polskich klubach i restauracjach. Urządzamy stale dziesiątki polskich zabaw, balów, przedstawień teatralnych — co drugi dzień wręczamy komuś nagrody lub ordery — mamy własną politykę wewnętrzną z koteriami, partiami, plotkami, mamy własną prasę i galerię mężów stanu. Można przeżyć długie życie w londyńskiej *Little Poland* nie umiając słowa po angielsku, a w końcu spocząć na polskim cmentarzu z tablicą nagrobną w języku polskim.

Można londyńską „Małą Polskę” wykpiwać — lecz to jest osiągnięcie imponujące. Anglicy nie bez podziwu uważają, że polski Londyn jest najbardziej egzotyczny ze wszystkich Londynów. Jest egzotyczny całkowitą swoją odrębnością, której nie zdolali stworzyć ani Włosi ani nawet Chińczycy.

Owa samowystarczalność spowodowała jednak, że „Mała Polska” stała się nie środkiem do celu, tylko celem sama w sobie. Nasz antykomunizm nie służy do zwalczania kogokolwiek czy czegokolwiek, ale służy do umacniania ideologiczno-społecznej zwartości „Małej Polski”. Antykomunizm to jest nasz „parafialny kościół” a nie hasło czy program.

Zażarta krytyka jakiegokolwiek propozycji, która — gdyby została zrealizowana — umożliwiałaby powrót części emigracji do Kraju — dowodzi, że pragniemy przede wszystkim bronić „Małej Polski” przed jej ewentualną likwidacją.

Charakterystyczny był pod tym względem stosunek prasy polskiej w Londynie do Dubczeka. Polska prasa londyńska była w tej sprawie *de facto* sojusznikiem Sowietów — choć krytykowała Dubczeka oczywiście z innych pozycji. Wykpiwano jego projekty demokratyzacji życia społecznego w Czechosłowacji, zarzucano mu, że oficjalnie i publicznie nie wyparł się komunizmu, twierdzono, że „Dubczekizm” jest tylko zmięczonym komunizmem a nie wolnością itp., itd.

Z tych samych przyczyn kilka lat wcześniej atakowano mój „Ewolucjonizm”. Na emigracji ukazało się mnóstwo książek lecz

przeciwko dwu moim książkom zorganizowano nagonkę dysproporcjonalną do ważności tych publikacji. Rozpisano na temat tych książek ankietę — przeanalizowano tysiąc kilkaset kwestionariuszy — opracowano wyniki z namaszczoneą powagą, jakby chodziło o plebiscyt w sprawie Górnego Śląska czy Gdańska. Zaciekłość, wrogość, zawistność tej kampanii przekonały mnie, że — choć pisać te książki nie byłem tego świadom — dotknąłem najczulszego nerwu londyńskiej „Małej Polski”.

Ewolucjonizm zakładał możliwość stopniowego przekształcenia się ustroju PRL w socjalizm — może nie w socjalizm zgodny ze statutem PPS — lecz niemniej w socjalizm bez cudzysłowu.

„Wiosna Praska” stanowiła w praktyce potwierdzenie słuszności moich założeń. Ewolucyjny proces demokratyzacji Czechosłowacji upadł nie dlatego, że był nierealny — tylko dlatego, że wkroczyły na arenę armie sowieckie. W Moskwie oceniono, że ewolucyjny program Dubczeka jest *realny* i z tej przyczyny postanowiono go zgnieść siłą.

Lecz co to ma wspólnego z „Małą Polską”?

Gdyby tezy moich książek ziściły się jeszcze za życia naszego pokolenia — „Mała Polska” utraciłaby rację istnienia. Choć nie byłoby restauracji Drugiej Rzeczypospolitej — istniałaby Polska do której można by i należałoby wrócić. Innymi słowy moje książki potencjalnie zagrażałyby nie Polsce, lecz „Małej Polsce” i stąd ta gwałtowna reakcja.

W żadnej z moich książek nie napisałem, że ewolucjonizm zrealizuje się za życia naszego pokolenia. Być może urzeczywistni się za 5 lat lub za 50 lat. Być może nie urzeczywistni się w ogóle, bo wpięrw dojdzie do wojny lub do rewolucji.

W tym wypadku chodziło mi tylko o wykazanie, że antykomunizm „Małej Polski” jest czysto retoryczny. Zakładając jako cel swojego antykomunizmu restaurację Drugiej Rzeczypospolitej z Wilnem, Lwowem i przedwojenną konstytucją — „Mała Polska” nie tyle zwalcza komunizm, ile broni swojego istnienia — ponieważ alternatywą „Małej Polski” jest nie tylko utopia lecz po prostu absurd. Ponieważ nie będzie nigdy restauracji Drugiej Rzeczypospolitej wskutek tego „Małej Polsce” nic nie zagraża.

Owo zmitologizowanie celów „Małej Polski” pociąga za sobą bezkonfliktowość i brak zaangażowania. Odwiedzanie muzeum imienia Gen. Sikorskiego, cześć oddawana sztandarom wojskowym — to jest zrozumiały i godny pochwały sentyment, lecz to nie jest zaangażowanie.

Sprawa polska stanowi część składową podstawowego konfliktu XX-go wieku. Totalizm *versus* demokracja to nie jest

zagadnienie Europy Wschodniej. To jest problem światowy. Trzeci świat, Japonia czy Chiny nie pogodzą się z faktem, że naszym globem rządzą Waszyngton i Moskwa. Rozszerzanie sfer wpływów czyli mobilizowanie państw pod sztandarami Moskwy czy Waszyngtonu nie jest środkiem do uładzenia świata, lecz przeciwnie jest pogłębianiem konfliktu. Amerykanie i Rosjanie zdają sobie z tego sprawę, lecz Moskwa i Waszyngton łudzą się, że serię wojen koniecznych do ustanowienia równowagi pomiędzy super-mocarstwami — będzie można zawsze rozgrywać rękami i krwią narodów-klientów.

Moskwa uzbraja grupę państw „A” — Waszyngton uzbraja państwo „B”. Wybuchą zbrojny konflikt, który daje możliwość wypróbowania najnowszych broni oraz umożliwia Amerykanom zdobycie broni produkcji rosyjskiej a Rosjanom umożliwia zdobycie najnowszych instrumentów z arsenału wojennego Stanów Zjednoczonych. Tak Moskwa jak i Waszyngton seriami satelitów szpiegowskich rejestrują przebieg wojennego konfliktu z niebywałą precyzją. Zdjęcia filmowe są tak dokładne, że widoczny jest każdy czołg.

Gdy klienci Moskwy zaczynają przegrywać — super-mocarstwa ogłaszają zawieszenie broni. Oczywiście Waszyngton i Moskwa dbają wyłącznie o swoje interesy, które tylko częściowo i koniunkturalnie bywają zbieżne z interesami państw-klientów.

Dzisiejszą epokę historyczną nazwą kiedyś „feudalizmem atomowym”. Tak jak dawniej bogactwo i urodzenie dawały władzę i przywileje — tak dzisiaj arsenały atomowe dają ich dysponentom przywileje i władzę. Zawsze byli ludzie biedni i bogaci i zawsze były państwa biedne i bogate. Nigdy jednak w przeszłości nie istniały super-mocarstwa, które z racji posiadania broni absolutnych zgłaszały pretensje do rządzenia światem.

Nuklearna arystokracja uprawia w stosunku do państw-proletariatusy zwyczajny szantaż. Daje się do zrozumienia Polakom czy Czechosłowakom, że rewolucja czy powstanie byłyby gestami nie tylko bezcelowymi, lecz również czynami moralnie nieusprawiedliwionymi — ponieważ mogłyby prowadzić do wojny atomowej, co należy uznać za zło absolutne. Inaczej mówiąc dążenie do niepodległości jest w naszej epoce a-moralne, bo może doprowadzić do konfrontacji super-mocarstw, co oznaczałoby koniec świata.

Etyka atomowa zakłada, że istnieją tylko dwa mocarstwa miłujące pokój: Stany Zjednoczone i Sowiety. Natomiast Polacy, Izraelczycy, Czechosłowacy czy Węgrzy — każdej chwili są gotowi podpałić świat w imię śmiesznych dążeń do niepodległości czy do obrony granic.

Prawda wygląda nieco inaczej. Izraelczycy czy Polacy nie są w stanie podpalić świata, ponieważ nie posiadają arsenałów atomowych. Zlikwidować życie na naszym globie mogą tylko Amerykanie czy Rosjanie. Jeżeli kiedyś miałyby do tego dojść — Rosjanie i Amerykanie sprowadzą na nas kataklizm nie w obronie Izraela czy Polski tylko w imię swych egoistycznych, imperialistycznych, super-mocarstwowych interesów.

Pokojowi świata nie zagrażają małe i średnie narody domagające się samostanowienia i niepodległości — pokojowi świata zagraża zawsze i wszędzie rywalizacja nuklearnych super-mocarstw. My jesteśmy tylko pionkami na tej szachownicy lecz już z góry zakłada się, że jeżeliby miało dojść do katastrofy będzie to nasza вина i nasz grzech.

— Oczywiście my — pionki — możemy uratować świat jeżeli pozwolimy super-mocarstwom rozgrywać ich rywalizacyjną grę naszymi rękami — tak by owe „dwa na słońcach swych przeciwne bogi” — nigdy się nie spotkały. Cóż za wspaniałą rolę przyznała pionkom historia w dwudziestym wieku!

Wielu wschodnich Europejczyków wiąże wszystkie nadzieje z widmem konfrontacji sowiecko-amerykańskiej. Wydaje mi się jednak, że rolą ujarzmionych narodów, jak Polacy, czy zagrożonych narodów — jak Izraelczycy — nie jest wygrywać Amerykanów przeciwko Rosjanom — czy odwrotnie — tylko cierpliwie i obiektywnie wykazywać i tłumaczyć, że pokój świata, bezpieczeństwo Nowego Jorku, Moskwy i Leningradu zależą od rozwiązania podstawowych problemów w tzw. zapalnych punktach globu. Do owych zapalnych punktów należy w równej mierze Europa Wschodnia jak i Bliski Wschód.

Przewrót w Polsce i w Czechosłowacji czy jeszcze jedna wojna izraelsko-arabska mogłyby doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji Sowietów z Ameryką. Nie ulega wątpliwości, że tak Moskwa jak i Waszyngton boją się bezpośredniej konfrontacji i pragną jej uniknąć.

Pionki — choć przychodzi im trudno w to uwierzyć — mają jednak pewną „sytuację przetargową”. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i aktywnie przypominać tak Rosjanom jak i Amerykanom, że Europa Wschodnia jest punktem zapalnym i — że choć ani Rosjanie ani Amerykanie nie są gotowi umierać za Gdańsk — pewnego dnia wybuch, który doprowadzi do konfrontacji globalnej, zacząć się może w Gdańsku.

I uwaga ostatnia. Konflikty ulegają globalizacji — innymi słowy konflikt lokalny coraz trudniej jest utrzymać w kontekście lokalnym. Jestem pewien, że gdyby dziś Sowiety załapały Polskę dywizjami pancernymi — prezydent USA zarządziłby alarm ato-

mowy we wszystkich jednostkach amerykańskich, rozsianych po całym świecie. Ponieważ dziś każdy konflikt lokalny angażuje oba super-mocarstwa.

Nie można budować pokoju na zaminowanych obszarach. Jeżeli Rosjanie i Amerykanie pragną uniknąć konfrontacji — muszą rozładować „pola minowe” w Europie Wschodniej, na Bliskim Wschodzie, w południowo-wschodniej Azji, na pograniczu sowiecko-chińskim. Jeżeli super-mocarstwa tego nie uczynią — jedno z owych pól minowych — w najmniej przewidywanej chwili wybuchnie i zdetonuje kataklizm.

Kongres Wiedeński niczego nie załatwił a Metternich niczego nie ochronił. Historii bowiem nie robią pp. Breżniew, Nixon i Kissinger — tylko pionki. Natomiast od mądrości mężów stanu wielkich mocarstw zależy, czy bunt krzywdzonych pionków przeistacza się w drodze postępu, czy w dynamit kataklizmu.

Kultura Nr 12/315 (1973)

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

W dniu 10 grudnia 1948 — kiedy pamięć zbrodni Hitlera była jeszcze bardzo żywa — ONZ uchwaliła „Powszechną Deklarację Praw Człowieka”. Tylko chrześcijanie — wierzący czy niewierzący lecz chrześcijanie — mogli uchwalić deklarację tego typu. Jest rzeczą charakterystyczną, że blok sowiecki, Arabia Saudyjska i Unia Południowo-Afrykańska wstrzymały się od głosu.

Antyklerykalnie nastrojony Czytelnik zauważy w tym miejscu, że deklaracja ONZ wywodzi się z liberalnej, świeckiej filozofii, która wyprodukowała uprzednio angielski *Bill of Rights* z roku 1689, francuską Deklarację Praw Człowieka i Obywatela z roku 1789 i amerykański *Bill of Rights* również z roku 1789.

Odpowiedź jest prosta: Bez chrześcijaństwa nie byłoby powyższych deklaracji. Nie marksizm tylko chrześcijaństwo jest genetycznym źródłem zachodniej demokracji. Kościół nawet w tych okresach kiedy sam ciężko grzeszył przeciwko chrześcijaństwu, kiedy sprzymierzał się z feudalnym absolutyzmem i sankcjonował krzywdę społeczną — nigdy nie przestawał głosić zasad chrześcijańskich w nieskażonej formie. Głosił na długo przed wszystkimi liberalno-rewolucyjnymi deklaracjami, że ludzie są równi, głosił zasadę miłości bliźniego i choć kościół — jak i inni ludzie — wykazywał chciwość bogactw i wpływów, nie przestawał głosić socjalistycznej przypowieści o bogaczu i uchu igielnym. Chrystus przebaczył w godzinę śmierci łotrowi ale nigdy bogaty wyzyskiwacz czy napuszony faryzeusz nie znalazł łaski w Jego oczach.

Kościół rzymski nie fałszował nigdy Ewangelii — co jest jego wielką zasługą i co gwarantuje jego przetrwanie. Niemniej intepretował ewangelię w zgodzie z tzw. duchem epoki. Wyrównanie krzywd społecznych wymagałoby jeżeli nie rewolucji to

w każdym razie radykalnych reform. Kościół natomiast usiłował zawsze kojarzyć instytucjonalne chrześcijaństwo z konserwatyzmem. Dlatego bronił niewolnictwa, później feudalnego poddaństwa i przeciwstawiał się wszelkiej myśli postępowej. Jeszcze sto lat temu działacze związków zawodowych, przy pełnej aprobacie Kościoła, wysyłano do karnych kolonii. A przecież ludzie ci walczyli z nieopisanym wyzyskiem, który wołał o pomstę do nieba.

Kościół nauczał w owych czasach, że należy pokornie godzić się z nierównością społeczną, ponieważ wszystkie krzywdy zostaną wyrównane na tamtym świecie. Lecz Chrystus — w przeciwieństwie do Kościoła — ustroju sprawiedliwości społecznej nie przesunął w sferę pozagrobową. Domagał się natomiast, by bogacze tu — na tej ziemi i w czasokresie ziemskiego bytowania — rozdali swe mienie pomiędzy ubogich i szli za Nim.

Społeczna filozofia Chrystusa była tak dziwna, tak niepodobna do niczego co kiedykolwiek głoszone na tej ziemi, że nie dziwota, że współcześni Chrystusa mówili często: „twarda jest mowa Twoja”.

Spotykałem się z opiniami intelektualnych „półgłówków”, którzy twierdzili, że socjalizm jest „ersatz-religią”. Socjalizm nie jest w ogóle religią — należy natomiast stwierdzić, że socjalizm mógł powstać tylko w społeczeństwach chrześcijańskich. Karol Marks nie mógł przyjść na świat w Japonii, w Chinach czy na Malajach. Marksa mogła wydać tylko chrześcijańska Europa.

Instytucjonalne chrześcijaństwo przekształcało się czasami w swoją własną antytezę. Podobnie instytucjonalny socjalizm przekształcał się w całym bloku wschodnim w swoją własną antytezę. Nie potrafimy obejść się bez instytucjonalizmu, choć wiemy z doświadczenia, że instytucja staje się grobem idei.

Socjalizm powinien pozostać „kościółem walczącym”, ponieważ w ideach takich jak chrześcijaństwo czy socjalizm droga do celu ważniejsza jest niż sam cel. Cel w swojej doskonałości jest nie do osiągnięcia i tylko stopień przybliżenia się do celu jest wykładnikiem sukcesu lub klęski. Dlatego ogniwą próbą socjalizmu jest chwila zwycięstwa. Partia socjalistyczna, która w wolnych wyborach zdobywa ogromną przewagę w parlamencie — jest władna nie tylko przeprowadzić radykalne reformy, lecz również jest władna interpretować wszelką działalność antysocjalistyczną jako działalność antypaństwową. I to są owe wrota instytucjonalizmu, które gdy zwycięzcy raz przekroczą — są zgubieni. Socjalizm zwyciężył i upadł.

Nie ma i nie może być państwa socjalistycznego. Można mówić tylko o społeczeństwie socjalistycznym. Państwa, jako instytucji narodowej, w chwili napaści z zewnątrz można i należy bronić siłą. Natomiast socjalizmu nie można wprowadzać w czyn ani bronić siłą — ponieważ socjalista, który ucieka się do przemocy przestaje być socjalistą. Podobnie socjalista, który wprowadza cenzurę prasową w celu obrony socjalizmu — przestaje być socjalistą, a system, który pragnie obronić przestaje być socjalizmem.

Niewolnicy, wyzyskiwani i krzywdzeni mają prawo do rewolucji, tak jak ujarzmiony naród ma prawo do zbrojnego powstania. Lecz nie mówimy o rewolucji czy powstaniu — rozważamy natomiast zagadnienie czy socjalizm jest zdolny przeżyć swoje własne zwycięstwo?

W moim przekonaniu socjalizm w postaci państwa socjalistycznego nie jest w stanie przeżyć swojego własnego zwycięstwa. Inaczej mówiąc, tak jak musi być zachowany surowy przedział pomiędzy państwem a kościołem — ponieważ demokratą może mówić tylko o społeczeństwach katolickich a nie o państwach katolickich — tak samo musi być zachowany surowy przedział pomiędzy socjalizmem a państwem nawet tam, gdzie socjaliści dysponują parlamentarną większością. Socjalizm winien być zawsze programem społecznym a nie oficjalną ideologią państwową.

Pozornie mamy do czynienia z sytuacją paradoksalną. Każdy bowiem socjalista pragnie nie częściowego lecz pełnego zwycięstwa socjalizmu. Pragnie, by socjalizm wywarł decydujący wpływ na wszystkie dziedziny ludzkiej działalności. Lecz droga do tego celu prowadzi nie przez upaństwowienie socjalizmu i wyposażenie go w przymus prawno-policyjny. Socjalizm, jeżeli ma być socjalizmem — musi być poglądem z wyboru, bo tylko wówczas będzie socjalizmem z przekonania. Społeczeństwo w którym tylko jedna trzecia ludności składa się z socjalistów — lecz z socjalistów z wyboru i z przekonania — jest w znacznie większym stopniu godne miana społeczeństwa socjalistycznego niż społeczeństwo w którym 90 % ludności składa się z socjalistów, którzy jednak są socjalistami z oportunizmu lub z przymusu.

Innymi słowy, trzeba zrezygnować z państwa socjalistycznego by móc budować społeczeństwo socjalistyczne. Trzeba świadomie zrezygnować z socjalizmu instytucjonalnego, by móc zachować socjalizm żywy i zaangażowany. Trzeba zrezygnować z ideologii państwowej, wyposażonej w aparat przymusu policyjnego — by móc zachować przy życiu socjalizm jako żywą, dynamiczną ideę społeczną. Prawdziwy socjalizm budować mogą tylko przekonani,

bezinteresowni socjaliści a nie aparatchycy, urzędnicy i policjanci. Socjalizm musi być żywotnym, nigdy nie wyczerpanym i nie ukończonym ruchem reformy i postępu, który równoważyłby i korygował permanentne choć nieuchronne zło instytucjonalizmu. Socjalizm musi być twórczym, krytycznym duchem opozycji w stosunku do *status quo* — ponieważ *status quo* jest zawsze formą kostnienia postępu w konserwatyzm.

Komuniści odpowiedzą na to, że trzeba mieć władzę i policję by wyciąć wszystkie „święte dęby” kapitalizmu i by móc na owym ugorze budować socjalizm. Komuniści powiedzą również, że jeżeli rezygnuje się z władzy, rezygnuje się z socjalizmu, bo 30 milionom ludzi socjalizm można narzucić, jest jednak mrzonką mniemać, że 30 milionów ludzi można przekonać. Ponieważ istnieje przymus szczepienia przeciwko ospie — nie mamy ospy. Gdyby nie było przymusu, epidemie ospy byłyby zjawiskiem nagminnym.

Socjalizm nie jest ospą i traktowanie go na równi z ospą doprowadziło do jego likwidacji. Pragmatyzm socjalistyczny musi polegać na tym, że praktykuje się dosłownie to co się głosi. Głębokość grobu w którym pochowano w Sowietach socjalizm można wymierzyć przepaścią jaka oddziela konstytucję Związku Sowieckiego od codziennej praktyki.

Prawdziwy socjalizm może być głoszony i praktykowany tylko w ustroju demokratycznym. Doświadczenia historyczne wykazały, że nie jest rzeczą możliwą obalenie demokracji i zachowanie władzy ludu. Alternatywą demokracji jest totalizm i dyktatura. Dyktatura z istoty rzeczy jest faszyzmem, ponieważ nie ma innej dyktatury niż faszystowska.

Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu. Parlamente w których większość stanowią konserwatyści uchwalają często ustawy antysocjalistyczne. Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu — lecz likwidacja demokracji gwarantuje likwidację socjalizmu. 50 lat istnienia Związku Sowieckiego i niemal 30 lat istnienia państw satelickich stanowią wymowną choć ponurą ilustrację słuszności powyższej tezy.

Być może, że demokracja parlamentarna jest przeżytkiem. Być może zmierzamy do „Nowego Wspaniałego Świata”, w którym rządzić będą oligarchie w oparciu o skomplikowane systemy komputerów. Jeżeli jednak przeżyła się demokracja — przeżył się również i socjalizm.

Trudno mi w to uwierzyć. Albowiem chrześcijaństwo i socjalizm ucieleśniają najintymniejsze i najsilniej odczuwane tęsknoty i dążenia ludzkie. Tym, którzy owe idee nazwą mitem należy

odpowiedzieć, że historia cywilizacji ludzkiej od Eufratu, Nilu, Tybru po Sekwenę, Ren i Tamizę jest również mitem.



Kryzys naftowy spowodował, że przepowiednie futurologów sprzed 10 laty — choć w owym czasie traktowane ze śmiertelną powagą — okazały się niewczesnym żartem. Na łamach *Kultury* omawiałem studia Hudson Institute, w których autorzy zapowiadali trzydniowy tydzień pracy, bogactwo dóbr konsumpcyjnych, stałą pensję państwową dla każdego Amerykanina, bez względu na to czy pracuje czy nie pracuje, i w oparciu o powyższe założenia uczeni autorzy wysunęli tezę, że najważniejszym problemem niedalekiej przyszłości będzie sprawa wolnego czasu.

Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że większość pracy produkcyjnej będzie można stopniowo przekazywać zautomatyzowanym zespołom fabrycznym kierowanym i nadzorowanym przez prawidłowo zaprogramowane komputery.

Niewolnikiem, który by za nas pracował i poniekąd myślał (mózgi elektronowe) — miała być energia — przeważnie w formie energii elektrycznej. Porównanie z Rzymem, którego świetność oparta była na pracy niewolników, byłoby fałszywe, ponieważ niewolnik jako jednostka energetyczna przedstawiał się bardzo mizernie. Każdy Amerykanin czy zachodni Niemiec posiadający kilka samochodów oraz niezliczoną ilość „gadżetów” elektronicznych — dysponuje potencjałem energii o jakim żaden rzymski właściciel niewolników nie mógł marzyć.

Przypominałem sobie futurologiczne przepowiednie czytając surową wypowiedź gubernatora Bank of England. Musimy oszczędzać i zaciskać pasa przynajmniej do roku 1984 jeżeli pragniemy przemóc obecny kryzys. Gubernator wyraził pogląd, że obniżenie stopy życiowej, radykalne zmniejszenie konsumpcji, dyscyplina pracy i oszczędność — oto hasła na najbliższą dobę.

Wizja futurologów roziała się jak mgła, a wszystkiemu winien jest kryzys energetyczny. Nasi Czytelnicy, którzy w przeciwieństwie do mnie posiadają samochody — oburzą się gdy powiem, że kryzys energetyczny jest „zamaskowanym błogosławieństwem”, by użyć w polskiej formie angielskiego idiomu. Nie jesteśmy bowiem przygotowani do futurologicznego raj, w którym całą pracę wykonywałaby za nas bezduszna energia.

Lenin wyobrażał sobie, że socjalizm plus elektryczność jest prostą drogą do komunistycznie idealnego państwa. Doświadczenie nie potwierdziło tych nadziei ani w Rosji ani gdziekolwiek indziej. Moja Żona w przeciwieństwie do mnie „przeszła przez

Rosję” — jak się to potocznie mówi. W Kazachstanie, gdzie ją wywieźli, był głód, tyfus, gruźlica, malaria i brak dosłownie wszystkiego z wyjątkiem elektryczności, której nie brakowało nigdy. Owa elektryczność oświecała nie tyle socjalizm ile wręcz niewiarygodną nędzę.

Prosta logika mówi nam, że surowce, które są nieodnawialne, są tym samym skazane na wyczerpanie. Ropa naftowa nie ulega odnowieniu i dla tego musi się skończyć. Natomiast woda czyli tzw. „biały węgiel” w ekologicznie prawidłowo gospodarowanej przyrodzie ulega odnowieniu, ponieważ co roku padają deszcze.

Lecz nie to jest ważne, że w stosunku do wyczerpywalnej ropy naftowej wykazaliśmy karygodną bezmyślność. Istotne natomiast jest, że owemu żarłocznemu konsumowaniu energii w ubiegłych dekadach towarzyszył wprawdzie wzrost ekonomiczny lecz nie wzrost sprawiedliwości społecznej. Przeciwnie — proces ów powodował, że bogaci stawali się coraz bogatszymi a biedni coraz biedniejszymi.

Nędza nie wyklucza sprawiedliwości społecznej. Można wyobrazić sobie ubogi kraj, którego wszyscy obywatele są niemal w nędzy, zachowując równocześnie maksimum sprawiedliwości społecznej. Sprawiedliwość społeczna nie dotyczy wysokości dochodu danej jednostki, lecz dotyczy relacji owego dochodu w stosunku do „bochenka chleba”, reprezentującego całość dochodu narodowego. Wydawałoby się, że im bochenek jest większy tym łatwiej jest go sprawiedliwie pokrajać. Niestety doświadczenie nas uczy, że im bochenek jest większy, im szybciej wzrasta jego waga i objętość — tym jest niesprawiedliwiej dzielony.

Jeden z ekonomistów brytyjskich obliczył, że gdyby dokonać absolutnie równego podziału dochodu narodowego Wielkiej Brytanii — to na każdego Brytyjczyka przypadłoby 4 tysiące funtów rocznie. Niewątpliwie byłibyśmy wówczas wszyscy średnio zamożni — zakładając, że funt nie uległby dalszej dewaluacji. Lecz czy w państwie, w którym każdy obywatel posiadałby dochód 4 tysięcy funtów rocznie panowałaby sprawiedliwość społeczna?

Czy byłoby rzeczą sprawiedliwą, by nagradzać identycznie pilota linii lotniczych i listonosza? Lub gdyby wybitny chirurg miał identyczną pensję jak młoda stenotypistka w takim czy innym biurze?

Jest oczywiście, że podstawowym postulatem jest sprawa zarobków najniższych, które powinny zapewniać skromne lecz w pełni dostateczne utrzymanie. Pensje czy zarobki „głodowe” są nie do pogodzenia ze sprawiedliwością społeczną. To jest

punkt, w którym wszyscy są zgodni — lecz trzeba podkreślić, że to jest jedyny punkt jednności zapatrywać.

Przez sprawiedliwe wynagrodzenie robotnicy brytyjscy rozumieją nie tylko stosunek ich płac w relacji do dochodu narodowego — lecz przede wszystkim wysokość płac danej grupy robotniczej w stosunku do stawki płac innych grup robotniczych. Strajk górników spowodowany był faktem, że górnicy uważają, że w „tabeli ligowej” płac należy im się pierwsze miejsce. Górnicy mniemają, nie bez słuszności, że ich praca jest brudna, niebezpieczna i często prowadzi do śmiertelnego schorzenia płuc.

Można jednak powiedzieć, że pielęgniarki w szpitalach pracują również bardzo ciężko. W pierwszej połowie stycznia bież. roku telewizja brytyjska w czasie strajku górników zaprosiła do studio górnika, pielęgniarkę, elektryka, kolejarza, listonosza i menadżera bankowego. Wszyscy uczestnicy programu zadeklarowali swoje płace w stosunku tygodniowym. Następnie kierownik audycji poprosił każdego kolejno, by ustalił „tablicę ligową” wysokości płac dla grup pracowników reprezentowanych w programie.

Menadżer bankowy umieścił menadżerów bankowych na pierwszym miejscu. Górnik umieścił górników. Tylko listonosz nie umieścił listonoszy na pierwszym miejscu lecz pierwsze miejsce przyznał pielęgniarkom.

Program wykazał ponad wszelką wątpliwość, że zgromadzeni w studio przedstawiciele świata pracy nie uzgodniliby nigdy pomiędzy sobą „tabeli ligowej” płac — to znaczy, na którym miejscu w odniesieniu do wysokości zarobków winna się znajdować dana grupa pracowników.

Ponieważ nawet w studio na przeciąg godziny nie można ustalić sprawiedliwej polityki płac, którą wszyscy zgodnie mogliby zaakceptować — związki zawodowe wierzą, że zasada *free bargaining* jest najlepszą metodą w tej sprawie. Nie ulega jednak wątpliwości, że potężne związki zawodowe, które strajkiem sparaliżować mogą gospodarkę kraju — są władne wytargować dla siebie nieproporcjonalnie wyższe stawki niż robotnicy w mniej istotnych gałęziach przemysłu, ponieważ siła przetargowa tych ostatnich jest niewielka. Widzimy więc, że choć wszyscy robotnicy są równi — niektórzy z nich są „równiejsi” od innych.

„Kapitał” Marksa został napisany w Anglii. Marks wyobrażał sobie, że jak brytyjska klasa robotnicza zostanie zorganizowana w potężne związki zawodowe — użyje swej potęgi do przebudowy ustroju. Jeżeli przez „przebudowę” rozumieć komunizm — tak się nie stało i tak się nie stanie.

Zorganizowana klasa robotnicza jest władna obalić każdy rząd i byłaby władna narzucić Anglii każdy ustrój z komunis-

tycznym ustrojem włącznie. Lecz robotnicy brytyjscy w znakomitej większości nie chcą komunizmu, czego najlepszym dowodem jest fakt, że w parlamencie nie ma nawet jednego posła komunistycznego. Związki zawodowe i reprezentowana przez nie klasa robotnicza przywiązują największą wagę do zasady *free bargaining*. Najmniejsze ograniczenia tej zasady zwalczane są przez związki z niezmierną konsekwencją.

Komunizm likwiduje zasadę *free bargaining*. Państwo jednostronną decyzją ustala wysokość płac robotniczych, a strajki tłumione są policją, wojskiem a nawet czołgami.

Od czasów drugiej wojny światowej potęga związków zawodowych rosła jak na drożdżach. Równocześnie jednak rosła i upowszechniała się wiedza o komunizmie. Romantykę wojny cywilnej w Hiszpanii przysłoniło powstanie węgierskie i najazd na Czechosłowację. Robotnicy brytyjscy czytają prasę, słuchają radia, patrzą na telewizję i już od dawna nie mają złudzeń jak wygląda komunizm w praktyce.

Komuniści brytyjscy zdają sobie z tego sprawę i głoszą, że komunizm w wydaniu brytyjskim wyglądałby inaczej niż w wydaniu sowieckim. W rezultacie komunistom brytyjskim nie ufają ani Sowiety ani brytyjska klasa robotnicza.

Komunizm mógłby być w Anglii narzucony tylko siłą przez okupacyjną armię sowiecką. Oczywiście pierwszym krokiem okupacyjnych władz sowieckich byłoby uwięzienie członków komitetu centralnego brytyjskiej partii komunistycznej za rewizjonizm i „odchylenia prawicowe”. Na czele przeorganizowanej partii stanęłoby Brytyjczycy importowani z Moskwy z dłuższym stażem w KGB.

Tak się nie stanie. Brytyjczycy gotowi są zawsze do kompromisów lecz nie do kapitulacji. Niepodległości swoich Wysp broniliby do upadłego.

Marksściśi winni się głęboko zastanowić nad przykładem Anglii. Oto jest kraj, gdzie zorganizowana klasa robotnicza stała się najpotężniejszą klasą społeczną. Równocześnie, rewolucja i komunizm są propozycjami mniej prawdopodobnymi w Anglii niż gdziekolwiek indziej. Wypada więc stwierdzić, że marksizm narodził się w Anglii i w Anglii najoczywiejście zbankrutował. Zorganizowana i potężna brytyjska klasa robotnicza głosi w przytłaczającej większości na Labour Party, która jest partią socjalistyczną, lecz nie marksistowską.

Brytyjskiej klasie robotniczej i innym klasom robotniczym zachodnio-europejskim można postawić zarzut, że są mało ideowe, egoistyczne i w gruncie rzeczy dbają wyłącznie o swoje własne interesy i korzyści.

W tej sprawie należy podkreślić dwa punkty. Robotnicy brytyjscy są wychowani przez kapitalistów. Zasada *free bargaining* jest bliźniakiem zasady *free enterprise* i wolnej gry sił rynkowych. Od kapitalistów przejęli również robotnicy zasadę, że jedyną obiektywną miarą sukcesu życiowego i awansu społecznego są pieniądze. Od kapitalistów robotnicy przejęli również filozofię, że ponieważ pieniądź stanowi główny cel o który warto zabiegać — walczyć należy o każdego funta wszystkimi dostępnymi środkami.

I punkt drugi. Nie wszyscy robotnicy w Anglii są dobrze płatni. Ci z nich, którzy są dobrze płatni, jak np. górnicy — są dobrze płatni dopiero w pierwszym pokoleniu. Ich ojcowie i dziadkowie byli źle płatni i wyzyskiwani. Nic więc dziwnego, że współczesny robotnik bardziej jest zajęty i przejęty umacnianiem własnego dobrobytu niż społeczną przebudową świata.

System kapitalistyczny w Anglii ulega coraz większym przemianom, ponieważ staje się oczywiste, że w przyszłości nie robotnicy będą musieli się dostosowywać do kapitalistów — lecz odwrotnie — kapitaliści będą zmuszeni przystosować się do klasy robotniczej, której związki zawodowe stanowią największą potęgę w brytyjskim systemie gospodarczo-społecznym. Ów nowy *balance of power* nie znalazł jeszcze właściwej formy socjalno-ekonomicznej i proces ewolucyjny w tym kierunku trwać będzie przez następne dekady.

Nadużywane słowo „kryzys” implikuje, że jeżeli przezwyciężymy kryzys — system kapitalistyczny nie tylko przetrwa lecz wróci do kwitnącego zdrowia. Jestem przekonany, że po dłuższym okresie zmagania przezwyciężymy obecny kryzys — lecz system kapitalistyczny już nigdy nie będzie tym czym był. Inaczej mówiąc przezwyciężenie kryzysu nie będzie oznaczało restauracji kapitalizmu dawnego stylu. Przebudowa kapitalizmu odbywa się na naszych oczach i owa przebudowa w wielu dziedzinach powoduje chaos i zamieszanie, które określamy zbiorczym mianem „kryzysu”.

Kapitalizm w klasycznym tego słowa znaczeniu nie został na zachodzie Europy obalony tylko po prostu przeżył się — tak jak przeżyły się wcześniejsze systemy społeczno-gospodarcze. Jest to cios dla komunizmu, który reklamowany był jako radykalne i jedyne lekarstwo na kapitalistyczną chorobę. „Choroba” wygasa szybciej niż nam się wydaje — więc co komu z lekarstwa, które nawet w czasie kapitalistycznej „epidemii” nikogo nie uzdrowiło.

Jest tylko jedno sanktuarium, w którym kapitalizm zabezpieczony jest przed kryzysem, przed przebudową czy przed

ewolucją. Owym sanktuarium jest propaganda komunistyczna dla której nieskażony kapitalizm potrzebny jest jak woda dla ryby. Gdyby nagle mężczyźni przestali łysieć — co robiliby jakże liczni fabrykanci „cudownych” i „naukowych” eliksirów na porost włosów? Pomyślcie!

Zarówno w tej sprawie jak i w większości spraw społecznych nie ma idealnego rozwiązania. Tabela płac pracowniczych, którą można by nazwać zgodną z ideałem sprawiedliwości społecznej — musiałaby być uznana za słuszną i sprawiedliwą przez 80 czy 90 % pracowników danego kraju. Takiej tabeli płac nie ma i zapewne nigdy nie będzie.

Sprawiedliwość społeczna nie jest pojęciem statycznym — tylko jest procesem ewolucyjnym, który nie ma i nie może mieć końca. Pomijając zmiany ekonomiczne, polityczne i socjalne — każde następne pokolenie pracowników ma inne kryteria ocen zarówno w tej jak i we wszystkich innych sprawach.

W moim przekonaniu żaden ustrój czy teoria społeczna nie może zgłaszać pretensji do naukowości. Nie ma naukowego socjalizmu — tak jak nie ma naukowej demokracji. Natomiast zgodnym z nauką będzie ustrój, który bierze pod uwagę naturalne cechy rozwoju społeczeństw ludzkich a więc ustrój, który nie opiera się na dogmatach lecz umożliwia w swych ramach uporządkowaną walkę ewolucyjną o realizację ideałów społecznych danego pokolenia. Każda ewolucja jest walką, choć nie każda walka jest krwawa i z bronią w rękę.

Ustrojem, w którym walka cywilna o postęp i sprawiedliwość społeczną jest legalna — jest demokracja typu zachodnioeuropejskiego. Demokracja jest ustawiczną walką o postęp i sprawiedliwość — jest walką pomiędzy pokoleniami — jest ustawicznym ścieraniem się poglądów i prądów — jest krytyką przeszłości i projektowaniem przyszłości. W demokracji można znaleźć wszystko z wyjątkiem spokoju. Lecz spójność nie cechowała nigdy zdrowych i wolnych ludzi. Wolność nie jest spokojem. Wolność jest zawsze walką. I dlatego ludzie w bloku wschodnim nie są wolni.



Być może że Rosja, gdyby była państwem demokratycznym, uprawiałaaby w stosunku do nas politykę imperialną, wykorzystując prawo wielkich liczb — tzn. przewagę w cyfrach ludności, obszar, armii, itp. Państwa demokratyczne uprawiają czasem imperializm — lecz przeciw imperializmowi tego typu można się bronić. W demokratycznej Rosji istniałyby stronnictwa, które by nas broniły i nie brakłoby pism rosyjskich, które zamieszczałyby

obiektywne przeglądy demokratycznej prasy polskiej. Nawet w demokratycznej Rosji mielibyśmy zapewne wrogów, lecz mielibyśmy i przyjaciół i w żadnym wypadku nie bylibyśmy bezbronni. Demokratyczna Rosja dysponowałaby siłą rzeczy znacznymi wpływami w Polsce i leżałoby w naszym interesie mieć dobre stosunki z tak potężnym sąsiadem.

Każdy totalizm jest imperialistyczny — lecz imperializm nie stanowi głównej cechy totalizmu. Główną cechą totalizmu jest przemianowanie mitu w „obiektywny fakt”. Ateizm, podobnie jak wiara — to są postawy subiektywne. Naukowo nie można udowodnić ani istnienia ani nie istnienia Boga. Jeżeli jednak ateizm uznaje się za obiektywną prawdę naukową — wkracza się na równię pochyłą.

Jest absurdem fakty nienaukowe prezentować jako fakty naukowo udowodnione i ów absurdalizm jest główną cechą ustrojów totalnych. Jest obojętne czy jako fakty naukowo udowodnione prezentuje się ateizm czy rasizm, mit „krwi i żelaza”, czy „naukowy socjalizm”.

Totalizm musi opierać się na fałszu, ponieważ żadną racjonalną argumentacją totalizmu nie można usprawiedliwić. Religiom wystarcza fideizm — to znaczy przekonanie oparte na wierze. Totalizmy — a zwłaszcza totalizm sowiecki — poszły o krok naprzód likwidując metafizykę. Operacji dokonano w sposób naiwny lecz prosty — postawiono mianowicie znak równania pomiędzy metafizyką a fizyką. Komunizm, w który wierzy nieznaczny procent społeczeństwa, prezentuje się w szkołach i na uniwersytetach jako teorię naukową o tym samym statusie co teoria ewolucji gatunków Darwina, która wytrzymała próbę czasu i z pewnymi poprawkami przyjęta jest jako obiektywnie odpowiadająca prawdzie.

Na Chrześcijaństwo trzeba ludzi nawracać, trzeba ich przekonywać i olśnić pięknem i dobrem tej „unikalnej” religii. Natomiast nie ma powodu nikogo nawracać na „wiarę”, że dwa razy dwa jest cztery. Wystarczy danego osobnika nauczyć tabliczki mnożenia. Totalizm sowiecki zamordował socjalizm, ponieważ odebrał mu jego „metafizykę” zastępując ją fałszywą „fizyką”.

Prawdziwy socjalizm jest przekonaniem, jest wiarą w dobro i bezinteresowność ludzką, jest postawą psychiczną, którą cechuje gotowość poświęcenia i pracy dla innych. Tak pojęty socjalizm nie jest ideologią ani „teorią naukową” lecz jest ideą dla której ludzi należy zjednywać i którą należy wcielać w czyn wszystkimi środkami z wyłączeniem przemocy.

Komuniści i reakcyjniści powiedzą, że tak pojmowany socja-

lizm jest utopią — ponieważ powodzenie reform socjalistycznych może zapewnić tylko administracyjny przymus.

Jeżeli w demokratycznie wybranym sejmie większość parlamentarna uchwali socjalistyczną reformę — to owa ustawa staje się prawem, obowiązującym wszystkich obywateli. Nie oznacza to jednak, że socjalizm jest ideologią obowiązującą wszystkich. Wszystkich obowiązuje praworządność — lecz socjalizm obowiązuje tylko socjalistów.

Konserwatyści, którym zarówno trudno jest zrozumieć istotę socjalizmu jak i chrześcijaństwa — wysuwają często argument, że niesprawiedliwość społeczna jest wynikiem „naturalnego porządku rzeczy”. Jedni ludzie z natury są uzdolnieni i pracowici, drudzy są leniwi i tępi. Jedni są piękni i zdrowi — drudzy są brzydzy i chorowici. Przyroda jest niesprawiedliwa a my — stanowiąc część przyrody — musimy zaakceptować ów naturalny obraz świata.

Społeczne posłanie chrześcijaństwa zmierza do przeciwstawienia się owemu naturalnemu porządkowi rzeczy. Przykazanie miłości bliźniego, które z wszystkich przykazań Chrystus postawił na pierwszym miejscu — domaga się od nas wyrównania lub złagodzenia krzywd spowodowanych niesprawiedliwością natury. To jest ów podbój natury najwyższego rzędu zainicjowany przez chrześcijaństwo. Kto tego nie rozumie jest poganinem, choćby był *de nomine* chrześcijaninem w setnym pokoleniu.

Gdyby natura była sprawiedliwa i miłosierna, nikt nie domagałby się od nas sprawiedliwości i miłosierdzia — ponieważ ideał sprawiedliwości i miłosierdzia byłby spełniony. Ponieważ tak nie jest — ów nakaz przekształcenia niesprawiedliwego i niemilosierdnego świata w ludzki świat ładu i sprawiedliwości społecznej — stanowi istotę tak chrześcijaństwa jak i socjalizmu.

Niech mi wolno będzie podkreślić jeszcze raz. Tak w chrześcijaństwie jak i w socjalizmie droga do celu ważniejsza jest niż sam cel. Społeczność prawdziwie socjalistyczna jest utopią — podobnie jak społeczność idealnie chrześcijańska jest wizją nie z tego świata. Jednak sens życia jest do odnalezienia tylko na drodze, która wiedzie do celu większego i lepszego niż my sami. I w tym aspekcie człowieczeństwo jest koncepcją utopijną. Lecz owa utopijność wyznacza człowiekowi wyjątkowy, nadrzędny — to co religia określa „nadprzyrodzony” — status w panoramie tego co istnieje.

O „CZWARTYM ŚWIECIE” I INNYCH SPRAWACH

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony Portugalii — chciałbym jednak powiedzieć kilka słów na temat przewrotu jaki dokonał się w tym kraju. Nie interesuje mnie w tym wypadku ani polityka, ani przyszłość Portugalii — interesuje mnie tylko odpowiedź na pytanie jak to się stało?

W Lizbonie istniały i trwały rządy dyktatorskie niemal tak długo jak w Moskwie — 48 lat. Totaliści portugalscy nie byli amatorami a lizbońska policja polityczna „DGS” była jedną z najlepiej zorganizowanych i wyszkolonych policji politycznych świata.

Portugalia nie była państwem na wzór „bananowych republik” w Ameryce Łacińskiej. Totalizm portugalski trwał nieprzerwanie od pół wieku i specjaliści przedmiotu głosili zgodnie, że po pierwsze — Portugalczycy są niedojrzali do ustroju demokratycznego, a po drugie — DGS jest tak sprawna, bezwzględna i świetnie zorganizowana, że wywrotowcy czy rewolucjoniści nie mieliby szansy jeden do miliona.

Znany polskim Czytelnikom z licznych artykułów na tematy wschodnio-europejskie Jonathan Steele zamieścił w *The Guardian* obszerny reportaż z Lizbony. Okazuje się, że w jednym z gmachów DGS — żołnierze znaleźli nietknięte archiwum obejmujące teczkę personalne setek tysięcy osób. Znalezione również archiwum filmów ilustrujących torturowanie więźniów politycznych. Torturowano głównie prądem elektrycznym przy użyciu specjalnych aparatów. Filmy służyły do szkolenia personelu śledczego DGS oraz lekarzy, którzy towarzyszyli oprawcom dbając o to by więźniów nie umarło, ponieważ — jak wiadomo — od nieboszczyka najsprawniejszy Ubek nie wydobydzie żadnej informacji.

Żołnierze gen. Spinali odkryli owe kompromitujące archiwa

dopiero późnym wieczorem w drugim dniu rewolucji. Dlaczego więc portugalska Bezpieka nie zniszczyła tych archiwów?

Przesłuchiwani ubecy przyznali otwarcie, że nie wierzyli do końca w powodzenie przewrotu. Zniszczyli część archiwów, lecz wahali się zniszczyć kartoteki personalne i archiwa filmów, które były dziełem „pracy” dziesiątków lat.

DGS podzielała pogląd, że Portugalczycy są niedojrzali do demokracji, że wierzą we wszechmoc policji politycznej i w razie próby przewrotu nie wyjdą na ulicę.

Stało się inaczej. Ludzie wyszli na ulicę i wszystkie warstwy społeczne zmanifestowały czynnie swe poparcie dla rewolucji. Lecz ów entuzjazm tłumów lizbońskich nie daje odpowiedzi na podstawowe pytanie. Co spowodowało, że system autorytatywny, który trwał pół wieku, w ramach którego wzrosły i dojrzały dwa pokolenia, runął jak domek z kart w przeciągu 48 godzin?

Wniosek jaki z wydarzeń w Portugalii należy wyciągnąć — brzmi następująco. Dyktatura — nawet jeżeli trwa przez 50 lat i zdołała wychować i wyszkolić dwa pokolenia aparaczyków — jest w gruncie rzeczy budowlą niepewną i chwiejną.

Demokracja jest systemem połączonym lecz równocześnie niezależnych „naczyń”. Natomiast w ustrojach totalnych wszystkie zespoły i organizacje społeczne połączone są ze sobą jak ogniwa łańcucha, który dzierży w swych rękach dyktator. Dyktatorzy umacniają swoje Bezpieki, czy KGB, niepomni mądrego porzekadła angielskiego, które głosi, że siłę łańcucha mierzy się nie najmocniejszym lecz najsłabszym jego ogniwem. Jeżeli zerwie się łańcuch od kotwicy i fale rzucą okręt na skały oznacza to zawsze, że pękło najsłabsze ogniwo w kotwicznym łańcuchu.

Wydarzenia portugalskie uczą nas również, że nie jest prawdą, że dyktatura ustabilizowana i okrzepła upaść może tylko na skutek interwencji z zewnątrz — na przykład w rezultacie wojny. Najbardziej ustabilizowana i okrzepła dyktatura upaść może także na skutek kryzysu wewnętrznego. Ludzie, którzy przez 48 lat godzili się pokornie na wszystko drząc przed miejscową Bezpieką i jej gabinetami tortur — nagle pewnego dnia wyszli tłumnie na ulicę. Ów powszechny bunt detonuje niejednokrotnie drobne wydarzenie. W gruncie rzeczy nie ma pewnej i bezpiecznej dyktatury. Dyktatura z definicji jest niepewnym systemem, bo zakłada że wszystkie ogniwa społecznego łańcucha są równej mocy — co jest oczywistym nonsensem.

Dyktatorzy nie zdają sobie również sprawy z akumulatywnego efektu nienawiści. Nienawiść do systemu nie tylko nie wygasa lecz zyskuje na sile z każdym następnym pokoleniem gnębionych.

Prasa światowa poświęciła wiele miejsca Portugalii. Natomiast o Polakach, Ukraińcach, Litwinach czy Białorusinach — jak zwykle głucho.

Leży przede mną książka pod wymownym tytułem: *The Fourth World* („Czwarty Świat”). Zbiorowy tom wydany przez Sidgwick & Jackson w Londynie — poprzedza wstęp pióra Milowana Dżilasa. „Czwarty Świat” w ujęciu autorów — składa się z gnębionych i ujarzmionych grup narodowościowych w całym świecie zaczawszy od południowego Sudanu i Erytrei a skończywszy na krymskich Tatarach i Murzynach w Brazylii. Nawet jeżeli przyjąć, że punktem odniesienia autorów nie są ujarzmione narody tylko prześladowane mniejszości narodowe — książka wypacza problem któremu jest poświęcona. Nazwy „Polska” i „Polacy” czy „Ukraina” i „Ukraińcy” nie są nawet wymienione w szczegółowym indeksie na końcu książki.

W Sowietach żyje 1.167.000 Polaków. Cyfra powyższa oparta jest na oficjalnych statystykach. Polacy nigdy nie mieli swojej Republiki Federalnej czy okręgu autonomicznego, jak Niemcy nadwołżańscy (oprócz krótkiego okresu w latach dwudziestych). Jeżeli się więc przyjmuje, że mniejszościami w Związku Sowieckim są tylko te narody, które nie mają własnych republik federalnych — milion 167 tysięcy Polaków stanowi poważną grupę mniejszościową i przejście do porządku nad ich cyfrą i losem źle świadczy a autorach cytowanej książki — tym bardziej, że Niemcom nadwołżańskim, których jest mniej niż Polaków poświęcili sporo miejsca i uwagi.

Trudno byłoby posądzić autorów o złą wolę. Książka odzwierciedla pogląd, który niemal powszechnie panuje na Zachodzie. Ów pogląd można streścić następująco: PRL nie należy ani do czwartego ani do trzeciego świata. Polska pod kierownictwem technokraty Edwarda Gierka weszła do drugiej ligi uprzemysłowionych narodów świata. Nie osiągnęła wprawdzie poziomu Niemiec Zachodnich czy Francji, lecz nie jest już krajem przeważnie rolniczym o zapóźnionym rozwoju gospodarczym.

Pisałem wielokrotnie, że w oczach Rosjan — Europa to są Niemcy. Na ulicach wielkiego Berlina poległo ponad sto tysięcy żołnierzy sowieckich. Ci, którzy jako młodzi ludzie walczyli z Niemcami należą dziś do grupy pokoleniowej 50-60 lat. Jest rzeczą charakterystyczną, że we wszystkich negocjacjach na temat „wzajemnej redukcji sił zbrojnych” — Rosjanie z większą natężnością domagają się redukcji sił zbrojnych NRF niż garnizonów amerykańskich, stacjonowanych w Niemczech. Teoria, że współczesne Niemcy Zachodnie przypominają Francję po pierw-

szej wojnie światowej — innymi słowy, że olbrzymie straty biologiczne i materialne wpłynęły na psychiczną przemianę narodu niemieckiego — Rosjanom nie trafia do przekonania.

Rosjanie nie chcą zjednoczonej Europy Zachodniej — ponieważ są przekonani, że zjednoczona Europa byłaby dominowana przez najsilniejsze państwo w sensie gospodarczym, politycznym i militarnym — to znaczy przez Niemcy. Tego typu zaplecze mogłoby się stać bazą renesansu nacjonalizmu niemieckiego — tym bardziej, że Wrocław, Szczecin i Królewiec — leżą na wschodzie a nie na zachodzie Europy. Dalekofalowym celem polityki sowieckiej nie jest *Ostpolitik* tylko zjednoczenie Niemiec na warunkach Moskwy. Kanclerz Brandt odszedł — rozczarowany i złamany — ponieważ przekonał się, że cele jego partnerów w *Ostpolitik* są całkowicie odmienne od jego celów. Nieporozumienie polega na tym, że nie ma dwóch państw niemieckich jednego narodu niemieckiego. Istnieje natomiast satelickie państwo niemieckie, którego wywiad jest ekspozyturą KGB. W Federalnej Republice istnieje kilka organizacji wywiadowczych, które konkurują między sobą. Nie jest wykluczone, że ugrupowania prawicowe w Niemczech Zachodnich wykorzystają aferę szpiegowską, by skompromitować socjalistycznego kanclerza i zmusić go do abdykacji. Nie jest również wykluczone, że afera została zaaranżowana przez KGB, które jest przeciwne *détente* z Zachodem. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się jak to istotnie było. Bez afery szpiegowskiej Brandt — choć cechuje go idealizm i uleganie złudzeniom — z całą pewnością wcześniej lub później doszedłby do wniosku, że przez *Ostpolitik* i *détente* Rosja i NRD rozumieją coś zupełnie innego niż on. W mojej opinii, Brandt już od dłuższego czasu zdawał sobie z tego sprawę a afera szpiegowska dostarczyła mu tylko pretekstu do rezygnacji.

Świat zachodni zbliża się do końca pewnego okresu historycznego. Można by to pompatycznie nazwać zakończeniem rządów „pokolenia zwycięzców”. Prezydent Nixon, b. kanclerz Brandt, zmarły gen. de Gaulle, b. premier Edward Heath — personifikują pokolenie, które brało czynny udział w walce i w zwycięstwie, które ukoronowało drugą wojnę światową.

Jeżeli przypomnimy sobie jak wyglądało życie w Anglii czy we Francji w pierwszych miesiącach powojennej ery — to wypada stwierdzić, że „pokolenie zwycięzców” na przestrzeni ubiegłego ćwierćwiecza osiągnęło ogromny sukces. Być może zbyt wielki sukces. Ludzie oczekują coraz większej zamożności coraz większego bogactwa dóbr konsumpcyjnych, coraz większego wzrostu ekonomicznego i coraz wyższej stopy życiowej. Nikt

nie ma ochoty do zaciskania pasa, ani nikt nie jest psychicznie przygotowany do polityki zaciskania pasa.

Jest oczywiste, że „pokolenie zwycięzców” jest wyczerpane i nie ma odpowiedzi na współczesny kryzys.

Skłaniam się do przypuszczenia, że do steru dojdą w świecie Zachodu zawodowi technokraci, których poprą ruchy prawicowe i nowa *middle class*, która obejmuje dziś znaczny procent klasy robotniczej.

Niedawno, w moskiewskiej *Prawdzie*, ukazał się artykuł w którym autor stwierdził, że ilekroć świat Zachodni przeżywa kryzys — tylekroć wydobywa się z szuflady zakurzonego antysowieckiego straszaka. To jest słuszna obserwacja. Świat Zachodni z kwitnącą ekonomią, z rosnącą zamożnością, z uładowanymi zagadnieniami społecznymi byłby znacznie skłonniejszy do ustępstw, kredytów i inwestycji. Innymi słowy byłby skłonniejszy do tego wszystkiego co w rozumieniu sowieckim stanowi treść *détente*.

Propagandyści sowieccy zbyt pochopnie i zbyt ochoczo grzebią kapitalizm. Nie ulega wątpliwości, że kapitalizm przeżywa wielostronny kryzys. Lecz nie ulega również wątpliwości, że jesteśmy świadkami największej operacji kapitalistycznej podjętej w dwudziestym wieku. Mam oczywiście na myśli „pływającą Arabię Saudyjską” czyli pola naftowe na dnie morza Północnego. Operacja pochłonie przeszło 15 tysięcy milionów funtów a w sensie technologicznym prześcignie projekt „Apollo”, który wylądował pierwszego człowieka na księżycu.

Rosjanom trudno jest przeanalizować i pojąć *malaise* zachodnią — podobnie jak nam trudno jest przeanalizować i pojąć *malaise* rosyjską.

Kipling pisał, że bliźniaczy Wschód i Zachód nie spotkają się nigdy. Myślę, że bliźniaki z natury rzeczy dążą ku sobie, ale na spotkanie i zrozumienie trzeba będzie długo jeszcze czekać.



W ostatnich czasach termin „mniejszość narodowa” uległ przemianie co spowodowało, że dawna definicja jest niewystarczająca. Nie ulega wątpliwości, że Czesi i Słowacy stanowią mniejszość w ramach imperium sowieckiego i przez władze sowieckie traktowani są jako mniejszość narodowa. Każdy z narodów ujarzmionych przez Rosjan jest liczebnie mniejszy od narodu rosyjskiego — niemniej narody ujarzmione — a więc narody wchodzące w skład tak Związku Sowieckiego jak i imperium sowieckiego — reprezentują łącznie znaczną większość w stosunku do Rosjan.

Można bronić punktu widzenia, że status Czechosłowacji jest korzystniejszy od statusu Ukrainy. Lecz w chwilach kryzysu imperializm sowiecki oznacza to samo w Pradze co w Kijowie. W roku 1968 czołgi sowieckie zgnioty ruch narodowej odnowy w Czechosłowacji i podobna odnowa podjęta w Kijowie spotkałaby się z identycznie brutalną reakcją ze strony władz sowieckich.

W Kraju obchodzi się uroczystości 30-lecie PRL — lecz tzw. „Manifest Lipcowy” jest nadal drukiem tajnym. Dlaczego? „Manifest Lipcowy” jest zakazany z tych samych przyczyn, które sprawiają, że w Kijowie prasie ukraińskiej nie wolno pisać o uprawnieniach jakie przysługują Ukrainie na podstawie konstytucji Związku Sowieckiego. Gdyby jakiś Ukraińiec wystąpił z konstytucyjnie legalną propozycją, by republika ukraińska zerwała wszelkie więzy ze Związkiem Sowieckim — wnioskodawca w ciągu 24 godzin wylądowałby w więzieniu.

W sumie wypada stwierdzić, że fakt, iż Ukraina jest federalną republiką w ramach Związku Sowieckiego jest taką samą fikcją jak fakt, że PRL jest państwem suwerennym. *De facto* tak Ukraina jak i Polska są prowincjami Związku Sowieckiego. Istnieją różnice — w wielu wypadkach poważne różnice — pomiędzy prowincjami „federalnymi” jak Ukraina a prowincjami satelickimi jak Polska. Ale mimo owych poważnych różnic tak narodom „satelickim” jak narodom „federalnym” nie przysługuje zasadnicze prawo samostanowienia.

Nie zamierzam przeprowadzać licytacji komu jest gorzej a komu jest lepiej w obrębie Związku Sowieckiego. Należy natomiast podkreślić, że o ile o mniejszościach jest bardzo głośno o tyle o narodach satelickich panuje grobowe milczenie. Narody satelickie nie są mniejszościami narodowymi, nie należą do „Czwartego Świata” i powszechnie przyjmuje się, że choć istnieje sprawa Tatarów Krymskich — nie istnieje w kontekście międzynarodowym sprawa polska czy węgierska. W opinii przeciętnie poinformowanego Anglika czy Amerykanina PRL jest państwem nie demokratycznym, nie w pełni suwerennym — ale jak wiadomo Polska od dwustu lat nie posiada suwerenności, ponieważ pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na suwerenną Polskę. Tak układają się polskie warunki geograficzne — a jak wiadomo z geografią czy z klimatem nie można walczyć. Do sytuacji geograficzno-klimatycznej należy się przystosować i pomysłowością i pracą należy z owej sytuacji wyciągnąć maksimum korzyści.

Tak wnioskuje obcy. Polacy natomiast uważają się za coś niepomierne „lepszego” od Ukraińców czy Litwinów. My mamy

pozory suwerenności, których Ukraińcy czy Litwini nie mają. Mamy sejm, armię, przedstawicielstwa zagraniczne itp., itd. Mamy potiomkinowską suwerenność, która — w naszej opinii — wywyższa nas nad tych, którzy nawet owej potiomkinowskiej suwerenności nie mają. Owa „potiomkinada” utrudnia nam sformułowanie polskiego programu wschodniego, ponieważ uważamy, że pozornie suwerenna Polska posiada szanse awansu do statusu partnera Rosji. Wówczas zaangażowanie się po stronie Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów stanowiłoby fatalną zawadę na drodze do porozumienia z Moskwą. Polityki przyszłego partnerstwa z Rosją nie można zaczynać od planu parcelacji Rosji. Ukraińcy czy Tatarzy krymscy — Litwini czy Niemcy nadwołżańscy — to są sprawy wewnętrzno-rosyjskie, które leżą poza kontekstem polityki polsko-rosyjskiej.

To wszystko brzmi bardzo logicznie. Gdyby Polska była państwem suwerennym i sfederalizowanym z Czechosłowacją — być może tego typu „realna polityka” — choć obrzydliwa — miałaby szanse sukcesu.

Nie uważam za prawdopodobne wcielenie PRL do Związku Sowieckiego. Lecz zrównanie Warszawy z Kijowem wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne niż wywianowanie PRL w status suwerennego partnera.

Ani my, ani Węgrzy czy Czechosłowacy nie możemy być niepodlegli, ponieważ przyznanie nam niepodległości doprowadziłoby do bankructwa obecną politykę narodowościową Moskwy wewnątrz Związku Sowieckiego. Moskwa nie widzi nas jako partnerów lecz jako strażników sowieckiego „ładu narodów”. By pokój panował w Kijowie — pokój panować musi w Warszawie i w Pradze. Czołgi na ulicach Pragi broniły sowieckiego Kijowa i sowieckiej polityki narodowościowej.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie parcelacji Rosji. Rosjanie mają prawo do swojej ziemi jak każdy inny naród i gdyby ziemiom rdzennie rosyjskim groził zabór — Rosjanie mieliby prawo oczekiwać pomocy nawet od nas. Natomiast Rosjanie nie mają ani prawa moralnego ani tytułu politycznego do panowania nad narodami, które stanowią znakomitą większość ludności w imperium sowieckim. Rosjanie stanowią dziś mniejszość nawet w Związku Sowieckim.

Lecz wysuwając nasz program wschodni nie kierujemy się wyłącznie zasadami moralnymi czy wzniosłym hasłem „za wolność naszą i waszą”.

W podnieconych rozmowach jakie prowadzili zdumieni mieszkańcy Pragi w pierwszych dniach inwazji z żołnierzami

sowieckimi — kilkakrotnie ze strony rosyjskiej padała szczerza wypowiedź: „dlaczego wam ma być lepiej niż nam?”.

Tych kilku prostych żołnierzy sowieckich, którzy w powyższy sposób ujęli zagadnienie — swym chłopskim rozumem dotarło do sedna sprawy. Rosjanie nie mogą Czechom czy Polakom dać wolności czy prawa samostanowienia — ponieważ sami nie mają ani jednego ani drugiego. Choć Związek Sowiecki jest suwerenny, żadna z grup jego obywateli z Rosjanami włącznie — nie korzysta ani z wolności ani z praw samostanowienia.

Nawet za cenę najszczerzej pojętej lojalności sojuszniczej nie można od Rosjan wytargować prawa wewnętrznego samostanowienia — ponieważ demokratyzacja w Polsce czy w Czechosłowacji stanowiłaby bezpośrednie zagrożenie dla systemu na jakim oparta jest władza sowiecka. Z punktu widzenia sowieckiego skórka nie opłacałaby się za wyprawę. Co im ze szczerze sojuszniczej Polski — jeżeli ustrój owej Polski stanowiłby „socjalny dynamit” od którego mógłby wylecieć w powietrze cały Związek Sowiecki.

To wszystko nie ma nic wspólnego z moralnością czy ideowością. To jest problem realnej, przyziemnej polityki, którą streścić można w jednym zdaniu: Związek Sowiecki nie może kupować lojalności czy przyjaźni narodów satelickich za cenę zagrożenia swego wewnętrznego bezpieczeństwa.

Z tych przyczyn polityka wschodnia Stronnictwa Narodowego jest całkowicie nierealna. Sowiety mogą bowiem bezpiecznie pertraktować z polską partią polityczną, która programowo rezygnuje z praw do samostanowienia. Tym stronnictwem jest PZPR i nikt poza nią. Interesy PZPR są nie tylko zbieżne z sowieckimi — lecz bezpieczeństwo systemu sowieckiego stanowi jedyną gwarancję istnienia PZPR. Bezpieka istnieć będzie tak długo jak KGB. Bezpieka nie przeżyje KGB nawet o jeden dzień. Dlatego wzmocnienie KGB i systemu, który KGB reprezentuje — leży w żywotnym interesie Bezpieki i PZPR.

Kazimierz Dziewanowski w doskonałym artykule, ogłoszonym na łamach *Kultury* pt. „Naród jak Lawa” — pisał o rozpowszechniającym się w Polsce drobnomieszczaństwie. Dziesiątki tysięcy ludzi pochodzenia chłopskiego i robotniczego zdobywają poprzez wykształcenie awans społeczny i rozglądają się na próżno za kulturą, za wzorami postępowania, za procesem kontynuacji. Pokolenia nie wyskakują jak Minerwa z głowy Jowisza — tylko stanowią w sensie kultury i postępu kontynuację poprzednich pokoleń. Owa powódź pamiętników i rozczytywanie się w literaturze czasu przeszłego i dokonanego są dyktowane pragnieniem odszukania własnych korzeni.

Gdyby rewolucja w Polsce dokonana została przez prawdziwy socjalizm — wówczas ideały socjalizmu dostarczałyby wzorów postępowania masom nowej inteligencji. Lecz w Polsce nie ma socjalizmu — tak jak nie ma ideologii narodowej. Nacjonalizm współczesny w PRL jest równie fałszywy jak polski „socjalizm”.

Ideologia narodowa (nie mówimy o faszyzmie) posiada mało punktów styknych z demokratycznym socjalizmem. Niemniej podstawowy punkt programu obu tych ruchów jest identyczny. Mam na myśli postulat samostanowienia. Celem każdego ruchu narodowego musi być samostanowienie i odzyskanie niepodległości państwowej. Czy jednak samostanowienie i niepodległość konieczne są socjalizmowi? Jak wiadomo Róża Luksemburg uważała, że odrodzenie Polski może utrudnić a nie ułatwić wyzwolenie proletariatu — innymi słowy wierzyła, że klasie robotniczej potrzebna jest rewolucja nie niepodległość państwowa.

Jestem pewien, że Róża Luksemburg, gdyby dziś żyła, zrewidowałaaby powyższy pogląd. 50 krwawych lat, które upłynęły od Rewolucji Październikowej wykazały dobitnie, że choć niepodległość państwowa nie wyposaża automatycznie klasy robotniczej w prawo do samostanowienia — robotnicy mogą wywalczyć to prawo tylko w ramach własnego niepodległego państwa. Przykład Czechosłowacji z roku 1968 wykazał, że brak niepodległości uniemożliwia dokonanie rzetelnej rewolucji społecznej. Wyzwolenie narodu nie gwarantuje wyzwolenia klasy robotniczej — lecz bez wyzwolenia narodu jako całości nie może dokonać się wyzwolenie klasy robotniczej.

Dopóki Polska nie odzyska niepodległości — robotnicy nie będą mieli prawdziwych związków zawodowych, nie będą mieli podstawowego prawa do strajków, nie będą w socjalistycznym tego słowa znaczeniu samostanowili o swoim losie.

Przez rewolucję rozumiemy zdobycie przez klasę robotniczą władzy całkowitej lub częściowej. Co to oznacza? Oznacza to, że robotnicy muszą odebrać władzę tym, którzy ją mają. Na to by móc komuś odebrać władzę — ów ktoś musi mieć władzę.

Robotnicy nie mogą odebrać władzy Gierkowi i jego rządowi, ponieważ ci panowie *de facto* władzy nie mają. Gierek nie ma możliwości przyznania robotnikom prawa do strajku — bo niezależnie od jego osobistych przekonań — nie ma po temu dostatecznej władzy. Gdyby nadużył swej władzy i przyznał robotnikom prawo do strajku, czy prawo do stworzenia prawdziwych związków zawodowych — Moskwa w ten czy inny sposób pozbawiłaby Gierka i jego rząd władzy w przeciągu kilkunastu dni.

Tak oto wracamy do punktu wyjścia. Robotnicy mogą zdobyć

władzę tylko wówczas kiedy mogą ją odebrać organom własnego państwa. Owo „odebranie” może dokonać się siłą lub przez negocjacje. Jeżeli państwo nie ma władzy to znaczy niepodległości — robotnicy nie mają sposobu zdobycia władzy i wolności i muszą dzielić wraz z innymi niewolę.



Nie tylko mniejszości narodowe lecz wszystkie narody, które pozbawiono prawa do samostanowienia należą do „Czwartego Świata”. Narody Europy Zachodniej są również kandydatami do „Czwartego Świata”. Jeżeli raz zgodzono się dzielić Europę na sfery wpływów — nie ma logicznej przyczyny dla czego ów proces nie miałby objąć całego kontynentu. Grozi nam nie tyle „finlandyzacja” ile „albanizacja” Europy. Albania jest europejską kolonią Chin — tak jak Polska czy Czechosłowacja są europejskimi koloniami Rosji. Istnieją trzy super-mocarstwa i dążność do podziału świata na sfery wpływów jest naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy. Narody średnie jak Anglicy czy Francuzi nie mają żadnej szansy przeciwstawienia się temu procesowi. Przeciwstawić się temu procesowi można by tylko powołując do życia nowe, czwarte super-mocarstwo. Mam na myśli zjednoczoną Europę Zachodnią.

Europa Zachodnia jeżeli pragnie uniknąć podziału na strefy wpływów nie ma innego wyjścia. Jest oczywiście daleko lepiej być satelitą Ameryki niż Sowietów — lecz wadą tego systemu jest fakt, że z satelitami nikt się nie liczy.

Polacy są filo-amerykańscy i autor niniejszego artykułu nie stanowi wyjątku od tej reguły. Lecz jak rusofobia utrudnia zrozumienie Rosji — tak filo-amerykanizm utrudnia zrozumienie Ameryki.

Na dnie duszy — jeżeli w tym kontekście wolno się tak wyrazić — tak Rosjanie jak i Amerykanie nie życzą sobie zjednoczonej Europy. Trudno się temu dziwić. Zjednoczona Europa konkurująca z Ameryką na rynkach światowych, obwarowana protekcyjnymi cłami celnymi — nie może budzić entuzjazmu po drugiej stronie Atlantyku.

Ruch zjednoczeniowy jest rozbudową i spotęgowaną formą sojuszu. Sojusz zawiera się zawsze przeciwko komuś. Europejczycy zachodni chcą się chronić nie tylko przed Rosją — lecz również chcą się chronić przed bezceremonialnym traktowaniem przez Amerykę i Rosję.

Polacy ze swoją skłonnością do rozpatrywania wszystkiego w kategoriach „czarne” lub „białe” — wierzą, że Rosja repre-

zentuje niewolę a Ameryka wolność. Faktem natomiast jest, że nie ma na świecie państwa, które jest za wolnością — jeżeli przez wolność rozumieć wolność dla innych. Maksimum osiągalnej wolności i niepodległości zachodni Europejczycy muszą wypracować sami wbrew Rosji i bez zasadniczych pomocy amerykańskich.

Wielu w Europie Zachodniej zdaje sobie sprawę z zagrożenia sowieckiego. Natomiast problem amerykański jest w pewnym sensie ważniejszy od problemu sowieckiego — stosunek do Ameryki dzieli bowiem Europejczyków a nie jednoczy. Ameryka jest jedynym super-mocarstwem, które mówi w sensie cywilizacyjnym tym samym językiem co my. Komunikacja z Sowietami czy z Chinami jest niezmiernie utrudniona z powodu zasadniczej odrębności tych super-mocarstw, których języki, cywilizacja i systemy społeczne uniemożliwiają pełne zrozumienie.

Pomiędzy Europą Zachodnią a Ameryką nie ma trudności nie do rozwiązania — ponieważ nawet wówczas kiedy się nie zgadzamy, możemy w pełni doceniać i rozumieć nasze wzajemne stanowiska.

Pisałem na tych łamach wielokrotnie, że znaczna przewaga w potencjale militarnym stanowi niezainkasowany polityczny zysk. Jeżeli owej przewadze nikt nie jest władny się przeciwstawić — zysk zostaje zainkasowany. Jeżeli słabość NATO będzie się pogłębiała i przedłużała — ta słabość będzie prowokowała imperializm sowiecki do tego stopnia, że Rosjanie swemu silnemu instynktowi zaborczości nie będą w stanie się przeciwstawić.

Nasi publicyści wyobrażają sobie, że z chwilą gdy czołgi sowieckie przekroczą Ren — na Rosję spadnie cyklon amerykańskich bomb atomowych. Nic podobnego się nie stanie. Prezydent USA zarządzi alarm atomowy — wyda rozkaz by atomowe łodzie podwodne opuściły bazy i wyszły w morze — niemniej bezpośrednim zadaniem polityki amerykańskiej byłoby w takiej sytuacji nie pobicie Sowietów lecz uratowanie pokoju. Po kilku dniach czołgi sowieckie zatrzymałyby się — ludzie w Paryżu i w Londynie odetchnęliby z ulgą. Nastąpiłyby tygodnie żmudnych rokowań, których ukoronowaniem byłaby nowa Jałta. Wówczas na rzetelne zjednoczenie Europy i stworzenie z EWG światowego mocarstwa byłoby za późno.

Gdy Stalin zjawił się w zdobytym Berlinie — jeden z zachodnich dyplomatów powiedział mu, że musi mu być miło po tylu latach krwawej wojny deptać gruz berliński. Stalin uśmiechnął się i odpowiedział: „Cóż to jest Berlin — Car Aleksander był w Paryżu”.

Rosjanie w przeciwieństwie do Amerykanów — wierzą, że rządzić światem można tylko zdobywszy Europę i dla zdobycia Europy gotowi są zaryzykować daleko więcej niż Amerykanie dla obrony Europy. Zdobyć Europę można bez rozpętywania wojny światowej, metodą „krajania salami” — ponieważ tak Amerykanie jak i ci, którzy znajdą się w wolnej resztówce Europy będą gotowi uratować pokój.

Można zaryzykować twierdzenie, że lęk przed wojną atomową chroni Amerykanów i Rosjan — lecz nie daje dostatecznej ochrony narodom średnim jak Francuzi, Anglicy czy Niemcy — ponieważ Rosja nie użyje bomb atomowych by oderwać kawałek zachodnio-europejskiego terytorium, a Amerykanie nie użyją bomb atomowych by bronić zagrożonego terytorium Zachodniej Europy. Wydaje się więc, że tzw. „parasol atomowy” jest wątpliwą polisą asekuracyjną. Lądowe jednostki amerykańskie na terenie Europy są daleko ważniejsze.

Chciałbym zakończyć ten artykuł następującą uwagą. Z jednej strony super-mocarstwa, a w szczególności Rosja Sowiecka — dążą do poszerzenia i umocnienia polityki wpływów. Ta polityka doprowadzona do swej logicznej konsekwencji musiałaby zakończyć się trój-zaborem całego globu.

Z drugiej strony obserwujemy wszędzie dynamiczny i wzmożony ruch mniejszości narodowych, które domagają się gwałtownie niepodległości, względnie autonomii.

Z każdym dniem wzrasta na sile walka pomiędzy dwoma koncepcjami — pomiędzy polityką jałtańską stref wpływów a koncepcją samostanowienia stanowiącą ideologię „Czwartego Świata”.

Koncepcja legitymizmu i stref wpływów nie ma szansy sukcesu, ponieważ jest reliktem sprzed 150 lat. Rosja stosuje u siebie politykę terroru i ucisku, ponieważ jest opóźniona w rozwoju społecznym o pół wieku. Nawet Sołżenicyn jest pisarzem rosyjskim z XIX-go wieku. Lecz Rosja nie może pozostać archaicznym tworem w nowoczesnym świecie. Można walczyć przeciwko Chinom czy przeciwko Amerykanom, lecz nie można walczyć z czasem.

W Rosji i w państwach satelickich obserwujemy lęk przed Historią. Marksizm, który winien być instrumentem analizy Historii — stanowi w bloku sowieckim ucieczkę przed Historią. Ci panowie manipulują Historią bo nie chcą zaakceptować ani własnej przeszłości, ani teraźniejszości XX-go wieku. Rosjanie nie wylądowali na księżycu, produkują najgorsze plastyki na świecie, w fizyce atomowej i w elektronice są spóźnieni w stosunku do Amerykanów o dziesięciolecia — ponieważ nie można

rozbudowywać technologii i nauki XX-go wieku na społecznej bazie dziewiętnastowiecznej.

Ktoś powie, że siła i przemoc są ponadczasowe. Dawniej był Sybir a dziś są łagry. W rzeczywistości tak nie jest. Opieranie się prądowi czasu, beznadziejna walka z postępem, odrzucanie koniecznych, nowoczesnych reform — osłabiają najsilniejszy rząd i prowadzą do jego upadku. Tych marksistów, którzy jak sowieccy (i polscy) odrzucili Historię ze strachu przed własną przeszłością — Historia wyrzuci na śmietnik.

Kultura Nr. 7/322-8/323 (1974)

ROSYJSKI „KOMPLEKS POLSKI” I OBSZAR ULB

Boimy się Rosjan. Boimy się Rosjan nie na polu bitwy, bo stosunkowo niedawno odnieśliśmy nad nimi poważne zwycięstwo. Jeszcze żyją wśród nas ludzie, którzy brali udział w bitwie pod Warszawą w 1920 roku.

Boimy się rosyjskiego imperializmu — rosyjskich planów politycznych. Dlaczego Rosjanie wolą mieć państwa satelickie — jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry — zamiast życzliwych, względnie neutralnych sąsiadów? W ramach bieżącej sytuacji nie ma logicznej odpowiedzi na powyższe pytanie. Gdyby Niemcy zachodnie miały dziś potężną armię, bronię atomową i hołdowały totalnej idei odwetu — wówczas rola państw satelickich jako wału ochronnego Rosji byłaby zrozumiała. Lecz — jak wiemy — współczesne Niemcy nie mają nic wspólnego z militaryzmem. W mojej książce niemieckiej, która ukazała się 10 lat temu* — zaryzykowałem pogląd, że czołgi niemieckie nigdy więcej nie pojawią się na przedmieściach Moskwy. W historii powtarzają się pewne układy i schematy sytuacyjne. Lecz w większości wypadków historia jest katalogiem samych premier. Historia jest fascynująca ponieważ „to samo” nigdy nie jest „to samo” i identyczne niemal sytuacje w nowych wydaniach produkują odmienne rezultaty.

Niemniej uwarunkowanie historyczne powoduje, że zbyt wielką wagę przywiązujemy do tzw. imponderabiliów a zbyt małą wagę do przemian. Zwłaszcza ludzie starsi — jak piszący te słowa — skłonni są powtarzać, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Rosja jest imperialistyczna, bo zawsze była imperialistyczna. Instynkt imponderabiliów podszeptuje nam, że i Niemcy w rzeczywistości nie zmienili się i gdy nadejdzie sprzyjająca koniunktura uzbroją się po zęby i sięgną po nasze ziemie zachodnie.

* *Kehrt Deutschland in den Osten zurück?* Colloquium Verlag, Berlin, 1961.

Polityka w 70 a może nawet w 80 procentach jest dyskusją na temat historii. Nikt z nas dokładnie nie wie o czym mówią w czasie tajnych narad członkowie biura politycznego na Kremlu. Nikt z nas nie wie co na dnie duszy myśli i planuje Breżniew. Z historii jednak wiemy co myśleli i planowali jego poprzednicy na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Wnioskujemy więc, że Breżniew myśli podobnie jak jego poprzednicy, ponieważ „w gruncie rzeczy nic się nie zmienia”.

Oczywiście historyczne uwarunkowanie w danej sytuacji może stać w jawnej sprzeczności z rzeczywistością — lecz na ogół historia posiada większą siłę sugestii niż współczesność. Historia góruje nad współczesnością tak jak ojciec góruje nad swym nieletnim synem.

Patrzmy na Rosję obciążeni balastem historycznym. Lecz czy Rosjanie patrząc na Polskę są również obciążeni balastem historycznym?

Edgar Snow w swojej książce pt. „Journey to the Beginning” przytacza dłuższą rozmowę w cztery osoby z Maksimem Litwinowem w Moskwie. Rozmowa odbyła się bez świadków w dniu 6 października 1944 roku.

Może warto przypomnieć, że Litwinow był ożeniony z Angielką, znał dobrze Zachód i mówił płynnie po angielsku. W owym czasie jego kariera dobiegała kresu, z czego w pełni zdawał sobie sprawę.

Gdy Snow zapytał go o Polskę — Litwinow odpowiedział, że Rosjanie w żadnym wypadku nie mogą zgodzić się na powrót grupy „beckowskiej” (tak Litwinow określał polski rząd w Londynie).

Jest rzeczą interesującą, że Litwinow nie wysuwał żadnych zastrzeżeń natury ideologicznej. Nie mówił o polskich reakcjonistach, kapitalistach czy obszarnikach. Powiedział natomiast, że rząd polski w Londynie — a w szczególności Sosnkowski — reprezentuje koncepcję polskiego historycznego imperializmu i dąży do odbudowy polskiego imperium z XVI-go i XVII-go wieku. W opinii Litwinowa Beck był gotowy sprzymierzyć się z Niemcami, by osiągnąć ów cel a Polacy londyńscy w tym samym celu gotowi są sprzymierzyć się z Amerykanami.

Byliśmy u kresu sił biologicznych, wyniszczeni hitlerowską okupacją i walką podziemną — marzyliśmy o kawałku polskiego dachu nad głową nie o imperium. Lecz dla Litwinowa byliśmy potencjalnym rywalem.

Osobiście byłem zdumiony czytając relację Edgara Snow — bo wydawało mi się tragicomiczne, że doświadczony polityk

mógł nas w 1944 roku posądzać o imperializm. To tak jakby ktoś przymierającego z głodu żebraka przestrzegał z całą powagą przed niebezpieczeństwami płynącymi z nadużywania jadła i napoju.

A jednak... przeczytawszy powtórnie wypowiedzi Litwinowa doszedłem do wniosku, że nie ma w nich nic komicznego. Litwinow patrzył na Polskę tak, jak Polacy patrzą na Rosję — z pozycji historycznego uwarunkowania.

Dla Rosjan polski imperializm jest nurtem historycznym wiecznie żywym. Nie trzeba sięgać zbyt odległych czasów by znaleźć świadków polskiej obecności w Kijowie.

Gdy Mikołajczyk powiedział Stalinowi, że Lwów nigdy nie wchodził w skład imperium Rosyjskiego, Stalin odpowiedział: „Lwów nie należał do Rosji — lecz Warszawa należała”. Po chwili dodał: „Pamiętamy, że Polacy byli kiedyś w Moskwie”.

Wielu z nas uważa, że Polacy wyleczyli się z imperializmu. Rosjanie jednak są odmiennego zdania. Uwarunkowanie historyczne sugeruje im obawę, że Polacy gdyby odzyskali niepodległość — wkroczyliby na imperialny szlak, z którym zawsze się identyfikowali.

Czy ów imperialny nurt istotnie w nas zamarł — czy historyczny rosyjski „kompleks polski” jest bez podstaw?

Nie sądzę. Wielu współcześnie żyjących Polaków marzy nie tylko o polskim Lwowie i Wilnie ale nawet o polskim Mińsku i Kijowie. Wielu uważa za ideał niepodległą Polskę sfederalizowaną z Litwą, Ukrainą i Białorusią. Innymi słowy alternatywą rosyjskiego imperializmu może być tylko polski imperializm, i zawsze tak było.

Przy tej sposobności warto może przeanalizować pewien typowy emigracyjny fenomen. Po ukazaniu się na łamach *Kultury* mojego artykułu pt. „Polska *Ostpolitik*” — otrzymałem wiele listów od Polaków z wielu krajów, którzy wyrażali pełne poparcie dla programu wyłożonego w cytowanym artykule. Nie brakło również listów od ludzi pióra. Kilku z nich zauważyło, że już dawno pogodzili się z myślą utraty Lwowa i Wilna choć na ten temat nie piszą by nie drażnić opinii publicznej.

Doprowadziliśmy do paradoksalnej sytuacji. Poglądy emigracji ewoluują i ulegają przemianom — natomiast poglądy *establishment*'u i prasy przez nią kierowanej nie uległy zmianie od 30 lat. Mało tego — mam dowody, że nawet pewni ludzie, którzy należą do emigracyjnego *establishment*'u podzielają nasze poglądy w sprawie Lwowa i Wilna, lecz nigdy nie oświadczyliby tego publicznie by nie narazić się opinii. Czyjej opinii?

Są dwie grupy ludzi, którzy odrzucają wszelką argumentację

i dyskusję w tej sprawie. Do pierwszej grupy należą przede wszystkim ludzie, którzy pochodzą z Małopolski Wschodniej lub z Wileńszczyzny. Polakom tym przywiązanie do ziemi — choć nie ojczystej lecz rodzinnej — uniemożliwia zaakceptowanie argumentów rozumowych.

Do drugiej grupy należą ludzie którzy, dla utrzymania tytułu legalizmu, redukują ideę niepodległościową do absurdalnej koncepcji restauracji Drugiej Rzeczypospolitej. Nie ma innej Polski tylko Polska oparta o Konstytucję przedwrześniową z prezydentem, sejmem i senatem. Tylko odrodzona i niepodległa Druga Rzeczypospolita mogłaby poprzez uchwały sejmu, zatwierdzone przez prezydenta, zrzec się Wilna czy Lwowa.

Wadą tej koncepcji jest fakt, że o ile można przyjąć za pewnik, że jeżeli nie my to następne pokolenia doczekają się niepodległości Polski — to również należy przyjąć za pewnik, że konstytucja przedwrześniowa nie będzie obowiązywała na terytorium Polski ani jednego dnia. Wyzwolony naród wyłoni sejm, który uchwali nową konstytucję, odpowiadającą nowym warunkom politycznym, społecznym i gospodarczym. Znakomita większość społeczeństwa tak w Kraju jak i na emigracji nie żywi na ten temat żadnych wątpliwości.

W rezultacie, choć nikt nie wierzy w przyłączenie Lwowa i Wilna do Polski — podtrzymuje się oficjalnie ów mit ze względów legalistycznych. Poza tym panuje powszechnie przekonanie, że ponieważ rząd emigracyjny oparty na legalizmie nie może prowadzić żadnej realnej polityki, jest również obojętne czy przynajmniej się do Lwowa i Wilna czy do Mińska i Kijowa.

Otóż w rzeczywistości to nie jest obojętne. Na emigracji nie możemy przeprowadzać żadnych zmian terytorialnych lecz możemy i powinniśmy ustalić pewne zasady. Na Zachodzie powstaje nowa emigracja rosyjska. Z tymi ludźmi winniśmy nawiązać dialog i szukać porozumienia. Pierwsze pytanie w owym dialogu dotyczyć musi sprawy narodowościowej.

Nowi emigranci rosyjscy są antysowieccy. Wiemy jednak, że imperialistami rosyjskimi bywali ludzie jak najdalsi od komunizmu czy nawet socjalizmu. Dlatego sprawdzianem postawy politycznej każdego nowego rosyjskiego emigranta musi być jego stosunek do kwestii narodowościowej.

Oczywiście ten sam sprawdzian musimy stosować do nas samych. Nie możemy stać na stanowisku, że każdy program wielko-rosyjski jest imperializmem — natomiast polski program wschodni nie jest żadnym imperializmem tylko wzniosłą ideą jagiellońską.

Innymi słowy możemy domagać się od Rosjan wyrzeczenia

się imperializmu pod warunkiem, że my sami raz i na zawsze wyrzeczemy się naszego tradycyjno-historycznego imperializmu we wszystkich jego formach i przejawach.

Idea jagiellońska tylko dla nas nie ma nic wspólnego z imperializmem. Jednak dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów stanowi najczystsza formę polskiego tradycyjnego imperializmu. Rzeczpospolita obojga narodów zakończyła się całkowitym spolonizowaniem szlachty litewskiej i najgorętsze wyznanie miłości do Litwy („Litwo Ojczyzno moja Ty jesteś jak Zdrowie”) zostało napisane w języku polskim. Polak nie może sobie nawet wyobrazić podobnej sytuacji. Czy można sobie wyobrazić Słowackiego piszącego wyłącznie po rosyjsku? Rosjanie usiłowali nas rusyfikować lecz nie zdołali odebrać nam ani jednego poety czy pisarza. Przeciwnie, nacisk rusyfikacyjny spowodował w XIX-tym wieku niebywały rozkwit literatury i języka polskiego.

Przyjemnie jest sobie powiedzieć, że kultura polska jest atrakcyjna — dla wielu znacznie bardziej atrakcyjna niż kultura rosyjska. Lecz ten sam fakt oceniany z perspektywy litewskiej czy ukraińskiej oznacza, że Polacy są groźniejszymi asymilatorami niż Rosjanie. Trzeba tylko odpowiedniej koniunktury, by Polacy mogli w pełni rozwinąć swoje asymilatorskie skrzydła.

Rosjanie w swojej perfidnej polityce narodowościowej wygrywają atut atrakcyjności kultury polskiej. W Wilnie wychodzi codzienne pismo w języku polskim, przyjeżdżają teatry z PRL — itd., itp. Celem tej operacji nie są Polacy zamieszkali na Litwie i spragnieni słowa ojczystego. Celem tej operacji są Litwini i wyłącznie Litwini. Z punktu widzenia rosyjskiego wpływy kultury polskiej — nawet w wydaniu PRL — hamują proces wytwarzania się czysto litewskiego nacjonalizmu i rdzennie litewskiej kultury. Oczywiście wszystko co hamuje proces krystalizacji litewskiej odrębności narodowej — jest mile widziane przez Moskwę.

W Europie Wschodniej — jeżeli na tych ziemiach ma kiedyś ustalić się nie tylko pokój lecz wolność — nie ma miejsca na żaden imperializm — ani rosyjski ani polski. Nie możemy gardłować, że Rosjanie winni oddać Ukraińcom Kijów i równocześnie głosić, że Lwów musi wrócić do Polski. To jest owa „podwójna buchalteria”, która w przeszłości uniemożliwiała nam przełamanie bariery historycznej nieufności pomiędzy Polską a Rosją. Rosjanie podejrzewali, że jesteśmy anty-imperialistami lecz tylko w stosunku do Rosjan — tzn. że imperializm rosyjski pragniemy zastąpić imperializmem polskim.

Jeżeli dla uproszczenia obszar obejmujący Ukrainę, Litwę i Białoruś określimy literami ULB — to należy stwierdzić, że

w przeszłości — a poniekąd i dziś — obszar ULB był czymś więcej niż „kością niezgody”, pomiędzy Polską a Rosją. Obszar ULB determinował formę stosunków polsko-rosyjskich skazując nas albo na imperializm albo na satelictwo.

Jest szaleństwem przypuszczać, że poprzez uznanie problemów ULB za wewnątrz-państwową sprawę rosyjską — Polska może wyprostować swoje stosunki z Rosją. Rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją na tych obszarach miała zawsze na celu ustalenie przewagi a nie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich.

Z punktu widzenia rosyjskiego, wcielenie obszarów ULB do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem umożliwiają-cym zredukowanie Polski do statusu satelickiego. W perspektywie Moskwy Polska musi być satelicka w takiej czy innej formie. Historia uczy Rosjan, że Polska prawdziwie niepodległa sięgała zawsze po Wilno i Kijów i usiłowała ustalić swoją przewagę na obszarach ULB. Gdyby powyższe dążenia historyczne Polaków zostały uwieńczone powodzeniem — byłoby to równoznaczne z likwidacją pozycji imperialnej Rosji w Europie. Innymi słowy, Polska nie może być prawdziwie niepodległa jeżeli Rosja ma zachować status imperialny w Europie.

Z polskiego punktu widzenia sprawa kształtuje się analogicznie. Szukaliśmy przewagi na obszarach ULB — czy to na drodze wojskowej czy wysuwając plany federacyjne — ponieważ historia uczy nas, że Rosja dominująca na tych obszarach jest rywalem nie do pokonania. Z rąk zwycięskiego rywala nie można oczekiwać niczego innego prócz niewoli.

Chciałbym podkreślić dwa punkty. Po pierwsze — nie jest rzeczą możliwą dyskutowanie stosunków polsko-rosyjskich w oderwaniu od obszarów ULB — ponieważ stosunki polsko-rosyjskie były zawsze funkcją sytuacji jaka w danym okresie historycznym panowała na tych obszarach.

Gdyby nie było Hitlera, gdyby nie było drugiej wojny światowej, gdyby Niemcy byli pokojowo nastawionymi dobrymi Europejczykami — niepodległość Polski byłaby mimo to zagrożona ze strony Rosji, ponieważ w 20-tym roku odnieśliśmy zwycięstwo pod Warszawą lecz *nie pod Kijowem*. Po śmierci Stalina skończyłyby się czystki i likwidowanie najlepszych oficerów sowieckiej armii, Rosja podjęłaby wyścig zbrojeniowy, który w konsekwencji Polska musiałaby przegrać. Wcześniej lub później militarna przewaga Rosji nad Polską byłaby tak znaczna, że Moskwa — z pomocą lub bez pomocy Niemiec — narzuciłaby nam swój protektorat. To po prostu leżało w kartach i nie brakowało w Polsce pisarzy politycznych, którzy z tego zdawali sobie sprawę. Adolf Bocheński świetny publicysta, który poległ

pod Anconą — zgodnie ze swą tezą, że „z tej wojny nie należy wracać” — w książce* wydanej przez Jerzego Giedroycia w początkach ery „Nowych Niemiec” — kiedy jeszcze nikt w Europie nie zdawał sobie sprawy kim jest Hitler i jakie są jego plany doradzał porozumienie z Niemcami. Celem owego porozumienia byłoby oderwanie od Rosji Ukrainy. Zawsze chodzi o Ukrainę, Litwę i Białoruś, ponieważ sytuacja na tych obszarach determinuje stosunki polsko-rosyjskie.

I punkt drugi. Wydaje mi się, że o ile Rosjanie Ukraińców nigdy nie doceniali i nie doceniają ich nadal — o tyle zawsze przeceniali i nadal przeceniają Polaków. Widzą nas zawsze jako rywali aktywnych lub tylko potencjalnych — niemniej zawsze jako rywali. Chruszczow zezwolił wprawdzie na wywiezienie Panoramy Racławickiej ze Lwowa, lecz równocześnie odradzał kategorycznie udostępnienie Panoramy polskiej publiczności. Uważał bowiem, że Panorama Racławicka przypominać będzie Polakom zbrojne powstanie przeciwko Rosji. Słynny epizod z wystawieniem mickiewiczowskich „Dziadów” był na tym samym tle.

Osobiście „wydarzenia grudniowe” na wielką skalę wydają mi się daleko bardziej prawdopodobne w Polsce niż wybuch zbrojnego powstania przeciwko Rosji. Na emigracji nie ma ani jednego polityka, który by nawoływał Polaków w Kraju do powstania. Natomiast Rosjanie boją się nie tyle społecznej rewolucji w Polsce ile narodowego powstania. Wierzą również, że rewolucja robotnicza zmierzająca do obalenia partyjnego przywódcy i jego reżymu — zatraciłaby w przeciągu kilku dni cechy gospodarczo-społeczne i przekształciłaby się w ogólnonarodową rewoltę przeciw Rosji.

Musimy również pamiętać, że Polacy a nie Rosjanie przeżyli szok Powstania Warszawskiego, szok porzucenia Polski przez sojuszników zachodnich, szok okupacji kraju przez wojska sowieckie. Wojnę przegraliśmy totalnie, ponieważ nie ostał się nawet skrawek niepodległej Rzeczypospolitej. Runęła w gruzy nasza tradycyjna koncepcja Polski jako bastionu cywilizacji zachodniej. Zostaliśmy zdradzeni przez naszą własną historię, której budowaliśmy ołtarze w literaturze, w malarstwie, w muzyce. Dokonałiśmy najstraszniejszego odkrycia jakie naród może dokonać a mianowicie, że Historia jest brulionem zapisków z „martwego domu” a nie żywą przeszłością potwierdzającą się w teraźniejszości. W takich warunkach Polakowi trudno było nie stać się historycznym rewizjonistą. Nie dziwota, że nawet

* Adolf Bocheński, *Miedzy Niemcami a Rosją*, Warszawa, 1937; wyd. red. „Polityki”.

pisarze katoliccy i nie komuniści, odzegnujący się nawet od socjalizmu — na gruzach „egzotycznych sojuszków” — głosili pogląd, że sojusz ze Związkiem Sowieckim stanowić musi kamień węgielny polskiej polityki. Była to świadoma rezygnacja z postawy rywala i przyjęcie postawy wasala.

Natomiast musimy pamiętać, że owe traumatyczne doświadczenia były czysto jednostronne i dotyczyły tylko Polaków a nie Rosjan.

Nie ma przedmiotu, który określa się optymistycznie mianem „historii powszechnej”. Nie tylko nie ma historii powszechnej — ale nie ma nawet historii europejskiej. Istnieją tylko historie polska, rosyjska, francuska, niemiecka itd. Bitwa pod Wiedniem z królem Sobieskim na pierwszym planie widziana przez historię polską mało przypomina bitwę pod Wiedniem w przekazie historii niemieckiej.

Historia jest w biegu zatrzymaną polityką. Dlatego pisarz polityczny musi umieć patrzeć na historię z lotu ptaka. W interesującym nas przedmiocie polityki musi umieć spojrzeć na ciąg wydarzeń zarówno oczami Polaka jak i oczami Rosjanina. Polityka jest bowiem dalszym ciągiem historii i nie można zrozumieć polityki rosyjskiej nie rozumiejąc jak Rosjanie odczytują historię. Naród polski odgrywał zawsze poważną rolę w historii rosyjskiej i jest rzeczą niezbędną byśmy dokładnie poznali perspektywy poprzez które Rosjanie na nas patrzą.

Sytuacja w końcowym okresie drugiej wojny światowej przypominała sytuację po bitwie pod Jeną. Napoleon panował nad całą Europą i nie pobite pozostały tylko dwa państwa, tj. Rosja i Anglia. Napoleon był w Moskwie — Hitler był na przedmieściach Moskwy. W obu wypadkach głównymi sprzymierzeńcami Rosjan były klimat i przestrzeń. Na ludzi z Zachodniej i Środkowej Europy przestrzenie rosyjskie wywierają wpływ trudny do opisanja. We Francji czy w Niemczech sto kilometrów to jest ogromna odległość — w Rosji sto kilometrów to jest nic. W pamiętniku jednego z niemieckich oficerów natknąłem się na określenie, że Rosja jest krajem bez horyzontu. Za widnokresem, jak się do niego dotrze, są nowe pola, wzgórza i rzeki — a za nowym widnokresem są znowu pola, wzgórza i rzeki i tak bez końca, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Cytowany oficer niemiecki pisze, że nawet w lecie, po wielu tygodniach marszu, owa niekończąca się nigdy przestrzeń rosyjska w najtwardszym człowieku wywołuje w końcu poczucie bezsilności.

Rosjanie ponieśli ogromne straty. Lecz historia ich nie zdradziła — to znaczy współczesność potwierdziła przeszłość. Armie Hitlera podobnie jak armie Napoleona zmożone klimatem i prze-

strzenią rosyjską zostały pobite i odepchnięte daleko poza granice imperium rosyjskiego.

W Polsce przewrót technologiczny — lotnictwo i czołgi — wytrącił nam z ręki tradycyjną naszą broń tj. kawalerię. Mielishmy niewątpliwie najlepszą kawalerię w Europie ale w naszym wypadku współczesność nie potwierdziła historii. Przeciwnie, tradycja okazała się bezzębną staruszką wobec zmotoryzowanych kolumn pancernych, które powaliły nas w przeciągu 17 dni.

Wszystko co powyżej napisałem ma na celu zilustrować fakt, że historia nie zdradziła Rosji lecz przeciwnie potwierdziła tradycyjne rosyjskie założenia. W rezultacie Rosjanie — w przeciwieństwie do Polaków — uważają, że od czasów bitwy pod Jeną nic się nie zmieniło. Rosja ma inny ustrój, lecz jak dawniej jest imperialna i niepokonalna. Z naszego polskiego świata wypadło dno — jakby to obrazowo powiedziało się po angielsku. Lecz z rosyjskiego świata rewolucja nie wybiła dna, ponieważ Rosja jest i pozostała historycznie identyczna, tzn. imperialistyczna i zaborcza.

Weźmy jeszcze inny przykład. Rewolucja i klęska jakie nastąpiły w imperium otomańskim w rezultacie pierwszej wojny światowej — pozbawiły Turcję jej historycznej identyczności. Turcja przestała być mocarstwem imperialnym. W konsekwencji, współcześni Turcy myślą zupełnie inaczej niż myśleli ich dziadowie i pradziadowie jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Natomiast rewolucja październikowa nie odebrała Rosji jej imperium i nie zmieniła na jotę rosyjskiej historycznej dyspozycji. Stalin po drugiej wojnie światowej zachowywał się i działał jak car i samodzielną Wszechrosji — symbol i reprezentant imperialnej idei rosyjskiej.

Wszyscy o tym wiemy natomiast niewiele z nas zdaje sobie sprawę, że ów rosyjski historyczny konserwatyzm obejmuje również ocenę Polski i Polaków. Litwinow mówił o odbudowie polskiego imperium z XVI i XVII wieku co nam wydaje się komiczne, lecz dla Litwinowa — w przeciwieństwie do nas — wiek dwudziesty był dalszym ciągiem XVI i XVII wieku z tą samą tradycyjną problematyką, nie wyłączając problematyki polskiej. Podobnie jak carowie, Stalin, Litwinow i Breżniew uważali i uważają, że na obszarach Ukrainy, Litwy i Białorusi mogą panować albo Polacy albo Rosjanie. Nie ma historycznego trzeciego rozwiązania — istnieje tylko wybór pomiędzy imperializmem polskim a rosyjskim.

Rosjanie nas przeceniają, ponieważ patrzą na nas z rosyjskiej historycznej perspektywy. Polacy natomiast — choć są dumni a częściej jeszcze sentymentalni na temat swej przeszłości histo-

rycznej — uważają równocześnie, że owa imperialna chwała nie ma nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością.

Zachowujemy się tak jak szlachcic, który stracił swój majątek. Niedołężna gospodarka, przeciwności losu, a przede wszystkim zły sąsiad, sprawiły, że utraciliśmy „majątek”, który się nam należał zgodnie z prawem boskim i ludzkim. Pocięszamy się jednak, że „sprawiedliwość dziejowa” ukarała Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, bo dobrych panów polskich zamienili na złych panów sowieckich.

Przez trzysta lat mieliśmy przewagę na Wschodzie. Jeżeli pokój Grzymułtowskiego (1 maja 1686 r.) uznać za punkt zwrotny w dziejach stosunków polsko-rosyjskich — należy stwierdzić, że obecnie Rosja od 300 lat ma przewagę na Wschodzie. Owa „alternatywność” — albo my albo oni — uniemożliwia znornalizowanie stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Owa „alternatywność” powoduje, że Polacy podobnie jak Rosjanie — nie wierzą w trzecie rozwiązanie, i ponieważ *tertium non datur* — akceptujemy satelictwo jako ponury lecz aktualny stan rzeczy. W systemie „albo my albo oni” tym razem na wierzchu są oni.

Jest jednak różnica pomiędzy Polakami a Rosjanami. Przewagę Rosjan potwierdziła Historia. Natomiast nasze walki, powstania, nawet zwycięstwa — Historia obróciła w niwecz. Trzymamy się systemu „albo my albo oni”, bo nie znamy i nie mamy innego systemu. Lecz większość Polaków nie wierzy już w ten system, nie wierzy byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją. Dzieckiem owej niewiary jest mentalność satelicka i serwilizm.

Ja również nie wierzę w system „my albo oni” — nie wierzę byśmy byli kiedykolwiek w możności odepchnąć Rosję z rogatek Przemysła pod Smoleńsk. Uważam również, że system powyższy — choć głęboko historycznie zakorzeniony — jest dziś anachronizmem, barbarzyńskim anachronizmem. Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej.

Pragnęam wykazać, że system „my albo oni” — choć czerpie swą moc z wielowiekowej tradycji — jest w gruncie rzeczy zatrutym źródłem. Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy

jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nie-imperialistyczna Rosja i nie-imperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski jak rosyjski — zarówno zrealizowany jak i potencjalny, czekający na koniunkturę.

Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu. Tylko na tej drodze byłoby możliwe pogrzebanie katastrofalnego systemu „my albo oni” — systemu, który dziś oferuje Rosji sojusz z satelicką Polską lecz równocześnie sprawia, że gdyby jutro wybuchła wojna rosyjsko-chińska — znakomita większość Polaków życzyłaby zwycięstwa Chińczykom.

Z powyżej przeanalizowanych przyczyn tzw. kwestia narodowościowa jest podstawowym problemem nie tylko rosyjskim lecz rosyjsko-polskim. Tylko radykalne rozwiązanie tego problemu władne jest przekształcić stosunki polsko-rosyjskie.

Wydaje się, że rośnie procent Rosjan, którzy zdają sobie sprawę z powyższego zagadnienia. Jeszcze raz pragnę podkreślić z naciskiem, że mentalność „my albo oni” musi wygasnąć nie tylko wśród Rosjan lecz również wśród Polaków. To jest proces dwustronny. Polacy czekający cierpliwie na chwilę odwetu i restaurację „przedmurza” — podsycają intensywnie imperializm rosyjski.

Na wstępie tego artykułu wspomniałem M. Litwinowa, dla którego historyczny system „my albo oni” był w roku 1944 równie żywy i aktualny jak w okresie ubiegłych 300 lat. Litwinow uważał, że trzeba finalnie dokończyć dzieła zapoczątkowanego rozejmem Andruszowskim (30. I. 1667 r.) kiedy Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siewierszczyznę, Siewież i Kijów.

Dokładnie w trzydzieści lat po rozmowie Edgara Snow z M. Litwinowem, wnuk tegoż Maksima Litwinowa — Paweł Litwinow nawiązał kontakt z paryską *Kulturą* i przybliżył się do naszego punktu widzenia.

Wreszcie ostatni punkt tych rozważań. Polacy odnoszą się dziś z niechęcią do wzniosłych haseł, do sloganów, do wszelkiego typu romantycznej frazeologii. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że w swoim anty-romantyzmie Polacy wylewają dziecko wraz z kąpielą. Polityka narodu w niewoli musi łączyć ludzi o różnych przekonaniach i dlatego winna być oparta o ideał moralny, który by oczyszczał nasz program niepodległościowy i nadawał mu etyczny wymiar. Owego moralnego, ponad-naro-

dowego wymiaru brak jest wszystkim współczesnym programom niepodległościowym.

Nikogo nie można porwać ideą wzrostu ekonomicznego czy hasłem „kolorowa telewizja w każdym domu i samochód przed każdym domem”. Choć wszyscy pragną samochodów — nikt nie jest gotów umierać za samochody i kolorowe telewizje. W Wietnamie, na Cyprze, na Środkowym Wschodzie, w Północnej Irlandii, w Angoli czy w Mozambiku — ludzie umierają dla często mylnych lecz żarliwie wyznawanych idei.

Wśród współcześnie żyjących Polaków — tak w Kraju jak i za granicą — nic, dosłownie nic nie jest żarliwie wyznawane. Ludzie bezideowi („śmierć frajerom”) są całkowicie bezbronni wobec przemocy i stanowią klasyczny materiał do masowej fabrykacji niewolników.

Czytając „Archipelag Gułag” musi się dojść do wniosku, że owe gigantyczne, wielomilionowe łagry byłyby nie do pomyślenia bez współpracy łagierników. Filozofia „śmierć frajerom” wyznawana przez znakomitą większość łagierników w kombinacji z przemocą władz sowieckich — czynią z „Archipelagu Gułag” prosperujący *business*.

Oczywiście największymi frajerami są wyznawcy hasła „śmierć frajerom” i „Archipelag Gułag” stanowi monumentalne potwierdzenie powyższej tezy.

Idea samostanowienia i wolności dla pobratymczych narodów oddzielających nas od Rosji — z równoczesnym szczerym zrzeczeniem się jakichkolwiek planów imperialistycznych — do których to planów zaliczyć należy nadzieję ułożenia się z Moskwą ponad głowami i kosztem owych narodów — tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny, którego dziś jej nie dostaje.

Co my mamy do przeciwstawienia „Archipelagowi Gułag” — jeżeli uznać go za symbol systemu? Nie mamy Sołżenicynów — ale mamy Iwaszkiewiczów, apostołów licencjonowanego sukcesu. Na emigracji mamy zaciekle antykomunizm, który nie produkuje niczego poza zwierzęcą nienawiścią do Rosji. Owemu antykomunizmowi brak jest wymiaru moralnego, ponieważ stopiony jest z egoizmem narodowym, a nawet z ciasnym nacjonalizmem. „Gułag” nas interesuje tylko o tyle, o ile w tej piramidzie umęczonych ciał i dusz dopatrzeć się można zapowiedzi rozkładu Rosji co z kolei umożliwiłoby nam przywrócić Polsce Wilno, Lwów a może coś więcej.

Powinniśmy wrócić do Mickiewicza. On lepiej i prawdziwiej niż my rozumiał słowo „wolność” i moralny tego słowa wymiar. *Kultura* Nr 9/324 (1974)

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

W niespełna 30 lat od zakończenia pierwszej wojny światowej wybuchła druga wojna światowa. Bomby atomowe zrzucone na dwa miasta japońskie nadawały tej wojnie charakter wojny, która zakończyć miała wszystkie wojny.

Zarówno po pierwszej jak i po drugiej wojnie światowej — mimo zniszczeń materialnych i obrzymiego upustu krwi — nie depresja i frustracja lecz prężna, dynamiczna nadzieja ożywiała ludzi. To ta nadzieja lepszego, pełniejszego życia spowodowała, że miasta i przemysły odbudowano w błyskawicznym tempie a w Niemczech i w Japonii — które poniosły totalną klęskę — zakwitł bogactwem i dobrobytem „cud gospodarczy”.

Lecz dziś, w 30 lat od zakończenia drugiej wojny światowej, przeżywamy trzecią wojnę światową. Nie mam na myśli tzw. „małych wojen”, których mieliśmy całą serię. Te lokalne konflikty toczyły się z dala od Europy, w Wietnamie, na Środkowym Wschodzie, w Indiach a ostatnio na Cyprze. Mam natomiast na myśli bomby, które wybuchają niemal każdego dnia w Londynie, w Paryżu, w Brukseli czy w miastach włoskich. Mam na myśli akty terroru, których nie tyle widownią co sceną stał się świat zachodni. Nadzieja, która ożywiała pierwsze lata powojenne zgasła, a jej miejsce zajęła frustracja. Lecz kto i przeciwko komu toczy ową podziemną trzecią wojnę światową?

Jeżeli wyłączymy terrorystów arabskich, którzy swój konflikt z Izraelem starają się rozegrać na scenie międzynarodowej — to należy stwierdzić, że tę podziemną trzecią wojnę światową w Europie, w obu Amerykach i w Japonii — prowadzimy nie przeciwko Sowieckiej Rosji ale wyłącznie sami przeciwko sobie. Nawet w Anglii, gdzie tradycja wydaje się nie do naruszenia — mówi się ostatnio o „prywatnych armiach”, które miałyby bronić porządku i prawa, gdyby zaszła tego potrzeba. Mówiąc o owych

„prywatnych armiach” nikt nie ma na myśli obrony przed desan-tem sowieckim, tylko każdy ma na myśli obronę przed niebezpieczeństwem z wewnątrz.

Odnosi się wrażenie, że system demokracji parlamentarnej nie jest w stanie objąć narastających przemian i dać owym przemianom wyrazu w konkretnych reformach. Pisałem na tych łamach o niebezpieczeństwach grożących socjalizmowi w chwili jego zwycięstwa.

Związki zawodowe miały na celu obronę interesów robotniczych i stanowiły „grupę nacisku” zarówno w stosunku do rządów konserwatywnych jak i socjalistycznych. W dyskusjach na temat nowej roli związków zawodowych wysuwa się często pytanie: kto rzędzi Anglią — parlament czy związki zawodowe?

Nie wszyscy demokratyczni socjaliści zdają sobie sprawę z faktu, że związki zawodowe nie mogą rządzić, ponieważ gdyby przejęły częściowo funkcje rządu przestałyby być związkami zawodowymi. Z chwilą gdyby TUC (Kongres Związków Zawodowych) stał się częścią składową rządu — trzeba by powołać do życia nowe związki zawodowe, które służyłyby wyłącznie i bez reszty obronie interesów robotniczych. Rząd bowiem — szczególnie w państwach socjalistycznych z wielkim sektorem gospodarki upaństwowionej — jest największym i najpotężniejszym pracodawcą i siłą faktu reprezentuje interesy pracodawcy a nie robotnika. Do perfekcji ów stan rzeczy doprowadzono w państwach komunistycznych przekształcając związki zawodowe w „transmisję rządu”, który jest jedynym pracodawcą i kapitalistą. W takiej sytuacji związki zawodowe zamiast bronić robotnika bronią kapitalisty.

Demokratyczny socjalizm nie polega na tym, że związki zawodowe przejmują funkcje rządu. Demokratyczny socjalizm polega natomiast na tym, że pomiędzy związkami zawodowymi a rządem konfrontacje zastępuje współpraca oparta o kompromis i negocjacje. Lecz pogląd, że interesy robotników są zawsze i bez wyjątku zbieżne z interesami rządu demokratyczno-socjalistycznego — jest naiwną utopią. Interesy pracodawców i pracobiorców w żadnym ustroju nie są zbieżne i dlatego w każdym ustroju niezbędne są w pełni niezależne związki zawodowe, które nie są ani rządem ani „transmisjami” rządu.

Prawdziwy socjalizm może złagodzić i w części zharmonizować interesy pracodawców i robotników — lecz wyjąwszy wojnę lub inną powszechną katastrofę — sprowadzanie interesów wszystkich grup społecznych do jednego bezkonfliktowego mianownika — byłoby możliwe tylko na drodze przemocy sankcjonującej krzywdę.

Do nadrzędnego interesu państwa odwołują się zawsze ci, którzy głoszą, że co jest dobre dla Forda — dobre jest i dla Ameryki. Nie jest pewne czy wszystko co jest dobre dla Forda dobre jest dla Ameryki — a jeszcze mniej pewne jest czy to, co jest dobre dla Forda, dobre jest dla robotników. Identyfikowanie interesów państw z indywidualnym, egoistycznym interesem określonej firmy, grupy czy klasy społecznej — jest zarówno przyczyną jak i skutkiem konfliktowego charakteru społeczeństw ludzkich.

Trzy zjawiska pozornie nie związane ze sobą wpływają wybitnie na kształtowanie współczesnego klimatu politycznego, społecznego i gospodarczego, klimatu, który powoduje pierwszy raz w dziejach frustrację w skali światowej.

Narody satelickie mają konkretne powody do frustracji. Lecz słuchając audycji radiowych, przez wiele godzin każdego dnia, muszą stwierdzić, że klimat frustracji i katastrofizmu obejmuje dziś całą Europę Zachodnią i Amerykę. Oczekuje się od lat kryzysu, bankructwa, upadku cywilizacji i demokracji. Równocześnie ludziom na Zachodzie nigdy się tak dobrze nie powodziło jak obecnie. Zapewniają nas kilkanaście razy dziennie w radio i w telewizji, że Anglia jest na skraju przepaści, bankructwa i chaosu. Lecz Brytyjczycy jedzą i piją, tak jak nigdy dotąd nie jedli i nie pili, miliony wyjeżdżają na urlopy za granicę, samochodów i telewizorów jest coraz więcej, nie mniejszość lecz poważna większość ludzi pracy dobrze zarabia, każdy miesiąc przynosi nową falę podwyżek płac — tak, że dobrobyt w gruncie rzeczy upowszechnia się z każdym miesiącem. Wydaje mi się, że nigdy dotąd w dziejach Zachodniej Europy — tak wielu nie powodziło się tak dobrze i równocześnie nigdy dotąd poczucie frustracji i katastrofizmu nie było tak powszechne.

Pierwszą przyczyną powyższego stanu rzeczy jest dewaluacja słowa pisanego i mówionego. Nikt nie bierze na serio słów polityków, ekonomistów, ekspertów. Środki masowego przekazu wyprodukowały inflację kryzysów. Słyszymy każdego dnia o kryzysie Watergate, o kryzysie na Cyprze, na Środkowym Wschodzie, w Wietnamie, w Brukseli, w NATO — oczywiście słyszymy o kryzysie we wszystkich gałęziach przemysłu, mówimy o kryzysie energetycznym, o kryzysie wywołanym zanieczyszczeniem przemysłowym powietrza, wody i ziemi a gdy powyższe tematy zostaną wyczerpane mówimy o kryzysie monetarnym, o kryzysie na giełdzie itd., itp. Jak to się więc dzieje, że przeżywając kilkadziesiąt kryzysów we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego — utrzymujemy równocześnie wysoką stopę życiową, a miliony samochodów krążących dniem i nocą

po autostradach zachodniego świata zdają się wskazywać, że ropa naftowa nigdy nie płynęła obficie jak obecnie, gdy przeżywamy super-kryzys energetyczny.

Inflacja kryzysów prawdziwych i urojonych powoduje zjawisko, które nazwałbym indyferentyzmem informacyjnym. Ludzie słuchają potoków katastroficznych analiz i przepowiedni jak fantastycznego reportażu z innej planety.

Drugi punkt, na którym chciałbym skupić uwagę Czytelnika, dotyczy powolności myślenia. Owa zawrotna szybkość komunikacji nie dotyczy ludzkiego mózgu. Komputery wykonują skomplikowane obliczenia i analizy w czasie kilku sekund — człowiek podróżuje po przestrzeniach ziemi z szybkością dwukrotnie większą niż szybkość fali głosowej — lecz mózg ludzki pracuje równie wolno dziś jak dwa tysiące lat temu. Owa błyskawiczna i stale wzrastająca szybkość tak w zbieraniu jak i w przekazywaniu informacji w połączeniu z szybkością przenoszenia ludzi z kontynentu na kontynent powoduje, że ludzie zajmujący kluczowe stanowiska muszą podejmować niepomiernie więcej niż dawniej decyzji w niepomiernie krótszym czasie, mając do dyspozycji ten sam powolny mózg, którym posługiwali się ich pradziadowie w epoce dyliżansu. W konsekwencji, niebezpieczeństwo płynące z wadliwie powziętych decyzji jest dziś proporcjonalnie większe niż dawniej. Bombardowanie mózgu ludzkiego rosnącą masą informacji oraz mylne przypuszczenie, że mózg ludzki w każdym następnym pokoleniu może być w tym samym stopniu sprawniejszy co komputery, których sprawność rośnie w olśniewającym tempie w każdej następnej dekadzie — wydaje mi się jednym z głównych źródeł frustracji. Powyższy stan można by nazwać „wyobcowaniem technologicznym” — przez co należy rozumieć fakt, że choć panujemy nad naszą technologią — rośnie przepaść pomiędzy możliwościami maszyn, które tworzymy — a możliwościami ludzkiego mózgu. Stale przybierająca na sile „epidemia” zawałów serca u mężczyzn, a ostatnio i u kobiet w wieku „menadżerskim”, tj. pomiędzy 45 a 55 rokiem życia — jest spowodowana napięciem i przeciążeniem mózgu i systemu nerwowego. Byłoby interesujące wiedzieć — czego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy — w jakim stopniu obecny światowy kryzys gospodarczy spowodowany jest obiektywnymi przyczynami, jak np. głodem paliw energetycznych, a w jakim procencie jest rezultatem rosnącej sumy błędnych decyzji pobieranych przez przeciążone, pracujące powoli ludzkie mózgi na szczeblach kierowniczych.

Wreszcie jako punkt trzeci i najważniejszy w analizie przyczyn frustracji należałoby wymienić problem moralny.

B. prezydent Nixon musiał odejść ponieważ stracił poparcie nie tylko swojej własnej partii lecz również swego gabinetu z dr. Kissingerem włącznie. Nixon kłamał, przekupywał, zmierzzał do bezprawnego zatuszowania skandalu Watergate — lecz twierdził do końca, że działał w interesie Stanów Zjednoczonych. Najwyraźniej ujął to Ehrlichman, jeden z najbliższych jego współpracowników, który oświadczył, że są sytuacje kiedy moralność prywatna ustąpić musi przed moralnością wyższego rzędu, która reprezentuje interes publiczny.

Pomijając fakt, że zwolennicy „moralności wyższego rzędu” nieodmiennie identyfikują swoje osobiste ambicje, egoizm i chciwość z interesem państwowym — przyjęcie zasady „moralności wyższego rzędu” byłoby równoznaczne z akceptacją reguły, że cel uświęca środki — co tak w teorii jak i praktyce oznaczałoby negację wszelkiej moralności. Przyjęcie zasady „nadrzędnej moralności” likwiduje podstawową różnicę pomiędzy wolnym światem a komunizmem, ponieważ reguła, że cel uświęca środki jest do pogodzenia z totalizmem lecz jest w jawnej sprzeczności z demokracją.

Oczywiście wszędzie — nie wyłączając Anglii — zdarzają się przekupstwa. Bywało nawet, że minister kłamał premierowi i parlamentowi (afery Profumo) lecz żaden z tych panów, którzy zostali przykładnie ukarani, nie powoływał się na „moralność wyższego rzędu”.

Nawet ci, którzy odrzucają religię i moralność płynącą z nakazów religijnych, nawet ci, którzy głoszą, że polityka nie ma obiektywnej analizy muszą przecież dojść do wniosku, że demokracja nie może obejść się bez moralności. Obrona słabszego przed wyzyskiem i przemocą silniejszego dyktowana jest nie nakazami ekonomicznymi lecz nakazami moralnymi. Zasada, że wszyscy obywatele są równi w obliczu prawa i że każda grupa społeczna bez względu na jej zamożność, kolor skóry i religię posiada prawo do reprezentacji — wpływa z poczucia moralnego a nie z interesu ekonomicznego.

Choć zabrzmi to patetycznie — można rzeczowo stwierdzić, że stopień autentycznej demokracji jest wprost proporcjonalny do stopnia rozwoju poczucia moralnego danego społeczeństwa. Z powyższych przyczyn, każde działanie gwałcące podstawowe zasady moralne jest w istocie rzeczy antyspołeczne a tym samym antydemokratyczne.

W jednym z poprzednich artykułów przedstawiłem podobieństwa pomiędzy Chrześcijaństwem a demokratycznym socjalizmem. Kościół zapatrzony w wizję Chrześcijaństwa państwowego — przeoczył tę analogię i w rezultacie na przełomie wieków

XIX i XX — utracił w znacznym procencie klasę robotniczą na rzecz świeckiego socjalizmu.

W XIX wieku nie Marks lecz kościół powinien był stanąć twarde i bezkompromisowo w obronie dzieci i nieletnich pracujących w kopalniach i w przemyśle. Od Freuda wiemy, że „kompleks winy” manifestuje się często w dziwacznych przejawach. W jakim stopniu naiwna watykańska *Ostpolitik* wpływa z watykańskiego „kompleksu winy” w stosunku do klasy robotniczej?



Po ustąpieniu Nixona znaczna część prasy zachodniego świata z polską prasą emigracyjną włącznie — oceniała bilans jego polityki zagranicznej jako niezmiernie dodatni.

„Watergate” nie jest przedmiotem moich rozważań w tym artykule chciałbym jednak zwrócić uwagę Czytelnika na pewne charakterystyczne szczegóły, które mogły ująć jego uwagi. *The Guardian*, który dysponuje sztabem wytrawnych korespondentów w Waszyngtonie — doniósł w dniu 12 sierpnia bież. roku, że ustąpienie Nixona wymusiło czterech najbliższych jego współpracowników. W grę wchodziło dwóch jego doradców prawnych James St. Clair i Fred Buzhard oraz gen. Alexander Haig i Dr Henry Kissinger. Wszyscy czterej zagrozili, że jeżeli prezydent nie ustąpi, podadzą się natychmiast do dymisji i ujawnią powody dla których złożyli swoje urzędy. Taśma magnetofonowa z dnia 23 czerwca stanowiła niezbity dowód, że Nixon zarządził tuszowanie afery Watergate szóstego dnia po dokonaniu włamania i przez dwa lata kłamał w czasie wszystkich konferencji prasowych i licznych wystąpień telewizyjnych. Lecz co najważniejsze okłamywał również tak swoich obu osobistych prawników jak i generała Haig’a i dr. Kissingera.

Nas w tej chwili interesuje tylko osoba dr. Kissingera w tym dramacie. Kiedyś zauważyłem na tych łamach, że nagły kryzys obnaża nawet najbardziej skrytych ludzi i umożliwia zrozumienie mechaniki ich postępowania lepiej niż obserwowanie ich przez tysiące tzw. „codziennych” dni.

Według *The Guardian* — dr Kissinger argumentował, że Nixon musi ustąpić, ponieważ przedłużający się kryzys prezydencki może zagrozić pozycji Breżniewa, który zaangażował całą swoją polityczną pozycję w dialogu z Nixonem. Prezydent winien ustąpić, by ratować swoje własne dzieło tj. politykę „odprężenia”. Breżniew — by przetrwać kryzys musi natychmiast otrzymać zapewnienie od nowego prezydenta, że polityka *détente* na jotę nie uległa zmianie. Natomiast proces sądowy i skazanie

prezydenta byłoby nie tylko kompromitacją Nixona lecz również pociągnęłoby za sobą bankructwo *détente*, którego Breżniew politycznie by nie przeżył.

Powyższy argument okazał się decydujący, ponieważ Nixon pragnie przejść do Historii nie jako prezydent, który podał się do dymisji — lecz jako twórca „odprężenia” i fundator pokoju dla następnych pokoleń.

Amerykański sekretarz stanu wykazywał czynną troskę i aktywnie zabiegał, by utrzymać w siodle sowieckiego satrapę, który wygnał Sołżenicyna. A przecież Sołżenicyn reprezentuje te wartości, których Kissinger, jako główny sternik polityki Zachodu — powinien bronić przed Breżniewem. Jak wiemy, Breżniew jest owych wartości nieprzejeannym wrogiem. Z drugiej strony trudno jest przyjąć pogląd, że Kissinger tego nie rozumie. Obecny Sekretarz Stanu jest uchodzącą z hitlerowskich Niemiec i został kilkakrotnie pobity przez hitlerowskie bojówki gdy jako chłopiec wracał ze szkoły do domu. Kissinger bardzo głęboko przeżył dramat drugiej wojny światowej a zwłaszcza zagładę milionów Żydów. Czy „Archipelag Gułag” nie przypomina mu hitlerowskich obozów koncentracyjnych? Czy historia nie wykpiła bezlitośnie wszystkich, którzy szukali „odprężenia” z Hitlerem? I czy Historia nie wykazała, że istnieje organiczny związek pomiędzy polityką wewnętrzną i zagraniczną? Jeżeli ktoś wyznaje zasadę, że cel uświęca wszystkie środki w polityce wewnętrznej — uznać należy za pewne, że tę samą zasadę stosować będzie również w polityce zagranicznej. Kissinger historyk — niewątpliwie rozumie to doskonale. Więc gdzie należy szukać klucza do jego rozumowania?

Wydaje mi się, że operatywnym słowem w tym problemie jest termin „pokój”. Dlaczego *Détente*? „Odprężenie” za każdą cenę, ponieważ „odprężenie” nie ma alternatywy. Likwidacja *détente* oznaczałaby politykę konfrontacji, która każdej chwili przekształcić by się mogła w otwarty konflikt i wojnę. W porównaniu ze światową wojną atomową „Archipelag Gułag” to *Kindergarten*.

Tylko w ramach *détente* jest możliwe rozgrywać małe wojny bez wywołania światowego konfliktu zbrojnego. Kissinger sądzi, że gdyby Ameryka i Rosja wprowadziły politykę konfrontacji — każda mała wojna stanowiłaby zagrożenie dla pokoju świata. Jeżeli więc — mówiąc obrazowo — ceną za pokój jest popieranie Breżniewa a nie Sołżenicyna — powyższą cenę należy zapłacić, ponieważ nie ma innej alternatywy, względnie alternatywa jest tak przerażająca, że nie można nawet brać jej pod uwagę.

W moim przekonaniu *détente* nie zmniejsza ani nie zwiększa prawdopodobieństwa wojny. Dopóki Ameryka posiadać będzie możliwość atomowego odwetu — wojna rosyjsko-amerykańska jest maksymalnie nieprawdopodobna bez względu na losy polityki „odprężenia”. Nie konferencje na szczycie i wspólne fotografie Breżniewa z Nixonem, ale amerykański arsenał atomowy gwarantuje pokój.

Prof. Zbigniew Brzeziński z Columbia University w artykule pt. „Deceptive Structure of Peace” (*Foreign Policy*, Nr 14/1974) — oraz w artykule w *The New Leader* (sierpień 1974) — podobnie jak autorzy znakomitej pracy pt. „Detente: An Evaluation” (*Survey* No. 2/3 1974) — wykazali ponad wszelką wątpliwość że polityka „odprężenia” sprowadza się do ratowania i podtrzymywania systemu sowieckiego. Sowiety nie muszą przeprowadzać żadnych reform czy liberalizacji, by unowocześnić swoją gospodarkę i swój model społeczny — ponieważ pomoc amerykańska sprawia, że stalinizm można utrzymywać bez reform, bez liberalizacji — w najczystszej totalitarnej formie.

Autorzy powyżej cytowanych prac przytaczają w tej sprawie dziesiątki przykładów. Z tej przerażającej galerii wybieram jeden, który wydaje się bardzo charakterystyczny.

Komputery, wysoko zaawansowana technologia elektroniczna — stanowią poważną bolączkę w systemie sowieckim. Liczne katastrofy wewnętrznych sowieckich linii lotniczych — zatajane przed opinią w Rosji i zagranicą — wskazują na prymitywizm komputerowej kontroli lotniczej. Lecz — jak wynika z informacji prof. Brzezińskiego — amerykański „Departament of Commerce” podjął wysiłki mające na celu unowocześnienie sowieckiego systemu kontroli sieci lotniczej. Amerykańskie komputery i technologiczny *know how* umożliwią Sowietom zorganizowanie sprawnie funkcjonującego „mostu lotniczego” powiedzmy na granicę chińską.

Jestem pewien, że polskiego Czytelnika — w przeciwieństwie do Amerykanów — nie ma powodu przekonywać, że *détente* jest polityką jednostronnych ustępstw ze strony Zachodu na rzecz Sowietów. Myślę natomiast, że dla polskiego Czytelnika interesująca może być próba odpowiedzi na pytanie dlaczego Amerykanie to robią?

Najczęściej spotykaną odpowiedzią na powyższe pytanie jest następująca: Amerykanie w większości są ignorantami w sprawach rosyjskich i dlatego ich politykę w stosunku do Sowietów jakże często cechuje naiwność. Coś w tym jest — niemniej termin „naiwny” nie pasuje do Kissingera. Doktor Henry Kissinger może mieć różne wady, ale naiwny na pewno nie jest.

Na krótko przed ustąpieniem z Białego Domu Nixon oświadczył, że „nie możemy mieszać się w wewnętrzne sprawy Sowietów (emigracja Żydów) — ponieważ nie chcielibyśmy, by ktokolwiek mieszał się w wewnętrzne sprawy Ameryki”.

Choć od zarania dziejów potężne państwa mieszały się zawsze w wewnętrzne sprawy państw słabszych — zasada nie-interferencji — choć powszechnie gwałcona — cieszy się międzynarodową *respectability*. Cały nasz problem z Rosją polegał i polega nadal na tym, że Rosjanie gwałcą powyższą zasadę w stosunku do nas.

Lecz najbardziej wzniosła zasada, która nie dopuszcza wyjątków — staje się niewykonalna, a często zgubna.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że w NRF pojawia się skrajnie prawicowy przywódca. Powstają paramilitarne organizacje, nowa partia umundurowana i zdyscyplinowana głosi totalizm i odwet, a demokracji w Niemczech grozi całkowita zagłada. Niemcy drą w strzepy wszystkie układy międzynarodowe i zbroją się atomowo.

Czy w powyżej naszkicowanej sytuacji należałoby wbrew niedawnym doświadczeniom historycznym trwać przy zasadzie „nie mieszanania się w wewnętrzne sprawy” europejskiego mocarstwa? Osobiście jestem przekonany, że zarówno Rosja jak i Ameryka, zarówno Francja jak i Anglia nie dopuściłyby do powstania nowego faszystowskiego reżymu w Niemczech. Niemcy mają prawo żyć w spokoju i wolności bez interferencji z zewnątrz, lecz nie mają prawa po raz trzeci podpalać świata.

W gruncie rzeczy nie ma powodu sięgać po przykłady hipotetyczne, można bowiem zilustrować problem przykładem realnym.

Nie jestem zwolennikiem teorii, która głosi, że pod każdym łóżkiem w Anglii czy we Francji ukrywa się szpieg sowiecki. Nie można jednak zaprzeczyć, że Sowiety starają się infiltrować wszystkie instytucje i organizacje na Zachodzie. Sowiety nie kryją przed nikim, że *détente* w ich rozumieniu nie osłabia, lecz przeciwnie zaostcza walkę klasową w skali światowej. Celem tej walki — co również nie jest tajemnicą — jest obalenie nie tylko kapitalizmu lecz również ustrojów mieszanych — ponieważ wszystko co nie jest sowieckim komunizmem jest formacją burżuazyjną, którą należy zlikwidować.

Nie wierzę, by ludzie typu Breżniewa czy Kosygina byli ideowcami. Nie wierzę, by ich postępowanie było motywowane służbą dla wyższej sprawy. Breżniew jest pragmatykiem i imperialistą, który identyfikuje interesy Sowietów z interesem Rosji. Po jednej stronie Rosja graniczy z wrogimi Chinami a po drugiej

stronie z Zachodem, którego historyczna tradycja i struktura stanowią antytezę sowietyzmu.

Kreml uważał, że miniaturowa liberalizacja Dubczeka zagraża Sowietom — a coś dopiero mówić o wielkich demokracjach Zachodu. Sowiety infiltrują zachodnie organizacje i instytucje, dostarczają broni grupom terrorystycznym — nie w imię rewolucyjnych haseł tylko w imię tej samej polityki w imię której zgnięti liberalizację Dubczeka. Zachód zagraża Rosji nie militarnie lecz jako antyteza sowietyzmu, jako główna i centralna wyłęgarnia wszystkich prądów i koncepcji wolnościowych, które zawsze i od początku stanowiły zagrożenie dla imperializmu rosyjskiego we wszystkich jego formach.

Sowiety realizując swoją politykę bezpieczeństwa usiłują nam narzucić sowietyzm. Sowietyzm nie polega wyłącznie na „dyktaturze proletariatu”, kołchozach, łagrach itp. Sowietyzm polega przede wszystkim na zdławieniu prawdy. Prawda stanowi istotę wolności. W Sowietach prawdą jest tylko to co za prawdę podaje Wielki Brat, wszystko inne jest fałszem. „Odręczenie” z Sowietami można osiągnąć tylko za częściową akceptację tej zasady. Politycy sowieccy i prasa sowiecka nigdy nie taili, że sabotują „odręczenie” ci, którzy bronią Sacharowa czy Sołżenicyna, którzy krytykują postępowanie władz sowieckich. Na to by kupić „odręczenie” z Sowietami nie musimy przekształcać naszych ustrojów na Zachodzie w systemy komunistyczne. Musimy natomiast przyjąć zasadę, że w sprawach imperialnej polityki Rosji prawdą jest tylko to co głosi Kreml. Przyjęcie tej postawy jest jedynym sprawdzianem życzliwego nastawienia w stosunku do Związku Sowieckiego.

Wydaje mi się, że Kissinger a przed nim Nixon — nie zdają sobie sprawy, że w ustroju demokratycznym nie jest rzeczą możliwą operowanie dwoma skalami oceny. Fakt, że 70 a może 80 % wykształconych Rosjan myśli inaczej niż Breżniew jest bez znaczenia — bo w Sowietach liczy się nie opinia społeczna tylko linia polityczna ustalana przez politbiuro. Lecz na Zachodzie liczy się przede wszystkim opinia społeczna — opinia wyborcy. Gdyby Nixon miał za sobą większość opinii społecznej urzędowałby do dziś w Białym Domu.

Powołam się jeszcze raz na Sołżenicyna, który symbolizuje cały problem. Z jednej strony mamy świeżo w pamięci liczne fotografie w prasie i filmy w telewizji przedstawiające Nixona i Breżniewa w kordialnym nastroju w Moskwie i w Camp David. Z drugiej strony pamiętamy szczerze, serdeczne, entuzjastyczne przyjęcie jakie zgotowały Sołżenicynowi prasa radio i telewizja zachodnia. W walce Breżniew kontra Sołżenicyn — nikt nie

mógł mieć najmniejszej wątpliwości po czyjej stronie opowiada się opinia społeczna na Zachodzie.

Gdyby Solżenicyn był tancerzem lub modernistycznym malarzem — sprawa miałaby inny charakter. Można by powiedzieć, że „król” wyrzucił niewygodnego „błazna”, jak to się wielokrotnie zdarzało na przestrzeni wieków. Lecz Solżenicyn stanął przed nami ze swym monumentalnym „Archipelagiem Gułag” jako analityk i oskarżyciel systemu sowieckiego — przy czym swój akt oskarżenia oparł na zachodniej i chrześcijańskiej skali moralnych wartości. Ironia sytuacji polega na tym, że Solżenicyn budując swe oskarżenie w oparciu o nasze normy wartości — dokonał tego, co my winniśmy byli dokonać zamiast fraternizować się z Breżniewem i uprawiać „odprężenie” za każdą cenę.

Pisałem już na tych łamach kilkakrotnie, że oba super-mocarstwa nie mają właściwie polityk wewnętrznych w staroświeckim tego słowa znaczeniu — ponieważ wszystko co dzieje się w Rosji czy w Ameryce dotyczy całego świata. Wszystko jest polityką wewnętrzną z polityką *détente* włącznie. Pozorne sukcesy, deklaracje, spotkania na szczycie — to wszystko ma sens pod warunkiem, że można ową *détente* zdyskontować na wewnętrznym rynku amerykańskim.

Polska prasa emigracyjna bilans zagranicznej polityki „ery Nixona” oceniła niemal entuzjastycznie. Jednak w mojej opinii poza albumem fotografii Nixona z Breżniewem — polityka amerykańska w stosunku do Sowietów nie może się poszczycić żadnym sukcesem. Wojnę w Wietnamie Amerykanie przegrali i ta przegrana zrodziła pragnienie pozornego sukcesu. Gdyby Amerykanie wojnę w Wietnamie wygrali, nie byłoby potrzeby *détente* — nie byłoby potrzeby tłumaczyć wyborcom w Ameryce, że sukcesy „personalnej dyplomacji” ważniejsze są od obiektywnych faktów. W całej południowo-wschodniej Azji Amerykanie są w odwrocie. Tak reklamowana „personalna dyplomacja” Kissingera na Środkowym Wschodzie nie uchroniła wolnego świata przed klęską spowodowaną arabską polityką naftową. Ani w Grecji ani na Cyprze Amerykanie — jak dotąd — nie mogą również pochwalić się żadnym osiągnięciem.

Wojnę w Wietnamie należało skończyć, ponieważ Amerykanie nie byli w stanie tej wojny wygrać, tym bardziej, że znaczny procent społeczeństwa amerykańskiego kwestionował moralne założenia i metody tej wojny. Nie należało jednak „personalnej dyplomacji” Kissingera przedstawiać jako namiastkę zwycięstwa.

Rosjanie rozbudowują swoje zbrojenia na lądzie, na morzach i w powietrzu — niemniej, zwolennicy „odprężenia” usiłują nas przekonać, że dzięki polityce *détente* nic nam nie zagraża.

Amerykanie usiłują wmówić w siebie, że tak jak „wygrali” w Wietnamie, podobnie — dzięki *détente* — nie mogą przegrać z Sowietami.

Kissinger wierzy, że można zachować pokój poprzez przedłużenie „równowagi sił” i dlatego nie należy pogarszać wewnętrznej sytuacji reżymu sowieckiego, ponieważ ów reżym — choć może nam być antypatyczny — stanowi podstawowy element systemu równowagi sił. Sołżenicyn i Sacharow (i wszystko co ci ludzie reprezentują) — nie stanowią elementu równowagi sił lecz przeciwnie, zagrażają równowadze sił i polityce *détente*.

W rzeczywistości jednak *balance of power* nigdy nie jest systemem tylko płynną i zmienną sytuacją. W obecnym okresie *balance of power* umożliwia Sowietom rozbudowę ich potencjału militarnego w klimacie politycznego i moralnego moratorium stworzonego przez *détente*.

Lecz zawsze jawi się super-kwestia: jaka jest alternatywa? Należy stwierdzić otwarcie, że nie ma przed nami dobrej alternatywy. Jednak polityka energicznego powstrzymywania imperializmu Sowietów oraz kategoryczna odmowa kompromisu w sprawach zasad, na których zbudowana jest nasza chrześcijańska cywilizacja — tego typu alternatywa wydaje mi się daleko bardziej godna miana *Realpolitik* niż „odprężenie”, które w gruncie rzeczy jest odgrzaną i zawsze katastrofalną polityką *appeasement*.

Kultura Nr 10/325 (1974)

KSIĘGI UGODY I DIASPORY ADAMA BROMKE

Polak średniego pokolenia z najnowszej fali emigracyjnej, który niedawno mnie odwiedził — wypowiedział następujący pogląd: „wszystko co pan pisze o demokratycznym socjalizmie i demokracji w ogóle jest rzucaniem grochu o ścianę. Gdyby Polska odzyskała niepodległość, dyktaturę komunistyczną bardzo szybko zastąpiłaby dyktatura nacjonalistyczna. Komunistów zastąpiliby neo-endecy w sojuszu z Kościołem. W sumie, Polska niepodległa byłaby równie odległa od demokracji jak i dzisiejsza Polska Ludowa”.

Choć nie podzielam beznadziejnego pesymizmu mojego rozmówcy — w pełni doceniam niebezpieczeństwo, o którym mówił. Lecz właśnie dlatego, że droga do demokracji w Polsce jest żmudna, trudna i niemal beznadziejna — demokraci polscy muszą przekonywać, pisać, walczyć i nie mogą nigdy zrezygnować.

To samo dotyczy niepodległości. Polska utraciłaby niepodległość definitywnie tylko wówczas, gdyby większość Polaków zrezygnowała z niepodległości.

Ugodowcy i kolaboranci wszystkich czasów i epok — głosili zawsze, że to co jest pożądane, lecz w danej sytuacji niemożliwe jest tym samym nierealne. Jak wiadomo tylko rzecz realna może stanowić przedmiot politycznej analizy a w dalszej konsekwencji treść politycznego programu i działania.

Ja również uważam, że polityk, który bierze rozbrat z realizmem przestaje być politykiem.

Oceniając realizm danego programu politycznego trzeba rozróżnić pomiędzy postulatami, które formułują rzeczy pożądane a postulatami, które dotyczą rzeczy koniecznych i niezbędnych. Weźmy przykład. Przed wojną istniała w Polsce „Liga Morska i Kolonialna”. Pewni politycy uważali, że byłoby rzeczą pożądaną,

gdyby Polska posiadała jakieś kolonie. Lecz nikt w Polsce nie był gotów walczyć i ryzykować życia dla kolonii, jakkolwiek byłyby pożądane. Natomiast dostęp Polski do morza uważaliśmy wszyscy za konieczność i naród gotów był bronić skrawka polskiego wybrzeża do upadłego.

Kategoria realizmu jest kategorią zmienną. Niepodległość Polski w roku 1910 była propozycją nierealną a zaledwie w 8 lat później stała się propozycją realną. Natomiast postulaty polityczne, których osiągnięcie naród uważa za konieczne i niezbędne — w treści swej nie podlegają fluktuacjom koniunkturalnym i dlatego w gruncie rzeczy są bardziej trwałe a tym samym bardziej realne niż polityka ugodowa czy kolaboracyjna, która jest formacją zrodzoną przez koniunkturę.

Prof. Bromke jako historyk powinien wiedzieć, że na dalszą metę realistami są zawsze ci, którzy walczą o postulaty niezbędne i oczywiste w swej słuszności — a nie ci, którzy zdradzają to co nieodzowne i konieczne dla polityki akomodacji z tym, co w danym momencie jest realne choć krzywdzące i niesłuszne.

Trzeba natomiast być pewnym w ocenie czy dany postulat jest tylko pożądany czy konieczny i oczywisty w swej słuszności. Ponieważ pierwsi działacze związków zawodowych byli absolutnie pewni konieczności i słuszności swych postulatów — Historia potwierdziła nie tych, którzy pionierów związków zawodowych wysyłali do karnych kolonii — ale potwierdziła ideę ruchu związkowego.

Postulat niepodległości Polski przestałby być realny tylko wówczas, gdyby większość Polaków myślała podobnie jak prof. Bromke — to znaczy, że nie należy obecnej „szerokiej autonomii” narażać na niebezpieczeństwo obstawianiem przy postulatach niezbędnych i oczywistych w swej słuszności — choć w obecnym momencie nierealnych.

Na marginesie należy zaznaczyć, że autonomia dotyczy tylko komunistycznych menadżerów. Lecz nawet gdyby autonomia przyznana polskim komunistom była istotnie szeroka — to autonomia ta nie dotyczy znakomitej większości narodu polskiego. Dziesiątki milionów Polaków, którzy komunistami nie są i nie należą do partii — żyją w totalistycznym, narzuconym siłą ustroju i mówienie o „szerokiej autonomii” w stosunku do nich zakrawa na kpiny.

Bromke jest ewolucjonistą i uważa, że w klimacie pokoju i odprężenia nastąpią w Sowietach ewolucyjne zmiany, wiodące do stopniowej demokratyzacji ustroju. Ja również jestem ewolucjonistą a nie kontrrewolucjonistą. Kontrrewolucja implikuje nie tylko obalenie tego co jest, lecz również przywrócenie tego

co było. Z tych przyczyn nie mógłbym być kontrrewolucjonistą ponieważ jestem przekonany, że ani w Rosji ani w Polsce nie należy przywracać tego co było.

W mojej książce pt. „Ewolucjonizm” wydanej przez *Kulturę* w roku 1964 — sformułowałem teorię ewolucjonizmu, którą można streścić w jednym zdaniu: w krajach Europy Wschodniej należy popierać tych, którzy dążą do demokratyzacji ustroju i należy zwalczać tych, którzy owym prądom się przeciwstawiają. *Kultura* w tej dziedzinie działała z wielką konsekwencją. Popieraliśmy powstańców węgierskich, udzieliliśmy kredytu nawet Gomułce dopóki ukazywało się *Po Prostu* i działał „Klub Krzywego Koła”. Popieraliśmy Dubczeka i „Wiosnę Praską” a obecnie nawiązaliśmy przyjazne stosunki z dysydentami rosyjskimi. Pewien wybitny pisarz polski wyraził pogląd, że Polacy nie potrzebują „Samizdatu”, ponieważ mają paryską *Kulturę*.

Program i polityka wydawnicza Instytutu Literackiego zmierzają do podtrzymywania w Polsce i w innych krajach satelickich — intelektualnego oporu i cokolwiek powie o nas kiedyś Historia — zespołowi *Kultury* nikt nie postawi zarzutu „zdrady klerków”.

Kto jeżeli nie intelektualiści winni dziś bronić racjonalizmu i prawdy? Wydawałoby się, że zakończyła się definitywnie epoka „Boga, który zawiódł” a zbiorowa książka pod tym tytułem była dowodem odnowionej lojalności intelektualistów w stosunku do racjonalizmu i prawdy.

Ewolucjonizm, który reprezentuje prof. Bromke stanowi odwrótność polityki *Kultury*. W jego opinii — mówiąc obrazowo — należy współpracować nie z buntującymi się więźniami lecz z klucznikiem więzienia — w nadziei, że klucznik gdy przekona się, że wszystkie iskry buntu wygasły, może złagodzi reżym więzienny. Gdy więźniowie zaakceptują fakt, że myśl o ucieczce jest absurdem, że wolność nie mieści się w ramach *Realpolitik*, że więzienie jest strukturą, która nie tylko trwa ale przetrwa — wówczas dojrzeją do „liberalizacji”. Klucznik nikogo nie będzie musiał bić pałką po głowie ani nikogo zamykać, bo więźniowie sami, z własnej woli, zamykać się będą w własnych celach.

Galicja przed pierwszą wojną światową posiadała daleko większą autonomię niż PRL. Kwitła literatura, malarstwo, działalność naukowa na uniwersytetach. W dzisiejszym Krakowie nie mógłby się ukazywać *Czas* ani liczne pisma literackie z okresu Młodej Polski. W owym okresie krakowska szkoła historyczna na Uniwersytecie Jagiellońskim dokonała krytycznej analizy złożonych przyczyn upadku pierwszej Rzeczypospolitej.

Obecnie w „autonomicznej” Polsce Ludowej kontrolowana

i cenzurowana jest nie tylko prasa lecz również działalność naukowa. Dotyczy to przede wszystkim humanistyki a więc filozofii, historii, historii literatury i socjologii.

Jest oczywistym obowiązkiem intelektualistów polskich żyjących za granicą — bronić prawdy. Ci intelektualiści — zwłaszcza uprawiający tzw. literaturę piękną — którzy zaśłaniają się sloganem, że literatura, krytyka literacka i historia literatury nie mają nic wspólnego z polityką — nie tylko zdradzają swych kolegów w Kraju i własne powołanie — lecz oddają się złudzeniom, że można dokonać czegoś wartościowego milcząc w podstawowych sprawach.

Nikt nie wymaga od pisarzy i intelektualistów emigracyjnych by zarzucili sobie na ramiona płaszcze wieszczów i pisarzy polskich z XIX-go wieku. Owe płaszcze okazałyby się na nich mocno za duże. Nikt nie wymaga, by obejmowali „rząd dusz” lub by stali się „sumieniem narodu”. Chodzi nie o rozszczipianie włosa na troje, lecz o konkretne i bezsporne fakty. Chodzi o to by emigracyjni intelektualiści nie fraternizowali się na zjazdach i konferencjach z tymi, którzy fałszują historię — lecz przeciwnie, by piętnowali fałszerzy i prostowali fałszerstwa — nie tylko w Historii lecz we wszystkich dziedzinach zsovietyzowanej polskiej rzeczywistości.

Kolaborant w Kraju może się zawsze powołać na odwieczną kwestię: jednostka versus totalne policyjne państwo. Lecz intelektualista polski osiadły na Zachodzie, kupujący za swoje milczenie zaproszenie na konferencję naukową, zjazdy, pochlebne wzmianki w prasie krajowej — nie ma niczego na swoje usprawiedliwienie.

Nie możemy oburzać się, że brytyjscy czy amerykańscy intelektualiści często tchórzliwie milczą gdy w Sowietach zamyka się pisarzy w szpitalach dla obłąkanych czy wysyła do łagrów — jeżeli my milcząco akceptujemy sowietyzm w naszym własnym kraju. Owym milczeniem umacniamy narody Zachodu w pogardliwym przekonaniu, że sowiecki totalizm nie byłby dobry dla Francuzów czy Brytyjczyków ale dla Polaków wystarczy.

Uważam za możliwe na daleką metę — ewolucyjne zdemokratyzowanie ustroju w państwach satelickich, jeżeli spełnione będą pewne podstawowe warunki. Opór przeciwko totalizmowi musi wzrastać a nie maleć — ci którzy w Kraju protestują muszą wiedzieć, że nie są izolowani, muszą wiedzieć, że popierają ich Polacy w wolnym świecie.

Nikt w dziejach nie obalił dyktatury popierając tych, którzy z dyktaturą współpracują. Jest jasne i oczywiste ponad wszelką wątpliwość że pragnąc przekształcić i zdemokratyzować ustrój totalny — trzeba popierać tych, którzy dyktaturę zwalczają.

Natomiast prof. Bromke chciałby emigrację polityczną przekształcić w zagraniczną ekspozyturę PAX'u. Zachowalibyśmy układny katolicyzm i układny patriotyzm wyzbywając się równocześnie wszelkiej myśli o proteście. To jest droga do Polski „urlopowej”, do Polski zjazdów i kongresów ale nie jest to droga ani do Polski wolnej ani demokratycznej.

W okresie tzw. „wiosny w październiku” odwiedziło mnie wielu członków partii. „Wiosna” upadła, niemniej jest wielu członków partii, którzy pragnęliby zmian. Pracuję od 26 lat dla *Kultury*. W okresie tego ćwierć wieku odwiedziło mnie setki osób z Kraju w tym, powtarzam, również i partyjni komuniści. Przez owe 26 lat nie spotkałem nigdy — podkreślam — nigdy — Polaka, komunisty czy nie komunisty, paxowca czy nie paxowca — który by usiłował przekonać mnie, że *Kultura* powinna wstąpić na drogę, którą sugeruje prof. Bromke.

Prof. Bromke na pewno się oburzy — stwierdzam jednak z całym przekonaniem, że w Polsce nikt z nim nie mówił szczerze. Pomijając notoryczny fakt, że w Kraju wszystkie ściany mają uszy — nikt, nawet komunista, nie może mówić szczerze z ugodowcem z Sowietami za wszelką cenę. Większość szeregowych członków partii i znaczny procent komunistów w administracji potajemnie nienawidzi Sowietów. Znakomita większość intelektualistów krajowych w cichości ducha nienawidzi „Wielkiego Brata”. Ci ludzie nie będą mówili szczerze z prof. Bromke.

Jest jasne, że miliony Polaków zagranicznych nie mogą być co do jednego ludźmi politycznie i ideologicznie zaangażowanymi. Dziesięć lat temu wysunęliśmy tezę, że Kraju nie powinni odwiedzać intelektualiści, pisarze, politycy — którzy stanowią mniej niż jeden procent wielomilionowej masy Polaków zamieszkałych za granicą. Lecz reżymowi zależy przede wszystkim na tym jednym czy nawet pół procencie Polaków zagranicznych, którzy oddziaływują na opinię emigracyjną. O ileż większym sukcesem dla reżymu warszawskiego byłoby zjednać sobie przychylność czterech czy pięciu ludzi, którzy produkują paryską *Kulturę* niż sprowadzić kilkuset sportowców polonijnych na igrzyska w Krakowie.

Wielokrotnie studenci z Kraju na wakacjach w Anglii zdumiewali mnie intensywnością pasji i pogardy z jaką wyrażali się o Polakach zagranicznych, idących na lep propagandy reżymowej. Owi studenci nie mogą pojąć, że ci, którzy korzystają z wolności i mogą protestować — nie protestują i biorą udział w zjazdach i galówkach w Kraju, organizowanych przez reżym, który więzi przywódców „Ruchu”. Benedykt Czuma nie jest Sołżenicynem lecz w ostatnim słowie oskarżonego wypowiedział odważnie

prawdę, którą znakomita większość Polaków czuje i uważa za prawdę, choć tylko najdzielniejsi i nieliczni zdobywają się na odwagę by głośno ją wypowiedzieć. Czuma nie stanowi wyjątku.

Ilu jest w Kraju uczciwie myślących ludzi, którzy mają na utrzymaniu rodziny — wiedząc, że jedynym pracodawcą w PRL jest państwo. Tacy ludzie nie mogą imiennie protestować na łamach *Kultury*. Z jaką pogardą muszą jednak odnosić się do tych Polaków zagranicznych, którzy — choć jawny protest niczym by im nie zagrażał — wolą milczeć, by nie utracić zaproszenia na taki czy inny zjazd w Warszawie i mieć zapewnioną wizę na urlop w Polsce w przyszłym roku.

Ubiegłego lata odbyły się w Krakowie polonijne igrzyska sportowe. Ryzykuję pogląd, że żaden z polonijnych sportowców nigdy w życiu nie słyszał o Czumie czy o procesie „Ruchu”. Ci polonijni młodzieńcy, dzięki swej politycznej naiwności — rzucając na boisku w Krakowie dyskiem czy oszczepem nie zawierali żadnego hańbiącego kompromisu. Lecz inną miarą musimy oceniać postępowanie takich Polaków jak prof. Bromke. Ci ludzie, znakomicie wykształceni, nie mogą zasłaniać się ignorancją czy naiwnością. Ci panowie swoją prywatną normalizację z reżymem PRL — kupują za cenę kompromisu, którego treścią jest akceptacja faktu jawnego gwałcenia w PRL podstawowych praw człowieka i obywatela. Milczą — choć protest nie oznaczałby dla nich więzienia jak dla Czumy. Musieliby tylko zrezygnować z wyjazdu do Polski i z wątpliwego zaszczytu uściskania ręki p. Rakowskiego.



Prof. Bromke w swoich artykułach reprezentuje nie tylko swój osobisty punkt widzenia, lecz również obóz neo-dmowszczyków, którzy polityczne nauki Romana Dmowskiego starają się zastosować do całkowicie nowej sytuacji. Wątpię czy Dmowski zażyrowałby artykuły Bromkego, lecz nieżyjących przywódców i pisarzy politycznych można zawsze interpretować dowolnie — bo wiadomo, że niczemu nie zaprzeczają.

Bromke wychodzi z założenia, że *status quo* w Europie Wschodniej jest konstrukcją trwałą — to znaczy, że w wymiarze ludzkiej polityki trwać będzie bez większych zmian przez następne stulecia. Ukraińcy, Litwini i Białorusini — są według Bromkego już dziś w znacznym procencie zrusyfikowani a za 50 czy 100 lat rozplyną się bez reszty w morzu rosyjskim.

Polska w takiej sytuacji liczyć może tylko na pewną autonomię, która będzie tym szersza im Rosjanie będą nas pewniejsi. Jeżeli przestaniemy mówić o wolności słowa, o demokracji,

o niezależnych związkach zawodowych — jeżeli przestaniemy popierać dysydentów rosyjskich — to zaufanie Rosjan do nas powoli zacznie wzrastać, co z czasem znajdzie swój wyraz w poszerzeniu autonomii PRL w obrębie bloku sowieckiego.

Tę samą filozofię według Bromkego należy stosować w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej Polski. Jeżeli władze PRL nie będą się czuły zagrożone przez ruchy dysydenckie, przez akcje antykomunistyczne wspierane przez polskie wolnościowe ośrodki na Zachodzie — jeżeli antykomunizm zlikwidujemy i zastąpimy go polityką lojalnej opozycji — wówczas powstanie klimat sprzyjający ogólnej liberalizacji ustroju.

Mówiąc obrazowo krokodyla nie należy bić drągiem po głowie, bo takie postępowanie musi go rozdrażniać i tym samym czyni go bardziej niebezpiecznym. Z krokodylem należy obchodzić się łagodnie a przede wszystkim należy go obficie karmić. Wówczas krokodyl utyje, utraci ruchliwość a tym samym stanie się mniej agresywny.

W stosunku do krokodyla byłaby to mądra polityka, ponieważ zwierzęta drapieżne atakują tylko wówczas kiedy są głodne. Lecz powyższy przykład nie może stanowić analogii w odniesieniu do stosunków międzyludzkich. Totalizmu — co tak subtelnie zanalizował Orwell — nie można nasycić. Uległość wobec totalizmu jest równią pochyłą, która dosłownie nie ma końca.

Prof. Bromke jako historyk musi przyznać, że demokratyzacja i liberalizacja w dziedzinie ustroju społecznego — były zawsze wywalczane przez opozycjonistów — nigdy przez konserwatystów czy lojalistów.

W ustrojach demokratycznych — jak w Anglii czy we Francji — możliwa jest koncepcja lojalnej opozycji, ponieważ opozycja posiada realną szansę w następnych wyborach zdobycia większości w parlamencie.

W ustrojach totalnych jak w PRL — nie ma miejsca na lojalną opozycję, ponieważ opozycja tolerowana jest tylko wówczas gdy kolaboruje z reżymem i akceptuje ustrój, który przekreśla jej wszelkie aspiracje i nadzieje. Polska jest narodowa i w 80-ciu procentach katolicka, lecz żadna partia narodowo-katolicka nie miałaby możliwości zdobycia większości w sejmie PRL.

Problem jest w gruncie rzeczy jasny i prosty — trzeba mieć tylko uczciwą odwagę wyciągnięcia z niego logicznych konsekwencji.

W Anglii wystarczy nie być konserwatystą — nie ma potrzeby być antykonserwatystą czy antysocjalistą. W odniesieniu do totalizmu nie wystarczy nie być totalistą. Trzeba być antytota-

listą. Podobnie nie wystarczy nie być komunistą. Trzeba być antykomunistą, ponieważ komunizm jest totalizmem, który demokraci winni bezkompromisowo zwalczać. Zwalczamy komunizm nie dlatego, że jest komunizmem. Zwalczamy komunizm tylko dlatego, że jest totalizmem. Gdyby komunizm przestał być ustrojem totalitarnym autor tych słów przestałby być antykomunistą.

Każdy ma prawo do takiej czy innej filozofii społecznej i komuniści mają identyczne prawo w tej dziedzinie, jak wszystkie inne ugrupowania polityczne. Nikt jednak nie ma prawa do totalizmu, ponieważ totalizm jest gwałtem zadany społeczeństwu. Nikt nie ma i nie może mieć licencji do obrabowywania społeczeństwa z podstawowego prawa do parlamentarnej reprezentacji, wyłonionej w prawdziwych i wolnych wyborach. Totalizm nie jest ustrojem społecznym tylko bezprawiem. Źródłem wszelkiego prawa i praworządności jest wola społeczeństwa wyrażona w swobodnych wyborach i z tej przyczyny sowietyzm czyli wschodni totalizm stanowi dokładną odwrotność praworządności i demokracji.

To wszystko prawda — powie prof. Bromke i jego zwolennicy — ale trzeba jakoś żyć i zaadaptować się do sytuacji, która w Polsce istnieje i trwać będzie 100 a może 200 lat. W tym punkcie dochodzimy do sedna tych rozważań. Prof. Bromke sprowadza społeczeństwo w Kraju i emigrację do wspólnego mianownika. Choć Polacy mieszkający nad Wisłą i Polacy zagraniczni należą do tego samego narodu, cele nasze są różne i nasze możliwości są różne. Prof. Bromke stwierdza, że komunizm Polsce został narzucony z zewnątrz i większość Polaków w Kraju nie pragnęła tego ustroju. Niemniej choć nikt nie musi w Polsce należeć do partii — nikt nie może być aktywnym antykomunistą. Tak w tej jak i w wielu innych dziedzinach sytuacja jest absurdalna. 80 % a może więcej nie chce komunizmu, lecz równocześnie antykomunizm jest uznawany za zbrodnię przeciwko państwu.

Rola Polaków krajowych wynikająca z ich sytuacji jest całkowicie różna od roli jaka przypada Polakom zagranicznym. Musimy być w bezkompromisowej opozycji do narzuconego Polsce ustroju jeżeli nie chcemy zdradzić milionów Polaków w Polsce, którzy byłiby w aktywnej opozycji do komunizmu gdyby mieli po temu możliwości. Zwłaszcza na intelektualistach emigracyjnych ciąży oczywisty podwójny obowiązek.

Po pierwsze, żadnemu intelektualście nie wolno braku swego zaangażowania usprawiedliwiać apolitycznością swego zawodu. Komunizm jest totalną wiarą i albo się jest za nią albo przeciwko niej. Ci, którzy usprawiedliwiają brak swego zaangażowania fak-

tem, że interesuje ich tylko Szekspir albo dziewiętnastowieczne malarstwo — nie występując czynnie przeciwko komunizmowi *de facto* biernie go wspomagają.

Intelektualistów odstrasza od antykomunizmu jego płaska propagandowość. Ale jest w znacznej mierze winą intelektualistów, że walkę z komunizmem pozostawiają grafomanom i zawodowym propagandystom.

Drugim naczelnym obowiązkiem intelektualistów emigracyjnych jest walka o przywrócenie sensu słowom. Zwracał na to uwagę Kołakowski i ja na ten problem wielokrotnie zwracałem uwagę jako tłumacz Orwella. Podkreślałem, że komuniści realizują orwellowską ideę *newspeak*'u — nadając słowom odwrotne znaczenie od ich pierwotnej treści. Bierut w czasie najczarniejszego stalinizmu mawiał: „powiedz mi jaki jest twój stosunek do Związku Sowieckiego a powiem ci czy jesteś dobrym patriotą”. Czyż to nie była pełna realizacja hasła z „Roku 1984”? „Wolność jest Niewolnictwem”?

Wiemy, że „księża patrioci” stanowią odwrotność księży patriotów, wiemy, że „demokracja ludowa” stanowi odwrotność demokracji itd., itp.

Język określa świadomość. Semantyczną inżynierią można zdziałać bardzo wiele. Można wychować pokolenia, które będą przypisywały inną niż my znaczeniową treść takim słowom jak „socjalizm”, „demokracja”, „patriotyzm” czy „wolność”.

Wszystkie słowniki i encyklopedie wydawane w PRL roją się od wynaturzeń treści znaczeniowej słów i terminów i stanowią pomnik dla geniuszu Orwella. W dziedzinie językowej komuniści dosłownie skopowali ponurą wizję „Roku 1984”. „Totalitarna gramatyka”, wynaturzająca sens słów, czyni parodię z prasy i wszystkich środków masowego przekazu, uniemożliwia poważne i rzetelne uprawianie nauk humanistycznych i zmierza do wykorzenienia prawdy i zastąpienia jej polityczną „wartością użytkową”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że z tych problemów daleko lepiej zdają sobie sprawę Polacy z nowej fali emigracyjnej niż emigranci, którzy opuścili kraj po roku 1939.

Nie wszyscy mogą i nie wszyscy muszą być zaangażowani. Nie ma powodu by polski dentysta, rolnik czy chemik nie wysyłał swoich dzieci na wakacje do Kraju — tak jak nie ma powodu by emigracyjny architekt czy aptekarz rozdierał szaty na wszystkich patriotycznych akademiach.

Jest natomiast rzeczą istotną, by ludzie, którzy z racji swego zawodu i powołania winni być zaangażowani — byli zaangażo-

wani. Do tej kategorii emigrantów należy zaliczyć humanistów a więc pisarzy, historyków, socjologów itp. Ci ludzie bowiem znajdują się w pierwszej linii frontu w walce z sowietyzmem. Jeżeli szukają kompromisów z grabarzami własnych dyscyplin — zdradzają rzetelną historię, rzetelną literaturę, rzetelną socjologię — inaczej mówiąc, zdradzają swoje własne powołanie. Nie łudźmy się — sowietyzmu nie robi Breżniew i Gierek czy KGB i Bezpieka. Sowietyzm rozbudowują i podtrzymują intelektualści w służbie tych panów. Więzienie intelektualistów zbudowane jest w znacznej mierze rękami intelektualistów, którzy totalistom i biurokratom dostarczają ideologicznych i filozoficznych uzasadnień.

W moich artykułach ogłaszanych w *Kulturze* starałem się przedstawić argumenty przeciwko koncepcji neo-dmowszczyzny. W tym miejscu chciałbym podkreślić jeszcze jeden szczegół. Założenie, że od komunistycznej Rosji można wytargować dla Polski niepodległość jest nonsensem. Prof. Bromke zdaje sobie z tego sprawę i dlatego akceptuje „autonomię”. Neo-dmowszczyzy” mają oczywiście prawo do tego typu poglądów. Naród w niewoli musi mieć garnitur polityków-ugodowców gdyż lepiej jest by Polską rządził Gierek niż sowiecki gubernator. Lepiej jest by Polską rządzili Polacy zależni od Moskwy niż Rosjanie przysłani z Moskwy.

Narody w niewoli grają zawsze na dwóch fortepianach — mają zarówno ugodowców jak niepodległościowców. Ugodowcy spełniają swoje zadanie w perspektywie narodowej, jeżeli współpracy z zaborcą nie traktują za drabinę do osobistej kariery lecz starają się uratować to, co jest do uratowania i rozbudować to, co jest do rozbudowania.

Politykę ugodową można realizować tylko w Kraju i jeżeli ktoś uważa, że w okresie najbliższych dziesięcioleci wyłącznie na tej drodze można służyć Polsce — powinien wrócić do Kraju.

Ugodowcy mają prawo do swoich poglądów i nie wszyscy ugodowcy będą potępieni przez Historię. Natomiast ugodowcy nie mają prawa przedstawiania swojej polityki jako jednego z programów polityki niepodległościowej. Fakt, że wszyscy ugodowcy powołują się na suwerenność i niepodległość — dowodzi, że każdy polski polityk czuje w swoich kościach, że znakomita większość narodu polskiego pragnie niepodległości a nie „autonomii”. W Kraju wszyscy widzą, że Gierek nie prowadzi polityki niepodległościowej. Trzeba również obiektywnie stwierdzić, że Gierek i jego ekipa rządząca nie są ewolucjonistami i nie głoszą, że ich celem jest odzyskanie w sposób pokojowy niepodległości i wskrzeszenie ustroju parlamentarnej demokracji. Gierek i jego

aparatu prowadzą klasyczną politykę ugody z zaborcą i nie starają się tego faktu ukrywać.

Natomiast prof. Bromke politykę ugody stara się zaprezentować w niepodległościowym opakowaniu. Dmowski był niepodległościowcem i żaden rzecznik ugody i zwolennik „autonomii” nie ma prawa powoływać się na Dmowskiego.

Z doktryny „gry na dwóch fortepianach” wynika jasno, że emigracja winna głosić i reprezentować postulaty, których w Kraju ani reprezentować ani głosić nie wolno. Polityka „gry na dwóch fortepianach” nie ma nic wspólnego z siedzeniem na dwóch krzesłach. Niepodległościowcy na emigracji nie mogą mieć nic wspólnego z reżymową polityką ugody — winni natomiast mówić głośno i dobitnie w imieniu dziesiątków milionów Polaków w Kraju, którzy pragną przywrócenia Polsce pełnego prawa do samostanowienia.

Prof. Bromke pociesza się, że do dwudziestu lat wszystko na emigracji zmieni się po jego myśli. Nie będzie politycznej emigracji tylko polska „diaspora” współpracująca grzecznie z reżymem komunistycznym w Polsce.

Casus prof. Bromkego stanowi jaskrawe zaprzeczenie powyższej teorii. Polityka ugody i „diaspory” nie wyszła z nowej fali emigracyjnej tylko od profesora Bromke, który należy do pierwszej fali emigracyjnej. Ugodowców i zwolenników „diaspory” można znaleźć daleko więcej wśród Polaków pierwszej fali emigracyjnej niż wśród Polaków należących do najnowszej emigracji. I to jest zrozumiałe. Starzy emigranci znają Polskę Ludową tylko z książek i z prasy, albo z krótkich urlopów. Natomiast nowi emigranci znają Polskę komunistyczną z wieloletniego osobistego doświadczenia. Postawa ich w znakomitej większości jest nieprzejednana — ponieważ ci ludzie poznali dokładnie i na własnej skórze jak wygląda ustrój współczesnej Polski.

Sytuacja kształtuje się odwrotnie niż przedstawia to prof. Bromke. Z każdym miesiącem rośnie nowa emigracja, która — choć w wielu sprawach różni się od nas — jest bezkompromisowo wolnościowa i demokratyczna. Ci ludzie w przytłaczającym procencie — w przeciwieństwie do prof. Bromke — spalili za sobą wszystkie mosty i nawet „Polska urlopowa” jest dla nich niedostępna. W rzeczywistości, emigracja polityczna nie tyle się kończy, ile się zaczyna.

Każdy ustrój totalistyczny — prawicowy czy lewicowy — produkuje emigrację polityczną i to jest prawo socjologiczne, od którego nie ma wyjątku. Polacy mojego pokolenia są emigracją żołnierską i niepodległościową. Klasycznymi emigrantami politycznymi są natomiast ci, którzy będąc obywatelami PRL

wybrali wolność, dlatego jest czystym nonsensem mówienie o wymieraniu emigracji politycznej. Emigracja polityczna stale rośnie — wymiera natomiast stara emigracja żołnierska związana nie z PRL tylko z Drugą Rzeczpospolitą.

Emigracja polityczna dobiegnie kresu gdy wygaśnie na nią „zamówienie społeczne”. Gdy Polska odzyska prawo do samostanowienia — gdy w Kraju będziemy mieli ustrój oparty o zasady demokratyczne — wówczas nikt nie będzie wybierał wolności, ponieważ wolności będzie pod dostatkiem nad Wisłą. Oczywiście Polacy i wtedy będą emigrowali — na studia lub w nadziei wyższego zarobku. Lecz to nie będzie emigracja polityczna — tak jak nie są politycznymi emigrantami Brytyjczycy emigrujący do Kanady czy Stanów Zjednoczonych.

Profesor Bromke jest historykiem lecz nie ma wyrobienia politycznego i dlatego naiwnie wierzy, że kilkoma artykułami można anulować autentyczne zamówienie społeczne.

Kultura bez przerwy ukazuje się 27 lat — dlatego, że spełnia zamówienie społeczne na pismo opozycyjne, które w Kraju nie może się ukazywać. Periodyk polityczno-społeczny może czasem błędzić — może czasem być kontrowersyjny — lecz jeżeli pragnie utrzymać się na powierzchni przez przeszło ćwierć wieku — musi odpowiadać realnej potrzebie.

Przez ubiegłe ćwierć stulecia redakcja *Kultury* otrzymała tysiące listów i rozmawiała z tysiącami osób. Przez specjalnych wysłanników, przez ankiety i szeroko rozbudowaną sieć kontaktów — badaliśmy i badamy opinię społeczną tak w Kraju jak i na emigracji. Mamy doświadczenie i organizacje, które umożliwiają nam trafniej i prawdziwiej niż prof. Bromke — odpowiedzieć na pytanie czego większość Polaków pragnie, a czego nie pragnie.

Na zakończenie należy stwierdzić co następuje. Niniejszy artykuł nie jest otwarciem dyskusji lecz jej zakończeniem. Profesor Bromke swoją działalnością i publikacjami wyłączył się z wolnościowego i niepodległościowego nurtu emigracji i tym samym opuścił krąg ludzi, którym udzielamy gościny na łamach *Kultury*.

Kultura Nr 11/326 (1974)

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Komu należy ufać — czy lekarzowi, który ma za sobą pół wieku praktyki — czy jego młodszemu koledze, który ma za sobą tylko dziesięć lat doświadczenia?

W takiej sytuacji wybrałbym lekarza z dziesięcioletnim doświadczeniem. Pół-wiekowa praktyka lekarska nie może zrównoważyć faktu, że stary lekarz o którym mówimy — ukończył medycynę w pre-historycznych czasach.

Gdy nie było nauki w nowoczesnym tych słów znaczeniu — doświadczenie i praktyka była głównym źródłem wiedzy w każdej dziedzinie. W owych czasach ludzie starzy cieszyli się wielkim autorytetem. Znali bowiem, lepiej niż młodzi, tradycję przekazywaną z pokolenia na pokolenie oraz dysponowali doświadczeniem, którego nie można inaczej zdobyć tylko poprzez długie życie.

Dziś to wszystko wygląda inaczej. Astronauta nie musi mieć doświadczenia — musi natomiast mieć dobrą znajomość najnowszych osiągnięć technologicznych w dziedzinach astronautyki, astrofizyki itd.

To jest przykład skrajny. Lecz niewątpliwie, ponieważ żyjemy w epoce przełomowych odkryć w naukach ścisłych oraz w okresie przełomowych przemian gospodarczo-społecznych, gruntowna znajomość wiedzy najnowszej, aktualnej — góruje nad doświadczeniem, które siłą faktu zdobyte na przestrzeni ubiegłych 30-tu czy 40-tu lat reprezentuje wiedzę i praktykę sprzed rewolucji technologicznej.

Powszechny „trend” do odmładzania zespołów kierowniczych, politycznych, gospodarczych, wojskowych itp. — jest naturalną konsekwencją powyższego zjawiska.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że starcy w naszych czasach utracili całkowicie swoje znaczenie. Nie ujmując niczego astronautom i młodym ludziom w ogólności — należy stwierdzić,

że na naszym globie w chwili obecnej żyje dwóch bardzo starych panów, których śmierć może się okazać wydarzeniem znacznie bardziej doniosłym niż wszystkie lądowania na księżycu. Mam na myśli dwóch panów po 80-tce a mianowicie prezydenta Tito i prezesa Mao Tse-tunga.

Agencja Reutera potwierdziła (w dniu 18. 9. br.) — o czym rozpisywali się korespondenci prasy zachodniej przez wiele tygodni, że Sowiety, Węgry i Czechosłowacja udzieliły czynnego poparcia stalinowcom jugosłowiańskim, którzy zmierzali do utworzenia pro-sowieckiej partii komunistycznej. Pierwszym sekretarzem podziemnej sowieckiej partii jugosłowiańskiej został Dr Mileta Perowicz stale zamieszkały w... Kijowie. W chwili gdy nad Adriatykiem odbywał się tajny zjazd sowieckiej partii jugosłowiańskiej — wzdłuż granicy węgiersko-jugosłowiańskiej odbywały się manewry jednostek wojskowych sowieckich, węgierskich i czechosłowackich.

Władze jugosłowiańskie aresztowały około 50 osób i złożyły oficjalny protest w ambasadach sowieckiej, węgierskiej i czechosłowackiej.

Nie mam zamiaru analizować wszystkich doniesień o działalności KGB w Jugosławii, chciałbym natomiast zwrócić uwagę Czytelnika na charakterystyczny szczegół. Z przejętych przez tajną policję jugosłowiańską materiałów wynika, że stalinowska jugosłowiańska partia komunistyczna uważa Ligę Komunistów Jugosłowiańskich za organizację nielegalną od roku 1948!

Pamiętamy powiedzenie Stalina: „kiwnę palcem i Tity nie będzie”. Stalin kiwnął palcem a Tito owo kiwanie spokojnie przeżył. Przeżył jednak w zrozumieniu Kremla — za cenę zerwania z legalizmem.

Partia komunistyczna, która odrzuca prymat Kremla — przestaje być partią legalną — choćby Moskwa ze względów taktycznych utrzymywała z kierownictwem owej partii bliskie kontakty. W takich sytuacjach Moskwie przyświeca zawsze jeden cel a mianowicie „nawrócenie” heretyków i powrót nielegalnej partii na łono jednego prawdziwego, totalnego, sowieckiego komunizmu.

Moskwa nie uznała nigdy pluralizmu i tej koncepcji przeciwstawiła tzw. doktrynę Breżniewa.

Zająłem się tą sprawą bo zadziwiła mnie nietypowa dla Moskwy nieostrożność i pośpiech. Prezydent Tito ma przeszło 80 lat i zgodnie z prawami biologii musi umrzeć, w niedługim czasie. (Śmiertelność wśród ludzi wyraża się cyfrą pełnych 100 %). Gdy jego braknie szanse Moskwy niepomniernie wzrosną. Dlaczego więc nie odczekać chwili, która niedługo musi

nastąpić? Po co podejmować akcję obecnie i narażać się na kompromitację?

Skłaniam się do przypuszczenia, że istniały inne przyczyny, które skłoniły Moskwę do zorganizowania stalinowskiego spisku w Jugosławii jeszcze za życia prezydenta Tito.

Jak wspominałem poprzednio anty-tezą doktryny Breżniewa jest doktryna policentryzmu i pluralizmu sformułowana przez Togliattiego.

21 sierpnia bież. roku minęło 10 lat od śmierci włoskiego przywódcy komunistycznego. *Trybuna Ludu* odnotowała tę rocznicę i zaprezentowała swym czytelnikom całkowicie sfałszowaną sylwetkę Togliattiego. W. Sznarbachowski w *Tygodniu Polskim* w bardzo dobrym artykule przedstawił prawdziwego Togliattiego i napiętnował wszystkie charakterystyczne pominięcia *Trybuny Ludu*.

Z artykułu Sznarbachowskiego wyjmuję następujący fragment:

„Jak wykazał Togliatti ten historycznie uwarunkowany i ograniczony model ustrojowy (ustrój sowiecki — przyp. mój) — spełnił swą rolę gdy kładziono podstawy państwowości sowieckiej i zapewnił kolektywizację ZSSR. Jednak wskutek rozwoju techniki i nauki z jednej strony, a osiągnięcia większej dojrzałości politycznej i kulturalnej przez obywateli ZSSR — z drugiej, model ten stał się przeszkodą dalszego rozwoju — zarówno samego Związku Sowieckiego, jak i innych krajów, rządzonych przez komunistów. Utrudnił również zdobywanie wpływów przez partie komunistyczne w krajach wysoko uprzemysłowionego Zachodu, żyjących tradycjami humanistycznymi i demokratycznymi. Destalinizacja — stwierdził dalej Togliatti — nie może polegać na potępianiu i kłajstrowaniu zbrodni i błędów Stalina, lecz powinna stać się punktem wyjściowym rewizji, demokratyzacji, liberalizacji i unowocześnienia całej teorii i praktyki komunizmu, a komunizmu sowieckiego w szczególności”.

Policentryzm był konsekwencją powyższego stanowiska. Ustrój sowiecki jest wynikiem specyficznych uwarunkowań historycznych właściwych tylko Rosji i dlatego nie może stanowić jedynego prawdziwego modelu komunizmu dla wszystkich krajów i społeczeństw świata.

Togliatti głosił również zasadę neutralności państwa w stosunku do religii i ideologii. Uznawał prawo do nauczania religii dzieci jeżeli rodzice sobie tego życzą. Krótko — Togliatti reprezentował komunizm o „ludzkim obliczu”.

Komunistyczne partie europejskiego Zachodu w znacznej mierze zaakceptowały poglądy Togliattiego — co nie może budzić entuzjazmu w Moskwie.

Poświęciłem sporo miejsca Togliattiemu i jego tezom ponieważ bez tego wprowadzenia — to co zamierzam powie-

dzień o włoskiej partii komunistycznej wydawałoby się wręcz niewiarygodne.

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony ewolucji europejskiego komunizmu. Jeżeli chodzi o mój osobisty pogląd w tej sprawie — nie mam nic przeciwko komunistom, pod warunkiem że porzucą totalistyczny komunizm. Jest również moim przekonaniem, że komuniści, którzy odcinają się od totalizmu — wkraczają automatycznie na drogę wiodącą do demokratycznego socjalizmu. Lecz powyższa problematyka, choć aktualna i interesująca — nie stanowi głównego tematu naszych rozważań. Przedmiotem naszej analizy jest imperialistyczna polityka Moskwy w stosunku do partii komunistycznych, które nie zaakceptowały doktryny Breżniewa.

Ideałem, z punktu widzenia Moskwy, byłby jednolity światowy ruch komunistyczny podporządkowany Kremlowi.

Odrzucając mało reprezentatywne choć dość liczne grupy i grupki trockistów, anarchistów itp., itd. — należy stwierdzić że istnieją trzy główne komunizmy: sowiecki, chiński i zachodnio-europejski. Wydaje się również, że doktryna Breżniewa sięga tylko tak daleko jak daleko sięga sowiecka broń pancerna. Choć nie każde państwo graniczące z Sowietami staje się nieuchronnie i dosłownie państwem satelickim — niemniej podstawowym warunkiem umożliwiającym przekształcenie danego państwa w satelitę — jest wspólna granica z Sowietami, względnie z imperium sowieckim.

Dla większości Polaków wszyscy komuniści są jednakowi. Ale Moskwa nie może sobie pozwolić na tak uproszczoną klasyfikację. Kreml dzieli komunistów zagranicznych na trzy kategorie: pro-sowieckich, antysowieckich i niezależnych. Przywódcy sowieccy sądzą, że komunistów drugiej i trzeciej kategorii można by przemienić w pro-sowieckich gdyby było rzeczą możliwą poddać ich odpowiedniemu naciskowi. Chodzi więc o stworzenie warunków, które by ów nacisk umożliwiały.

Teraz wróćmy do partii włoskiej, która od czasów Togliattiego poszła w swej emancypacji (z punktu widzenia Moskwy) niebezpiecznie daleko.

Informacje (choć nie wnioski), które przytaczam poniżej zaczerpnąłem z artykułu Wiktora Zorzy — jednego z najwnikliwszych i najlepiej poinformowanych sowietologów zachodnich.

Moskwa oskarżyła komunistów hiszpańskich, że zmierzają do stworzenia europejskiej komunistycznej alternatywy. Ów alternatywny komunizm europejski byłby nie tylko niezależny od Moskwy, ale zerwałby wszystkie więzy ze Związkiem Sowieckim.

Na powyższe oskarżenie Moskwy Hiszpanie odpowiedzieli,

że ich poglądy są w zgodzie z poglądami włoskiej partii komunistycznej oraz w harmonii z polityką większości zachodnio-europejskich partii komunistycznych.

Zorza informuje, że komuniści włoscy dają do zrozumienia, że zdają sobie sprawę z konsekwencji geograficznej Italii i wskutek tego — jeżeliby weszli do koalicji rządzącej — zgodziliby się na pozostanie Włoch w obrębie NATO. W zamian oczekiwaliby milczącej zgody Waszyngtonu w kwestii udziału komunistów w rządzie włoskim.

Jak widzimy włoscy komuniści gotowi są pójść znacznie dalej niż Jugosłowianie, którzy głoszą politykę „niezaangażowania”. Komuniści włoscy powiadają, że gdy wejdą do rządu nie uczynią niczego co by szkodzić mogło spoistości NATO.

To jest coś więcej niż „europejska alternatywa” sowieckiego komunizmu. Jest to bowiem zgoda na czynny udział Włoch w NATO — Włoch współrządzonych przez komunistów.

Oba super-mocarstwa — oczywiście z różnych powodów odnoszą się do tych potencjalnych rozwiązań z wielką nieufnością. Nas w tym wypadku interesuje Moskwa — nie Waszyngton. Oczywiście chodzi w tym wypadku nie tylko o partię włoską lecz również o partie komunistyczne całego pasa śródziemnomorskiego — a więc o partie komunistyczne Grecji, Francji, Cypru, Hiszpanii i Portugalii.

Osobiście nie mam zaufania do komunistów bez względu na to czy są Hiszpanami, Grekami czy Portugalczykami. Dodam jeszcze, że miałbym większe zaufanie do „Dubczków” wschodnio-europejskich, którzy sowietyzm poznali na własnej skórze niż do głodnych władzy przywódców komunistycznych w pasie śródziemnomorskim.

Lecz w dzisiejszym układzie Europy nic nie jest proste i nic nie jest białe lub czarne.

Proces historyczny przypomina czasem sieć kolejową. Trzeba być na czas na odpowiedniej stacji, by złapać odpowiednie połączenie. Moskwa jest na odpowiedniej stacji lecz pociąg odszedł bez niej. Z pozoru sytuacja jest wymarzona. W pasie śródziemnomorskim jest czerwono od komunistów. Trzeba tylko wezwać przywódców tych partii do Moskwy i wydać im odpowiednie instrukcje. Z chwilą gdy przywódcy partii komunistycznych Włoch, Francji, Grecji, Portugalii i Cypru pokłonią się Breżniewowi i zaprzysięgną mu wierność — „trzeci Rzym” stanie się historyczną rzeczywistością.

Tak jednak nie będzie i Rosjanie zdają sobie z tego sprawę. Komunizm sowiecki nie ma wielkich szans w Europie Zachodniej. W Sowietach nie ma ani ideologów, ani myślicieli, ani

filozofów marksistowskich. Komunizm sowiecki nie ma wielkich pisarzy czy wielkich poetów. Podobna sytuacja panuje w Polsce. Utalentowani marksiści albo wyemigrowali albo wegetują na trzeciorzędnych posadach. W bloku sowieckim obserwujemy całkowite odintelektualizowanie ideologii — bo każda dynamiczna i żywotna działalność intelektualna z definicji oznacza pluralizm a pluralizm, choć nie jest sprzeczny z marksizmem jest sprzeczny z totalizmem. Jedyną dynamiczną ideologią, którą można pogodzić z totalizmem jest imperializm.

Gdyby komuniści włoscy zdobywszy władzę — byli wierni w praktyce tezm Togliattiego — gdyby zachowali pluralizm i uszanowali podstawowe prawa obywateli — Włochy mogłyby się stać wzorowym modelem europejskiego komunizmu. W takiej sytuacji wpływ rządzącej włoskiej partii komunistycznej na zachodnio-europejskie partie komunistyczne byłby bardzo znaczny. Dla Moskwy rozwój sytuacji po liniach naszkicowanych powyżej — oznaczałby katastrofę.

Nie chciałbym dożyć zwycięstwa komunizmu we Włoszech i we Francji. Niemniej nie podzielam poglądu większości antykomunistów, że Enrico Berlinguer z chwilą gdy dorwałby się do władzy — tego samego dnia przemieniłby się we włoskiego Breżniewa. Myślę, że sowiecki Breżniew nie ma w tej sprawie złudzeń. Czasami łatwiej jest wykrzesać entuzjazm do budowy sowieckiego komunizmu wśród milionerów amerykańskich niż wśród komunistów włoskich.

Z przyczyn które analizujemy — Jugosławia posiada w strategii sowieckiej kluczowe znaczenie. Po śmierci prezydenta Tity przewiduję wojnę bałkańską, która zostanie zaprezentowana Ameryce jako lokalna operacja zgodna z doktryną Breżniewa. Rosjanie mają wszystko przygotowane — łącznie z poważną armią na granicy jugosłowiańsko-węgierskiej. Po śmierci prez. Tito ujawni się jugosłowiańska frakcja stalinowska, która zażąda pomocy ze strony bratniej armii sowieckiej. Kreml uzna natychmiast stalinowców za legalną partię komunistyczną Jugosławii a na terytorium zajęтым przez armię sowiecką zostanie powołany rząd, który z kolei zostanie uznany przez Moskwę za legalny rząd Jugosławii. Rosjanie nie będą dążyli do okupowania całego kraju co oznaczałoby zmuszoną wojnę podjazdową w trudnym terenie. Moskwie zależeć będzie nie na okupacji lecz na rozbiciu Jugosławii i zniszczeniu federalnego systemu. Rosjanie będą wygrywać jedną narodowość przeciwko drugiej — będą grać na nacjonalizmach Serbów, Kroatów i Słoweńców i zadowolą się niewielką Jugosławią satelicką z szerokim „oknem” na morze. Oczywiście satelicka Jugosławia musi graniczyć z Włochami.

Należy pamiętać, że frakcje stalinowskie istnieją we wszystkich partiach komunistycznych. Gdyby Sowiety zdobyły bazy morskie i gdyby na granicy jugosłowiańsko-włoskiej stacjonowały pancerne jednostki sowieckie — pozycja stalinowców włoskich uległaby niezmiernemu wzmocnieniu.

Gdyby Moskwie powiodło się z czasem rozbić Jugosławię oraz doprowadzić do rozłamu kompartii włoskiej — wyizolowanie francuskiej partii komunistycznej nie przedstawiałoby już większej trudności. Tym samym niebezpieczeństwo europejskiego alternatywnego komunizmu zostałoby zażegnane.

Podobny manewr taktyczny przygotowywany jest w stosunku do Chin. Moskwa nie planuje wojny prewencyjnej. Pracuje natomiast nad tym by stalinowska frakcja w Chinach wszczęła po śmierci Mao Tse-tunga — jeżeli nie wojnę domową na pełną skalę to przynajmniej poważniejsze rozruchy. Rebelianci stalinowscy wezwaliby wówczas na pomoc Sowiety i przy pomocy z zewnątrz — być może powiodłoby im się opanować jedną czy dwie prowincje. Zajęcie choćby jednej prowincji umożliwiłoby powołanie stalinowskiego rządu chińskiego z którym Moskwa związałaby się sojuszem. I w tym wypadku celem Sowietów nie byłaby okupacja tylko rozbięcie. Chin nie można okupować natomiast w sprzyjającej koniunkturze Chiny można rozbić. Chiny w swojej długiej historii były daleko częściej rozbite i podzielone niż zjednoczone. Ideałem z punktu widzenia Moskwy nie jest walka Rosjan z Chińczykami tylko walka Chińczyków z Chińczykami przy pomocy Sowietów. Wojny domowe stanowią znacznie większą część tradycji chińskiej niż zgoda i zjednoczenie.

Nie jest rolą pisarza politycznego bawić się w przepowiednie lecz niewątpliwie należy do jego obowiązków rozważać konkretne możliwości. Na szczęście nie jest pewne czy Sowietom powiedzie się rozbić Jugosławię i Chiny — natomiast uznać należy za pewne, że w sprzyjających dla Moskwy okolicznościach próby w tym kierunku zostaną podjęte.

Gdyby po śmierci prez. Tity i Mao Tse-tunga — Moskwie powiodło się — choćby częściowo przeprowadzić swoje plany — konsekwencje sukcesu Sowietów byłyby różnorakie.

Lecz wpierv chciałbym powiedzieć kilka słów w kwestii „plastyczności” komunizmu. Weźmy dla przykładu „Wiosnę Praską”. Dla nieuprzedzonego obserwatora musiało być oczywiste, że Dubczek i jego bliscy współpracownicy dążyli szczerze i z przekonania do zdemokratyzowania ustroju w Czechosłowacji. Podobnie nie ma podstaw do powątpiewania w szczerść wypowiedzi Togliattiego. Gdyby jednak Dubczek czy Togliatti byli

przywódcami rządzących partii komunistycznych i realizowali swoje programy bez interferencji z zewnątrz — musiałby przyjść moment kiedy obaj doszliby do granicy oddzielającej pluralistyczny komunizm od socjalizmu demokratycznego.

Gdzie leży owa granica pomiędzy pluralistycznym europejskim komunizmem a demokratycznym socjalizmem? Ponieważ ani włoska ani francuska partia komunistyczna nie są partiami rządzącymi — trzeba oprzeć się na materiałach dotyczących „Wiosny Praskiej”, która choć trwała niezmiernie krótko jest faktem historycznym. Nie podejmując szczegółowej analizy, która przekroczyłaby zakres tematyczny niniejszego artykułu — należy stwierdzić, że pluralistyczny komunizm w wielu punktach jest zbieżny z radykalną odmianą demokratycznego socjalizmu. Różnice dotyczą podstawowej kwestii opozycji a tym samym i wyborów.

Tolerancja religijna, wolność prasy, partie polityczne (pluralizm) — to wszystko byłoby dozwolone, pod warunkiem, że ani wolna prasa ani partie polityczne nie dążyłyby do obalenia pluralistycznego, komunistycznego ustroju. Aleksander Dubczek był popularnym wybawicielem narodu z nocy stalinowskiej i uzyskanie powszechnej zgody społecznej dla programu, który reprezentował nie przedstawiało większych trudności. Lecz gdyby pluralistyczny komunizm potrwiał w Czechosłowacji kilka lat — musiałoby dojść do konfrontacji i do jasnego zdefiniowania ideologiczno-politycznych postaw.

Komunizm (każdy komunizm) — odróżnia od socjalizmu demokratycznego instytucjonalizm. Demokratyczny socjalizm musi walczyć o poparcie społeczne w kolejnych wyborach do parlamentu i musi liczyć się z możliwością przegranej. Natomiast pluralistyczny komunizm — choćby nawet doszedł do władzy w drodze demokratycznej — wprowadziłby natychmiast instytucjonalne rygory uniemożliwiające zmianę ustroju.

Osobiście nie wierzę w zbawienie osiągnięte poprzez instytucjonalizm. Żadna ludzka instytucja nie może gwarantować doskonałości. Cele socjalizmu mogą być realizowane tylko poprzez dążenia i walki pokoleń w warunkach całkowitych demokratycznych swobód. Ograniczenie owych swobód nawet podjęte w interesie chronienia zdobyczy socjalizmu — na dalszą metę prowadzić by musiało do upadku demokracji a tym samym i socjalizmu.

Socjalista zdaje sobie sprawę z faktu, że każda reforma socjalistyczna oznacza nie tylko wydatki pieniężne lecz również ograniczenie indywidualnej wolności. Można przyjąć za pewnik, że im więcej sprawiedliwości społecznej tym mniej indywidualnej

wolności. Lecz ograniczenia indywidualnej wolności — choć muszą być obowiązującym prawem — nie mogą być ponadparlamentarną instytucją. Prawo, którego parlament wyłonił z wolnych wyborów nie jest władny zmienić — jest bezprawiem. Z tych przyczyn instytucjonalizm doprowadzony do perfekcji przekształca się w totalizm, który z kolei jest upaństwowionym bezprawiem.

Instytucjonalizm stanowi podstawową różnicę pomiędzy socjalistami a komunistami. Instytucjonalistami są wszyscy komuniści — nawet tacy jak Dubczek, którzy gotowi są przyznać społeczeństwu swobody demokratyczne w ramach instytucjonalnej struktury, której parlament nie byłby władny zmienić.

Z powyżej naszkicowanych przyczyn nie może być rzetelnego sojuszu pomiędzy socjalistami a komunistami. Nawet pluralistyczny komunizm jest w założeniu doktryną totalitarną. Europejski, pluralistyczny komunizm wprowadzony w czyn — musiałby po pewnym czasie albo przekształcić się w nową formę radykalnego socjalizmu demokratycznego albo usztywnić swoje instytucje nadając im charakter policyjnego totalnego państwa.

Osobiście jestem niemal pewien, że gdyby proces określany „Wiosną Praską” trwał i rozwijał się bez interferencji z zewnątrz — Czechosłowacja w przeciągu kilku czy kilkunastu lat przekształciłaby się w państwo demokratyczne. Trudno jednak przewidzieć jak wyglądałaby „wiosna włoska”.

Należy również podkreślić fakt, że w Europie Zachodniej intelektualny rozwój demokratycznego socjalizmu idzie żółtym krokiem w porównaniu z awansem klasy robotniczej. Robotnicy przemysłowi stają się hegemoniczną klasą społeczną, natomiast w sensie intelektualnym i conceptualnym socjalizm demokratyczny nie nadąża za procesem historycznym.

Lecz jak podkreśliłem uprzednio, w tym artykule interesuje nas przede wszystkim imperialistyczna polityka sowiecka. Sowieccy politycy mają podstawy do wnioskowania, że w partiach komunistycznych istnieją frakcje prosowieckie — choćby w danym momencie nie ujawnione. Prosowiecka frakcja komunistyczna przy władzy liczyć może na pomoc Związku Sowieckiego, która jak w wypadku Kuby, wyraża się poważną, stałą zapomogą.

Pomoc gospodarcza i finansowa, choć ważna, nie jest jednak istotna. Na powierzchni wypłyne sprawa znacznie bardziej zasadnicza. Osobiście nie wierzę w alternatywny komunizm europejski. Komuniści przy władzy — czy w ramach koalicji rządzących — będą zmuszeni zdefiniować swoją postawę. Pluraliści i zwolennicy demokratyzacji zbliżają się do lewicowego skrzydła socjalizmu demokratycznego a komuniści, którzy socja-

lizm demokratyczny uważają za formację burżuazyjną zbliżają się do Moskwy.

Gdyby po śmierci prez. Tito Kremłowi powiodło się rozbić federację jugosłowiańską i na jej gruzach zbudować mniejszą ale stalinowską Jugosławię — wówczas frakcje prosowieckie w całym pasie śródziemnomorskim mogłyby liczyć na aktywną pomoc Moskwy. Koncepcja utrwalenia pokoju poprzez zamrożenie istniejącego *balance of power* — tak droga sercu Dra Kissingera — może runąć jak domek z kart. Gdy po śmierci Tity i Mao Tse-tunga Moskwa zdoła rozbić chwiejną jedność partii chińskiej i Ligi Komunistów Jugosłowiańskich — wówczas istniejąca „równowaga sił” uległaby radykalnej przemianie na korzyść Moskwy. Z punktu widzenia Kremla znikłoby zagrożenie ze strony Chin a równocześnie pozycja i wpływy Sowietów w pasie śródziemnomorskim wzrosłyby niepomierne.

Nie twierdzę, że Moskwa osiągnie powyższy cel, natomiast można uznać za pewnik, że Sowiety pracują dniem i nocą nad jego zrealizowaniem.

Walka o duszę lewicy jest dziedziną w której Amerykanie nie wykazują talentu. Mimo, że Biały Dom korzysta z usług armii socjologów i politologów — politycy amerykańscy jako „inżynierowie ideologii” (w przeciwieństwie do technologii) są wręcz beznadziejni.

Lecz co się dziwić Amerykanom. Na łamach polskiej prasy emigracyjnej przeczytałem opinię, że Sowiety choć tępią policentryzm w bloku wschodnim — nie tylko tolerują lecz podsycają pluralizm i policentryzm w partiach komunistycznych Zachodu, by uczynić komunizm bardziej atrakcyjny dla europejskich społeczeństw. Pisarze polityczni występujący z tego typu diagnozami choćby czytali *Prawdę* przed pierwszym śniadaniem — o komunizmie nie mają pojęcia.

Gdybym był politykiem amerykańskim rozumowałbym następująco: jako antykomunista nie mam zaufania do żadnego typu komunizmu. Lecz jako pragmatyk muszę uznać, że w globalnej strategii amerykańskiej liczy się tylko to czy ktoś jest prosowiecki czy antysowiecki. Z tego punktu widzenia prosowiecki polski endeck (a są i tacy) jest gorszy niż antysowiecki hiszpański czy włoski komunista.

Formułując jakąkolwiek linię polityczną należy zawsze postawić pytanie: jaka jest alternatywa?

Uważam, że nie jest całkowicie pewne, że zwolennicy komunizmu o ludzkim obliczu, gdy dorwą się do władzy, wkroczą na drogę demokratyzacji. Natomiast jest stuprocentowo pewne, że

jeżeli Ameryka odepchnie tych komunistów — nie pozostawi im innego wyjścia jak powrót na łono Kremla.

Jeżeli po śmierci Tito i Mao Tse-tunga nastąpią rozłamy nie tylko w jugosłowiańskiej i chińskiej lecz również i w innych partiach komunistycznych — byłoby istotne by antysowieckie i niezależne frakcje komunistyczne w Europie i poza Europą liczyć mogły na życzliwą neutralność Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Dr Kissinger będzie uważał, że polityka *détente* unie-możliwia zajęcie stanowiska życzliwej neutralności w stosunku do komunizmu antysowieckiego — okaże się, że Ameryka, pod wpływem „odprężenia”, nie tylko pomogła do gospodarczego ustabilizowania reżymu stalinowskiego w Sowietach lecz również dopomogła do zjednoczenia światowego komunizmu pod egidą Kremla.

Kapitalizm w Europie Zachodniej upada. Kreml dopatruje się w tym swojej dziejowej szansy. W interesie Ameryki jako super-mocarstwa leży by spadkobiercami ery kapitalizmu w Europie Zachodniej były partie i ruchy antysowieckie. Dubczekowi czechosłowackiemu nie było możliwe pomóc. Lecz Dubczekom zachodnio-europejskim będzie można pomóc. Jeżeli jednak Dubczeki zachodnio-europejskie będą mieli przeciwko sobie zarówno Sowiety jak i Stany Zjednoczone — kto zechce być Dubczekiem?

Byłby czas by Amerykanie poduczili się „inżynierii dusz” — ponieważ dusze tak we Wschodniej jak i w Zachodniej Europie odgrywają ciągle jeszcze bardzo istotną rolę.

Kultura Nr 12/327 (1974)

ZA NAMI — PRZED NAMI

Zacznijmy od charakterystycznego epizodu, który rozegrał się w roku 1962 w ogrodzie John J. McCloy w stanie Connecticut. McCloy był wówczas doradcą prez. Kennedy. Było już po kryzysie kubańskim ponieważ Rosjanie wycofali swoje pociski atomowe z wyspy. Fotografie lotnicze wykazały jednak, że Rosjanie nie wycofali z Kuby swoich strategicznych bombowców „Iliuszyn 28”. Prezydent Kennedy polecił McCloy’owi by załatwił tę sprawę z sowieckim dyplomatą Wasylii Kuzniecowa.

McCloy zaprosił Kuzniecowa do swojej wiejskiej posiadłości w Connecticut. Rosyjski dyplomata po przybyciu natychmiast oświadczył, że konferencja może odbyć się tylko w ogrodzie bez świadków i nie może być utrwalona na piśmie.

Kuzniecowa wysłuchał żądań prez. Kennedy’ego, przedstawionych przez McCloy’a, i oświadczył co następuje: „Rosja wycofa z Kuby bombowce „Iliuszyn 28” lecz nie może być w tej sprawie żadnego układu na piśmie. To jest ostatni raz kiedy Ameryka jest władna wymusić na Sowietach tego rodzaju ustępstwo. W przyszłości nie okaże się to możliwe”.

Zrelacjonowany epizod zaczerpnąłem z książki H. Brandon pt. „The Retreat of American Power”.

Powyższą książkę czytałem dawno. Jednak epizod z Kuzniecowa przypomniałem sobie natychmiast patrząc na godzinny program telewizyjny pt. „Czerwona Flota”. W pewnym momencie pokazano na ekranie nieprzebyte „las” — jeżeli wolno się tak wyrazić — amerykańskich okrętów wojennych na wodach kubańskich. Blokada Kuby była nawet w skali amerykańskiej bajecznym widowiskiem, które musiało przekonać każdego, że morskiej potędze Stanów Zjednoczonych nikt nie może stawić czoła.

Blokada Kuby przekonała również Chruszczowa, że doktryna

admiralicji sowieckiej jest słuszna. Mocarstwo lądowe, nawet w epoce międzykontynentalnych pocisków atomowych — nie może prowadzić polityki globalnej. Politykę globalną może uprawiać tylko mocarstwo, które dysponuje flotą wojenną operującą na wszystkich oceanach i morzach świata.

Cyfrowy stan floty sowieckiej z podziałem na poszczególne kategorie okrętów jest znany i nie ma powodu powtórnie go przytaczać. Wystarczy powiedzieć, że flota sowiecka rośnie szybciej niż flota amerykańska — i celem Moskwy w tej dziedzinie — podobnie jak w całości zbrojeń włącznie z potencjałem nuklearnym — jest osiągnięcie nie równowagi lecz przewagi.

Flota jest podstawowym instrumentem polityki imperialnej. Broniami atomowymi nie można nikomu pomóc — powiedzmy na Środkowym Wschodzie, w Ameryce Łacińskiej czy w Afryce. Natomiast flota operująca na morzach i Oceanach może wesprzeć komunistyczny przewrót w odległych krajach, dostarczyć broni, amunicji i co najważniejsze zniweczyć próby interferencji ze strony Stanów Zjednoczonych.

Amerykanie mogliby rozwiązać kryzys naftowy w kilkadziesiąt godzin, gdyby wysłali — tam gdzie należy — zamiast Kissingera dwie lub trzy eskadry okrętów wojennych. Jeszcze kilkanaście lat temu byłaby to realna i mało ryzykowna propozycja. Lecz dziś wszędzie tam gdzie są eskadry amerykańskie są również i eskadry sowieckie. Podjęcie przez Waszyngton *gunboat diplomacy* prowadziłoby do zbrojnej konfrontacji z sowiecką flotą wojenną. Z tej przyczyny wysyła się Dra Kissingera, który nie jest tak skuteczny jak okręty wojenne — lecz jest znacznie bezpieczniejszy.

Prasa zachodnia porównuje często Dra Kissingera do Metternicha, co jest czystym nonsensem. Metternich był mężem stanu małego, pobitego kraju, podczas gdy Kissinger jest sternikiem polityki zagranicznej najpotężniejszego mocarstwa świata.

Lecz różnice pomiędzy Metternichem a Kissingerem sięgają znacznie głębiej. W epoce Metternicha i przez cały wiek XIX-ty — mocarstwa uprawiały polityki imperialistyczne. Dzięki temu wszyscy politycy mówili jednym językiem. Imperializm cieszył się poparciem wyższych warstw społecznych, a nieliczni rewolucjoniści uważani byli za wyrzutków społeczeństwa i kryminalistów. Termin „imperium” wypowiedany był z dumą a polityka imperialistyczna była jedyną polityką godną wielkiego mocarstwa. Innym słowy imperializm był nie tylko *acceptable* lecz również *respectable*.

Dziś imperializm, zarówno w Europie Zachodniej jak i w Ameryce, utracił społeczne poparcie i *respectability*. Uchwala

się sankcje gospodarcze przeciwko Rodezji choć Rodezyjczycy nie robią nic innego i nic gorszego niż to, co robili Anglicy w swoich koloniach w XIX-tym wieku. Winą Rodezji jest fakt, że nie uznaje kalendarza i pragnie zachować XIX-wieczną strukturę i stosunki społeczne w końcowym okresie XX-go wieku. System, który pragnie zachować Rodezja nie cieszy się dziś w świecie zachodnim szacunkiem.

Imperializm upadł z tych samych przyczyn dzięki którym upadło niewolnictwo w Ameryce. Imperializm nie został obalony przez zwycięskich Spartakusów — tylko przez europejskie społeczeństwa zachodnie, które uznały, że imperialne ustroje i metody są niezgodne z filozofią sprawiedliwości społecznej. Za symbol tych przemian uznać można masowe zwycięstwo Labour Party bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej i przegraną Churchilla, który „nie chciał przewodniczyć likwidacji Imperium Brytyjskiego”.

Nie jest moim zadaniem analizowanie wszystkich przyczyn, które spowodowały upadek imperializmu. Chciałem tylko uwytknąć fakt, że w XIX-towiecznej Europie większość krajów była rządzona przez monarchów, którzy uprawiali polityki imperialne, ponieważ imperializm był identyfikowany z patriotyzmem (*Britania Rules the Waves, Deutschland, Deutschland über Alles*). Jak w pokerze — jedni wygrywali, drudzy przegrywali — lecz istotne było, że tak jedni jak i drudzy uważali, że imperialny poker jest jedyną cywilizowaną grą polityczną godną dżentelmanów.

To wszystko uległo radykalnej zmianie. Społeczeństwa zachodnio-europejskie — podobnie jak społeczeństwo amerykańskie — potępiają imperializm i nie uznają go za naturalną dynamiczną działalność patriotyczno-polityczną.

Anty-imperialistyczny trend — jaki obserwujemy w świecie Zachodu — jest niewątpliwie ewolucją we właściwym kierunku, niemniej porzucenie imperializmu pozostawiło próżnię. Konserwatyści na kontynencie i w Anglii utracili jedyną ideologię jaką mieli. Jeżeli nie rozbudowa imperium i pielęgnowanie świetnych tradycji to co?

Hasło „praworządność i porządek” (*law and order*) nie jest żadnym programem społecznym ponieważ za praworządnością i porządkiem opowiada się każdy rząd, który w danym momencie sprawuje władzę. Upadek ideologii imperialnej pozbawił konserwatystów wizji. W konfrontacji z socjalizmem — okazuje się, że konserwatyści nie mają ani filozofii politycznej ani programu społecznego. Ich platforma jest zbiorem często sprzecz-

nych wskazań — których jedynym celem jest ochrona zysków i własności.

Mimo, że sam jestem demokratycznym socjalistą — uważam, że upadek partii konserwatywnych — choć leży w interesie komunizmu — nie leży w interesie demokratycznego socjalizmu. Upadek konserwatyizmu musiałby bowiem spowodować gwałtowny wzrost skrajnych partii prawicowych oraz wzrost wpływów komunistycznych. Lepiej mieć do czynienia z konserwatystami, którzy są parlamentarnymi demokratami — niż z faszystami czy komunistami, którzy dążą do obalenia ustroju demokratycznego.

Law and Order nie zawsze i nie wszędzie oznacza demokrację. Często na ów slogan powołują się grabarze demokracji. Konserwatyści są w opozycji do demokratycznego socjalizmu, lecz nie są jego wrogami. Wrogami tak demokratycznych socjalistów jak i demokratycznych konserwatystów są komuniści i faszyci.

Ustrój demokratyczny jest trudny do utrzymania nawet w okresach kwitnącej ekonomii. Anglia jest państwem średniej wielkości niemniej posiada 104 ministrów. Każdy minister stoi na czele batalionów urzędników. Nawet gdybyśmy przeżywali erę *prosperity* — gigantyczne biurokracje państwa i związków zawodowych stanowiłyby poważny i rosnący problem dla obrońców swobód demokratycznych.

Owe potężne aparaty sprawują faktyczną władzę i pobierają decyzje dotyczące nas wszystkich — pomimo, że dzierżycieli tej władzy nie wybierało społeczeństwo. Zawodowi urzędnicy państwowi są nominowani a funkcjonariusze związków zawodowych są wybierani lecz tylko przez członków związków zawodowych.

Poważny kryzys gospodarczy a zwłaszcza galopująca inflacja stanowią bezpośrednie zagrożenie dla demokracji. Bezrobocie, strajki, rozruchy — załamują w szerokich masach wiarę w możliwość przezwyciężenia kryzysu przy równoczesnym zachowaniu procesu demokratycznego. Tego rodzaju sytuacje stanowią zaproszenie dla „mężów opatrnościowych” z antydemokratycznej prawicy lub antydemokratycznej lewicy. Od demokracji jest łatwo odejść lecz jest niezwykle trudno do niej powrócić.

Obowiązkiem socjalistów jest walczyć o reformy socjalistyczne, które nie mogą podobać się konserwatystom ponieważ często odbywają się kosztem tych ostatnich. Dlatego nie wydaje mi się możliwe ani realne proponowanie rządu koalicyjnego, który nie miałby zalet rządu socjalistycznego ani zalet rządu konserwatywnego.

Istnieje tylko jedna i jedyna płaszczyzna „wspólnoty intere-

sów” pomiędzy socjalistami i konserwatystami. Ową płaszczyzną jest obrona ustroju demokratycznego, który może być zagrożony z zewnątrz lub z wewnątrz. Gdyby ustrojowi demokratycznemu groziło realne niebezpieczeństwo — obowiązkiem socjalistów byłoby zawrzeć sojusz ze wszystkimi partiami szczerze demokratycznymi w celu obrony ustroju demokratycznego.

Dyktatura policyjna na wzór państw komunistycznych może daleko łatwiej i sprawniej niż ustrój demokratyczny zapewnić społeczeństwu *law and order*. Lecz dobrze funkcjonująca poczta i sprawnie funkcjonujące zakłady oczyszczania miast — choć są niezmiernie ważne — nie są wyznacznikiem jakości życia. Co komu z idealnie funkcjonujących pociągów i z wzorowo dostarczanej poczty jeżeli po przyjeździe z pracy do domu ma się do wyboru *Trybunę Ludu* albo *Politykę*? O jakości życia decyduje możliwość walki o sprawiedliwość społeczną, prawo do reprezentacji wyłonionej ze swobodnych wyborów, prawo do dyskusji i wolnej prasy, prawo do walki z przemocą i wyzyskiem we wszystkich jego formach i przejawach.

Więzienie doskonale zorganizowane i zapewniające więźniom nie tylko wystarczające lecz luksusowe utrzymanie — nie przestaje być więzieniem. Niewątpliwie więzienie zapewnia każdemu *law and order* oraz bezpieczeństwo, lecz za jaką cenę? Wszyscy o tym wiemy — piszę o tym jednak dla tego, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z faktu, że „koszty ruchu” demokracji są zawsze bardzo duże. Należy przyjąć za pewnik socjologiczny, że żadna demokracja — nawet najbardziej wyrobiona i dojrzała — nie może z natury rzeczy funkcjonować równie sprawnie jak ustrój totalistyczny. Choćby Anglia dosłownie tonęła w nafcie — problem sprawiedliwości społecznej nie wyparowałby, związki zawodowe nie przemieniłyby się w Armię Zbawienia a parlament nie przekształciłby się w klub wzajemnych adoracji. Choćby waluta oparta była na górach złota — robotnicy dobijaliby się jak dawniej o podwyżki, bonusy oraz dłuższe urlopy, pensje i asekuracje — a przejąwszy taktykę związków zawodowych — podobnie postępowaliby lekarze, nauczyciele, dentyści, urzędnicy itd. Mielibyśmy oczywiście w dalszym ciągu strajki, zażarte dyskusje w prasie i w radio i stałe gromkie nawoływanie o przywrócenie *law and order*.

W ostatnich miesiącach odchodzącego 1974 roku demokracje europejskiego Zachodu znajdowały się w fazie ostrego kryzysu gospodarczo-ustrojowego. Kryzys gospodarczy może z czasem ulec złagodzeniu — niemniej kryzys społeczny okaże się znacznie trudniejszy do rozwiązania. Wydaje mi się, że warstwa inteligencji odkrywszy skuteczność taktyki robotniczych związków

zawodowych — nie zrezygnuje w przyszłości z broni jaką stanowią strajki.

Inteligencja zawodowa w Anglii — jak lekarze, architekci, dziennikarze — w znacznym procencie głosuje na partię konserwatywną. Przejęcie przez *middle class* taktyki i polityki robotniczych związków zawodowych będzie bardzo trudne do pogodzenia z tradycyjnym konserwatyzmem. Przewiduję, że jeżeli brytyjska partia konserwatywna nie przekształci swojej filozofii — czeka ją los skandynawskiego konserwatyzmu, który od trzydziestu lat wegetuje na politycznej pustyni.

Dożyliśmy czasów kiedy należy obiektywnie stwierdzić, że leży w interesie demokratycznego socjalizmu by partia konserwatywna odnalazła swą drogę w przemienionym świecie. Albowiem upadek tak wielkiej i licznej partii wzmocniłby niebezpiecznie anty-demokratyczne siły wszelkich denominacji. Socjalizm można realizować tylko w ustroju parlamentarnej demokracji i dlatego socjalista musi być w pierwszej kolejności obrońcą ustroju demokratycznego a dopiero w drugiej kolejności socjalistą. Nie można być rybą bez wody. Socjaliści w krajach Europy Wschodniej — to są ryby na piasku.

Odchodzący rok 1974 obalił kilka mitów, które stanowiły fundament myśli konserwatywnej. Jak słusznie zauważył prof. Dahrendorf w jednym ze swych wykładów w BBC — w przeszłości byliśmy uwarunkowani doktryną wzrostu gospodarczego i stałego wzbogacania się. Wzrost ekonomiczny oznacza nieprzerwany wzrost stopy życiowej („jeżeli nie stać mnie na samochód dzisiaj — na pewno stać mnie będzie na przyszły rok”).

Uwarunkowanie umiera daleko wolniej niż przyczyny, które je spowodowały. Kryzys naftowy odkrył przed nami fakt, że rabunkowy kapitalizm nie oglądający się na nic i na nikogo lecz produkujący stały wzrost ekonomiczny — nie może trwać bez końca, ponieważ na ogołoconej z surowców ziemi nie będzie już czego rabować.

Kapitalizm z jego filozofią stałego wzrostu ekonomicznego — co miałoby się wyrażać nieprzerwanym i bezterminowym bogaceniem się pokoleń — byłby do utrzymania, gdybyśmy odkryli kilka niezamieszkałych planet bogatych w złoża naftowe i inne surowce. Lecz dopóki to nie nastąpi nie możemy być bogatsi niż ziemia, której zasoby są ograniczone i maleją z roku na rok. Rabując ziemię — rabujemy samych siebie ponieważ ani nasza technologia ani ekonomia nie potrafią wyprodukować bogactwa z niczego.

Upadł jeszcze jeden mit a mianowicie, że „siły rynkowe” (kapitalistyczny odpowiednik „ducha dziejów” w marksizmie) są

zdolne do samokorektury. Zarówno „mechanizm sił rynkowych” jak i marksistowski „duch dziejów” spoczęły na cmentarzysku mitów dwudziestego wieku.

Mity nie umierają na próżno pod warunkiem, że po pierwsze nie usiłuje się ich wskrzesić i po drugie że sekcję „zwłok” przeprowadza się obiektywnie i dokładnie.

Kultura Nr 1/328-2/329 (1975)

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wszystkie tak zwane *lost causes* — utracone sprawy — są zwykle w oczach pragmatyków utopijne. Historia uczy nas, że wiele utraconych spraw doczekało się realizacji i tym samym utraciło swą utopijność. Historia uczy nas również, że pragmatyzm bywa często realizmem na krótką metę. Czy realizm na krótką metę jest realizmem? Często pragmatyzm, który sugeruje nam krótkotrwałe rozwiązanie danego problemu — utrudnia sformułowanie długofalowego planu, który by obejmował likwidację nie tylko skutków lecz i przyczyn danej kryzysowej sytuacji.

Weźmy dla przykładu kryzys na Środkowym Wschodzie, który przycicha by powtórnie wybuchnąć płomieniem w najmniej przewidywanym momencie. Z chwilą gdy dochodzi do wybuchu — pragmatycznie myślący polityk, jak dr Kissinger, słusznie wnioskuję, że nakazem chwili jest zorganizowanie zawieszenia broni. Wszystko inne przesuwamy na dalszy plan. Pragmatyk Kissinger wsiada w samolot i niezmordowanie podróżuje pomiędzy Tel-Avivem, Kairem i Damaszkiem dopóki nie ustali warunków zawieszenia broni. Nadchodzi wreszcie „wielki dzień”, działa milkną, strony walczące wycofują się na ustalone rozejmem pozycje, wszyscy oddychają z ulgą. Krótko-terminowy, pragmatyczny cel został osiągnięty. Oczywiście, tam gdzie w grę wchodzi ratowanie życia ludzkiego — owo ratowanie życia tysięcy ludzi jest celem nadrzędnym i osiągnięcie tego celu musi być oceniane za wielki sukces.

Niemniej w dniu w którym milkną działa i warunki zawieszenia broni zostały podpisane przez obie strony, w perspektywie długofalowej nic nie ulega zmianie. Pragmatyk Kissinger zaangażowany jest problemem dziś a nie problemami jutra i w chwili gdy toczą się krwawe bitwy — to jest słuszna postawa. Gdy dom płonie byłoby nonsensem dyskusowanie planów jego przy-

szłej przebudowy. Oczywiście trzeba skupić wszystkie siły celem jak najszybszego ugaszenia pożaru. Niemniej, wadliwy system ogrzewania domu — nieobjęty długofalowym planem rekonstrukcji — może stanowić groźbę, że pożar się powtórzy. Widzimy więc, że krótkofalowy pragmatyzm często służy tylko do natychmiastowego zażegnania kryzysu, lecz w gruncie rzeczy nie rozwiązuje niczego. Zręczność dyplomatyczna i niezmordowana energia Kissingera mogą w danej sytuacji zażegnać kryzys na Środkowym Wschodzie lecz dopóki PLO (*Palestine Liberation Organization*) reprezentuje pogląd, że Izrael musi być zlikwidowany i zastąpiony tworem państwowym o nazwie Palestyna — w którym Żydzi stanowiliby mniejszość — dopóty dyplomatyczne negocjacje, choćby prowadzone z największą zręcznością nie mogą przynieść trwałych rezultatów. Nie można bowiem ani wymagać ani oczekiwać od Izraelczyków by przyjęli jako punkt wyjściowy negocjacji likwidację własnego państwa. Czy więc Izraelczycy są utopistami wierząc, że można obronić kilkumilionowy Izrael otoczony stumilionowym morzem arabskim?

Niedawno słuchałem dyskusji na powyższy temat w jednym z programów BBC. W dyskusji brała udział młoda Izraelka osiadła na stałe w Anglii. Zapytana — wypowiedziała z całym spokojem pogląd, że w obrębie 50 lat Izrael przestanie istnieć a jego miejsce zajmie wielonarodowa i wieloreligijna Palestyna. Swoją opinię oparła na logice „wielkich cyfr”. Za 20 czy 30 lat Arabowie będą częściowo wykształceni i wyszkoleni oraz uzbrojeni w najdroższy i najbardziej nowoczesny sprzęt wojskowy. Bogate państwa arabskie nie są zainteresowane w „westernizacji” czy amerykanizacji swoich społeczeństw. Ich ideałem nie jest również model japoński, tzn. tworzenie bazy przemysłowej opartej o import głównych surowców. Arabowie zainteresowani są tylko w jednym towarze, który można kupić za pieniądze. Tym towarem jest *power* to znaczy potencjały siły. Dlatego kupują samoloty, czołgi, sprzęt elektroniczny i zatrudniają setki obcych, doskonale płatnych instruktorów, którzy szkolą kadry instruktorów arabskich, specjalistów w różnych dziedzinach woj-skowej technologii.

Jak pamiętamy — dr Kissinger oświadczył, że w rozpaczliwej sytuacji — gdyby producenci ropy naftowej usiłowali „udusić” gospodarki przemysłowych mocarstw Zachodu — Stany Zjednoczone nie cofną się przed użyciem siły, by przywrócić dopływ życiodajnej ropy. Prezydent Ford poparł dr. Kissingera i zażyrował jego oświadczenie o użyciu siły. Równocześnie na ekranach telewizyjnych w Ameryce i w Europie pokazano „inwazyjne” manewry amerykańskich „Marines” i zaprezentowano tele-widzom

potęgę najnowszej wojennej broni amerykańskiej, który niewątpliwie przedstawia się imponująco.

Oczywiście do żadnej inwazji nie dojdzie, bo w świecie rządzonej przez Kissingera i Breżniewa takie rzeczy się nie dzieją. Dr Kissinger jest świetnie obeznany z problemem naftowym — lecz niemniej dokładnie obeznany jest z problemem *détente*, której jest głównym architektem. Niepisana konstytucja *détente* zakłada, że żadne z super-mocarstw nie podejmie akcji wojennej, która w rezultacie przyniosłaby zmianę w globalnej równowadze sił. „Świętą krową” *détente* jest *status quo*. Gdyby Amerykanie dokonali błyskawicznej inwazji trzech państw arabskich w Zatoce Perskiej, których łączna ludność nie przenosi dziesięciu milionów — lecz które produkują 30 % ropy naftowej świata — globalny *status quo* uległby wybitnej zmianie na korzyść Stanów Zjednoczonych.

Rosjanie nie przełknęliby pigułki tej wielkości — natomiast zgodziliby się prawdopodobnie na podział rejonu Zatoki Perskiej i Środkowego Wschodu na strefy wpływów. To byłaby operacja uświęcona tradycją i wypróbowana dokładnie w Europie. W ten sposób nafta byłaby podzielona i zabezpieczona a *détente* byłaby uratowana.



Osobiście jestem przekonany, że w Rosji nastąpią wielkie zmiany gdy wymrze pokolenie drugiej wojny światowej, gdy do steru dojdą ludzie urodzeni w drugiej połowie bieżącego stulecia. Obecny pokój oparty na terrorze atomowym maskującym wzajemną wrogość, brak zrozumienia i nieufność — nie może trwać dziesiątkami lat, ponieważ jeżeli nic się nie zmieni — musiałoby dojść do wojny. Tak było zawsze w przeszłości. Problemy nie nadające się do rozwiązania grzebano pod gruzami miast i na wojennych cmentarzach, które można oglądać we wszystkich krajach Europy.

Gdyby przyszłość można było wydedukować z teraźniejszości — wystarczyłoby zmobilizować kilka tysięcy socjologów, którzy zebraliby współczesne dane i nimi zaprogramowano by duży komputer. Jeżeli przyszłość jest drzewem, które wyrasta ze szczepu teraźniejszości — zakładając, że znamy reguły wzrostu — komputer nie powinien mieć trudności w odpowiedzi na pytanie jak będzie kształtowała się sytuacja w Europie za 10 lat.

Trudność polega na tym, że teraźniejszość jest zawsze płynna i zmienna i wskutek tego nie może służyć za niewzruszoną podstawę rachunku „przyszłościowego”. Teraźniejszość jest jak plastelina, którą ugniatamy i formujemy w naszych palcach i tym

samym wpływamy bezpośrednio na kształtowanie się przyszłości. Każdy z nas stanowi część doświadczenia, któremu na imię teraźniejszość i tym samym wpływa na przyszłość.

W tym miejscu należy poświęcić nieco uwagi utopiom. Utopia nie jest futurologiczną ekstrapolacją opartą o analizę teraźniejszości — ponieważ obraz utopijny budowany jest w oderwaniu a nawet w sprzeczności z rzeczywistością. Jest jednak moim głębokim przekonaniem, że utopie są nie tylko potrzebne lecz konieczne. Rosja — o jakiej marzy Sołżenicyn — w zestawieniu z obecną rzeczywistością jest utopią, lecz gdyby brakło Rosjan oddanych tej utopii — Rosja stałaby się krajem bez jutra.

Polska niepodległa, demokratycznie rządzona, w dobrych stosunkach ze swoimi sąsiadami, jest również utopią. Lecz to jest utopia, której nie zamierzam ani się wyzbyć ani jej zdradzić.

Loty kosmiczne, lądowanie na księżycu, fotografie Wenus, Marsa, Jupitera przesyłane przez statki kosmiczne kierowane z ziemi — to wszystko nie zostało wyekstrapolowane przez futurologów, tylko te wspaniałe osiągnięcia zostały wyśnzione i wymarzone przez utopistów.

Przyszłość to nie jest logicznie zaprojektowane następne piętro gmachu teraźniejszości. Gdyby tak było — futurologowie, socjologowie i ekonomiści mieliby zawsze i we wszystkim rację. W rzeczywistości przyszłość jest realizacją utopijnych snów i marzeń ludzi i narodów. Przyszłość — gdy staje się rzeczywistością — częściowo przekracza najśmielsze sny i marzenia, częściowo zdradza wczorajsze utopie. Niemniej wydaje mi się, że utopie, tzn. sny, marzenia, pragnienia tak jednostek jak i społeczeństw — są realniejszym budulcem przyszłości niż wszystkie logiczne dedukcje futurologów.

Kto w roku 1910 przewidywał powstanie niepodległego państwa Izraela. Państwo to wyśnili i wymarzyli Żydzi wschodnioeuropejscy w oparciu nie o komputery, ale w oparciu o Stary Testament i Talmud.

Polska niepodległa z okresu międzywojennego powstała wbrew przewidywaniom racjonalistów, którzy dowodzili uczenie — jak np. Róża Luxemburg — że niepodległość Polski nie leży w interesie klasy robotniczej Rosji, Polski czy Niemiec. Twórca państwa polskiego — Józef Piłsudski — nie tylko nie był marksistą ale nawet nie był pozytywistą. Z tradycją pozytywizmu związany był Dmowski, natomiast Piłsudski, rozczytany w Słowackim, był romantykiem — związanym z tradycją najbardziej utopijnego ruchu w naszych nowoczesnych dziejach. Mam na myśli powstanie w roku 1863 — pieczęć Rządu Narodowego i szubienice na stokach Cytadeli. A przecież historia nie potwier-

dziła marksistowskiej analizy Róży Luxemburg, nie potwierdziła polskiego pozytywizmu — potwierdziła natomiast Piłsudskiego. Dmowski podpisał Traktat Wersalski, lecz ani jednego dnia nie był premierem rządu RP a w chwili śmiertelnego zagrożenia na czele rządu jedności narodowej stał Witos a nie reprezentant Stronnictwa Narodowego.

Stało się tak dlatego, że nie marksizm, nie ideologia rewolucji, nie pozytywizm z programem pracy organicznej — tylko Legiony, polskie wojsko, polskie mundury, polskie szable ucieleśniały sny i marzenia większości Polaków.

Wielkim osiągnięciem są zrealizowane, mądre i racjonalnie zaprojektowane, plany rozbudowy czy uprzemysłowienia lecz nic — powtarzam nic — nie wywiera takiego wrażenia jak stanąć twarzą w twarz z urzeczywistnioną utopią, ze zrealizowanym nagle marzeniem pokoleń.

Powyższą dygresję o utopiach chciałbym zakończyć dwoma uwagami. Utopie rodzą się z tragedii i z niemocy. Głęboko odczuwane dążenia i pragnienia — oczywiście w swej moralnej słuszności, gdy nie mogą w danym okresie być zrealizowane w ramach *Realpolitik* emigrują do krainy utopii, ponieważ w świecie realizmu i pragmatyzmu musiałyby zmarnieć.

Jednostki ludzkie i narody — które w okresach długotrwałych klęsk — nie są zdolne do budowy utopii — nie mają gdzie „emigrować” i załamują się pod brzemieniem teraźniejszości.

Utopia jest przyszłością tych, którzy nie mają przyszłości — ponieważ przyszłość, w realnym tego słowa znaczeniu mają tylko ci, których przyszłość może być zaplanowana w realnych wymiarach. Lecz jak podkreślałem to wielokrotnie — najbardziej realny realizm jest kategorią zmienną. To co dziś jest całkowicie nierealne za kilka lat może być w stu procentach realne. Sytuacja klęski czy głębokiego kryzysu polega na tym, że choć teoretycznie można przyznać, że klęska i kryzys nie będą trwały wiecznie, nie ma realnych podstaw do twierdzenia, że na przykład za 10 lat sytuacja ulegnie poprawie. Ów brak realnych podstaw uniemożliwia budowanie programu polityki realnej. Wówczas, niepodogdzeni z klęską wycofują się w utopię.

Tym, którzy powiedzą, że budowa utopii czy ucieczka w utopię jest w gruncie rzeczy bezproduktywnym eskapizmem — odpowiadam następująco. Racjonalna utopia, jeśli wolno się tak wyrazić, jest zawsze wizją przyszłości. Realnego programu polityczno-społecznego nie ma bez wizji przyszłości. W gruncie rzeczy sformułowanie wizji przyszłości jest najtrudniejszą i najważniejszą częścią programu. Wizja bowiem musi odpowiadać na pytanie

jakiej Polski pragniemy a nie jaka Polska jest możliwa w po-
jałańskiej sytuacji. W wizji nie można się rozgrzeszyć z niczego
— natomiast w ramach *Realpolitik* można się rozgrzeszyć ze
wszystkiego. Politycy realisci powiedzą po co mówić o Wilnie
i Lwowie — skoro dziś i tak nie możemy oddać Wilna Litwi-
nom a Lwowa Ukraincom. Po co mówić o samostanowieniu
narodów ujarzmionych przez Rosję, skoro Rosjanie nie przyznają
nigdy Ukraincom prawa do samostanowienia. Po co mówić
o demokracji w Polsce — skoro parlamentaryzm i wielopartyj-
ność, po dziesiątkach lat komunistycznej dyktatury przynieść by
musiały chaos, który zakończyłby się dyktaturą prawicową lub
wojskową, być może gorszą od dyktatury komunistycznej. Jeżeli
w momencie koniunktury historycznej Polacy nie będą mieli
żadnej wizji — innymi słowy, nie będą wiedzieli jakiej Polski
pragną — sytuacja w Polsce będzie wypadkową dawnych nawy-
ków i uwarunkowań i owa chaotyczna, pełna brutalności sytuacja
sprawi, że znajdą się ludzie, którzy dyktaturę komunistyczną
będą wspominać jako „dawne dobre czasy”.

Wydawałoby się, że gdy raz przekroczymy granice utopii —
wszyscy stają się szlachetni, wzniosli, wspaniałomyślni — ponie-
waż w wymiarze utopiijnym to nikogo nic nie kosztuje. Gdy-
byśmy wybrali na emigracji 100 ludzi mądrych i bez skazy
i gdybyśmy tej Radzie Stu powierzyli wypracowanie na piśmie
wizji przyszłej Polski po odzyskaniu niepodległości — wydaje
mi się, że owi radcy nigdy by nie uzgodnili pomiędzy sobą
wizji przyszłej Polski, ponieważ wypracowanie wizji jest daleko
trudniejsze niż wypracowanie programu. Łatwiej bowiem jest
uzgodnić w szerszym kole dyskutantów to, co jest realne a co
nie jest realne — niż odróżnić to, co jest pożądane i słuszne,
od tego co jest niepożądane i niesłuszne. Budując wizję trzeba
by odpowiedzieć na pytanie czy Polska winna oddać Ukraincom
Lwów. Trzeba by domyśleć do końca czy taki krok byłby
słuszny i pożądany czy nie. Należałoby odpowiedzieć na pytanie
czy winniśmy przyjąć do demokratycznej społeczności niepodle-
głej Polski tysiące polskich komunistów i czy należałoby zalegali-
zować partię komunistyczną, gdyby w przyszłej Polsce znalazło się
10 czy 20 tysięcy komunistów, którzy pragnęliby mieć własną
reprezentację w demokratycznie wyłonionym parlamencie.

W okresie 1863-1918 inteligencja polska we wszystkich trzech
zaborach odgrywała pierwszoplanową rolę. Ta warstwa wypro-
dowała zarówno krytyczną ocenę przeszłości jak i wizję przyszłej
Polski. W cytowanym okresie inteligenci polscy byli aktywistami
idei niepodległościowej.

Dziś inteligencja polska nie ma żadnej wizji i dlatego,

w chwilach kryzysu, nie jest w stanie wypracować programu działania.

Czytałem, że inteligencja polska w Kraju wykazała wielką dojrzałość polityczną wstrzymując się od udzielenia poparcia robotnikom w okresie tzw. wydarzeń grudniowych w roku 1970. Angażując się czynnie inteligencja nie osiągnęłaby niczego, natomiast ściągnęłaby na siebie represje i prześladowania powodując w rezultacie ogólne pogorszenie sytuacji inteligencji w Polsce Ludowej.

W mojej ocenie fakt, że inteligencja nie poparła robotników w grudniu 1970 dowodzi jej niedojrzałości politycznej. Ów fakt dowodzi również, że inteligencja nie posiada żadnej wizji. Wizje nie podlegają cenzurze — ponieważ nawet w Sowietach nie ma jeszcze orwellowskiej „policji myśli”.

W kilku ostatnich numerach *Kultury* ukazało się sporo artykułów i wypowiedzi krajowców. W większości wypadków są to próby precyzowania cząstkowych programów — w oderwaniu od wizji, której po prostu nie ma. Nie można wypracowywać rysunków roboczych jeżeli nie ma się wizji domu, który zamierza się budować. Wizja nie rodzi się z szczegółowych opracowań programowych tylko odwrotnie, plany robocze rodzą się z wizji.

Jednym z podstawowych elementów mojej wizji przyszłej Polski jest sojusz inteligencji z klasą robotniczą. Poświęciliśmy tej sprawie wiele miejsca na łamach *Kultury*, zwłaszcza w okresie „wiosny praskiej”.

Niemniej, wydarzenia grudniowe w roku 1970 zdają się wskazywać, że sojusz inteligencji z klasą robotniczą nie istnieje w Polsce nawet jako wizja — nawet jako marzenie.

Jak powstaje wizja? Wizji nie może stworzyć ani komisja ekspertów ani komitet przywódców politycznych reprezentujący różne kierunki myśli niepodległościowych. Dawniej wizję przekazywała literatura narodowa. Jednak wizja nie była „papierowym tygrysem”. Siłą żywotną wizji był protest i bunt. Polacy nie godzili się z niewolą i z narodowym nieistnieniem i szli na Sybir lub na szubienicę — dla wizji nierealnej — niemniej ucieleśniającej cele i dążenia narodu.

W minionej epoce literatura odzwierciedlała wizję lecz jej nie tworzyła. Wizja istniała w sercach i umysłach ludzi, pulsowała w zbiorowej świadomości warstwy określonej mianem inteligencji.

Niezależnie od cenzury — literatura we współczesnej Polsce, podobnie jak w innych krajach Europy, utraciła swe dawne funkcje i przywileje. Nie mamy Sołżenicyna — bo nie mogli-

byśmy go mieć. Polacy wykpiłiby deklamacje o humanizmie, o idealizmie religijnym — wykpiłoby wielkośćwie nieodłączne od wizjonerskiej literatury. Polscy cmokierzy literaccy wolą Gombrowicza niż polskich Sołżenicynów, których nie ma.

Po upadku i klęsce wrześniowej — wobec której błedną wszystkie Sybiry i nieudane powstania — literatura poczuła się współwinna za ów straszliwy rozdźwięk jaki istnieje pomiędzy polską współczesną rzeczywistością a wczorajszą wizją. Cenzura ułatwiła literaturze zrzucenie z ramion płaszcza, który jej już nie pasował i ciążył.

Wizji, którą w znacznej mierze determinuje los i przeznaczenie narodu, nigdy nie tworzy literatura. To nie Kipling stworzył imperializm brytyjski tylko brytyjska idea imperialna stworzyła Kiplinga.

Wizja jest krystalizacją dążeń i pragnień aktywnie myślących ludzi danej społeczności narodowej. Na dalszą metę — to do czego część danego społeczeństwa świadomie dąży i czego pragnie — w znacznie większym stopniu determinuje los narodu niż tzw. obiektywne warunki zewnętrzne. Podobnie los jednostki jest w znacznie większym stopniu determinowany przekonaniem o słuszności wytyczonego celu i wolą jego realizacji niż tzw. obiektywnymi warunkami. Ludzie z wizją i wolą osiągają swoje cele — często wbrew piętrzącym się przeciwnościom.

Wierzę, że w ostatecznym rozrachunku tak jednostki jak i narody decydują o swoich losach w znacznie większym stopniu, niż mogłoby się to wydawać na podstawie analizy tzw. obiektywnych warunków.

Jeżeli mówimy, że dany człowiek siłą przekonania i woli oraz wytrwałą pracą zwałczył wszystkie przeszkody i osiągnął swój cel — jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, że dany człowiek swoją postawą wpłynął na zmianę układu tak zwanych obiektywnych warunków.

Nie twierdzę, że naród w niewoli może osiągnąć wolność solidarną postawą niepodległościową — to znaczy zmienić obiektywny układ sytuacji. Twierdzę natomiast, że wolności i niepodległości nie osiągają nigdy ci, którzy wolności nie pragną i do niepodległości nie dążą. Twierdzę również, że postawa wewnętrzna społeczeństwa wpływa na układ tzw. obiektywnych warunków. Dlatego w gruncie rzeczy nie ma *lost causes* są tylko *lost people*.

Jeżeli dana sprawa czy problem choć w danym okresie obiektywnie nierealna — posiada dostateczną ilość gorących i oddanych zwolenników, przekonanych o moralnej słuszności danej sprawy — wcześniej lub później postawa tych ludzi wpływa

na układ obiektywnych stosunków i to co było niemożliwe i nierealne staje się możliwe i realne. Jeżeli postęp socjalny coś znaczy — to można stwierdzić, że ów postęp we wszystkich dziedzinach na początku składał się z serii *lost causes* — które jednak nigdy nie straciły przekonanych wyznawców, którzy często pokoleniami walczyli o to, co uważali za słuszne i sprawiedliwe, wbrew wszystkim obiektywnym warunkom.

Mówiliśmy o pierwszeństwie wizji, której brak uniemożliwia wypracowanie programu. Jeżeli nie będziemy mieli sformułowanej wizji Polski jakiej pragniemy — zmiana obiektywnych warunków może nas zaskoczyć i nie będziemy mieli odpowiedzi na podstawowe pytania i problemy.

W grudniu 1970 roku inteligencja polska nie miała wizji i w konsekwencji nie miała programu. Wydarzenia ją zaskoczyły i w rezultacie inteligencja pozostała na marginesie. Nie twierdzę, że inteligencja powinna była powstać zbrojnie. Twierdzę natomiast, że gdy w Polsce nastąpią strajki i rozruchy robotnicze inteligencja, nie mając żadnej wizji, przyjmie postawę bierną, wyczekującą i przebudzi się z letargu kiedy na wszystko będzie za późno.

Polskość trzeba praktykować — trzeba nie tylko być zaangażowanym lecz trzeba przemyśleć polską problematykę i trzeba budować w swej duszy wizję Polski w oparciu o zasady chrześcijańskie, bacząc uważnie by w naszej wizyjnej Polsce obrona interesu narodowego nie oznaczała krzywdy pobratymczego narodu. Na dalszą metę bowiem realne jest tylko to, co jest słuszne. Cele niesłuszne bywają osiągalne lecz niesłuszne rozwiązania czy układy sytuacyjne nigdy nie są trwałe. Dlatego wizja, by w przyszłości choćby częściowo mogła być przetłumaczona na politykę realną, musi być słuszna i moralnie bez skazy. Wizja przyszłej Polski winna być oparta o zasady chrześcijańskie i kulturę typu zachodnioeuropejskiego. Chciałbym jeszcze raz podkreślić z naciskiem, że wizja moralnie słuszna, intensywnie wyznawana przez część choćby narodu, jest siłą historiotwórczą.

Z rozmów jakie prowadzę z krajowcami od dziesiątków lat wynika, że w tej sprawie panuje całkowity chaos a poważne myślenie o wizji przyszłej Polski większości Polaków wydaje się bezproduktywnym zajęciem. Nawet gdyby można było przyszłą Polskę zamówić u Pana Boga — nikt by nie wiedział jak ów obstalunek sformułować.

Nie bójmy się słów utopia czy utopijność. Wszelki postęp w fazie embrionalnej jest utopią. Współczesna technologia, medycyna, biologia — 50 lat temu były utopiami. De-kolonizacja

Afryki i Azji pół wieku temu była utopią. Niemal każdego dnia jesteśmy świadkami przekształcania się utopii w rzeczywistość.

Wizja — program — realizacja — to jest ogólny schemat wszelkiej działalności ludzkiej, którą określamy procesem historycznym. Wizja nie jest utopią w ujemnym tego słowa znaczeniu, lecz przeciwnie, jest pierwszym i nieodzownym krokiem na drodze ku realizmowi.

Wizja Polski? Co to jest Polska? Polska to jest naród, kraj, ziemia, lasy, rzeki, góry, wsie i miasta oraz kultura. Kultura Zachodu.

Kultura zachodnia i rzymskie chrześcijaństwo stanowić muszą fundament wizji autentycznej Polski, która wyzuta z tych dwu elementów przekształcić by się musiała w bezpostaciową miazgę etniczną rozlaną na szerokim przedpolu stanowiącym przedłużenie równin rosyjskich.

◆

Nie chciałbym wywołać wrażenia, że wizja przyszłej Polski ma cokolwiek wspólnego z romantyzmem. Czy młodego uczciwego człowieka na dorobku, który marzy o własnym domu nazwiemy romantykiem? Podobnie wizja Polski nie powinna wybiegać poza to, co się nam z prawa należy. Nie marzymy o odbudowie Polski imperialnej — staramy się natomiast umocnić w nas samych przekonanie, że nie należy się nam nic mniej jak innym narodom, jak powiedzmy Belgom czy Szwedom. Z podstawowych, powszechnych dziś praw do samostanowienia można być czasowo obrabowanym, lecz z uprawnień tych nie wolno nigdy rezygnować. 30-milionowy naród europejski jest z definicji uprawniony do samostanowienia o swoim losie i dochodzenie tego uprawnienia nie jest romantyzmem tylko oczywistością, która nie może podlegać dyskusji. Podobnie nie jest romantyzmem dochodzenie swoich praw do samochodu, który skradziono nam sprzed domu. Polacy mają skłonność uważać uprawnienia, które im przysługują za romantyzm i utopię — natomiast akomodację z grabieżcą tych uprawnień skłonni są uważać za *Realpolitik*.

◆

Jako ostatni punkt tych rozważań i refleksji poświęćmy kilka słów gigantomachii, którą uważam za główne zło w współczesnym świecie. Żywą, często gwałtowną reakcją na gigantomachię jest dewolucja, którą obserwujemy na całym globie z wyjątkiem Związku Sowieckiego.

Jeżeli daną organizację czy strukturę powiększamy, jej pro-

blemy rosną w postępie geometrycznym. Weźmy dla przykładu dwa miasta — jedno milionowe i drugie ośmiomilionowe. Oba miasta mają zasadniczo te same problemy z tym, że miasto ośmiomilionowe ma każdy problem dziesięciokrotnie a często dwudziestokrotnie większy i wielokrotnie trudniejszy do rozwiązania. Gigantyczne miasto musi mieć gigantyczną biurokrację, gigantyczną policję i ów gigantyzm powoduje, że stosunki przeciętnego obywatela z owymi kolosami są zdehumanizowane. W takiej masie jednostka może być tylko cyfrą, niczym więcej. W metropoliach-gigantach problemy takie jak przestępczość, korupcja, narkotyki — są po prostu nie do zwalczenia i nie do rozwiązania. Nakładem olbrzymich pieniędzy wyciśniętych z mieszkańców w formie podatków można owe problemy uśmierzyc, załagodzić lecz nie rozwiązać.

Podobnie przedstawia się problem gigantomachii w jej aspekcie politycznym. Weźmy dla przykładu Ukrainę. Ukraina do swoich problemów regionalnych, ukraińskich musi jeszcze dodać problemy wypływające z gigantomachii sowieckiej. Czy Ukraińcom, którzy są średniej wielkości narodem, potrzebne są loty kosmiczne? Na pewno nie. Czy Ukraińcom potrzebne są kosztowne bronie atomowe i druga z kolei największa flota świata — na pewno nie. Niemniej Ukraińcy na to wszystko muszą dawać pieniądze, które — gdyby Ukraina była niezależną republiką — mogłyby być użyte na czysto ukraińskie cele społeczne, gospodarcze itp.

Weźmy jeszcze inny przykład. W ostatnich latach wyrosły jak grzyby po deszczu tzw. „multinacjonaly” to znaczy wielonarodowe koncerny przemysłowo-handlowe. W tych gigantach dehumanizacja i alienacja robotników doprowadzona jest do perfekcji. Jeżeli fabryka danego multinacjonалу w Anglii nie przynosi spodziewanego zysku — fabrykę przenosi się do innego kraju a robotników brytyjskich „puszcza się na zieloną trawkę”.

Na problem gigantomachii zwróciło uwagę wielu uczonych, m.in. prof. Leopold Kohr.

Głównym problemem Rosji jest jej wielkość. Nawet gdyby Rosja była państwem demokratycznym, lecz zatrzymała zasadę niepodzielności i centralizmu — jej gigantomachia uniemożliwiałaby rozwiązanie podstawowych problemów społecznych i gospodarczych. Nawet w zliberalizowanej lecz nie podzielonej Rosji musiałaby być olbrzymia biurokracja i olbrzymia policja. Niepodzielna Rosja nawet zliberalizowana musiałaby być centralistycznie i autorytatywnie rządzona z Moskwy, bo w niepodzielnej Rosji nie byłoby komu władzy delegować.

W tak gigantycznym kraju scentralizowanym i autokratycznie rządzonym nic nie może funkcjonować sprawnie, ponieważ

absurdem byłoby wymagać, by biurokracja tych wymiarów mogła sprostać swym zadaniom. W systemach gigantomachicznych problemy niejako automatycznie ulegają uwielokrotnieniu. Centrum odpowiada na owo uwielokrotnienie stałym powiększaniem biurokracji co oczywiście stwarza nowe problemy i zwiększa kosztą maszyny państwowej.

Jest oczywiste, że łatwiej jest prowadzić racjonalną gospodarkę w małej Szwajcarii niż w „bezkresnej” Rosji, gdzie najprostszy problem ulega podniesieniu do N-tej potęgi i staje się nie do rozwiązania. Autokratyzm rosyjski tu bierze swe źródło, ponieważ Rosję można by zdecentralizować tylko za cenę jej dewolucji.

O dewolucji mówi się dziś i pisze w Anglii lecz nie w Rosji. W Wielkiej Brytanii dewolucja oznacza przyznanie praw do autonomii Szkotom i Walijszykom, którzy zachowując unię z Anglią będą mieli swoje parlamenty, które będą decydowały niemal o wszystkim co walijskie czy co szkockie — z wyjątkiem obrony i polityki zagranicznej.

Chciałbym przekonać naszych rosyjskich przyjaciół w wolnym świecie, że nie można mówić o liberalizacji czy demokratyzacji Rosji w oderwaniu od dewolucji. W Rosji dewolucja musiałaby oznaczać przyznanie rzetelnej autonomii republikom federalnym. Nie mówimy o „parcelowaniu” Rosji tak jak prasa brytyjska, pisząc od miesięcy o dewolucji Szkocji i Walii, nie ma na myśli parcelacji Wielkiej Brytanii. Czy autonomiczna Ukraina zechce w przyszłości zerwać więzy łączące ją z Rosją i przyjąć status niepodległego państwa zależeć będzie jedynie od woli narodu ukraińskiego i nikt tej sprawy nie może przesądzać.

Lecz podkreślam jeszcze raz — dewolucja nie oznacza ani parcelacji ani rozczłonkowania Rosji. Dewolucja oznacza natomiast przyznanie autonomii republikom federalnym. Stany Zjednoczone składają się z pół setki stanów z których każdy posiada własny parlament, administrację, policję, ustawodawstwo itp., itd. Stany Zjednoczone cierpią również na skutek gigantomachii lecz nie są ani w połowie tak scentralizowane jak Rosja i mimo systemu prezydenckiego nie są autokratycznie rządzone.

Chciałbym wreszcie przekonać naszych przyjaciół rosyjskich, że dewolucja potrzebna jest w pierwszym rzędzie Rosjanom, a dopiero w drugiej kolejności Ukraińcom czy Litwinom. Ponieważ w tym wypadku chodzi o Rosję i przede wszystkim o Rosję. Bez dewolucji Rosja będzie niezdolna do decentralizacji, będzie niezdolna do przełamania systemu autokratycznego i pozostanie średniowiecznym kolosem odciętym od Europy i od dwudziestego wieku. Bez dewolucji modernizacja Rosji nie jest możliwa.

Rosja, która odrzuci dewolucję będzie skazana na postępujący chaos wytworzony lawiną problemów nie do rozwiązania. Policją i łagami można do czasu rządzić — lecz policją i łagami nie można niczego rozwiązać.

Problem Rosji Nr 1 jest już nie wymiar ale jej bezmiar. Ów wymiar wyłącza decentralizację, demokrację, racjonalną gospodarkę ekonomiczną i społeczną. Rosja bez dewolucji skazana jest na autokratyzm i terror. I tak oto wielkość niepodzielonej Rosji — mistycznie odczuwana przez wielu Rosjan — może się stać jej przekleństwem i przyczyną upadku.

Dewolucja — ruch od wielkiego ku średniemu lub małemu — jest dziś charakterystycznym ruchem rozwojowym o światowym zasięgu. W Wielkiej Brytanii projektuje się i buduje wiele nowych miast. Wszystkie nowe miasta są małe lub średniej wielkości. Nie projektuje się nowych Londynów czy nowych Birmingham.

Ludzie zrozumieli, że gigantomachia jest koszmarną chorobą. Wielkie zakłady przemysłowe, wielkie instytucje, wielkie miasta — multiplikują wszystkie problemy a część ich przekształcają w zagadnienia nie do rozwiązania. Przerost — to znaczy wzrost od średniego ku gigantycznemu odbywa się zawsze za cenę degradacji jakości życia. Więź społeczną, poczucie przynależności, zadowolenie z wykonywanej pracy, to wszystko w systemach gigantomachicznych zastępuje komputer programowany i zarządzany przez super-menedżerów.

W dziedzinie politycznej *trend* dewolucyjny sprzyja decentralizacji władzy, regionalizmowi — a na szczeblu narodowym sprzyja tendencjom do samostanowienia. Gdyby ktoś 30 czy 50 lat temu wysunął projekt parlamentu walijskiego — posłano by projektodawcę do psychiatry, a dziś dyskutuje się o dewolucji i przyjmuje się projekty parlamentów szkockiego i walijskiego jako rzeczy rozumiejące się samo przez się.

Trend dewolucji nadaje nowy wymiar sprawie Polski. Przystajemy być *lost cause*, przestajemy być utopistami, ponieważ nasze aspiracje stają się zgodne z duchem czasu. To jest rzecz nie bagatelna — ponieważ jest rzeczą rozpaczliwą walczyć o słuszną sprawę, której pozytywne rozwiązanie byłoby sprzeczne z duchem epoki.

Zgodność z duchem epoki nikomu nie gwarantuje zwycięstwa. Lecz owa zgodność odbiera polskiej sprawie egzotyzm, który czynił ją niezrozumiałą dla obcych. Jesteśmy dewolucjonistami jak wiele innych narodów i mniejszości narodowych na obu półkulach, które domagają się prawa do samostanowienia. Dewolucjonizm — który poza imperium sowieckim jest powszechnie

przyjętą filozofią politycznie społeczną — nadaje naszym żądanom legitymizm, co oznacza coś więcej niż legalizm. Przez legitymizm należy rozumieć zgodność z ogólnie przyjętą szkołą myślenia politycznego na Zachodzie — podczas gdy legalizm dotyczy tylko dawnego polskiego ustawodawstwa konstytucyjnego. Dewolucjonizm a nie legalizm powinien służyć za teoretyczną podstawę obrony sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

Kultura Nr 4/331 (1975)



W naszym skomplikowanym współczesnym świecie — na dalekim marginesie znajduje się Polska. Polskę można by porównać do statku podwodnego, który posiada na razie dostateczną ilość tlenu i żywności, lecz którego mechanizm umożliwiający wydobyć się na powierzchnię uległ awarii.

Polska Ludowa jest państwem i równocześnie nie jest państwem. Suwerenność w klasycznym tego słowa znaczeniu nie odgrywa w tym wypadku roli podstawowej. W Europie — wyłączając Rosję — żadne z państw nie jest w klasycznym tego słowa znaczeniu suwerenne. Państwo nie musi być w stu procentach suwerenne — jednak naród musi posiadać konstytucyjne środki wyrażania swojej woli. Państwa EWG — podpisując Traktat Rzymski — zrezygnowały częściowo ze swej suwerenności — niemniej Francuzi, Niemcy czy Anglicy posiadają konstytucyjne środki wyrażania swojej woli.

Lecz wpięć chciałbym powiedzieć kilka słów na temat opinii publicznej. W Polsce Ludowej nie ma opinii publicznej — tak jak ów termin rozumiany jest w Anglii. Opinia publiczna jest potęgą tam, gdzie istnieje niezależna prasa i niezależne środki masowego przekazu. Byłoby jednak błędem mniemać, że bez niezależnego radia i telewizji nie może być autentycznej opinii publicznej. Niezależną opinię publiczną tworzą niezależnie myślący ludzie. Tam gdzie nie ma niezależnie myślących ludzi — nie ma i opinii publicznej.

Niezależnie myśleć może tylko człowiek poinformowany, to znaczy człowiek odróżniający ziarno od plewy. W Polsce Ludowej inteligentowi trudno jest dociec prawdy. Rozmowy z krajowcami przekonały mnie, że tylko mały procent inteligentów zna całą prawdę o Jacie, całą prawdę o Katyniu itp. Wszyscy inteligenci, z którymi rozmawiałem — bez wahania winę za Katyń przypisują Rosjanom. Jednak tylko minimalny odsetek

moich rozmówców orientował się w materiale dowodowym, na którym oparte jest oskarżenie Rosjan za mord katyński.

Młodzi krajowcy przebywający czasowo w Anglii mają możliwość poznania prawdy o Katyniu, o Jałcie, o początkach Polski Ludowej — prawdy o krwawych i haniebnych „wolnych wyborach”, które odbyły się 19 stycznia 1947 roku. Lecz młodzi ludzie wolą przeczytać Orłosia, Odojewskiego czy Miłosza niż książki historyczne dotyczące genezy i rozwoju państwa w którym żyją.

Z wiadomości jakie nadchodzą z Kraju wynika, że inflacja w Polsce rośnie w niepokojący sposób. Jeżeli założymy, że inflacja w Polsce i w Anglii rośnie w tempie 20 % rocznie — to są to dwa nieporównywalne zjawiska. Anglia — inflacja czy nie inflacja — jest krajem bardzo bogatym i nie ma trudności w zaciąganiu gigantycznych długów za granicą. Ponadto płace robotnicze w Anglii rosną znacznie szybciej niż inflacja tak, że górnik brytyjski, mimo inflacji, może za swą tygodniówkę kupić dziś znacznie więcej niż rok temu.

Polska znajduje się w znacznie gorszej sytuacji niż Wielka Brytania. Posiada bowiem bardzo ograniczone możliwości zdobywania kapitału za granicą a płace realne robotników polskich maleją a nie rosną.

Inflacja w Polsce oznaczała zawsze wzrost cen artykułów żywnościowych — ponieważ Polskę nie stać na subsydiowanie artykułów żywnościowych na taką skalę jak w Anglii. Recesja w Polsce — jak w każdym innym kraju — zależy od recesji w świecie. Inflacja jest tylko jednym z objawów tego powszechnego kryzysu. Na razie nic nie wskazuje na to, że recesja minie za rok czy za dwadzieścia miesięcy — przeciwnie, kryzys się pogłębia a bezrobocie w tak wysoko uprzemysłowionych krajach jak Stany Zjednoczone czy Anglia stale wzrasta.

Gierek i jego KC — zdają sobie doskonale sprawę co w Polsce oznaczałby poważny wzrost cen żywności. Lecz z pustego nie tylko Gierek lecz nawet i Salomon nie naleje.

Nie bawimy się w żadne przepowiednie — nie życzymy nawet Polsce Ludowej ostrego kryzysu gospodarczego — stwierdzamy tylko, że jeżeli kryzys będzie się pogłębiał — jeżeli w bieżącym roku nie dopisze urodzaj zbóż czy kartofli — konsekwencje recesji w Polsce będą głębsze i trudniejsze do opanowania niż w krajach bogatych jak Francja czy Anglia.

Byłoby wskazane by w każdym większym skupisku inteligencji było przynajmniej dwóch lub trzech inteligentów z otwartą głową, mających do siebie zaufanie. Nie proponuję utworzenia obecnie podziemnej czy tajnej organizacji. Chodzi mi natomiast o to, by w każdym większym zakładzie pracy istniał potencjalny

załówek przywódców, którzy w chwili kryzysu potrafiliby zmobilizować choćby częściowo inteligencję i upolitycznić jej wystąpienie. Jeżeli za rok czy za 10 miesięcy wybuchną strajki robotnicze na większą skalę — korespondenci zagraniczni doniosą swym agencjom i organom prasowym w Paryżu czy w Londynie, że robotnicy w PRL bronią tylko swojej kurczącej się na skutek kryzysu stopy życiowej. Odcięcie się inteligencji od akcji robotników powoduje w takiej sytuacji, że „Sprawa Polska”, zwłaszcza w oczach cudzoziemców, zredukowana jest bez reszty do ceny kielbasy.

Inteligenci krajowi nie mają chyba złudzeń i wiedzą, że inteligencja w PRL nigdy nie wystąpi zbiorowo, nie zorganizuje wielkich pochodów czy manifestacji, nie mówiąc o strajkach. Ze strony inteligentów krajowych pada zawsze patetyczne i retoryczne pytanie: co my możemy zrobić?

Odpowiedź brzmi: niewiele. Wpływ inteligentów na postawę klasy robotniczej jest znikomy. Inteligenci muszą uznać robotników za największą siłę społeczną w kraju i muszą zdobyć poparcie klasy robotniczej. Owo poparcie mogą zdobyć tylko poprzez czynne solidaryzowanie się z robotnikami w chwilach kryzysu. W roku 1968 wrzało na uniwersytetach. Lecz w grudniu 1970, gdy wrzało na Wybrzeżu studenci uniwersyteccy pokornie i potulnie pojechali na święta do domu.

Moje rozmowy z krajowcami doprowadziły mnie do wniosku, że istnieją dwie Polski. Istnieje Polska Ludowa urzędowa i partyjna. Obok niej istnieje niepomnie mniejsza Polska ludzi, którzy pragnęliby niezależności, wolnych wyborów, demokratyzacji itd. Polacy obu Polsk nienawidzą Rosji i Rosjan — ale to jest wszystko co ich łączy.

W ostatnich miesiącach widziałem w telewizji brytyjskiej kilka filmowych reportaży z Polski. Lecz tak samo jak w periodycznych reportażach z Polski — w wielkich dziennikach brytyjskich jak *The Guardian* — tak i w żadnym z owych reportaży nie ma nawet zawołanej sugestii, która wskazywałaby, że Polacy pozbawieni niemal od lat 40-tu prawa do wolnych wyborów cierpią z tego powodu. Niemal codziennie w prasie brytyjskiej znajdujemy artykuły lub wzmianki o tym, że Murzyni w Rodezji domagają się wolnych wyborów. Wszyscy Brytyjczycy popierają to żądanie i od lat rząd brytyjski zabiega energicznie by temu żądaniu uczynić zadość.

Międzynarodowa sytuacja Polski byłaby korzystniejsza i łatwiejsza gdyby Polacy należeli do rasy czarnej. Mielibyśmy całą Zachodnią Europę za sobą bez większego wysiłku z naszej

strony. Lecz byłoby niezgodne z prawdą kolor skóry uważać w tym kontekście za element decydujący.

Polacy nie domagają się wolnych wyborów natomiast czarni Rodezjczycy domagają się wolnych wyborów gromkim głosem, tak w kraju jak i za granicą. W Wielkiej Brytanii każdy wie, że istnieje problem rodezyjski natomiast nikt nie wie, że istnieje problem polski.

Sprawa Polska musi być obecna na arenie międzynarodowej. Na to by ożywić Sprawę Polską trzeba się skupić w obecnym okresie na jednym bezspornym postulacie. Nie możemy w tej chwili domagać się unieważnienia Jałty, ponieważ taki postulat nie znajdzie zrozumienia wśród obcych. Natomiast należy domagać się głośno i uporczywie wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodowej komisji. To jest postulat, który zrozumie każdy Brytyjczyk i każdy Amerykanin. Nikt na Zachodzie nie będzie kwestionował słuszności tego postulatu.

Wolne wybory w Polsce są w tej chwili nierealne — lecz demokratyczne wybory w Rodezji są również nierealne — niemniej Brytyjczycy solidaryzują się z żądaniami czarnych Rodezjczyków. Chodzi o to, by przynajmniej jeden procent inteligencji w Kraju zdał sobie sprawę, że wskrzesić Sprawę Polską na arenie międzynarodowej mogą tylko Polacy w Kraju. Jeżeli w czasie poważniejszego strajku i demonstracji wśród tłumu robotników pojawi się choćby kilku inteligentów z transparentami głoszącymi: „Żądamy wolnych wyborów do Sejmu”, „Żądamy niezależnych Związków Zawodowych” — wówczas korespondenci prasy zagranicznej doniosą o tym wydarzeniu. Fotografie tego rodzaju transparentów w prasie zachodniej — dokonają więcej dla Sprawy Polski niż setki artykułów w prasie emigracyjnej.

Wiadomo, że emigranci są za demokracją w Polsce, lecz Brytyjczycy i Amerykanie wiedzą, że większość emigrantów opuściła kraj trzydzieści kilka lat temu i nie ma sprawdzianu, że ich głos jest głosem Polski.

Emigracja polityczna jest potrzebna i ma ważne zadania do spełnienia. Lecz są zadania, które wypełnić może tylko inteligencja krajowa i nikt jej nie może w tym zastąpić. Tylko inteligencja krajowa może przekonać Zachód, że Naród Polski nie zrezygnował ze swego prawa do samostanowienia. Tylko inteligencja krajowa może przekonać opinię wolnego świata, że samostanowienie nie jest mrzonką starych żołnierzy polskich, przebywających na obczyźnie — lecz przeciwnie, jest silnie i świadomie odczuwanym pragnieniem Narodu Polskiego w Kraju.

Polacy w Kraju muszą przekonać wolny świat, że Naród Polski mimo, że jest w niewoli — nie utracił poczucia podmiotowości. Wszelka praca nad budową programu musi się zacząć od wskrzeszenia podmiotowości — ponieważ dla narodów, które utraciły swą podmiotowość — programy działania budują i narzucają inni. Dlatego tak ważne są wystąpienia i akcje, które mogą być odczytane: „My, Naród Polski” — w przeciwieństwie do „My, Bierne Masy PRL”. Podmiotowość musi być wskrzeszona i utrwalona w Kraju i nie może być importowana z zagranicy. Choćby najlepiej zorganizowana emigracja polityczna nie może przemawiać jako „my, Naród Polski” — ponieważ emigracja stanowi tylko małą część narodu polskiego.

Większość inteligencji w Polsce przez „program” rozumie receptę na poprawę sytuacji w ramach Polski Ludowej. Tylko mniejszość zdaje sobie sprawę z faktu, że prawdziwą poprawę przynieść by mogła realizacja postulatów słusznych i koniecznych, choć dziś nierealnych. Zwracam się do tej mniejszości by przy sposobności, która z całą pewnością niedługo się nadarzy — przemówiła głośno w imieniu Polski. Nawet w PRL za niesienie w pochodzie manifestacyjnym transparentu z napisem: „Domagamy się Wolnych Wyborów” — powtarzam, nawet w Polsce Ludowej — za czyn taki nie grozi szubienica na stokach Cytadeli. Grozi aresztowanie i może więzienie — lecz w naszych tysiącletnich dziejach nie mieliśmy jeszcze Polski o którą nie trzeba było ustawicznie walczyć.

Czechosłowaccy intelektualiści w rozmowach z zagranicznymi korespondentami powracają uporczywie do „Wiosny Praskiej”. Zachowując swą anonimowość podtrzymują w ten sposób w opinii Zachodu przekonanie, że Czesi i Słowacy są demokratami, którzy niecierpliwie oczekują chwili kiedy będą mogli powtórnie podjąć dzieło demokratyzowania ustroju swego kraju.

W porównaniu z Czechami i Słowakami o Polakach głucho w prasie zachodniej.

Warszawę odwiedza okresowo wielu korespondentów prasy zachodniej. Zadaniem aktywnych polskich inteligentów winno być — nawiązanie z nimi kontaktów i przedstawienie im nie tylko niesfałszowanego obrazu Polski Ludowej, lecz również dążeń politycznych aktywnie myślącego odłamu społeczeństwa polskiego.

Niech was nie martwi, że stanowicie mniejszość i reprezentujecie mniejszość. Od czasów rozbiorów aż po powstanie Drugiej Rzeczypospolitej aktywiści idei niepodległościowej zawsze stanowili mniejszość, niemniej oni byli solą polskiej ziemi. Ludzie myślący stanowią wszędzie mniejszość — niemniej na ich

barkach spoczywa wszędzie ciężar reprezentowania i przemawiania również w imieniu tych co nie myślą, względnie boją się myśleć.

Ów jeden procent inteligencji, który odważnie i rzetelnie myśli powinien wcielić w życie ideał sojuszu inteligencji z klasą robotniczą. W przeciwnym wypadku nawet poważny zryw robotników będzie oceniany na Zachodzie wyłącznie jako manifestacja mająca na celu obniżenie cen artykułów żywnościowych, czy zwiększenie płac robotniczych. Tylko inteligenci mogą strajkowi czy manifestacji robotniczej nadać wyraz akcji politycznej.

To jest jedyna metoda wskrzeszenia Sprawy Polskiej na forum międzynarodowym.

Naród w Kraju, a przede wszystkim inteligencja muszą przestać być wielką niemową — ponieważ dziś na Zachodzie nikt nie wierzy w to, że Polacy krajowi milczą, ponieważ muszą. Przeważa opinia, że Polacy krajowi milczą, ponieważ — w przeciwieństwie do dysydentów sowieckich — nie mają nic do powiedzenia.

Czy naprawdę tak jest?

Kultura Nr 5/332 (1975)



W ubiegłym roku wylądował na Zachodzie pisarz sowiecki Wiktor Fainberg, który spędził ubiegłe 5 lat w sowieckich szpitalach psychiatrycznych. W połowie kwietnia bież. roku przybyła na Zachód jego żona dr Marina Wojkanskaja, która jest lekarzem psychiatrą. Marina Wojkanskaja poznała swojego męża w szpitalu psychiatrycznym, w którym pracowała, i ułatwiła mu wydostanie się na wolność. W rozmowie z korespondentem *The Guardian* Wojkanskaja oświadczyła, że w szpitalach psychiatrycznych w Sowietach znajdują się nie setki lecz tysiące dysydentów którym zastrzykuje się gigantyczne dawki insuliny, haloperidolu, stelarinę i inne środki, które bezpośrednio oddziałują szkodliwie na tkankę mózgową.

Dr Wojkanskaja oświadczyła, że wielu sowieckich psychiatrów zdaje sobie sprawę, że dysydenci są psychicznie normalnymi ludźmi lecz tylko nieliczni z psychiatrów są w stanie oprzeć się naciskowi KGB. Tak dzieje się w kraju, który prof. Brzeziński określił jako symbol społecznego konserwatyzmu.

Istnieje pewien typ reżymu z którym żaden uczciwy człowiek nie może kolaborować. Można było współpracować i układać się z Austrią, można było prowadzić politykę ugodową z caratem.

Lecz człowiek, który współpracuje z Sowietami bierze świadomie na swoje barki moralną współodpowiedzialność za wszystkie Gułagi, za wszystkie szpitale psychiatryczne, za ogół zbrodni przeciw ludzkości popełniany każdego dnia przez władze sowieckie.

Polityka ugody z Sowietami, z polskiego punktu widzenia, nie jest ani możliwa ani moralna. Nie jesteśmy odosobnieni w naszej sytuacji. Dysydenci rosyjscy — tak w Sowietach jak i ci którzy przebywają na Zachodzie — są w identycznej sytuacji jak Polacy. Ich nadzieje, jak i nasze nadzieje, związane są ze zmianami jakie muszą nastąpić w Związku Sowieckim. Wiadomo, że istnieje spora garść Polaków na emigracji, którzy głoszą od lat 30, że w Sowietach nie nastąpią nigdy żadne zmiany. Każdy ma prawo głosić to, co uważa za prawdziwe i słuszne. Nie zamierzam w niniejszym artykule udowadniać tezy, że w Sowietach nastąpią kiedyś podstawowe zmiany. Za naszego życia nastąpiły raczej dość znaczne zmiany w imperiach brytyjskim, francuskim, holenderskim, belgijskim i portugalskim. Trudno byłoby mnie przekonać, że powyższa reguła nie dotyczy Sowietów, ponieważ w Moskwie odkryto eliksir imperialnej nieśmiertelności.

Dysydenci rosyjscy są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami — podobnie jak naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami są narody więzione przez Sowiety, jak Ukraińcy, Litwini czy Białorusini.

W mojej opinii nie wystarcza, by polscy emigracyjni pisarze spotykali się od czasu do czasu z Rosjanami z grupy *Kontynentu*. Zarówno wśród polskiej emigracji jak i wśród rosyjskiej emigracji są ludzie, którzy nie życzą sobie rozmów i zbliżenia polsko-rosyjskiego.

Trudno się temu dziwić. Wśród polskiej emigracji mógłbym znaleźć sporą garść szczerých antykomunistów, z którymi jednak nie pragnąłbym nawiązywać bliższego kontaktu.

Chodzi nam o Rosjan, którzy są nie tylko antysowieccy (jest to więcej niż antykomunistyczni), chodzi nam o Rosjan gotowych uzgodnić z nami pewne zasady i ogólne cele. Byłoby rzeczą ważną i pożądaną doprowadzić do podpisania deklaracji polsko-rosyjskiej, choćby nawet ta deklaracja nie wiązała całej polskiej, czy całej rosyjskiej emigracji.

Wielokrotnie Polacy z Kraju zapytywali mnie (zawsze z drwiącym uśmieszkiem) jak układają się nasze stosunki z emigracją rosyjską? Polacy krajowi na ogół nie wierzą, by Rosjanie na Zachodzie — nawet ci co odżegnują się od komunizmu i sowietyzmu — interesowali się polską problematyką, czy byli chętni do przyjaznych sąsiedzkich dyskusji rosyjsko-polskich.

Co nas w istocie oddziela od przyjaciół-Rosjan na Zachodzie?

Sądząc z reakcji rosyjskiej prasy emigracyjnej na mój artykuł pt. „Rosyjski kompleks polski i obszar ULB” — oddziela nas od Rosjan nasza polityka w stosunku do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. My, jako Polacy, nie domagamy się dla nas niczego — nie domagamy się zwrotu Wilna i Lwowa w głębokim przekonaniu, że Lwów należeć będzie do przyszłej niepodległej Ukrainy, a Wilno do przyszłej niepodległej Litwy. Innymi słowy, popieramy prawo do samostanowienia Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Nie możemy postępować inaczej. Nie możemy bowiem domagać się prawa do samostanowienia dla Polski — odmawiając równocześnie tego prawa Ukrainie czy Litwie. Ci Polacy i Rosjanie (na Zachodzie) którzy argumentują, że Ukraina jest problemem wewnątrzno-rosyjskim — zapominają, że dziś nie ma problemów wewnątrzno-rosyjskich — są tylko problemy wewnątrzno-sowieckie. Ukraina jest dziś w tym samym stopniu problemem wewnątrzno-sowieckim jak Polska czy Czechosłowacja.

Jak podkreśliłem w jednym z poprzednich moich artykułów niczego nie przesadzamy w tych sprawach. Być może Ukraińcy samostanowią o swoim losie — zechcą zatrzymać powiązania z Rosją. Lecz powiązania te muszą być rezultatem swobodnie wyrażonej woli narodu ukraińskiego.

Pragnąłbym by nasi przyjaciele Rosjanie na Zachodzie zrozumieli, że w tej sprawie nie możemy postępować inaczej. Będąc narodem ujarzmionym przez Sowiety musimy solidaryzować się z innymi narodami ujarzmionymi przez Sowiety.

Są na emigracji Polacy, którzy głoszą, że powinniśmy odciąć się całkowicie od dążeń narodowych do samostanowienia Ukraińców i Litwinów i za tę cenę wytargować od Sowietów pewne przywileje dla Polski Ludowej. To byłaby polityka nie tylko haniebna lecz również antyproduktywna. Przyjmując ochotniczo posadę sowieckiego żandarma, automatycznie wzmocnilibyśmy strukturę sowieckiego więzienia narodów — pogarszając sytuację nie tylko Ukrainy czy Litwy, lecz przede wszystkim Polski.

Emigranci rosyjscy zarówno dawnej jak i świeżej daty są antysowieccy. Lecz co rozumieją przez antysowietyzm? Odnosi się wrażenie, że niektórzy z nich uważają za możliwe i za pożądane zatrzymanie i utrzymanie imperium sowieckiego przy równoczesnej demokracji i liberalizacji ustroju. To nie jest możliwe, ponieważ sowietyzm oznacza dyktaturę totalistyczno-policyjną na wewnątrz i agresywny imperializm na zewnątrz.

Nie ma i nie może być liberalnego sowietyzmu — tak jak nie może być demokratycznego imperializmu. Ponieważ w praktyce sowietyzm oznacza totalizm na wewnątrz i imperializm na zewnątrz — każdy emigrant rosyjski, który odrzuca sowietyzm musi

odrzucać totalizm i imperializm. W tej sprawie nie ma połowicznych rozwiązań.

Emigracyjna prasa rosyjska wysuwała opinię, że nam, Polakom, łatwo jest wyrażać tego rodzaju poglądy — ponieważ za wszystko zapłacić będą musieli Rosjanie a nie Polacy. To byłby zarzut słuszny gdyby można było imperium sowieckie identyfikować z imperium rosyjskim. Lecz, jak wiemy, tak nie jest. W Polsce czy w Czechosłowacji nie stacjonują armie rosyjskie, tylko armia sowiecka. Nie wydaje mi się, by Rosjanie mieli możliwość pozbycia się sowietyzmu przy równoczesnym zatrzymaniu imperium sowieckiego. Z chwilą kiedy upadnie sowietyzm upadnie równocześnie i sowieckie imperium.

Ci Rosjanie, którzy z patriotyczną dumą patrzą na zdobycze imperium sowieckiego są *de facto* prokomunistyczni i prosowieccy bez względu na to co piszą i co mówią.

Wielu Polaków postępuje podobnie. Chcieliby zatrzymać ziemie Zachodnie i odzyskać ziemie Wschodnie, wcielone do Związku Sowieckiego. *Kultura* od początku przyjęła stanowisko, że rzetelny antysowietyzm oznaczać musi nie tylko wolność dla Polski, lecz również uznanie prawa do samostanowienia dla Ukraińców i Litwinów. Dlatego od początku głosiliśmy, że Wilno należy zwrócić niezależnej Litwie, a Lwów niezależnej Ukrainie.

Z całą pewnością Polacy bardziej kochają Lwów niż Rosjanie Pragę czy Budapeszt. Lwów nigdy nie był pod zaborem rosyjskim i dzięki temu poczucie ciągłości i przynależności Lwowa do Polski w gruncie rzeczy nigdy nie było przerwane. Nie może więc ulegać wątpliwości, że dla Polaków zrezygnować ze Lwowa jest większą ofiarą niż dla Rosjan zrezygnować z Pragi czy z Budapesztu.

W tym względzie nie można porównywać Polski z Sowietami — ponieważ Polska dziś jest krajem praktycznie bez mniejszości narodowych — natomiast w Związku Sowieckim narody nie-rosyjskie stanowią ponad 50 % ogółu jego mieszkańców.

Na to byśmy się dobrze rozumieli, musimy zdefiniować ściśle pewne podstawowe pojęcia. Każdy wie co należy rozumieć przez antykomunizm. Antykomunista jest przeciwnikiem ustroju komunistycznego w Związku Sowieckim, na Węgrzech czy w Wietnamie. Natomiast antysowietyzm dotyczy tylko Związku Sowieckiego — choć mówimy potocznie o postępach sowietyzmu w Polsce czy w Czechosłowacji Husaka. Sowietyzm w ścisłym tego słowa znaczeniu musi odnosić się tylko do Związku Sowieckiego — ponieważ komunizm w innych krajach — jak np. Chiny — wykazuje znaczne różnice.

Antysowietyzm musi obejmować anty-imperializm, ponieważ zaborczy imperializm stanowi jedną z podstawowych cech ustroju sowieckiego. Jeżeli ktoś powiada, że dąży do zmian ustrojowych w Związku Sowieckim — lecz pragnie równocześnie by przyszła zdemokratyzowana Rosja zatrzymała swe obecne granice i sfery wpływów — powiada w gruncie rzeczy, że identyfikuje się z imperialnymi celami Sowietów — wolałby natomiast, by owe cele były osiągnięte innymi metodami. Tego typu antykomunizm nie jest antysowietyzmem i w odniesieniu do Sowietów nie wystarcza.

Należy jeszcze dodać, że ci wolni Rosjanie, którzy odzégnują się od komunizmu, lecz z miłości do Rosji chcieliby ją widzieć w przyszłości w tych samych granicach które wykreślają obszar Związku Sowieckiego — zapominają o tym, że obecnie granice Sowietów utrzymać można wyłącznie terrorem, który jest do osiągnięcia tylko w totalistycznym ustroju. Totalizm i imperializm to są dwie strony tego samego medalu. Jest dosłownie absurdem przypuszczać, że zdemokratyzowana, nie totalitarna Rosja mogłaby skutecznie przeciwstawić się dążeniom do samostanowienia Ukraińców, Polaków czy Litwinów.

Porzucenie totalizmu i terroru jest w gruncie rzeczy równoznaczne z porzuceniem imperializmu, który nie jest niczym innym tylko terrorem na zewnątrz.

Pomiędzy wolnymi Rosjanami, którzy akceptują logikę powyższego wywodu a wolnymi Polakami nie ma i nie powinno być żadnych różnic.



Pewni emigracyjni polscy publicyści uważają, że Rosjanie na Zachodzie winni bić się w piersi i spowiadać się ze wszystkich zbrodni popełnionych przez władze sowieckie. Publicyści, których mam na myśli, argumentują, że zbrodnie — jak Katyń — popełniali funkcjonariusze NKWD czy KGB narodowości rosyjskiej, czyli po prostu Rosjanie.

Pomijając fakt, że funkcjonariuszami sowieckiego aparatu terroru byli i są nie tylko Rosjanie — powinniśmy również żądać od współcześnie żyjących Niemców, by bili się publicznie w piersi za wszystkie zbrodnie popełnione przez hitlerowski aparat terroru.

Odpowiedzialność państwa i odpowiedzialność narodu nie zawsze pokrywają się wzajemnie. Tylko naród w pełni stanowiący o swoim losie i korzystający w pełni z praw obywatelskich i demokratycznych odpowiada za swoje państwo i za jego organy władzy. Natomiast naród totalitarnie rządzony — nie mający

prawdziwego parlamentu ani niezawisłego sądownictwa nie odpowiada za politykę swojego państwa, ani wewnętrzną ani zagraniczną.

Naród polski nie odpowiada za udział armii PRL w haniebnej inwazji Czechosłowacji — podobnie naród polski nie odpowiada za bezprawia i zbrodnie Bezpieki popełniane niemal każdego dnia.

Naród rosyjski pozbawiony wolności, możliwości ujawnienia się opinii społecznej, pozbawiony niezawisłej władzy sądowej — nie może odpowiadać za zbrodnie władz sowieckich.

Polska w dzisiejszym świecie jest osamotniona. Mam na myśli Polskę potencjalnie wolną i niepodległą a nie twór państwowy zwany Polską Ludową.

Na Zachód nie możemy liczyć. Na emigracji winniśmy szukać zbliżenia z wolnymi Rosjanami nie na to, by wypominać sobie nawzajem krzywdy i nie na to, by licytować się kto bardziej zawinił, lecz w tym celu by znaleźć platformę wspólnego porozumienia. Ani Rosjanom ani Polakom, ani Węgrom czy Czechosłowakom nikt nie pomoże. Musimy wspólnymi siłami dążyć do przemian w ramach bloku sowieckiego i nigdy nie zwątpić w słuszność naszej wspólnej sprawy.



W dniu, w którym kończę ten artykuł zatknięto flagę komunistyczną na pałacu prezydenckim w Sajgonie. Mieszkańcy Sajgonu witali wkraczające kolumny czołgów północnowietnamskich burzą oklasków.

Południowy Wietnam stanowi klasyczny przykład państwa, które w całości uzależnione było od obcej pomocy. Antykomunizm istniał, dopóki były pieniądze, sprzęt, zaopatrzenie — wszystko płynące rzeką z Ameryki. Południowi Wietnamczycy walczyli zjadale dopóki korzystali nie tylko z nieograniczonych dostaw broni i amunicji lecz również z aktywnego poparcia lotnictwa i marynarki wojennej US.

Z chwilą gdy pomoc amerykańska została cofnięta — cała koncepcja niezależnego, niekomunistycznego Wietnamu runęła jak domek z kart.

Wniosek jaki należy wysunąć z tragedii wietnamskiej — można ująć w jednym zdaniu. Nawet Ameryka nie może obronić żadnego narodu przez komunizmem. Przed komunizmem każdy naród musi bronić się sam. I tylko narodowi, który chce się bronić i potrafi się bronić warto jest pomóc.

W Ameryce przystąpiono już do wszechstronnej i szczegółowej analizy tragedii wietnamskiej. Zarówno prezydent Ford jak

i dr Kissinger zapowiedzieli reorientację i rekonstrukcję globalnej polityki amerykańskiej.

Byłoby rzeczą niezmiernej wagi, abyśmy na emigracji mogli powołać do życia towarzystwo rosyjsko-polskie, które w sprawach zasadniczych i podstawowych przemawiałoby jednym głosem.

Emigranci rosyjscy wspomną Herzena, który utracił znaczną część poparcia wśród społeczeństwa rosyjskiego z chwilą gdy stanął po stronie powstańców polskich. Lecz jaka jest alternatywa?

Wiemy że ceną przyjaźni z Sowietami jest wyrzeczenie się przez Polaków solidarności z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami. Czy cena za przyjaźń z wolnymi antysowieckimi Rosjanami jest identyczna?

To są pytania, na które wolni Rosjanie muszą odpowiedzieć dziś — nie zasłaniając się frazesami: „nikt nie wie co przyniesie przyszłość”, itd., itp.

Porozumienie polsko-rosyjskie winni zapoczątkować wolni Rosjanie i wolni Polacy. Brak tego typu porozumienia wyrazi się wzmożeniem nacjonalizmu w obu narodach i wzmożeniem wzajemnej nienawiści. Wzajemna nienawiść nie wyzwoli z więzów sowietyzmu ani Rosjan ani Polaków. Przeciwnie, wzajemna nienawiść umocni tylko władanie sowietyzmu tak w Rosji jak i w Polsce.

Kultura Nr 6/333 (1975)

LIST DO CZYTELNIKÓW

Przez 26 lat jestem publicystą *Kultury* i regularnie co miesiąc ukazywały się moje artykuły. Ponieważ od dłuższego czasu niczego nie ogłosiłem na łamach *Kultury* — winienem naszym Czytelnikom kilka słów wyjaśnienia.

W obrębie ubiegłych 7 miesięcy przeszedłem siedmiotygodniową kurację naświetleniową (radioterapia) i dwie operacje mające na celu usunięcie raka podniebienia. Radioterapia, choć niezmiernie efektywna i skuteczna w moim wypadku nie okazała się metodą właściwą, ponieważ rak odnowił się w tym samym miejscu dosłownie po dwóch tygodniach.

Od drugiej operacji upłynęło już dwa miesiące i jak dotąd wszystko jest w porządku. Radioterapia — choć w rezultacie nic mi nie pomogła — zrujnowała mi gruczoł ślinowy na lewym policzku, który jest obrzmiały i bardzo bolesny, ale na to nie ma ani rady ani leczenia.

W tym trudnym okresie wielką pociechą dla mnie był sukces *Kultury* a zwłaszcza deklaracja pisarzy rosyjskich ogłoszona w wrześniowym numerze *Kultury*. To porozumienie z nową sołżenicynowską Rosją jest osobistym osiągnięciem mojego Redaktora i jedyne przyjaciele jakiego mam — Jerzego Giedroycia. Można powiedzieć, że przez ćwierć wieku omawialiśmy i dyskutowaliśmy tego typu porozumienie, które wydawało się utopią nie z tego świata. Chciałbym by nasi Czytelnicy w pełni ocenili tę deklarację. Wielkie ruchy i przemiany w przeszłości były zawsze w swych początkach dziełem garstki ludzi.

Pokładam w Bogu nadzieję, że nowe operacje nie będą konieczne i że niedługo będę mógł wrócić do normalnej pracy — bo choć *Kultura* daje sobie doskonałe radę beze mnie —

mnie trudno jest żyć bez pisywania do *Kultury*, której poświęciłem najlepsze lata mojego życia.

Kultura Nr 11/338 (1975)



Juliusz Mieroszewski zmarł w Londynie 21 czerwca 1976 roku. Nabożeństwo żałobne i spopielenie zwłok miały miejsce 28 wczierwca. Został pochowany na Ealing Cemetery w Londynie.

SPIS TREŚCI

„Irytacja intelektualna”	7
<i>Linia</i>	8
Refleksje grudniowe	10
Pocztówka do Czytelników	17
Refleksje marginesowe	19
Zawieszenie doktryny Breżniewa	27
Magazyn radiowy	35
O Żydach, kosmopolakach i wschodniakach	46
Amerykańska „Ostpolitik” i wnioski	58
Kordian i cham	71
Lekcja wietnamska dla Europy	84
Futurologia Chin	97
Polska „Ostpolitik”	110
Polska „Westpolitik”	123
Temat: konflikty	136
Materiały do refleksji i zadumy	150
O „czwartym świecie” i innych sprawach	162
Rosyjski „kompleks polski” i ULB	175
Materiały do refleksji i zadumy	187
Księgi ugody i diasporę Adama Bromke	199
Materiały do refleksji i zadumy	211
Za nami — przed nami	222
Materiały do refleksji i zadumy	229
List do Czytelników	254

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

Cena F. 40,00